

Grupa Poetycka „Wołyń”

– geneza, przedstawiciele, wiersze

Lech Wojciech Szajdak



Grupa Poetycka „Wołyń”

- geneza, przedstawiciele, wiersze



Lech Wojciech Szajdak

Grupa Poetycka „Wołyń”
– geneza, przedstawiciele, wiersze

Redakcja **Tadeusz Skoczek**

Warszawa 2023

Opracowanie tekstu i wybór wierszy
Lech Wojciech Szajdak

„Grupa Poetycka «Wołyń» – geneza, przedstawiciele, wiersze”
stanowi element wystawy pt. „Portret z wierszy i pamięci.
Grupa Poetycka «Wołyń» w Muzeum Niepodległości w Warszawie”

Kurator wystawy

dr Krzysztof Bąkała

Wernisaż 23 marca 2023

© Copyright by Muzeum Niepodległości
© Copyright by Lech Wojciech Szajdak
All rights reserved

ISBN: 978-83-67398-07-7

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości
(identyfikator wydawnictwa naukowego: 42 700)
Al. Solidarności 62; 00-240 Warszawa
wydawnictwo@muzn.pl

Książkę dedykuję żonie Hannie

*Przeszłość - to jest dziś,
tylko cokolwiek dalej*

Cyprian Kamil Norwid

Podziękowanie

Szanowni Państwo, Drodzy Czytelnicy. Przekazuję pozycję książkową pt. „Grupa Poetycka «Wołyń» – geneza, przedstawiciele, wiersze”. Jej realizacja nie byłaby możliwa bez pomocy i osobistego zaangażowania Dyrektora Muzeum Niepodległości w Warszawie, Pana dr. Tadeusza Skoczka, któremu składałam słowa podziękowania. Ta książka stanowi jeden z elementów wystawy pt. „Portret z wierszy i pamięci. Grupa Poetycka «Wołyń»” w Muzeum Niepodległości. Przygotowana i opublikowana została dzięki wsparciu finansowemu udzielonemu przez to muzeum.

Zapewniona pomoc finansowa umożliwiła realizację zamierzonych celów. Za okazane zrozumienie celowości opublikowania ww. pozycji książkowej oraz udzielone wsparcie finansowe składałam moje najserdeczniejsze podziękowanie.

Ponadto uprzejmie proszę Panią Marię Janczarską, profesora Pawła Śpiwaka, Władysława Wierzbickiego, Irynę Podmajstrowicz, Iwonę Biegańską-Mana o przyjęcie podziękowań za udzieloną zgodę na opublikowanie rodzinnych wierszy i fotografii, a Panu Arkadiuszowi Szymczyńskie dziękuję za udostępnienie mapy Wołynia. Panu Adamowi Gąsianowskiemu wyrażam podziękowanie za udostępnione wołyńskie fotografie. Pani Oksanie Stadnyk składałam najserdeczniejsze podziękowanie za wiele rozmów o wartości kresowej literatury, malarstwa i historii.



Lech Wojciech Szajdak

Spis treści

Grób Doroty ks. Sanguszkowej.....	19
Do Wołynia	20
Przedmowa	21
Grupa Poetycka „Wołyń” w „Wołyń”	23
Kolumny Grupy Poetyckiej „Wołyń” w „Życiu Katolickim”	40
Kolumna Grupy Poetyckiej „Wołyń” w „Okolicy Poetów”	49
Tomiki wierszy Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”	50
Fotogaleria z Wołynia.....	53
CZESŁAW JANCZARSKI (1911–1971).....	65
Wieś Wołyńska.....	67
Dziesięć lat	69
Pasieka.....	70
Las	71
Czerwiec.....	72
Wspomnienie dzieciństwa	73
Pożar.....	74
Po obu stronach wołyńskiej drogi.....	75
* * *	76
Muza	77
Wiersz.....	79
Słowa o wiośnie	80
Wiersz sentymentalny	81
Melodia.....	82
Sen	83
Młodość burza.....	84
Wspomnienie dzieciństwa	85
Dzień na wsi	86
Maj.....	88
Lato na wsi.....	89
Wspomnienie o Marysi.....	90
Sierpień 1932	91
Sielanka	92
Gdybym miał talent malarski.....	93
Tłoczny trawnik.....	94
Mały domek.....	95
Okolica poety	96

Próba autobiografii	97
Do K.....	99
Dzieciństwo	100
Portret córki	101
Nie mijam	102
Może ktoś... ..	103
Cisza.....	104
Z wakacji.....	105
Niedobry wieczór.....	106
Z wędrówki.....	107
Deszcz o świcie	108
WACŁAW IWANIUK (1912–2001)	109
Do brata.....	112
Zegary	113
Okno	114
Kwadryga.....	115
Z wierszy samotności.....	116
Fragment z poematu „Pełnia czerwca”	117
Mój fach	118
Ballada	119
Prolog	120
Pełnia czerwca	121
Północ	123
Ofiara.....	124
Sobótki.....	125
Obłąkani.....	127
Anna i jesień.....	129
Cyganki	130
Pieśń Owidiusza	131
Okno	132
Pokusa.....	133
Na śmierć poety.....	134
Co jeszcze mogę powiedzieć o Józefie Czapskim	136
Lustro.....	137
Ziarno.....	138
Don't touch me, I'm full of snakes!.....	139
Wiersz dla samego siebie	140
Moment	141
Z wczoraj na wczoraj.....	142

Rekolekcje	143
Chciałbym uciec bo trwoga niszczy	145
List do Zbigniewa Herberta	146
Z Freuda	147
Mały erotyk na dwa ciała.....	148
STEFAN SZAJDAK (1910–2004).....	149
Rozmyślenia	153
Podobieństwo.....	154
Widzenie.....	155
Wakacje	156
Tak co dzień.....	157
Ballada	158
Barwne wstążki	159
W lesie	160
Nauczyciel wołyński	161
Motyw Wołyński.....	162
Prawie	163
Kopanie ziemniaków	164
Przy Parku Wilsona w Poznaniu	165
Pierwszy wieczór	166
Ballada	167
Przez młodość	168
Dzieciństwo wiersza.....	169
Wieczorem.....	170
Motyw	171
Smutny wiersz	172
Wołyński las	173
Wieczne rąbanie	174
Urok wiosny	175
Muzyka	176
Do kościoła.....	177
Przyjaźń	178
* * *	179
* * *	181
Myśl i słowo.....	182
Poezja	183
Przeszłość.....	184
Dni	185
Samarytanka	186

Kana Galilejska.....	187
Dead town w Kairze.....	189
W lipcu.....	190
Sady zimą.....	191
ZYGMUNT JAN RUMEL (1915–1943)	193
Odwiedziny Piasta	197
Noc	198
Dziś.....	199
Poranek	200
Pole.....	201
Jabłoń aksamitna.....	202
Zajazd.....	203
Werset.....	204
Maskarada.....	205
Moja chwila.....	206
Anioł czuwający.....	207
Do przyjaciół.....	208
O dniu i nocy ballada w pewnym nowym mieście.....	209
Dwie matki.....	211
Drukarnia	212
Przewodnica.....	213
Step	214
* * *	216
Pieśń	217
Obelisk	221
Żywe srebro.....	226
Komentarz.....	227
Więzień.....	228
Dramat.....	230
* * *	231
* * *	232
* * *	233
List.....	234
Akwarelka	235
Godzina trwogi.....	236
Z poematu <i>ROK 1863</i>	237
Pogrzeb pięciu poległych.....	239
* * *	242
Słowo zaczarowane.....	243

Kołysanka.....	245
O poetach.....	246
JÓZEF ŁOBODOWSKI (1909–1988)	247
Gazela o złej miłości.....	250
Na własną śmierć.....	251
Nasze granice.....	253
Wigilia.....	255
Ballada lubelska.....	256
Lubelszczyzna	277
Noce lubelskie	279
Lublin 1934.....	286
W Zemborzycach.....	288
List do matki	289
Cmentarz w Lublinie	291
Gazela żałobna	293
Kasyda satyryczna	294
Gazela białym wierszem	295
Służebnica diabła	296
Sztyletnicy.....	298
Czternaście kul.....	299
Mitologia.....	300
Erotyk żeglarski.....	301
Sonet barokowy.....	302
Romans prozaiczny	303
Narodziny Syryngi	304
Była żydówką	305
Erotyk nieprzytomny	306
ZUZANNA GINCZANKA (1917–1944)	
(właściwie Zuzanna Polina Gincburg)	307
Zamiast różowego listu	309
Wiersz o radosnym czekaniu	310
Pięć szkiców Indii	311
Wiersz o prawdziwym czekaniu.....	312
Przyszło.....	313
Przepis na prostotę życia.....	314
Przedprzebieśnigi.....	315
Zielnik do wypełnienia	316
Listy	317
* * *	318

Ostatni śnieg	319
Projekt wiersza o liliowym słońcu	320
Gramatyka	321
Agonia	323
Uczta wakacyjna	325
Obcość	326
O centaurach	327
Fizjologia	328
Labirynt obłądny	330
Treść	331
Canticum canticorum	332
Pycha	334
Proces	335
Epitaphium	337
Maj 1939	338
Przebudzenie	340
Mętne historie	342
JAN ŚPIEWAK (1915–1967)	343
W głąb źrenic	345
Zaśpiew	346
Elegia	347
Sonata wojenna	348
* * *	350
* * *	351
Elegia	352
Elegia	353
Moje głody	354
* * *	355
Pożegnanie z Apollinaire'em	356
* * *	357
Przyptyw	358
* * *	359
* * *	360
* * *	361
Napisałem o tobie wiersz	362
Pieśń o mieszkaniach	363
Matka	364
Źrenice piasku	365
Ile razy wspominam	366

Powrót	367
* * *	368
A tuż obok, samopas	369
* * *	370
* * *	371
* * *	372
* * *	373
* * *	374
* * *	375
* * *	376
WŁADYSŁAW MILCZAREK (1916–1993)	379
Chłopska Matka Boska	382
Poezja kłosów	383
Liryzm Wołynia	384
Źródleńko	385
Zamieć	386
O leśnym Bogu	387
Nad Słuczą	388
Wielka nienazwana	389
Łuczniczka	390
Żongler	391
Poległe konie	392
Dzieciństwo	394
U nas	395
Dom	396
Parów	397
Poranek	398
Bzy	399
Trzmiel	400
Kaczeńce	401
Deszcz	402
Akwarela	403
Południe	404
Aleja słoneczników	405
Łubin	406
Zachód słońca	407
Dziecięcy pacierz	408
Poszukiwania	409
Misterium	410

Legenda.....	412
Śmierć maja.....	413
Odwiedziny.....	414
BAZYLI PODMAJSTROWICZ (1917- 1973)	415
Wschód	421
<i>Z Lipcowego poematu:</i>	
1. Odżegnana burza.....	422
2. Bajka z łąk i ty.....	423
Wydź.....	424
Biała kołysanka.....	425
Usta i praca	426
Lipcowy poemacik.....	427
Wieczór	428
Dzieciństwo	429
Łabędzie.....	430
Powrót	431
Nocturn	432
Pięciopsiaczki Cerbera.....	433
Koło młyna.....	434
Bieg	435
Skok o tyczce.....	436
Rzepakowe sny	437
Walc z jaśminem.....	438
Dwadzieścia wiosen.....	439
Polsko.....	440
Piłsudski	441
Oleandry	442
Żniwa.....	443
Do poety	444
Siejba	445
Chleb.....	446
Jan na browarze.....	447
Hymn murarzy	448
Hymn leśny	449
Rokosz.....	450
Spotkanie	451
Jarzębina.....	452
Sen spraw	453
Portrety	454

Dwudziesty	456
Troskliwy impresario	457
Do nowego poety	458
Staw nocą	459
Prośba	460
Myśli na czasie.....	461
ZOFIA WIERZBICKA (1918-2007).....	463
***	465
Fragment	466
Ikony.....	467
Szumem liście opadły.....	468
Wspomnienie.....	469
Łowa.....	470
Praca.....	472
Do Ojczyzny.....	474
***	476
Wiosna.....	477
Jarzębina.....	478
Jesień	479
Nasza Jesień.....	480
***	481
***	482
Las jesienny.....	483
Dlaczego?.....	484
Mojej drogiej przyjaciółce, Irenie.....	485
***	486
Białe plamy	487
Serce	488
Oda do palacza	489
***	490
***	491
***	492
Człowiek	493
Razem, a osobno.....	494
Poezja.....	495
Fala	496
***	497
***	498
***	499

Czas szybko mija.....	500
Czas	501
Do życia.....	502
Przemijanie.....	503
* * *	504
STEFAN BARDCZAK	505
Ostróg.....	507
Horyń	508
Kidry nad Ostrogiem	509
Kostopol.....	510
Październik.....	511
Listopad	512
Z cyklu „Krajobrazy Wołynia”	
Sarny – strona poleska.....	513
Międzyrzecz Ostrogiński.....	514
Do Wołynia	515
Kazmierka.....	516
Lew na dziedzińcu zamkowym w Ostrogu	517
Do Horynia.....	518
Z cyklu „Krajobrazy Wołynia”	
Prolog I	519
Prolog II.....	520
Zamczysko.....	521
Azalie.....	522
Pożegnanie Ostroga	523
Droga Międzyrzecz – Bór	524
Peremenka	525
Z jesieni wołyńskiej.....	526
Z cyklu <i>Wycinanki</i>	
Astronomowie.....	527
Gnijące liście.....	528
Kwiaty w doniczkach.....	529
Słońce w studni.....	530
W walce	531
Matce poległego.....	532
Usta w sadzie	533
Wołyń.....	534
Lato w małym miasteczku	536
Bibliografia	537

Grób Doroty ks. Sanguszkowej

Na błękitach Horynia gwiazda nocy pływa,
Zefir przebiega po sitowiu cichem,
Śnieżna piana wybrzeża samotne ukrywa,
A lazurkowe fale piany śpią z uśmiechem.
Słowik się ukrył w ciemny liść jaworu,
W ciszy dąbrowa słucha muszek brzmienia;
Komuż to wschodzisz wśród nocy milczenia
Melancholiczna gwiazdo wieczoru?

Pisma Tymka Padurry, Lwów,
Nakładom knyharni K. Wylida, 1874, s. 2019.

Do Wołynia

Polsko, rosnąca tutaj na piaskach
i w niezapominajkowych chatach.
Jak kwiat zdeptana niewolą
dźwigasz się pachnąc mową polską i rolą.
Przeglądaj się w rzekach i stawach:
czy radość na twarzy się zjawia...
Wzlatują w sadach orły kwitnące drzew,
w polach białe chust flagi – najpiękniejszy śpiew.
W boru gałęzie, nadziejne chorągwie sosen.
O, śpiewaj hymnem wiosennym, Ojczyzno, zwycięskim głosem!
Wiosno Wołynia, serca nam posil, szczęśliwie rośnij
I do strof młodych przeszum swą wiosnę.

Stefan Szajdak

„Życie Katolickie”, nr 15 z 10 kwietnia 1937, s. 229,
VIII kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;
Kresowa Atlantyda. Historia i Mitologia Miast Kresowych,
tom XVIII, 2022, s. 231.

Przedmowa

Wołyń w okresie II Rzeczypospolitej znajdował się na Kresach Wschodnich w bliskości Związku Radzieckiego.



Od lewej: mapa II Rzeczypospolitej i Wołynia (fot. Arkadiusz Szymczyzna)

Ten region rozpatrywać można w wielu kategoriach: narodowościowym, geograficzno-historycznym, oraz cywilizacyjnym. Zamieszkiwało w nim kilka narodowości zróżnicowanych pod względem językowym, religijnym oraz rasowym, odznaczających się niejednakowym stopniem świadomości narodowej, rozwoju duchowego oraz odmienną mentalnością. Wołyń charakteryzowała różnorodność etniczna, której reprezentantami byli Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Rusini, Ormianie i inni. Tym samym, Wołyń był zjawiskiem heterogenicznym. Każda narodowość (członkowie danej wspólnoty narodowej) posiadała odmienne tradycje, obyczajowość, wartości, wzory i normy zachowań oraz światopogląd, co determinowało podziały pomiędzy ww. grupami etnicznymi. Jednakże byłoby wielkim nadużyciem twierdzić, że podziały były proste i wyraźne.

Bardzo istotnym czynnikiem różnicującym ww. grupy stanowiła religia. Z pewnością aspekt wyznaniowy mieszkańców Wołynia wzbudzał silne emocje. Tym samym codzienność wołyńska wiązała się z układem wzajemnych sympatii i antypatii. W zależności od lokalnych warunków, grupy te w większym lub mniejszym stopniu poddawały się procesom asymilacji oraz konwergencji kulturowej. Asymilacja dokonywała się spontanicznie, w spo-

sób nie zamierzony, będąc rezultatem zmian społecznych oraz ekonomicznych. Z uwagi na wzajemne oddziaływania na siebie etnicznych grup, można mówić o osobliwym wymiarze kulturowym Wołynia (Adamczyc 1936 a,b,c, Nicieja 2016).

W tych złożonych warunkach miało miejsce współistnienie różnych grup etnokulturowych i ukształtowanie człowieka pogranicza, poddawanego oddziaływaniu kultur, jakie poszczególne grupy reprezentowały. Historia z bezwzględnością ujawniła niewłaściwą ocenę, według której Wołyń był wyłącznie domeną polską, katolicką i szlachecką, gdyż w rzeczywistości był zjawiskiem heterogenicznym.

Polakom Wołyń kojarzy się zwykle z egzotykiem, innością, barwnością, ale też peryferyjnością wobec polskiego centrum. Region o charakterystycznym pięknie bujnej dzikiej natury, której pierwotny urok zakłóciło „wkroczenie historii” (I wojna światowa, a następnie rewolucja i spowodowany przez nią zamęt oraz w dalszej kolejności okres II wojny światowej).

W historii polskiej literatury, z Wołyniem łączone są między innymi następujące postacie: Juliusz Słowacki, Seweryn Goszczyński, Antoni Malczewski, Alojzy Feliński, Zygmunt Szczęsny Feliński, Tomasz August Olizarowski, Józef Bohdan Zaleski oraz Józef Ignacy Kraszewski i inni.

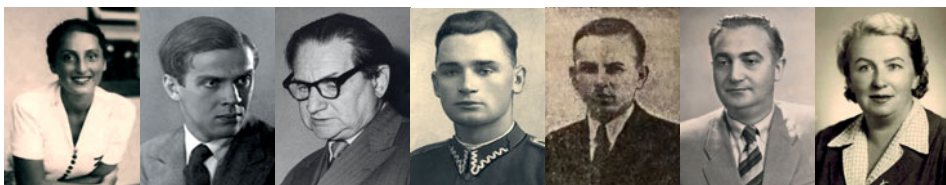
W tych warunkach geograficzno-historycznych, jakże odmiennych od pozostałych części II Rzeczypospolitej, wyrosło młode pokolenie poetów, szukające możliwości zaistnienia na literackiej mapie Polski (Czechowicz 1938, Czernik 1938, Sawicka 1999, Andres 2011, Dubyk 2011, Wołyński 2014, Kalas 2019 a,b).

Na Wołyniu, w Równem w latach 30-tych XX wieku, **Czesław Janczarski** (powojenny redaktor naczelny czasopisma dla dzieci „Miś”, wydawanego w Warszawie) wspólnie z **Wacławem Iwaniukiem, Stefanem Szajdakiem i Zygmuntem Janem Rumlem** współtworzyli Grupę Poetycką „Wołyń”.

W późniejszym okresie z ww. Grupą utrzymywali kontakty następujący poeci: **Zuzanna Ginczanka, Józef Łobodowski, Jan Śpiewak, Władysław Milczarek, Stefan Bardczak, Bazyl Podmajstrowicz i Zofia Wierzbicka** (Szajdak 2021).



Grupa Poetycka „Wołyń”



W pierwszym rzędzie od lewej: Czesław Janczarski, Waław Iwaniuk, Stefan Szajdak, Zygmunt Jan Rumel, w drugim rzędzie od lewej: Zuzanna Ginczanka, Józef Łobodowski, Jan Śpiewak, Władysław Milczarek, Stefan Bardczak, Bazyl Podmajstrowicz, Zofia Wierzbicka

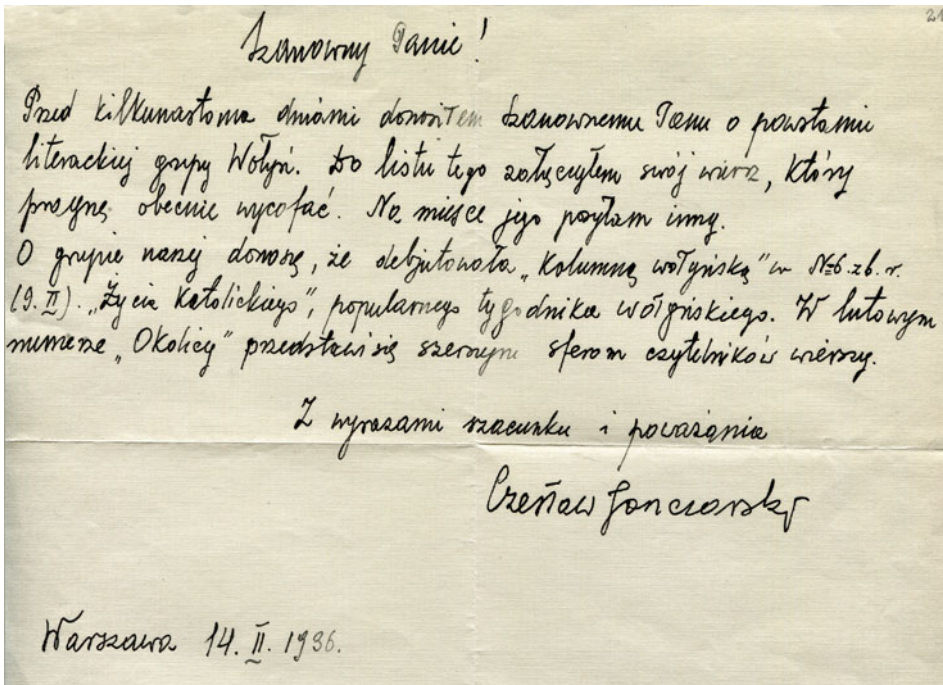
Powyżej opisaną geograficzno-historyczną i demograficzną odmienność Wołynia od pozostałych regionów Rzeczypospolitej, wyraziście wyczuwał poeta Stefan Szajdak, współorganizator Grupy „Wołyń”, Wołynianin z wyboru, pochodzący z Wielkopolski, będącej w przeciwieństwie do Wołynia pod zaborem pruskim, gdzie spędził swe dzieciństwo, wyrósł, uzyskał wykształcenie oraz związał się z polskimi poetami autentystami.

Idea utworzenia Grupy wyszła od Czesława Janczarskiego. Jego skuteczność działania zadecydowała o znalezieniu szerszej i systematycznej możliwości publikowania utworów członków Grupy. Istotną pomoc w rozwój młodych poetów oddał Józef Czechowicz, poeta o już ugruntowanej pozycji oraz Stanisław Czernik, redaktor czasopisma „Okolice Poetów”. Natomiast ich poetyckie próby wspierał wojewoda wołyński Henryk Józewski. Tak więc były to działania skoordynowane, zmierzające do zapewnienia skutecznej promocji utworów młodych poetów i ich samych.

Czesław Janczarski w liście z 14 lutego 1936 roku, skierowanym do Stanisława Czernika napisał: „grupa debiutowała kolumną wołyńską w numerze 6 z 19 lutego 1936 roku «Życia Katolickiego», popularnego wołyńskiego tygodnika. W lutowym numerze «Okolicy Poetów» przedstawi się szerszym sferom czytelników wierszy”.

I tak się stało. W nocie zamieszczonej w miesięczniku „Okolica Poetów” z 15 lutego 1936 roku czytamy: „REGJONALNA GRUPA POETYCKA «WOŁYŃ». Z inicjatywy Czesława Janczarskiego powstała regionalna grupa młodych poetów wołyńskich pod nazwą «Wołyń». Młodzi poeci i entuzjaści pragną wnieść do poezji «melancholijne melodie dumek, geometrię haftu wołyńskiego, bunt twarzy i myśli miejscowego ludu». W skład grupy wchodzi: Czesław Janczarski, Wacław Iwaniuk, Stefan Szajdak, Zygmunt Rumel. Wprowadzając do «Okolicy» kolumnę poetów wołyńskich, życzymy nowej grupie pomyślnego rozwoju”.

Ten sam skład osobowy współorganizatorów ww. Grupy, podany w „Okolicy Poetów”, ponowiony został w numerze 6(26) „Kameny” (Miesięczniku Literackim) z lutego 1936 roku oraz w tygodniku „Wołyń” z 1 marca 1936 roku.



24

Stanisławu Czerniak!

Przed kilkunastoma dniami doniosłem Ci o powstaniu literackiej grupy Wołyń. Do listu tego załączyłem swój wiersz, który proszę obecnie wycofać. Na miejsce jego postaram się.

O grupie naszej doniosłem, że debiutowała „Kolumna wołyńska” w №6 z b. r. (9. II) „Życia katolickiego”, popularnego tygodnika wołyńskiego. W lutowym numerze „Okolicy” przedstawisz szerokiej sferze czytelników naszą.

Z wyrazami szacunku i pozdrowienia

Czesław Janczarski

Warszawa 14. II. 1936.

List Czesława Janczarskiego do Stanisława Czernika (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

OKOLICA POETÓW

MIESIĘCZNIK

R. II. — NR. 2 (11)

15 LUTEGO 1936.

NOTY

REGIONALNA GRUPA POETYCKA „WOŁYŃ”. Z inicjatywy Czesława Janczarskiego powstała regionalna grupa młodych poetów wołyńskich pod nazwą „Wołyń”. Młodzi poeci i entuzjaści pragną wnieść do poezji „melancholijne melodie dumek, geometrię haftu wołyńskiego, bunt twarzy i myśli miejscowego ludu”. W skład grupy wchodzi: Czesław Janczarski, Waclaw Iwaniuk, Stefan Szajdak, Zygmunt Rumel. Wprowadzając do „Okolicy” kolumnę poetów wołyńskich, życzymy nowej grupie pomyślnego rozwoju.

Nota opublikowana w „Okolicy Poetów” nr 2(11) z 15 lutego 1936 roku informująca o powstaniu Grupy Poetyckiej „Wołyń”, ponadto w „Kamieniu” nr 6(26), s. 120 (poniżej)



POWSTAŁA REGIONALNA GRUPA POETYCKA „WOŁYŃ”, w której skład wchodzi Czesław Janczarski, Waclaw Iwaniuk, Stefan Szajdak i Zygmunt Rumel.

W powyższych notach podany został taki sam założycielski skład osobowy ww. Grupy w następujących osobach: Czesław Janczarski, Waclaw Iwaniuk, Stefan Szajdak oraz Zygmunt Rumel

Regionalna grupa poetycka „Wołyń”

Ostatnio powstała regionalna grupa młodych poetów wołyńskich pod nazwą „Wołyń”. Młodzi poeci i entuzjaści pragną wnieść do poezji „melancholijne melodie dumek, geometrię haftu wołyńskiego, bunt twarzy i myśli miejscowego ludu”. W skład grupy wchodzi: Czesław Janczarski, Waclaw Iwaniuk, Stefan Szajdak, Zygmunt Rumel. Czasopismo „Okolica Poetów” zamieszcza w ostatnim numerze kolumnę poetów wołyńskich.

Nota w „Wołyniu”, tygodniku społeczno-politycznym i gospodarczym z 1 marca 1936 roku

W wielu publikacjach dostrzec można niekompletny skład członków tej Grupy (Sawicka 1999, Dubyk 2011, Wołyński 2014).

W manifestcie Grupy Poetyckiej „Wołyń”, jaki opublikowany został na łamach tygodnika „Wołyń” (1935, numer 16, strona 6) młodzi poeci ogłaszali:

„Nie stawiamy szumnych programów, by nie tworzyć barier między słowem a wyrazem, nie rzucamy haseł błyskotliwych i niesprawdzalnych. Stanęliśmy na szerokiej drodze wołyńskiej, która prowadzi do wszystkich osiedli i futorów, do wszystkich miast i do wszystkich serc, przeszłość i przyszłość dumnego Wołynia. Powołała nas uroda zmierzchów liliowych pod Dubnem, zieloność łąk nadstyrzańskich, zaduma rżysk i chmielna radość Rówieńszczyzny i trzcina smukłość i topielisk chybotliwe migoty. Powołała nas poezja dnia wołyńskiego, poezja rąk spracowanych i chust ofiarnych na rozstajach, krzyżów żołnierskich w Maniewiczach i nocnych jęków pod Stochodem, szeptów modlitewnych w cerkwiach, oczu bratnich, wierzących. Rzeczywistości wołyńskiej idziemy naprzeciw [...]. Nie mówimy czemuś «precz», nie wołamy «niech żyje» – wiara naszej poezji musi wyrosnąć z wnikliwych przemyśleń i głębokich odczuć, nie musi wynikać z tempa i wskazań współczesności wołyńskiej, musi być dzisiejsza, a bardziej jeszcze przyszła [...]. Wołyń również musi się dorobić pełnego oblicza duchowego, również musi zmanifestować swą żywotność literacką i artystyczną. Przeszłość za nami świetna, a przed nami możliwości, granicą nieobjęte, czyn.

Musimy równać! Równać!”

Młodzi poeci poszukiwali współpracy z innymi poetami oraz posiadali wyraźnie zdefiniowane cele dotyczące dalszej aktywności i przyszłości literackiej. To z pewnością zdecydowało o ich współdziałaniu w powstaniu nowej grupy poetyckiej. Marzyli o wydaniu jednodniówki, a nawet o poetyckim piśmie regionalnym. Ponadto opublikowali kilka tomików poetyckich. Obyczaje Wołynia, wiejskie krajobrazy oraz obrzędy niejednokrotnie znalazły odbicie w ich twórczości. Niestety, wybuch II wojny światowej przekreślił możliwość kontynuacji działalności ww. Grupy i realizację dalszych jej planów.

Józef Czechowicz w czasopiśmie „Kurier Literacko – Naukowy” nr 50 z 12 grudnia 1938, s. 8-9, w artykule pt. *Poezja Wołynia* omówił działalność niektórych członków Grupy, żartobliwie komentując jej dokonania: „Wołyniacy piszą wiersze, a nawet poezje! Od kilku lat dochodzą odgłosy literackie z Wołynia. A to, że zawiązała się grupa poetycka pod nazwą **Wołyń**, a to, że tygodnik ukazujący się pod taką nazwą wprowadził dodatek literacki, a to znów, że ukazują się zbiorki debutantów z tamtejszego regionu”.

POEZJA WOŁYNIA.

Od lat kilka dobiegają odgłosy literackie z Wołynia. A to, że zawiązała się grupa poetycka pod nazwą Wołynka, a to, że typownicy ukazujący się pod tytułami „Złoty tyłak” i „Dodatek Literacki”, a to, że w końcu się zbiorci debiutantów z tamtego regionu... Oczywiście jednak, że ta grupa poetycka nie istnieje, „dodatek Literacki Wołynia” silił się na uzupełnienie redaktora „Łobow” w kłopotach. Jedyn tyłak został i jest rzeczywiście: Wołyniarz, pisał wiersze, a nawet poezje.

Sytuacja ich nie należy do łatwych. Czeka kulturowa tej ziemi, Równia i Kramienina, szerokość wiecie się robi, a przyrodę

skłóci. Czerną zaś dla celów poetyckich, to tyle, co rozszerzył mowę polską. Coprawda było to z powodzeniem i w „szkolu ukraińską” naszych romantyków z pierwszej połowy XIX wieku, ale on, co można było bezkarnie dla czytelników potoczny wyeksploatować — wyeksploatowali. Teraz wycyfrowy poeci mogą albo poślizgnąć się ich słownictwem, (ale pociąg nie odlatywałoby to środków wypowiedzi poetyckiej, dąbiał natomiast charakter stylizacji niepotrzebnej, wobec tego, że prawie wszyscy są jawnymi lub cichymi wredziakami autentycznymi) albo — przebudować.

To nie jest sprawa tak prosta, jak z rego-

Janusza w 1833. Użytkownik chwałki (1836), oraz reszty wierszy w serji F. Hoenska „Arkana Poezji” (1838). Literacy jego cechuje nastroje słabsze niż pogodność. Jest to porcja widzenia i dźwięku, nie krytyka nie miedzy wierszami, wypowiedzią i faktami zaszły. Tam, gdzie poeci spraczą się w konstruowaniu i refleksji, łatwo spotkać, że to nie jest jego nie i jego ton.

Duży efekt artystyczny tych wierszy, zwłaszcza, gdy mowa o utworach z ostrego skrawka, świadczy o naturze zarówno umiejętności wyboru środków i ograniczenia awangardy, ale też bardziej umiarkowanej, nie ekstr-



STEFAN BARCZAK.



WACŁAW IWANUK.



CZEŚLAW JANCZARSKI.

lich życie artystyczne, są w sobie wielce małymi romantykami i atmosferą smaku romantyzacji. Nie zakłada jako zasady fakt, że jest poeci regionowemu, silną rzeczy wiążę się mową i warunkami miejscowymi, ale ci, co tworzą po wielkich miastach o charakterze kompromisowym lub też ignorująją zmianę regionalną. Wkr — recenzja tekstu, ograniczona tematyka i l. r. „mała forma” silnie się muszą ich udzielić.

Tworzący jowialnie, gdy dzieło o Wołyniu również niewielkie ma oparte. Ta siła odzwierciedlenia polska z dachem i historią, ma budować różnorodną i jowialną jest wołyński dialekt i grupy dialektów ukrai-

malizem Tetmajera (Podhale), Derdowiczego (Krasnyh), Reymonta (Łowickie), czy dla zakłó. Poeci wołyńscy nie mogą się opierać na polskiej gwiazde — wódzianki. To także element w grupie naszych gwiazd krzewnych. Wobec tego ich wiązanie z ziemią rodzinną ukazuje się przeważnie w tematyce, to jest w słownictwie, a raczej w formie, w słowie — pajztał stają się dla nich koniecznością i granicą. Jeśli zechcą znieść przy pomocy.

Naruszanie tak jest. Człowiek miejsce w tej grupie w ramach Czesław Janczarski i Wacław Iwanuk.

Poezja Wołynia autorstwa Józefa Czechowicza, „Kurier Literacko-Naukowy” nr 50 z 12 grudnia 1938, s. 8-9 (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

„KURIER LITERACKO-NAUKOWY”

Nr 50 Str. IX (805)

STEFAN BARCZAK

LEW NA DZIEDZINCU ZAKMOWYM W OSTROGU.

Walczył się lew kamieniem przed zamkniętym domem.
Mającą parę obierając.
Ciepły patrzy w stronę jezior i w smę, gdzie Włody Włody, jak zarysowany.

Na kamień, zamknięty brzołem kolorem —
czem porzucił go w smę —
podobnie przesyła dotychczas wstrętem.

WACŁAW IWANUK

BLASKI NOCY.

Sudana potęgi nocy, kępcie kępcem
o jedynej kępcie smę o dymnej smę.
Cienie ich zdobione w szumiejących obłokach
poziwo stężył nad smę, smę w jej chłodzie smę.

Wielki jest światło, światło w szumie smę
o jedynej kępcie smę o dymnej smę.
Cienie ich zdobione w szumiejących obłokach
poziwo stężył nad smę, smę w jej chłodzie smę.

CZEŚLAW JANCZARSKI

MOTYW.

Wielki jest światło, światło w szumie smę
o jedynej kępcie smę o dymnej smę.
Cienie ich zdobione w szumiejących obłokach
poziwo stężył nad smę, smę w jej chłodzie smę.

STEFAN BARCZAK

MOTYW.

Wielki jest światło, światło w szumie smę
o jedynej kępcie smę o dymnej smę.
Cienie ich zdobione w szumiejących obłokach
poziwo stężył nad smę, smę w jej chłodzie smę.

WACŁAW IWANUK

BLASKI NOCY.

Sudana potęgi nocy, kępcie kępcem
o jedynej kępcie smę o dymnej smę.
Cienie ich zdobione w szumiejących obłokach
poziwo stężył nad smę, smę w jej chłodzie smę.

CZEŚLAW JANCZARSKI

MOTYW.

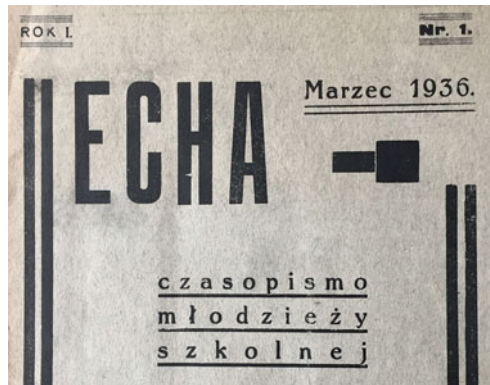
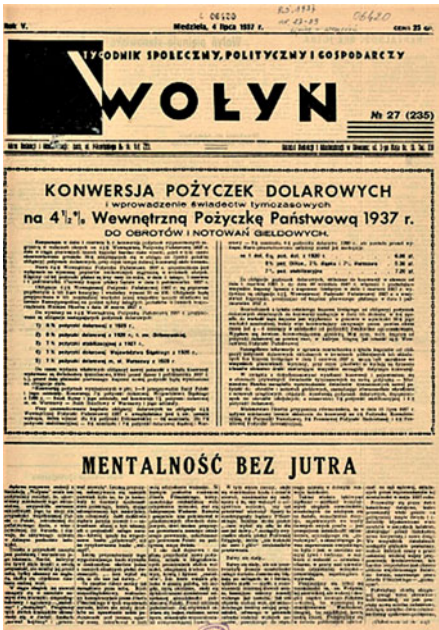
Wielki jest światło, światło w szumie smę
o jedynej kępcie smę o dymnej smę.
Cienie ich zdobione w szumiejących obłokach
poziwo stężył nad smę, smę w jej chłodzie smę.

SUCHACIE! SUCHACIE!

DEDKACJA.

Trzeci wiersz poezji Mikołajczy w postaci...
 Gdyby jednak...
 Dedykacja...
 Trzeci wiersz poezji Mikołajczy w postaci...

c.d. Poezja Wołynia autorstwa Józefa Czechowicza, „Kurier Literacko-Naukowy” nr 50 z 12 grudnia 1938, s. 8-9 (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)



Strona tytułowa i winieta tygodnika „Wołyń” oraz winieta czasopisma „Echa” (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)



Winieta czasopisma „Echa szkolne” (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Probiezmem wspólnych dokonań wołyńskich poetów bynajmniej nie był spójny program artystyczny, realizowany przez wszystkich członków grupy, ale niezwykła kresowa przestrzeń, poetyckie doświadczenia przeżywane, odczuwane, przekazywane za pomocą często bardzo odmiennych, specyficznych i swoistych dla każdego twórcy środków artystycznego wyrazu. Uwzględniając różnorodność osobowości członków Grupy „Wołyń” odsta-

nią się różne oblicza i wymiary – ten przyrodniczy, pejzażowy, czuły, spod znaku dumek i ten historyczny.

Szczęśliwie złożyło się, że członkowie tej Grupy mieli możliwości publikowania swoich wierszy w wydzielonych dla nich specjalnych kolumnach w czasopismach „Życie Katolickie” i „Okolica Poetów” oraz w tomikach poezji opublikowanych w ramach Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”.

Dzięki zabiegom Czesława Janczarskiego w okresie międzywojennym w ww. Bibliotece opublikowano dwa tomiki poetyckie następujących poetów:

- Wacława Iwaniuka – *Pełnia Czerwca*, Chełm 1936;
- Czesława Janczarskiego – *Błękitna chustka*, Równe 1936.

Od 1936 roku dzięki staraniom Czesława Janczarskiego i pod jego opieką redakcyjną, w „Życiu Katolickim” promowana była twórczość członków Grupy Poetyckiej „Wołyń” w postaci specjalnie wyodrębnionych „Kolumn Poetyckiej Grupy Literackiej «Wołyń»”.

Czesław Janczarski zabiegał o możliwość publikowania wierszy ww. Grupy w postaci kolumn w kilku czasopismach, w tym także w tygodniku „Wołyń”. Jedynie „Życie Katolickie” zaakceptowało jego inicjatywę. Pozostałe, niestety, nie wykazały zainteresowania jego propozycją (Czesław Janczarski, „Życie Katolickie” nr 39 z 27 września 1936, strona 611).

Redakcja „Życia Katolickiego” odnosząc się do propozycji Cz. Janczarskiego akceptację wyraziła następująco: „utwory członków Grupy wyrażające niekiedy myśli w sposób bardziej złożony, nie są zapewne dostosowane do poziomu pisma popularnego. Jeśli pomimo to z łatwością godzimy się na propozycję Grupy, chcemy przez to dać wyraz naszej serdecznej życzliwości dla młodych pisarzy, oraz radości, że nie wahają się oni wystąpić pod znakiem wyraźnie katolickim. Witamy ich na łamach naszego pisma życzeniem: *Szczęść, Boże!*” („Życie Katolickie” nr 6 z 9 lutego 1936, strona 84).

Ten wielki i znaczący gest redakcji „Życia Katolickiego” w postaci podania ręki członkom Grupy okazał się niezwykle cenny dla promocji utworów młodych poetów.

Czesław Janczarski na tej samej stronie „Życia Katolickiego” pisał:

„Dzięki gościnności redakcji «Życia Katolickiego» mamy możliwość debiutowania w czasopiśmie wołyńskim już jako reprezentacyjna kolumna nowopowstałej grupy regionalnej. Co prawda skład Grupy jest nieliczny, jednakże z radością też powitamy ludzi myślących jak my. A myślimy tak: w miarę naszych skromnych możliwości stworzyć literacką, regionalną pozycję, wydobyć z krajobrazu i «charakteru»

Wołyńskie elementy oryginalne ku ogólnemu pożytkowi, być wreszcie tą awangardą, która przygotowuje grunt pod przyjęcie nowych, wielkich talentów artystycznych, jak tradycja każe – właśnie z Kresów.

Dla krótkowzrocznych, sygnalizujemy, że nie mamy zamiaru reprezentować żadnego kierunku politycznego. Jesteśmy grupą literacką. Obok zainteresowań literackich, łączy nas teren, z którego pochodzimy, bądź też który zamieszkujemy”.

Poniżej podano dane kontaktowe:

Wołyń – Grupa Literacka.

Adres Grupy: Równe, skrytka pocztowa 31.

W okresie 1936–1938 dzięki wysiłkom Czesława Janczarskiego udało się opublikować dziewięć ww. kolumn. Każda kolumna zawierała wiersze kilku poetów. W pierwszej kolumnie („*Życie Katolickie*” nr 6 z 9 lutego 1936, strony 84-85) znalazły się wiersze współorganizatorów Grupy Poetyckiej „Wołyń” – Czesława Janczarskiego, Wacława Iwaniuka, Stefana Szajdaka i Zygmunta Jana Rumla. W kolejnych zawarte są wiersze Stefana Bardczaka, Czesława Janczarskiego, Wacława Iwaniuka, Władysława Milczarka, Stefana Szajdaka i Zofii Wierzbickiej.



Winieta numeru 39 „*Życia Katolickiego*” z 27 września 1936 roku,
w którym opublikowana została IV kolumna Grupy „Wołyń”

* * *

Wykaz kolumn z wierszami Grupy Poetyckiej „Wołyń” opublikowanych w „*Życiu Katolickim*” wraz z danymi zawierającymi: datę opublikowania, numer czasopisma, numer strony/stron, nazwiska autorów, tytuły wierszy:

I. Rok 1936, 9 lutego, nr 6, strony 84–85:

Czesław Janczarski, *Wieś wołyńska*;

Zygmunt Rumel, *Odwiedziny Piasta*;

Zygmunt Rumel, *Noc*;

Stefan Szajdak, *Rozmyślania*;

Stefan Szajdak, *Podobieństwo*;

Wacław Iwaniuk, *Do Brata*.

II. Rok 1936, 5 kwietnia, nr 14, strona 212:

Czesław Janczarski, *I. Dziesięć lat*;

Czesław Janczarski, *Pasieka*;

Stefan Szajdak, *Widzenie*;

Wacław Iwaniuk, *Zegary*.

III. Rok 1936, 5 lipca, nr 27, strona 427:

Wacław Iwaniuk, *Okno*;

Stefan Szajdak, *Wakacje*;

Czesław Janczarski, *Las* (fragment z poematu *Wieś Wołyńska*).

IV. Rok 1936, 27 września, nr 39, strony 611–612:

Wacław Iwaniuk, *Kwadryga*;

Czesław Janczarski, *Czerwiec*;

Czesław Janczarski, *Wspomnienie dzieciństwa*;

Stefan Szajdak, *Tak co dzień*;

Stefan Szajdak, *Ballada*;

Zofia Wierzbicka. * * * (*Chciałam pisać wiersz*).

V. Rok 1936, 13 grudnia, nr 50, strony 791–792:

Wacław Iwaniuk, *Z wierszy samotności*;

Czesław Janczarski, *Pożar*;

Stefan Szajdak, *Barwne wstążki*;

Zofia Wierzbicka, *Fragment*;

Zofia Wierzbicka, *Ikony*.

VI. Rok 1937, 11 października, nr 37, strona 579:

Czesław Janczarski, *Po obu stronach wołyńskiej drogi*;

Stefan Szajdak, *W lesie*;

Wacław Iwaniuk, fragment z poematu *Pełnia czerwca*;

Zofia Wierzbicka, *Szumem liście opadły*.

VII. Rok 1937, 12 grudnia, nr 50, strona 767:

Stefan Szajdak, *Nauczyciel wołyński*;

Władysław Milczarek, *Chłopska Matka Boska*;

Wacław Iwaniuk, *Mój fach*.

VIII. Rok 1938, 10 kwietnia, nr 15, strona 229:

Stefan Szajdak, *Do Wołynia*;

Władysław Milczarek, *Poezja kłosów*;

Władysław Milczarek, *Liryzm Wołynia*;

Władysław Milczarek, *Źródło*.

IX. Rok 1938, 7 sierpnia, nr 32, strony 499–500:

Stefan Bardczak, *Lato w małym miasteczku*;

Czesław Janczarski, *** (*Nurkowały jaskółki w lipowej chmurze*);

Stefan Szajdak, *Motyw wołyński*;

Wacław Iwaniuk, *Ballada*;

Władysław Milczarek, *Zamieć*.

Warto dodać, że niezależnie od możliwości publikowania utworów przez członków Grupy w specjalnej kolumnie „*Życia Katolickiego*”, wielkim wsparciem okazał się niezwykle gest Stanisława Czernika, redaktora czasopisma „Okolice Poetów”. Udostępnił on łamy tego czasopisma dla członków Grupy Poetyckiej „Wołyń” począwszy od 1935 roku w postaci specjalnej „Kolumny Grupy Poetyckiej «Wołyń»” oraz „Kolumny debiutantów”.

Jedyna „Kolumna Grupy Poetyckiej «Wołyń»” ukazała się w numerze 2 z 1936 roku „Okolicy Poetów” z wierszami Czesława Janczarskiego, Stefana Szajdaka i Wacława Iwaniuka.

Natomiast w „Kolumnie debiutantów” zamieszczonej w „Okolicy Poetów”, numer 2 z 1935 roku, strona 16, opublikowane zostały trzy wiersze Stefana Szajdaka: *Chcę, Mój stół* i *Wołyński las*. Stanisław Czernik w następujący sposób określił Stefana Szajdaka w ww. kolumnie:

„Jeszcze przed rokiem pisywał najpospolitsze sonety o zbójcach regionalnych i nieodpowiedzialne czterowerszydła. Dziś młody poeta z zapałem neofity uprawia autentyzm poetycki. Dziś treść organizuje z niezwykłą ostrożnością, czuwając by, nie przedarło się do wiersza ani jedno słowo, za które nie mógłby ponieść całkowitej odpowiedzialności. Unika wszelkiej sztuczności. W obawie przed nią nie stosuje metafor. W obawie przed surogotem stroni od rymu. Mało. Szajdak pragnie wyrwać z nicości naturalną formę dla każdego wiersza. Dąży do autentycznej formy. Umie spojrzeć krytycznie na siebie i pragnie żyć twórczo. Jego wiersze są próbami wyłamania się z bezstylowego chaosu. Szajdak uczy się pisać stylowo. Mężnie, z zaparciem się siebie odrzucił wszystko, co dotychczas uważał za konieczne w poezji i zaczął od początku. Najprostszymi, ale prawdziwymi środkami, dochodzi do uźródłowienia swej samorodnej poezji.”

Ponadto w „Kolumnie debiutantów” zawartej w numerze 3 z 1935 roku „Okolicy Poetów” znajdują się dwa wiersze Wacława Iwaniuka – *Cisza poety* oraz *List*.

Stanisław Czernik skomentował wiersze Wacława Iwaniuka następująco:

„Z większego zbioru obiecujących wierszy Wacława Iwaniuka wybraliśmy do naszej kolumny dwa utwory. W pierwszych numerach poprzedziliśmy wiersze nowych poetów krótką charakterystyką, podkreślając ze względów zrozumiałych raczej dodatnie strony. Niektórzy krytycy uważali za wskazane twierdzić, że głośno reklamujemy wprowadzanych adeptów. Musimy przeciwstawić się tym insynuacjom z całą stanowczością. „Okolice Poetów” nie jest handelkiem, ani klubem wzajemnej adoracji. Początkujących poetów traktujemy z wielką przychylnością, zarówno tych, którzy już wydali drukiem osobne tomiki, jak i tych, którzy przed wydaniem książki pragną zaznaczyć swe istnienie. Atmosfera przychylności jest koniecznym warunkiem rozwoju młodych talentów. Nie mogą jej wytworzyć pisma codzienne ani tygodniki literackie, zajęte innymi sprawami. Byłoby stosunkowo łatwo w obawie przed krytyką nie uznawać początkujących poetów o „niewyrobionem” jeszcze nazwisku. „Okolica” stawia sobie jednak trudniejsze zadania, dlatego nieraz może będzie musiała zrezygnować z doraźnego efektu. Kolumna debiutantów nie może być zbiorem wierszy przygodnych. Wprowadzamy tylko tych autorów, którzy przedstawili nam do oceny i wyboru poważny zbiór wierszy, świadczących o talencie. Nasze charakterystyki były recenzjami tych zbiorów, a umieszczone wiersze – ilustracjami. Bezstronnie ujął tę sprawę Czechowicz w liście do nas: «Niektórzy debiutanci nie bardzo przypadają nam do gustu, ale to nic ważnego (po pierwsze – to debiut, po drugie – przecież to tylko gust)»”.

Stanisław Czernik nie ograniczał się jedynie do publikowania utworów, ale udzielał wsparcia i niósł pomoc młodym poetom. Wspaniały gest Stanisława Czernika umożliwił opublikowanie w „Okolicy Poetów” wierszy Czesława Janczarskiego, Władysława Iwaniuka, Władysława Milczarka, Jana Śpiewaka oraz Stefana Szajdaka.

Ponadto członkowie Grupy Poetyckiej „Wołyń” publikowali swe utwory w wielu innych czasopismach, wśród których wymienić można: tygodnik „Wołyń”, „Echa”, „Szkolne Echa”, „Na Szerokim Świecie”, „Tryby”, „Lewar”, „Skamander”, „Ateneum”, „Pion”, „Sygnały”, „Czas”, „Nasz Wyraz”, „Wiry”, „Skawa”, „Gazeta Literacka”, „Życie Literackie”, „Szpilki”, „Głos Nauczycielstwa Wołyńskiego”, „Wiadomości Literackie”, „Znicz”, „Kamena”, „Kultura”, „Kuźnica”, „Fantana”, „Prosto z Mostu. Miesięcznik Literatury i Sztuki”, „Skawa”, „Zwierciadło”, „Odrodzenie”, „Sygnały”, „Nowe Widokreśli”, „Droga Pracy” i innych.

W utworach członków Grupy Poetyckiej „Wołyń” należy przede wszystkim zauważyć (Wołyński 2014 i uzupełnienia dokonane przez L.W. Szajdaka):

a) znaną semiotykę przestrzeni – wiersz wołyński nawiązuje do lokalnego pejzażu, do wieloreligijnych i wielonarodowych tradycji kulturalnych tych ziem;

b) wołyński niepokój, lęk i echa katastrofizmu, ujawniane w utworach m.in. Iwaniuka, Łobodowskiego oraz Śpiewaka;

c) melodyjność, śpiewność, harmonijność i regularność. Przykładami są szczególnie wiersze Janczarskiego, Szajdaka, Milczarka, Bardczaka i Podmajstrowicza, a także wołyńskie utwory Czechowicza. Powyższe przymioty nie odnoszą się tylko do wersyfikacyjnej regularności czy rymów, ważniejszym aspektem jest harmonijność i melodia słowa oraz „rytm obrazów” – ich łańcuchowy układ, następstwo, wzajemne uzupełnienia i dopowiadanie;

d) charakterystyczny obszar leksykalny, począwszy od nazewnictwa lokalnego (Błudów, Czerce, Czerewecha, Hołownica, Horyń, Kowel, Łuck, Maniewiczze, Peremenka, Rozważ, Równe, Słucz, Styr, Stochód, Sokal, Sławuta, Wiszniów, Włodzimierz, Zbrucz, etc.) po słownictwo potoczne z pogranicza polsko-ruskiego, jak między innymi: bekiesza, burzany, chutor, dzieża, dryjakwa, fura, furgon, jary, koprowina, koromysła, lebiody, porchy, oczerety, parubok, wiatyk, wisznie, wyrko, załomy etc. Leksyka doskonale portretuje kolorystykę opisywanych wołyńskich stron kresowych.

W utworach poetów Grupy „Wołyń” znaczenie doznań wizualnych, łączonych z intuicyjnością dostrzegalne jest wyraziście. Są one realizowane w postaci swoistego odwzorowania krajobrazu, skupionego na jego elementach analizowanych z wyciszeniem, niedomówieniem, dyskretnością. Przeczucie i wyczuwanie doznań wywołanych pod wpływem elementów krajobrazu ma charakter muzyczny. Ten charakter łączy się z różnorodnością kolorystyczną krajobrazu wołyńskiego, obserwowanego w różnych porach roku, z podniesieniem do rangi poetyckiej szczegółu.

W wierszach poetów Grupy wyczuwalny jest liryzm. Uznali oni potrzebę ukazania piękna przyrody Wołynia, pochylenia się nad jego przeszłością i pamięcią historyczną oraz spojrzenia na teraźniejszość. W ich rozumieniu miała to być poezja adresowana do szerokiego grona odbiorców.

W utworach poetów znajdziemy nawiązania do dawnych wołyńskich historii połączone ze współczesnymi, a odnoszące się między innymi do Styru i Stochodu. Bardczak pisze, że „rodzi się nowy Wołyń, wykuty ręką pracy” (Adamczyk 1936 a,b,c, Czernik 1938, Sawicka 1999, DUBYK 2011).

Poeci mieli świadomość małej liczby czytelników, będącej rezultatem stosunkowo niskich nakładów ich nowo wydawanych tomików poezji. Dzięki skutecznym staraniom Czesława Janczarskiego za największą zdobycz dla członków Grupy uważać można, jak wcześniej podano, zapewnienie możliwości wspólnego publikowania utworów w postaci specjalnie dla nich utworzonych kolumn w „*Życiu Katolickim*” i „Okolicy Poetów” oraz tomików poezji w ramach utworzonej Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”.

Poeci Grupy wyczuwali istotne różnice między poszczególnymi miastami wołyńskimi oraz odkrywali ich tajemnice. Z jednej strony postrzegali ubóstwo, ale potrafili docenić różnorodność w architekturze i atmosferze miast. Odmienne czuli się w Sarnach, Równem, Łucku, Ostrogu, Kiwercach, Włodzimierzu Wołyńskim, Kowlu, Sokalu czy Krzemieńcu.

Łączyło ich uczucie smutku, tęsknoty i zadumy. Otoczony wzgórzami Krzemieniec z architektoniczną i malowniczą różnorodnością uliczek, kościołów, kapliczek, cerkwi, synagog oraz cmentarzy wywoływał u nich zadumę nad upływem czasu i jego przemijalnością, co nawiązuje do cytatu z *Beniowskiego* Juliusza Słowackiego: „A jednak i to minęło”.

W wierszach związanych z wsią wołyńską wyczuwalne jest docenienie etosu ciężkiej pracy w rolnictwie, ale i radości z uczestniczenia w obrzędach i uroczystościach wiejskich oraz konieczności inicjowania działań o charakterze edukacyjnym w celu podniesienia poziomu ekonomicznego społeczeństwa wołyńskiego, w czym doniosłą rolę odegrały uniwersytety ludowe. Wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości wzmożła się potrzeba działania placówek edukacji pozaszkolnej, przeznaczonych dla młodzieży wywodzącej się ze wsi i kształcącej na potrzeby tego środowiska przodowników pracy oświatowej i kulturalnej.

Jedną z najbardziej zauważalnych cech wierszy poetów z Grupy „Wołyń” jest wzajemne przenikanie i wyczuwanie zależności między światem ludzi i przyrody. Dostrzegali oni, że granica oddzielająca świat ludzi i otaczającej przyrody nie jest wyraźna i ostra. Bogactwo i głębia uczuć powstałych w rezultacie kontaktu osób ze światem roślin i zwierząt odzwierciedla współzależność między różnorodnością przyrody a psychiką człowieka. Rozpiętość skali tych uczuć jest duża, od niewielkiej radości do zachłyśnięcia się bujnością przyrody. Czesław Janczarski pisze: „w rozszalałej twej płodności chciałbym utonąć”.

Można stwierdzić, że poeci wołyńscy to doskonali obserwatorzy krajobrazu Wołynia, korzystający jakby z pomocy „dalekich i szerokich obiektów” i opisujący jego piękno, czym zbliżają się do poetów autentystów. Nic dziwnego, że niektórzy z nich (Janczarski, Iwaniuk, Szajdak, Mielczarek oraz Śpiewak) publikowali swe utwory w „Okolicy Poetów”, czasopiśmie związanym z autentyzmem.

Z pewnością urokiem poezji wołyńskiej jest również jej pogodny nastój i wyciszenie. Zauważalne wielkie przywiązanie i miłość do ziemi łączy członków Grupy Poetyckiej „Wołyń”, stanowiąc o jej sile i odrębności wobec innych Grup. Atencja członków Grupy do ziemi i pracy związanej z rolnictwem nie

jest przypadkowa, gdyż wielu z nich miało pochodzenie rolnicze, bądź ziemiańskie lub ich rodzice posiadali wykształcenie rolnicze (Adamczyc 1936 a,b,c, Sawicka 1999, Andres 2011, Wołyński 2014, Szajdak 2021).

Trzeba skonstatować, że twórczość Grupy Poetyckiej „Wołyń” wciąż niedostatecznie jest znana współczesnym czytelnikom, w zasadzie nie wykracza poza wąskie grono literatów i historyków literatury czy kultury. Choć i tam jest ona podawana często niekompletnie i pobieżnie. Z pewnością zasługuje na przygotowanie wielu, możliwie szerokich prezentacji w formie wystaw i na obszerną, możliwie pełną ocenę ich twórczości. Dopiero wtedy można by ukazać nowym pokoleniom czytelników, jak ciekawe i różnorodne, a często wybitne były dokonania literackie tej Grupy.

Tak bowiem stało się, że tragiczny splot historii miał wpływ zarówno na życiorysy, jak i na recepcję twórczości poetów Grupy Poetyckiej „Wołyń” o ostatnim półwieczu. Grupa ta nie jest tak znana jak „Skamander”, czy – głównie dzięki postaci Czesława Miłosza – wileński „Żagar” oraz krakowska bądź lubelska „Awangarda”.

Wołyńscy poeci, debiutujący w latach trzydziestych, często bezpośrednio przed wybuchem wojny, żyli i pracowali w prowincjonalnych miastach kresowych, takich jak Równe, Łuck, Kiwerce, Krzemieniec, Włodzimierz Wołyński, z dala od centrów akademickich i kulturalnych, w miejscowościach znajdujących się wówczas blisko radzieckiej granicy. Publikowali pierwsze tomiki poetyckie ubogie edytorsko, w niskich nakładach, w skromnej szacie graficznej. Zasięg ich odbiorców był ograniczony. Nie trafiały do wielu bibliotek uniwersyteckich. Jednak dzięki swojej wartości artystycznej tworzyły znaczący element kultury Kresów. Wiersze członków Grupy Poetyckiej „Wołyń” niezwykle pięknie utrwalają z ekspresją tamten miniony świat wrażliwych osobowości literackich, sięgają często do polskich i ukraińskich podań, legend, zabobonów, obrzędów, wyobrażeń, różnorodności bogactwa kultury ludowej oraz piękna wołyńskiego krajobrazu.

W okresie PRL cenzura bardzo negatywnie odnosiła się do publikowania choćby najmniejszego elementu utworów związanych z Kresami, tym samym uniemożliwiała ukazanie się jakiegokolwiek informacji o polskich poetach na Wołyniu oraz wydawanie ich wierszy. Wielu poetom i pisarzom cenzura stawiała niemożliwe do zaakceptowania nakazy i restrykcje, nawet przy najmniejszej próbie nawiązania do Wołynia.

Wołyń kojarzony jest z wielkim nieszczęściem, jakie miało tam miejsce w 1943 roku. Jednakże twórczość członków Grupy Poetyckiej „Wołyń” odnosi się do potrzeby współpracy i porozumienia między narodem polskim i ukra-

ińskim. Przykładem są wiersze Jana Zygmunta Rumla w okresie przedwojennym. Poeta pisze w nich o swoich dwóch matkach – polskiej i ukraińskiej.

Po II wojnie światowej o niezbędnym dialogu i porozumieniu między tymi dwoma narodami i krajami pisali wielokrotnie Józef Łobodowski i Wacław Iwaniuk w utworach zamieszczonych w paryskiej „Kulturze”. Zarówno Józef Łobodowski, jak i Wacław Iwaniuk byli stronnikami pojednania w duchu chrześcijańskiego przebaczenia win i braterstwa oraz wypowiadali się „przeciw upiorom przeszłości”.

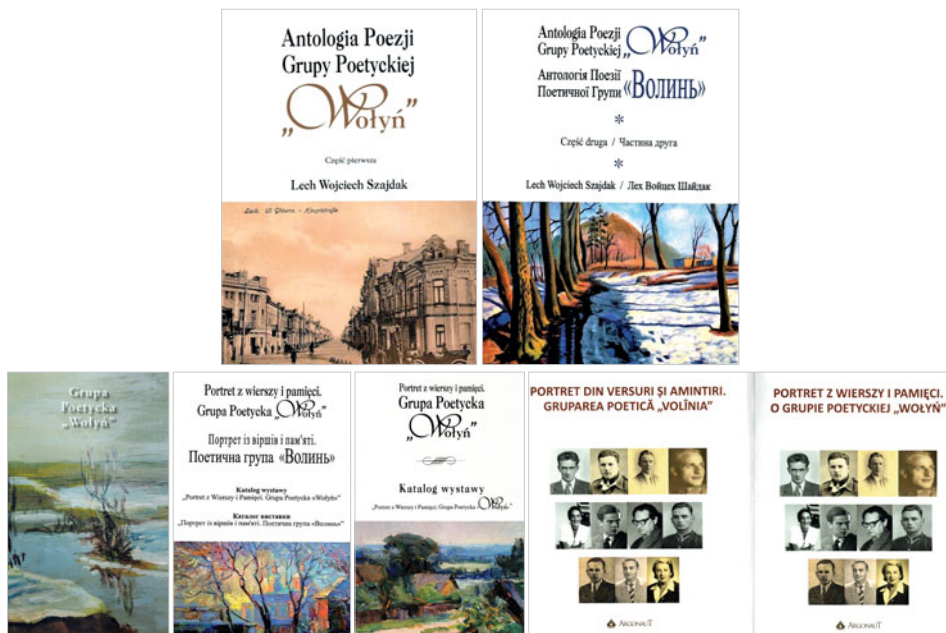


Wołyński Chrystus. Otrzymana od proboszcza z Kiwerc, księdza Krzysztofa Orlickiego w 2019 roku figurka Chrystusa bez ręki, znaleziona na kiwerckim cmentarzu.

Jan Harasimowicz, artysta rzeźbiarz ze Strzelna, brakującą rękę uzupełnił gwoździem kutym, pochodzącym z XIII-wiecznej ambony kościoła Świętej Trójcy i Najświętszej Marii Panny w Strzelnie. Ponadto wykonał krzyż drewniany. Całość nabrała wymowy łączącej się z tragedią na Wołyniu w 1943 roku
(Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Działalność członków Grupy Poetyckiej „Wołyn” przedstawiona została w różnych aspektach w czasopismach oraz pozycjach książkowych (Czechowicz 1938, Czernik 1938, 1961, Sawicka 1999, Hutnikiewicz 2000, Dubyk 2011, Wołyński 2014, Wilkoń 2016, Nicieja 2016, Olbromski 2018, Szajdak 2007a,b, 2014a,b, 2016a,b, 2017, 2018, 2019a,b,c, 2020, Szajdak i Olbromski 2018 i innych). Są one łatwo dostępne dla czytelników i badaczy literatury.

Ponadto opublikowane zostały dotychczas dwie antologie tej Grupy, opracowane przez Lecha Wojciecha Szajdaka w języku polskim i ukraińskim (2018, 2019a).



Okładki dwóch antologii Grupy Poetyckiej „Wołyń” opublikowane z okazji wystaw w Poznaniu i Kijowie oraz katalogi do wystaw ww. Grupy we Wrocławiu, Kijowie, Środzie Wielkopolskiej i Cluj-Napoca autorstwa Lecha W. Szajdaka (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Pomimo stosunkowo łatwej dostępności pozycji ww. autorów, z przykrością stwierdzić należy, że nie odnajdziemy hasła Grupa Poetycka „Wołyń” w *Słowniku europejskich kierunków i grup literackich XX wieku* (Gazda, 2000) oraz w *Historii literatury polskiej w dziesięciu tomach. XX-lecie międzywojenne* (Cieński i inni, 2006). Również informacji o Grupie Poetyckiej „Wołyń” czytelnik nie dostrzeże w *Literaturze Polskiej 1918–1975* (Brodzka i Żółkiewski 1993), *Słowniku Literatury Polskiej XX Wieku* (Brodzka i inni, 1995), w pozycji *Trzydziestolecie 1914–1944. Mała Historia Literatury Polskiej* (Nasiłowska, 2008), w *Historii literatury polskiej do 1939* (Miłosz, 2010), *Dwudziestolecie Międzywojennym* (Kwiatkowski, 2022).

Należy mieć nadzieję, że przyszłe opracowania zrealizowane zostaną w oparciu o materiały źródłowe, a nie kompilacje publikacji powstałych na podstawie dokumentacji nie odnoszących się do dokumentacji archiwalnej. Z pewnością wniosą one nowe informacje, które uzupełnią, rozszerzą i po-

głębią dotychczasową, niezwykle skromną wiedzę dotyczącą zarówno poszczególnych członków, jak i Grupy Poetyckiej „Wołyń” jako całości.

Niniejsza książka prezentuje między innymi odnalezione dwa wiersze Zygmunta Jana Rumla – *Noc* i *Odwiedziny Piasta*, jakie opublikowane zostały w I. Kolumnie Grupy Literackiej „Wołyń” w „*Życiu Literackim*” nr 6 z 9 lutego 1936 roku, strony 84–85.

W drugiej części Antologii Poezji Grupy Poetyckiej „Wołyń” wydanej w 2019 roku ukazały się pierwszy raz w historii polskiej literatury po II wojnie światowej dane biograficzne Bazylego Podmajstrowicza. Stało się to możliwe dzięki uzyskaniu powyższych informacji od rodziny poety zamieszkującej na Ukrainie. W obecnej pozycji książkowej *Grupa Poetycka „Wołyń” – geneza, przedstawiciele, wiersze*, ww. dane zostały pogłębione o nowe informacje, pochodzące od rodziny poety oraz innych osób z Ukrainy. Zawiera ona uzupełnione dane bibliograficzne publikacji, jakie ukazały się po II wojnie światowej, kiedy poeta mieszkał na terenie Ukraińskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej.

Ponadto, w drugiej części Antologii Poezji Grupy Poetyckiej „Wołyń” zamieszczono dwa nowe portrety Zuzanny Ginczanki autorstwa prof. Andrzeja Stopki. Są to prawdopodobnie jedne z ostatnich, o ile nie ostatnie portrety poetki, jakże odmienne od wcześniejszych. Przebija z nich niepokój artystki o przetrwanie choćby do następnego dnia.

Nowością książki *Grupa Poetycka „Wołyń” – geneza, przedstawiciele, wiersze* są dane biograficzne Zofii Wierzbickiej, dotychczas nieznaney członkini Grupy. Poetka ze swoimi wierszami jest obecna w IV, V i VI Kolumnie Grupy Poetyckiej „Wołyń”, zamieszczonych w „*Życiu Katolickim*” (1936–1937). Dzięki nawiązaniu kontaktów z rodziną udało się otrzymać jej dane biograficzne oraz poznać dorobek poetycki. Prezentowane w tej książce informacje dotyczące Zofii Wierzbickiej są pierwszymi w historii polskiej literatury.

Podsumowując można powiedzieć, że książka *Grupa Poetycka „Wołyń” – geneza, przedstawiciele, wiersze* stanowi uzupełnienie dotychczasowej wiedzy o poetach związanych z Grupą Poetycką „Wołyń”.

Na zakończenie pozwolę sobie stwierdzić, że książka wyraża moje osobiste gusty i upodobania.



Lech Wojciech Szajdak



Sprzedaż palm w dawnej Polsce

Według sztychu Andriollego

II-ga kolumna poetycka

Grupy Literackiej Wołyn

WACŁAW IWANIUK

Pod redakcją Czesława Janczarskiego

CZESŁAW JANCZARSKI

I.

DZIESIĘĆ LAT

Chwiała się słońce na wysokim badylu,
bobie lata wiatr w kostrzewach snuł.
Powłókł brzydki biały żagiel motyla
wzdłuż pól...

Pamiętam, nocą szły do okien twarze-słoneczniki,
— czas się wtedy dzielił na pole i dom —
plecionki niedokończony w lipowym tyku
powierzć snom.

Rano szelest wróbił od dalekich stodół
i w skrzyp podłogi tupot bosych stóp.
Na niebie był jak karaś wylotwiony z wody
błękitniejący nów.

2.

Czy inaczej jest w tęczy półkola
co związało las i łąkę wstążką?
Za górkami kołysze się Wołyn,
pagórkami pszeniczne gorąco.

A na rzece krągłą słońca tace
łakniętrudno w kawaleczki rozpluskaj;
potem słońce znów na miejsce uraca
i na wodzie drży złotą łuską.

3.

Może nocą z wody wydra się wyczochra,
strzępnie z sierści konstelacje gwiazd? —
Wykołyszą słoneczniki w miejskich oknach
dziesięcioletni świat — — —

PASIEKA

Czuby słońca pochylało znużenie:
dojrzwania słodka melancholija,
— czas błękitem szumił i cieniem,
pszczoly, pszczoly...

Przynoszony na skrzydełkach szum łubinu
popielate cienie sypał w piach.
A na płocie dojrzewały maliny
co dnia.

W kołysaniu sosnowego wiadra
na obłoki studzienne czekać,
gdy południe w moliniaku się kłódo
pasteką.

STEFAN SZAJDAK

WIDZENIE

Gaj,
Złote ptaki
i zboże.
Rów przesłoniwony głonami słów.
Matczynnie schylone brzozy.
ziemiaki, ziemniaki, ziemniaki
i uwaczone łozy.

W miedzy

Kosa Sierp,
Kosa Sierp.

ZEGARY

Od Dobrej zawieszanej na stalowych drutach
dotyk Wisły rozpała i zolewa żar
pionowo tryskają bajki na ziemię
zegary

połem szczęście po zegarach dzwoni
czarne palce zanurza w koło
ósma—dziewiąta—dziesiąta—

wtedy gdy godziny dźwiękiem
zasłaniają wylot na Wisłę
ponton czarnych jaskółek zawisa
dziewiąta—dziesiąta—jedenasta—

czas
brzęczą czerwone pszczoly
Marszałkowska—popielata—różowa—niebieska
Aleje—Nowy Świat—przedmieście
zegary dzwonią po mieście
dwunasta

III-cia kolumna poetyckaGrupy Literackiej Wołyn

Pod redakcją Czesława Janczarskiego

WACŁAW IWANIUK

O K N O

Szare chmury jak papier—gołębie i latawiec,
 Na szybach z wosku twarz odłona—popatrz—
 Goni niebo latawiec i chłopiec.
 Potem chłód rąk do góry uniósł ramię z gipsu —
 Świat przeszedł między oczy a słońce.
 Niebo chmury obciążyło cieniem.
 Ale już ich nie było!
 Tylko noc opuchła na szybach
 oderwała od okna krzyk.
 Niosła ponad rzeką gęstniejącą,
 w rosnących krokach.
 Chłopiec i latawiec.
 A może wiersz?

STEFAN SZAJDAK

W A K A C J E

Krzyż.
 Szosa wódł cwałująca z szybkością lot,
 Śródpolny kurhan szwedzki: dziejów stóg,
 młodziejco otwarty prostokąt chat
 w ramach dróg.
 Wasz dom na wzgórk — czerwony mur —
 z naszych twarzy brał farbę i wzór:
 Kochłowy.
 Dziś myśli zielone chce uwieść Wołyn
 jak Łuck lubartowy Styr,
 Kwerce, Kwerce —
 kłujący życia wir —
 o skrzypce poezji woła serce.
 Rentu i Wicku,
 gdy wiatr zachodni ukochaną brzezię łamie,
 wspominam Poznań, Bolczune. Kochłowy: wakacje
 cieszę jak piękny list lub widok ojca w bramie,
 gdy wraca rano ze stacji.

CZESŁAW JANCZARSKI

L A S

(urywek z poematu p. t. „Wieś Wołyńska”)

Był las niewielki na wzgórzach pomiędzy wsią a szosą,
 w osikach śpiewały ptaki — drżały gałzki od zięb,
 w leszczynach i głogach sroki. Kiwały się cienie sosen,
 płochliwe zajęce z kartoflisk do lasu niosły lek.
 Na jasnej polanie kwiaty z kosmatych wznosiły się trawy
 i bez szelestu padały—to dzwonki, to motyle.
 A nad polaną jastrzęb przebywał niebo wpiaw,
 trzepotem skrzydeł zgóry obłoki do sosen chylił.

Z południa chyliło się słońce na drugą stronę lasu,
 kiedy Maryna na chutor w chustce orzechy niosła.
 Hryć zwijał bat na błękit — krowy szły wolno na paszę.
 Nad drogą dojrzałych węgierek Hryć ramionami koszy
 chwiał.

V-ła kolumna poetycka

Grupy Literackiej Wołyn

Pod redakcją Czesława Janczarskiego

WACŁAW IWANIUK

Z WIERSZY SAMOTNOŚCI

Zamilkną dzwony. Stanie czas.
Nie pytam się, uszak szkoda słów.
Wkoło wystrzela sosnami las.
Więc czy iść dalej,
Czy wrócić?
Mów.

Więc czy to woda, czy dzwoni dzwon?
Czy wiatr powiewa, czy używa dłoń?
Człowiek czy echo?
Umilkł, nie dzwoni.
Dźwięk się zamyka w zamkniętej dłoni,
ręka sternika.

CZESŁAW JANCZARSKI

P O Ż A R

Zerwałem się od kołosci:
na łunie od parkanu wyzczerpnął się smakły świerk,
fala gwaru uderzyła o szyby,
blaski o ścian brzeg.
Płoną na usi stodoły, parskają wierzby płomieni,
biegną ludzie i psy.

Ryk bydląt na łączce w czerstwieci.

Na las padło struga różowa,
widoczną czerwone pnie sosen.
Nie biegnę, tylko szlochęły szumu mijam.
Ktoś od progu zawołał: — Pali się stóg.
Wtedy brzęk wzrosł a powołał dymu,
o szybę nieba tłukł.

Mijają łączkę, tam kropelki rosy jak łzy.
Naraz uzbili się ustród iskier płonący snep
i krzyki!

Gasnąc powoli nad lasem żeglują ku mlecznej drodze.

STEFAN SZAJDAK

BARWNE WSTAŻKI

Zalobna wstażka w obydzie wieczora, nisko.
Czy to wiecór płaszcz w rynnie, czy jesień?
Czerwona nad czarną wyżej
odlęwa z serca dzwonną krew.

Odejdź, bo ta w pobliskim przeliesiu
wysoko skacze jak żrebak pożaru.

Najmłodsza — zielonożytna
nad źródłanym płacze strumykciem.

Ponad łką masykę sześciostannych skrzypliec
sztafeta słońca znosi do lasu, za pole.

Zapomniesz o nich — w kwiące wstażka czarna,
jak kurzuwa sady, zamula ci oczy.

Mamo, Twoją i tamte wstażki odpleć mi dzisiaj
i pięknie owiąż rozczochrane wterze.

ZOFIA WIERZBICKA

FRAGMENT

Staw. Wiecór uhloda na wodzie złote promienie,
trzciny usypia wiatr.
Cisza — płachta strudzona opada na ziemię.
Brzęczą u brzegu komory.

Wodą gniazdy srebrne wędrowały upław,
niebo odbite bez dna.

A kłębiąc — cichy wspólnik białego krzyku mew,
zagubił się gdzieś w tataraku.

IKONY

Malowane świątłych twarze
patrzą na mnie z wysokości ikon.

Żółte i czerwone kwiaty
(takie oczy mają dziecine, papierowe...)
Rozmodziły się barwy
bogate — —

Przyjdą ludzie zmęczeni pracą
i zasiądą przy misie z jadłem,
lecz nim wezmą do rąk bochen czarny,
to potrzykroć znak krzyża naznaczą.

**PRZEGLĄDY
TYGODNIOWE**

Przegląd religijno-kościelny

J.E. Ks. Biskup Adarwski z Katowic ogłosił list pasterski o miłosierdziu chrześcijańskim. List ten poucza, że miłosierdzie nie jest dowolne, lecz obowiązuje wszystkich chrześcijan, tak jak obowiązuje miłość bliźniego, z której miłosierdzie wypływa. Bez miłosierdzia nie może być mowy o sprawiedliwości społecznej. Również i państwowa opieka społeczna nie może się obyć bez miłosierdzia chrześcijańskiego, staje się bowiem zimna, urzędowa i nieuczulą na niedolę bliźniego.

Z prawdziwą przykrością dowiadujemy się o nowych wystąpieniach Związku Nauczycielstwa Polskiego przeciwko religii, Kościołowi i duchowieństwu. Wystąpienia te miały miejsce na dwóch przeociwległych krańcach Polski: w Święcicach na Wiłęszczyźnie i w Grudziądzu na Pomorzu. Szanując ciężką pracę polskiego nauczycielstwa i dbając o jego powagę i stanowisko w społeczeństwie, uważamy za zbyt ciężkie wypisywać się o bolesnych i gorszących szczegółach tych wystąpień, przeciwko którym i gorszących szczegółach tych wystąpień, przeciwko którym katolicka ludność Święcic i Grudziądza złożyła uroczysty protest do Ministerstwa Oświaty. Nie ma dość silnych słów, gdy chodzi o przestroję, że tego rodzaju wystąpienia Związku Nauczycielstwa Polskiego obniżają w społeczeństwie powagę szkoły polskiej i nauczyciela polskiego.

W maju 1936-go roku odbędzie się następny z kolei międzynarodowy kongres eucharystyczny, stosunkowo bardzo blisko od nas, bo w stolicy Węgier, Budapeszcie. Zarówno miejsce, jak i termin obrad kongresu uzyskały już zatwierdzenie Ojca świętego.

Prezydent Roosevelt wygłosił najjeździe wszystkich państw amerykańskich w Buenos Aires wielką mowę w sprawie obrony pokoju światowego, poważnie w chwili obecnej zagrożonego przez gwałtowne zbrojenia niektórych państw europejskich. Na zakończenie tej mowy prezydent Roosevelt stwierdził, że największym wrogiem pokoju jest bezbożnictwo i że tylko przez wiarę w Boga i z pomocą Bożą ludzkość znajdzie pokój prawdziwy.

Przegląd krajowy

Nasze stosunki z Rumunią znalazły się teraz na najlepszej drodze. Po niedawnej wizycie w Warszawie rumuńskiego ministra spraw zagranicznych p. Antonescu, obecnie przybywa do Warszawy rumuński szef sztabu gen. Samsonowici, potem min. Beck uda się do Bukaresztu, a w niedalekiej przyszłości ma przybyć do Warszawy sam król rumuński Karol II.

P. premier gen. Stawoj-Składkowski, odznaczający się wielką i potrzebną ruchliwością, zwiędził teraz osobście szereg miejscowości w woj. tarnopolskim, jak Złoczów, Brzeżany, interesując się zwłaszcza miejscowymi stosunkami narodowościowymi.

P. min. Becka odwiedziła delegacja Związku Polaków w Gdańsku, która przedstawiła p. ministrowi położenie ludności polskiej w Wolnym Mieście. Zapewnienie, jakie delegacja otrzymała od p. Becka, wywołały wśród jej członków zadowolenie.

Zresztą i poza dniami wywiadówek czy uroczystości szkolnych rodzice mogą i powinni chodzić do szkoły. Dobrze byłoby, gdyby rodzice przywykali się rozmawiać z nauczycielami swych dzieci w każdej potrzebie, a zwłaszcza w każdej trudności wychowawczej. Bo i rodzicom i nauczycielom zależy na tym, by jak najlepiej dzieci wykształcić i wychować. Rozmawiając ze sobą, mogą oni na wzajem sobie służyć radą i pomocą. Nauczyciele wiedzą, jak dziecko sprawuje się i uczy w szkole, a rodzice, jak w domu i w ogóle poza szkołą. Zamiast narzekać na niefortunne dziecko, lepiej niech rodzice porozmawiają z nauczycielami o tym, jak je wychowywać. Zamiast przytyć i wymyślać na dziecko za złe stopnie, a nieraz przy tym pomstować i na nauczycieli, lepiej niech rodzice porozmawiają z nauczycielami o nauce dziecka i sami codziennie dopinają, by ono się nauczyło wszystkich lekcji, zadanych do domu.

Ci rodzice, którym na to pozwalają czas i warunki domowe, nie powinni uchylać się od pracy w Komitecie Rodzicielskim w szkole. Niestety, w wielu szkołach trudno znaleźć rodziców chętnych do pracy w nim. Nie brak i takich szkół, w których w ogóle nie można utworzyć komitetu rodzicielskiego, bo nikt z rodziców nie chce w nim pracować. A przecież jest to praca wdzięczna i niezbyt uciążliwa. Komitet rodzicielski w szkole ma się opiekować ubogimi dziećmi, a dla rodziców powinien urządzać odczyty lub pogadanki, pouczające ich o wychowaniu dzieci. Praca w Komitecie Rodzicielskim w najwyższym stopniu uzreczywistnia to wszystko, co dotąd pisaliśmy o współpracy wychowawczej rodziny ze szkołą.

Jeśli rodzice powinni chodzić do szkoły po to, by rozmawiać ze wszystkimi nauczycielami swych dzieci, to nie wolno im przy tym pomijać współpracy z księdzem prefektem lub z zastępującą go katechetką. Z współpracą tą różnie bywa. Ponieważ zazwyczaj nie grozi dziecku „dwója” z religii, dlatego rodzice nie kwapią się rozmawiać z księdzem prefektem. A przecież jego zadaniem jest religijne wychowanie dzieci, które najgłębiej powinno obchodzić rodziców katolickich. Z kim jak z kim, ale z księdzem prefektem, każdy ojciec i matka mają o czym rozmawiać! Sprawowanie się dziecka w domu i w szkole, jego charakter, wady i zalety, jego pobożność, no i nauka religii, a przede wszystkim przygotowanie dziecka do Sakramentów świętych, szczególnie zaś do pierwszej spowiedzi i Komunii świętej, — toż to są po prostu niewyczerpane pola do współpracy wychowawczej rodziców z księdzem prefektem.

Wszyscy dziękujemy Bogu za to, że nasze polskie dzieci uczą się w polskiej szkole, a nie, jak do niedawna jeszcze, w rosyjskiej, niemieckiej, lub... żadnej. Żeby jednak polska szkoła całkowicie spełniała swoje zadania naukowe i wychowawcze, na to potrzeba współpracy rodziców z nauczycielstwem. W szczególności, rodzice katolicy powinni przychodzić z chętną pomocą tym nauczycielom, którzy pracują w duchu prawdziwie polskim i katolickim, jak to wielu z nich słuowało Maryi Królowej Polski w pamiętnym dniu jasnogórskiej pielgrzymki nauczycielskiej. Polskie i katolickie społeczeństwo ma święty obowiązek wesprzeć polskie i katolickie nauczycielstwo w tych zbożnych postanowieniach, od spełnienia których zawisa przyszłość całego Narodu.

Tak, nie tylko dzieci, lecz także i rodzice, mają po co chodzić do szkoły! Niechże więc do niej chodzą w rozpoczynającym się nowym roku szkolnym. W. B.

KOLUMNĄ POETYCKĄ GRUPY LITERACKIEJ „WOŁYŃ”

WZNAWIAMY...

Wznawiamy kolumnę poetycką. Odąd będą się ukazywały nasze wiersze w „Życiu Katolickim” co kwartał. Szereg listów i wzmianek w czasopiśmiech każde nam sądzić, że nasz, bardzo skromny, wysiłek nie przeszedł bez echa. Niestety, wciąż jeszcze porażający w stadium planów i zamiarów na przyszłość. Brak środków na prowadzenie wmiarowego wydawnictwa, brak zainteresowania dla zagadnień literackich najszerszego ogółu — oto najistotniejsze zapory.

Jako pierwsze zgrupowanie literackie na Wołyniu i jedynie zresztą, dające znać o sobie, mamy ambicje stać się zgrupowaniem potrzebnymi, w pewnym sensie, pożytecznym.

Przy wznowionej kolumnie w „Życiu Katolickim” chcemy prowadzić krzywkę listową. Prosimy piszących Wołyńiaków o nadsyłanie nam swych utworów pod adresem:

Równe, skr. pocz. 31.
Grupa Literacka Wołyń.

PO OBU STRONACH WOŁYŃSKIEJ DROGI.

A. Knollowi

Jeśli będziesz jechał drogą wołyńską,
albo Polesiem,
to zamiast kląć niewygodne mosty
w imię słowa: postęp,
zwróć uwagę na rzadki kolor nieba —
soczysto-niebieski latem, szedynowaty w jesień.
A nade wszystko oddaj podziw
wołyńskim falistym pagórom:
jedziesz dołem i górą,
łąką, mostem,
mijas brzozyowy las i uroczyisko,
jakis kurhan zorany i samotną sośnę.
Po bokach drogi rosną strzeliste bodaki —
gdzie indziej nie zobaczysz takich.
Kłonij głowy przed tobą dorodnych pszenic czuby —
nasza nadzieja, chluba! Czesław Janczarski

W L E S I E

Patrz
jak liściotrysk brzozy bije
i kropie liści drągaj, drągaj
w błękitnej prawie ciszy!
Tunelem drzew przechodzą do leśnych polanek.
Zasympają oczy, lecz znów się budzą jak poranek.
Brzożom, brzożicom,
leśnym dziećcom, wirują warkocze w tońcu.
Liście poranku przy lesie, przy goju,
czekają, czekają
na płomień jesiennych drzew — — —
Jaz! Jaz! wieczornych liści
in orszak ypie świątla i śpiew.
Wtedy
las moje metafory czyści. Stefan Szajdak

FRAGMENT Z POEMATU „PEŁNIA CZERWCA”.

A świt, który się łęgie w czarnej skrzyni stała,
na pagórki bezkształtne opada mliźną.
Nabrzmiewają fujarki ostrzegawczym gwizdem,
napięty krzyk oddają uszom poganiozca.
Gdy mleko nad wzdgrzami całopalne wstaje,
brzożos unosi ukryte, nieruchome konie,
obniża grzbiel wysypki pod ich ostre stopy,
które drogi dalekie krótkim krokiem znaczą.
Na innym teraz brzożu zatrzymałem nogi,
wpatrzony w jasne widmo
i szalenstwo nocy.
Lecz noc moja od śpięca jest złota i wdna,
a dzień nieskończony atramentem broczy. Wacław Iwanicki

SZUMEM LIŚCIE OPADŁY.

Szumem liście opadły, wrzesień nadszedł znów.
Taki sam jak był wtedy, jednak jakiś nowy.
Wspomnienia rosną we mnie w wrzesniowe wieczory,
te dawne — nie pamiętam — z przed roku, czy dwóch...
Słońce wtedy zawisło na gałęziach drzew
i huśtało swe chłodne odbicie na piasku,
wolno po naszych dłońiach ślizgało się błaskiem,
zakradł się spod krzewów chytrze rudy zmierzch.
Tyle przeszło wieczorów, tyle było blade płaki...
trzepotały za oknem dnie jak blade płaki...
Ten jeden zmierzch pamiętam: zaknił dla nas makiem,
a po nim nastąpiły ranki coraz blade.
Szumem liście opadły, wrzesień nadszedł znów;
przypomniały się dawno gdzieś czytane wiersze — — —
Chciałam ciebie zapytać: czy jeszcze pamiętasz
te wieczory wrzesniowe z przed roku, czy dwóch?... Zofia Wierzbicka

KOLUMNA POETYCKA GRUPY LITERACKIEJ „WOŁYŃ”

Pod redakcją Czesława Janczarskiego

STEFAN SZAJDAK

NAUCZYCIEL WOŁYŃSKI

*Smutny nauczycielu!
Twarz twoja — smutku kwiat,
szary poemat
ścieli się, ścieli..*

*Biała szkoła, rumiankowe ściany,
wśród dzieci, książek i zeszytów.
Zlituj się, Ojczyzno, zlituj,
wytrwaj, nauczycielu kochany!*

*Detefon, w piątek list i gazeta
odwiedza cię — a Pan Jezus w niedzielę.
Smutny nauczycielu,
sercem się dzielisz jak poeta.*

*Na czole rosa,
mgła bieli oczy.
Najpiękniejsza włosna do szkoły kroczy:
dzieci ją w koszyczkach do chat niosą.*

*Budzisz czas ranny.
Usmiechnij się, nauczycielu kochany!*

WŁADYSŁAW MILCZAREK

CHŁOPSKA MATKA BOSKA

*W kapliczce Twojej przy drodze pachnie macierzanka
i polne róże.*

*W kapliczce Twojej się wplata do kwietnego wianka
pacierze.*

*C. dzień chłopiąt bosych gromada przychodzi
i klęka,
i pacierzem dzieciennym, niewinnym prost
Panienkę.*

*Pobłogosław, o Pani, i płowe główiny
pogłaskaj,
by odczuli tę dobroć Matczyną
z obrazka.*

*Odwróć burze, nieszczęścia od ludzi,
od żyta —
żeby każdy miał chleba czarnego
do syta.*

*Pobłogosław ich, Pani, oczęta rozraduj
weselem —
żeby do Twojej kapliczki z modlitwą, kwiatami
szli śmieiej!*

WACŁAW IWANIUK

M Ó J F A C H

*Z igieł bielutkich utkany
złocisty pęk —
spada mi ranek-porannek
do rąk.*

*Spada mi kula złocista
w szuwory snów.
Chwytam wciąż blaski-odblaski
dzwoniących słów.*

*Już sowa skrzydła unosi —
złocisty pęk —
chwytam pióro mądrości
do rąk.*

*Słowa w słowach o słowie.
Ja w deszczu słów.
Oddaję się dziwnemu rzemiosłu
— łowieniu słów.*

KOLUMNĄ POETYCKĄ GRUPY LITERACKIEJ „WOŁYŃ”.

OD REDAKTORA KOLUMNY.

Druga w tym roku kolumna poetycka Grupy poświęcona jest, niemal w całości, *Wł. Milczarkowi*. Wiersze drukowane poniżej wchodzi w skład tomiku, który nosi tytuł „Liryzm Wołynia”. Tomik ten ukazał się w b. m. w Równem i stanowi drugą już pozycję wydawniczą młodego poety wołyńskiego. Pierwszą książeczka *Milczarka* p. t. „Wieża Babel” wydana została staraniem szkolnych przyjaciół autora. Zawierała ona sporo jęszcze usterek, których nie sposób ustrecie się młodemu debiutowi. Zapowiadała poetę, który dziś szczerze i niemal fanatycznie ukochał swój region. Ta szczerza miłość, przetopiona w dojrzałe już strofy, bije z wierszy *Milczarka* jak gorąca luna. Entuzjastą pięknego Wołynia jest poeta *Stefan Szajdak*, wielkopoleń, obecnie mieszkający w naszym regionie. Wiersz *Szajdaka*, posiadający szlachetny i czysty ton, znajduje się w dzisiejszej kolumnie. Pana *Stefana Barczaka*, naszego „grupowego towarzysza”, prosimy o podanie nam swego nowego adresu.

Następna kolumna, która ukaże się w „Życiu Katolickim” w lipcu dopiero, będzie zawierała prace *Stefana Barczaka*, *Władysława Iwanuka*, *Czesława Janczarskiego*, *Władysława Milczarka*, *Stefana Szajdaka* i *Zofii Wierzbickiej*.

STEFAN SZAJDAK

Do Wołynia

Polsko, rosnąca tutaj na piaszkach
i w niezapominajkowych chatach.
Jak kwiat zdeptana nieulga,
dźwiżasz się pachnąc mową polską i rolą.
Przełgdują się w rzekach i stoczach:
czy radość na twarzy się zjawia...
Wzlatują w sadach otę kwiłgące drzewa,
w polach białe chust flagi — najpiękniejszy śpiew.
W boru gałęzie, nadzieje chorągwie sosen.
O, śpiewaj hymnem wiosennym, Ojczyzno, zwyciężskim głosem!
Wiosna Wołynia, serca nam posł, szczęśliwie rolnij
i do strof młodych przeszmaj swą wiosnę.

WŁADYSŁAW MILCZAREK

Poezja kłósów

Wstachaj się kiedyś południem w poezję żytynki łanów
i zrozum tęsknotę kłósów.
I wyszczuj pragnienia, gdy toną w słonecznym upale
i błogostawiają niebios.

Wyjdź w pole i słuchaj, jak kłosa tętnią rytmicznie
chlebem i miodem,
jak ta się rymy splełaty przelisznie
słońcem pogodą —

Włącz się strofy dojrzałe urodne
jak snopy,
aż aróś poemat dla głodnych
zboż kopcy —

Liryzm Wołynia

Zbożna poezjo wołyńska, szumiąca miodem w kłosach,
Różowująca wschodem i złotą w skwarne południe,
Poezjo chatup bielonych, nagiełek, mala i mięty,
Jakżeś ty dla mnie bliska i śpietna jakżeś cudnie.
Nieraz wspominać sobie moje rodzinne strony
I noce srebrne księżycem i miłość ostatnią i pierwszą,
Wodę z głębokiej krynicy, wiatry grające na skrzypkach...
Ach, jakże byłem szczęśliwy, gdy mam pisać zaczynał wiersze!
Porzucić słęchle mury i uciec w pole za miasto,
Ramiona silnie sprężyć u złotym słonecznym upale,
Miedziami biec ustród zboża, ach, biec aż do zmęczenia,
A później odpoczywać i grusze liczyć po polu.
Wrosnąć w te szare łosy, po łokcie urobić ręce,
Przed pnytkiem najdrobniejszym ukłęknąć na kolana,
Najmniejszy skrawek ziemi ukochać sercem gorąco
I miłość swą wysięwcać szerokim bujnym łanem...
Można o wszystkim zapomnieć, można wszystkiego się wyrzec,
Lecz miłość rodzinnej ziemi nie szczęnie w największej rozlerce,
Nie trzeba być poetą, by miłość taką rozumieć.
Wołyńska ziemię rodzona, na dłońach podaję Ci serce...

Źródłko

Spód zielonego mchu, spod dębowego korzenia,
Wytryskasz, garstka wody, źródłaną strugą natchnienia.
Ciekoczek na srebrnym fletcie i grzmisz na szklanym bębnie,
Skrzykując codziennie rano spragnione dzikie gołębie.
Spójnij cię słomką żylnią w upalne czerwcowe południe,
Spieczone usta mi chłodziż jak woda z najgłębszej studni.
Masz zapach wilgotnej ziemi i wszystkich kwiatów w dąbrowie,
Strugo najdrowszej wody, w cienistym leśnym parowie.
Brzegi zarosły mchem i ciszą nasłgłej leśną...
W kwiatkach się miod przetapia i dojrzewają czeresnie...
A srebrną strugą źródłka powoli na zachód ciekce
Czerwcowe słońce złote jak rozkwaitecny słonecznik.

Skutki nieopatrznej reformy rolnej w Rumunii.

W grudniu ubiegłego roku, staraniem Związku Rolników z wyższym wykształceniem, wygłoszony został w Warszawie odczyt prof. ekononmii na uniwersytecie w Jassach p. Valeru Bulgaru p. t. „Reforma rolna w Rumunii i jej skutki”.

Przytoczone przez prelegenta wywody i cyfry statystyczne, oparte na danych rumuńskiej statystyki urzędowej, były prawdziwą rewelacją dla słuchaczy, zgromadzonych na sali w liczbie około 400 osób.

Zaznaczyć należy, że Rumunia, po przyłączeniu obszarów odzyskanych po wojnie światowej (Bukowina i Siedmiogród oraz Besarabia) obejmuje przestrzeń 3-krotnie większą niż przed wojną.

Do chwili przeprowadzenia reformy rolnej, większa własność ziemska w Rumunii posiadała 48 proc. ogólnej przestrzeni użytkowej rolnych, 52 proc. użytków tych znajdowało się w ręku drobnych właścicieli.

Przymusowa parcelacja czyli wywłaszczenie wielkiej własności przeprowadzone zostało w końcu 1918 r. i na początku 1919 r. na zasadzie dekretów, stanowiących przygotowanie do ustaw, zatwierdzonych w latach 1920 i 1921. Wywłaszczeniu w całości uległy dobra państwowe, koronne, osób prawnopublicznych, cudzoziemców, którzy ziemię swą wypuścili w dzierżawę, oraz tych wszystkich, którzy na pewną ilość lat wydzierżawili swą ziemię włościanom. Własność prywatna ziemska uległa w zasadzie tylko częściowemu wywłaszczeniu.

Według danych urzędowych statystyki rumuńskiej, do dnia 1/1-1926 r. wywłaszczeniu uległo w 4 prowincjach Rumunii—18.262 warsztatów wielkorolnych o łącznej przestrzeni 5.811.839 ha, w czym obszar wywłaszczonych lasów wyniósł 693.123 ha. Na ogólną liczbę uprawionych spośród małorolnych kandydatów do otrzymania ziemi 2.005.477 głów, otrzymało od wskazanego wyżej czasu ziemię — 1.393.353 kandydatów, czyli 612.124 nie otrzymało dotychczas ziemi.

Zestawienie wyników produkcji roślinnej przed i po wojennej charakteryzują następujące cyfry i dane: w dawniejszym Królestwie Małej Rumunii około 2 mil. ha zajmował obszar uprawy pszenicy przy średniej wydajności 12,2 q. z ha. Obecnie obszar uprawy pszenicy obejmuje 3 mil. ha przy średniej wydajności w latach 1927—1934 zaledwie 9,6 q. z ha. W tymże okresie czasu wydajność na obszarze dawnej Małej Rumunii spadła do 9,2 q. z ha, a obszar uprawy pszenicy do 1,3 mil. ha.

Eksport pszenicy z Małej Rumunii przed wojną osiągał około 155 tys. wagonów rocznie. W latach 1919—1922 ustał on zupełnie, a natomiast nastąpił import mąki z sąsiednich Węgier. W 1923 r. eksport wyniósł 2.784 wagony i dopiero przeciętna za 1923—1927 daje 12.734 wagony, czyli zaledwie 10 proc. eksportu przedwojennego.

Ogólny eksport pszenicy dzisiejszego Zjednoczonego Królestwa Rumunii nie przekracza 25 proc. przedwojennego jej wywozu z samej tylko Małej Rumunii; potwierdza to poniższe zestawienie:

	Cyfry średnie w kwint.	
	pszenica	kukurydza
lata 1907—1916	10.124.908	9.536.884
Mała Rumunia		
1926—1935		
Zjedn. Królestwo	2.532.266	9.834.400

łek wszystkich katolików. Mamy już szereg filmów o duchu katolickim, nie jest ich jeszcze za mało.

Jak my, katolicy powinniśmy przyczynić się do tej walki? Bojkotem złego, a poparciem dobrego filmu. W ten sposób publiczność dobitnie wypowie swoje żądania. Ale w jaki sposób poznamy wartość filmu, żebyśmy wiedzieli, jak wobec niego postąpić? Przecież nie można robić błędnego koła, to znaczy iść do kina, a potem dopiero sąd o nim wydawać, bo przez to już narażamy się na różne niebezpieczeństwa.

Z częstą pomocą przychodził afisz, który w dosadnych krótkich słowach przemawia do przyziemnych, a często złych, zainteresowań publiczności. Ale i tu można się pomylić. Pod zewnętrzzą pokrywą pięknych słów może się kryć zatruta treść. Samemu afiszowi ufać nie można.

Na nie się nie zdadza te nawoływania, jakie podnosi prasa katolicka, jeżeli nie będzie katolickich kinoteatrów, gdzieby wyświetlano takie rzeczy, które nie psują, nie gorszą, ale naprawiają, podnoszą, wskazują szczyty piękna i dobra, poświęcenia i miłości — ideały życia prawdziwie chrześcijańskiego.

Jak długo tego nie ma, trzeba publiczności drogowskazu. W niektórych krajach katolicy otrzymują wykazy filmów, na które bez niebezpieczeństwa nie można uczęszczać. Należałoby to samo uczynić u nas w Polsce. Ale trzeba się tym zająć. Przecież nie brak dobrych katolików wśród znawców i miłośników sztuki filmowej. Trzeba mniej słów a więcej czynów, w ślad za którymi przyjdą niezbędne i pożądane wyniki.

A. Z.

KOLUMNNA POETYCKA GRUPY LITERACKIEJ „WOŁYŃ”.

STEFAN BARDCZAK

LATO W MAŁYM MIASTECZKU

Skwar po dachach petza samotny i smutny,
stary okien ręce niewiast zsunęły.
Domom oddychać coraz trudniej i trudniej
— stanęły.

Kamienie ulic słońcu bliźnią
prosto w rozgorzały pysk,
aż wiatr się w śmiechu tarza między domem a kuźnią,
kapelusze podrzuca w górę — słoneczny dysk.

Wiśnie jak usta przyniosła mężczyzka
na targ, od skwaru wiśniowa,
kosze u rzemion kotłysz, jak na strzykach.
Brodzły handlarz nadzedł i wiśni skosztował.

W strudze dzieci o wklęsniętych brzuszkach
(dożywianie latem organizuje tu słońce!)
dłońmi drobnymi rozgarniają wodę —
i świerszcze w żwirze, woń siana na łące.

MIEŚLAŃ JANCZARSKI

Narkowały jaskółki w lipowej chmurze szumu od rana,
wznosiły się wolno no łodygach dymu osty żarliwie.
Tam, gdzie droga w oziminach płynie, potok siwy,
niosąc wiązanek kwiecica, modlitwy o rosie zbierane.

Przyjm, o Pani, skromny wianek, proste moje słowa
i litanie piosenki i kornych dłoni wdzięczność.
Do kapliczki w siny mgnymu z drzew wiekowych
w białej komży dzieciństwa niosąc kaczeciów narzęcze.

Panno Wierna, cisyj mojej tej wiosny pobłogosław,
od nocy złych niech broni szum Twej modrej szaty!
Panno Można, gdy znalazłem zagubione swe wiosła,
jeszcze słabe mam dłonie, nie udźwignij mej doli, Matko...

STEFAN SZAJDAK

MOTYW WOŁYŃSKI

Świta.

W jakim stroju błądzi po miedzach kobieta.
Mówią gospodarze: do kubka zbiera rosę
i krowom przynosi;
gdy chlebem je pożywi i rosą napoi,
najlepiej we wsi będą doić...

Wyjaw tajemnicę:
dlaczego w tym stroju
szukasz o świcie tajnego napoju,
a wieczorem w bieli obchodzisz pół granicę?

Powiedz, czarownico...

WIESŁAW IWANIUK

BALLADA

Już na ziemi leży noc jęcząca
Od kawek, od sów, nietoperzy.
Krzyk przebiega echem po łące.
Czarna fala na stawach leży.

Lustra wszędzie zaciągnięte krepą —
biją wróżby — biją sygnały.
Oj, nie szukaj matki daleko!
Oj, nie szukaj matki w dzień biały!

Atmosfera jest jak oliwa,
na wypukle opada łąki.
W rzeczce księżyc spieczony pływa.
W rzeczce kąpią się czarne pająki.

Dziś do rzeki tabunem idą
czarne konie, łasice i koły —
A na rzeczce płyną wydry!
Groźnych węzów ogromne sploty.

Syczy żar rani i parzy.
Krasne widma to wstają, to giną.
Oj, nie kochaj, nie kochaj twarży,
Twarży, które po rzeczce płyną.

Noc ma dzisiaj dwoisty umiłek,
najpierw skusi, a potem ginie.
Więc nie kochaj, nie kochaj pieśni,
która nocą nad łąką płynie.

WŁADYSŁAW MILCZAREK

Z A M I E Ć

Przywlokła się zamiec sroga z za gór, z za lasów
i dopadła wioski,
Pochyliły się drzewa w sadzie do pasa
ze strachu.

Chatupny strzechy wsunęły głęboko
na czoła;
i drzwi mocno podparty od wewnątrz
stodoły.

Wróblom świergot zamarł u dziobów
jak sopeł;
i westchnęła w oborach chudoba, zamknięta
na skobel.

Hula zamiec sroga po wiosce i śniegiem
zacina.

Aż się dymy ze strachu z powrotem schowały
w kominach.

Kolumna Grupy Poetyckiej „Wołyń” w „Okolicy Poetów”

Rok 1936, nr 6, strony 12-13

KOLUMNĄ GRUPY POETYCKIEJ „WOŁYŃ”:

CZESŁAW JANCZARSKI

SIELANKA.

Gołębie w sieć nieba jak złapane ptaki
huśtały od rana błękitną sieć.
Liljowego chłodu natrzepał świerk pod okno,
na żółty płach, pod sien.

Wiesź przysiadła jak stado kuropatw
otulona skrzydłami strzech,
cwierkały wróble w obłokach
omiatanych z nieba szumem drzew.

Gdy Marysia — dziewczyna moja —
błękit chustki zgubiła wśród lip
dzień potoczył się słońcem w powoje
— zniki.

A tam pszenice pachniały jak jej włosy,
na leśnodach był smak jej ust,
wróble w miedze naniósły
— marysinych słów.

Świerszcz wciąż drogę cykanem zabiegał.
Lecz nikt wtedy go napewno nie słyszał —
Juz zdaleka błękit chustki powiewał,
aż przysłonił się liśćmi. Marysio...

STEFAN SZAJDAK :

P R A W I E

Gdy
czas najpiękniej wyrasta nad tor
namiętnością ciągnącego południa
jak czerwień serca i myśli :
świat rozrzucony wśród planet i gwiazd
związujesz trzepotem sztandaru
jak
ptak,
jak
ptak.

Odlatują, zielone ptaki
i spadają liście.

Ktoś szeptał:
— Patrz: plonie poeta! krzaka.

WACŁAW IWANIUK

wybuchają w parowie mgły
ziemia dźwiga na ostach znużenie
tu wirujące sny
kłębkają wysmukłym cieniem

nad łąkami wypukłe wierzby
krążą noce między świtami
jak pociągi dalekobieżne

od nocy burza odrywa czerń
w świtach kawi mrok do gwiazd odnoszą
na drzewach — popatrz
wiszą gwiazd szerokoliste kosze

tędy nad wodę prowadzi noc
na lodziach przyływ i odpływ rysują twe ręce
przechodząc odnosisz krok
jak pełnię szczęścia

ANNA I JESIEŃ

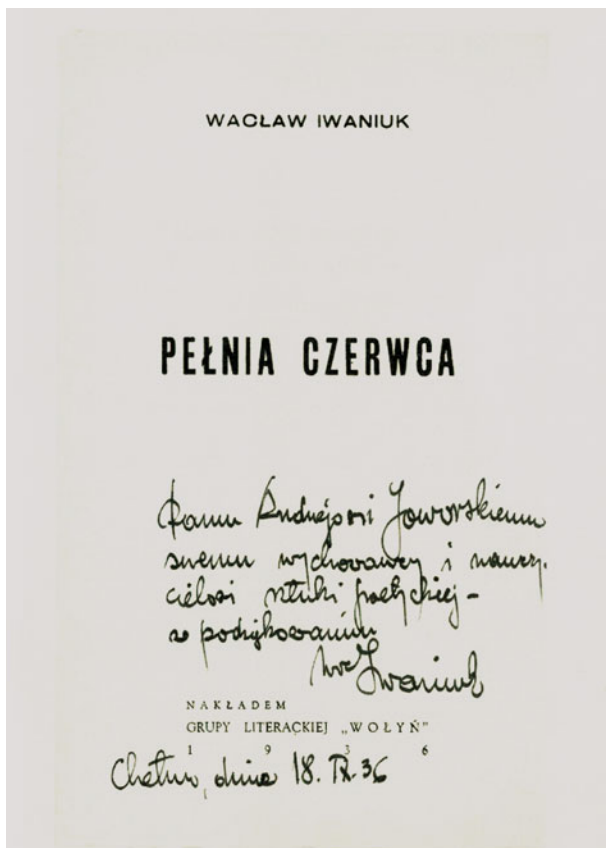
wysoko stol tam twój obraz Anno
w czerwieni, która włosami zypuje się w wodę
w lustrze nieba i ziemi wiatry fale do ust twoich garną
jak słowa gorące i miodne

wśród wieczoru przychodziłaś Anno
patrząc przez jesień drzew brązowo - rdzawych
włosy miałaś brązowe rudowłosa panno
i usta jarzębiną szminkowane krwawo

teraz widzę twój profil i czuję twe oczy
zapatrzone przez kosze obwisłych gałęzi
to z dojrzałych jabłoni stęwały owoce się toczy
i niewyznanem słowem na ustach twych grzęźnie

dziś nie mogę cię kochać — opadałaś z uroku
jak zeszloroczne wiersze,
Anno taką miłością darzysz mię co roku
gdy za oknem wrzesień drzy na wietrze.

Tomiki wierszy Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”



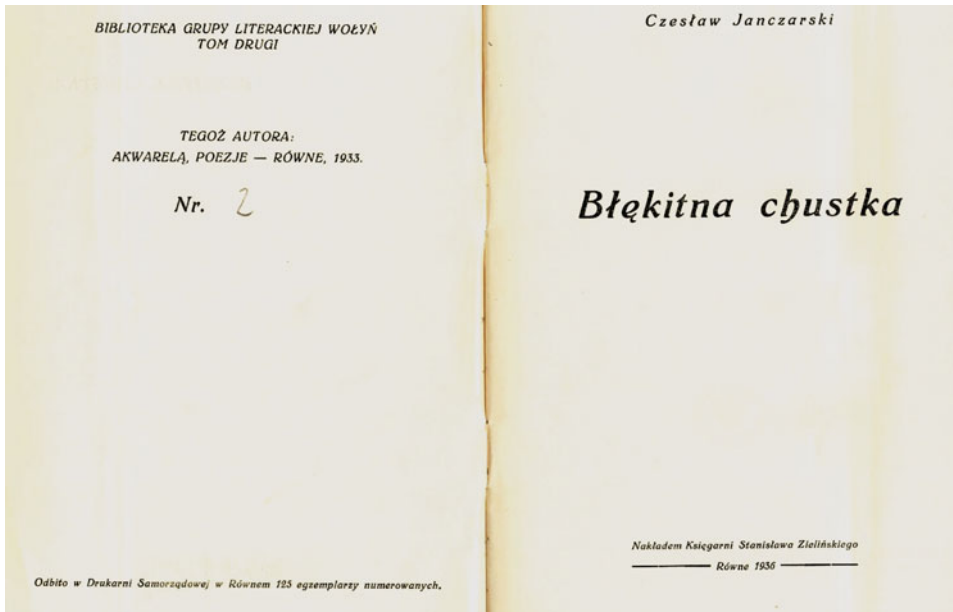
Tomik *Pełnia czerwca* wydany w 1936 roku jako tom I Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”. Tomik posiada dedykację Waclawa Iwaniuka dla Andrzeja Jaworskiego, redaktora chełmskiej „Kameny: „Panu Andrzejowi Jaworskiemu swemu wychowawcy i nauczycielowi sztuki poetyckiej – w podziękowaniu Waclaw Iwaniuk”, Chełm 18 września 1936 (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Recenzja ww. tomiku opublikowana w „Okolicy Poetów”, nr 9 z 1936 r., strona 19:

„WACŁAW IWANIUK. PEŁNIA CZERWCA. Biblioteka Grupy Literackiej «Wołyń», Chełm 1936, tom pierwszy, stron 30.

Trzeba stwierdzić od razu, że debiut książkowy Waclawa Iwaniuka przedstawia nam dobrego poetę o bujnym talencie. Indywidualność poetycka uwydatnia się ostrymi chwytami, pewnego rodzaju zdobywczość i gorąca bojowość (nie w znaczeniu społecznym), cenne zalety każdego poety, tłumią się już wprawna ręką artysty, tak że nie zostawiają wrażenia przesady, właściwej dla debiutów poetyckich. Pomyślną okolicznością okazało się wprowadzenie interpunkcji. Całość na tym bardzo zy-

skąła. Dotychczas Iwaniuk umieszczał wiersze w czasopismach bez znaków przestankowania. Taka forma do pewnego stopnia obniżała ich wartość, wprowadzając chaos interpretacji, nieraz odstręczała od czytania, gdyż tylko specjalny poezji może obyć się bez interpunkcji, a wiersze Iwaniuka do niego nie należą. *Pełnia czerwca* rozpoczyna Bibliotekę Grupy Literackiej «Wołyń». Łącznie z książką Janczarskiego biblioteka ta daje chyba pierwsze wartościowe pozycje wśród druków wołyńskich, ograniczonych dotychczas przeważnie do makulatury”.



Tomik *Błękitna chustka* wydany jako tom II w ramach Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”. Tomik opublikowany w nakładzie 125 egzemplarzy, każdy egzemplarz był numerowany. Ww. egzemplarz posiada numer 2 (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Poniżej czytelnik zapozna się z recenzją o ww. tomiku zamieszczoną w „Okolicy Poetów”, nr 9 z 1936 roku, strona 19:

„CZESŁAW JANCZARSKI. BŁĘKITNA CHUSTKA. Nakładem księgarni St. Zielińskiego. Równe 1936. Biblioteka Grupy Literackiej «Wołyń». Tom drugi, stron 26.

Nowe wiersze Janczarskiego są wynikiem uczciwej pracy poetyckiej i rzetelnej metody twórczości. Nie ma tu poszukiwania w chaosie, łowienia w nieznannej wodzie, polowań na tajemniczego zwierza. Poeta ostrożnie autentyzuje; należy cenić tę ostrożność autora, który już w pierwszej książce (*Akwarela*, 1933) wykazywał naturalne skłonności do autentyzmu. Dziś stosuje metodę autentyzmu z przekonaniem, świadomie, może jeszcze bez głębszego żaru. W *Błękitnej chustce* jest wyraźna czystość tonu artystycznego, dobra umiejętność gry poetyckiej, wiersze przejrzyste, można by powiedzieć – szklane. Gdy poprzednie wiersze Janczarskiego posiadały charakter zapowiedzi, *Błękitna chustka* jest już urzeczywistnieniem, jako wynik narosłej kultury wszystkich cechach współczesności, ale bez jej dziwactw, które w świadomym autentyzmie nie mieszczą się”.

Fotogaleria z Wołynia

Rozłucz



Rozłucz, 1934 rok. Defilada (A. Gaśianowski)

Kowel



Kowel, 1929 rok. Uroczystości z okazji wizyty prezydenta I. Mościckiego
(A. Gąsianowski)



Kowel, 1929 rok. Uroczystości z okazji wizyty prezydenta I. Mościckiego
(A. Gąsianowski)



Kowel, 1923 rok. 1. Żeńska Drużyna Harcerska im. Królowej Jadwigi w Kowlu
(A. Gąsianowski)



Kowel, 1924 rok. 1. zastęp „Pierwiosnków” 1. Żeńskiej Drużyny Harcerskiej
im. Królowej Jadwigi w Kowlu (A. Gąsianowski)



Kowel, 1925 rok. 5. zastęp, 1. Żeńskiej Drużyny Harcerskiej im. Królowej Jadwigi w Kowlu (A. Gąsianowski)



Kowel, 1927 rok. 1. zastęp 2. Żeńskiej Harcerskiej Drużyny im. Emilii Plater w Kowlu (A. Gąsianowski)



Kowel, 3 maja 1924 roku. 2. Drużyna Harcerska w Kowlu (A. Gąsianowski)



Kowel, 22 lipca 1925 roku. 2. Drużyna Harcerska w Kowlu (A. Gąsianowski)

Łuck



Łuck, 1929 rok. Wołyński Zlot Harcerski (A. Gaśianowski)



Łuck, 1929 rok. Wołyński Zlot Harcerski (A. Gaśianowski)

Krzemieniec



Krzemieniec. Fotografia z lewej strony: P. Brodzki. Z prawej: góra Bony (A. Gąsianowski)



Krzemieniec. Fotografie od lewej: cmentarz, Zofia Klemczyńska przy grobie rodziny Klemczyńskich, z prawej: Janusz Nosewicz z Zofią Klemczyńską (Iwona Biegańska-Mana)



Krzemieniec. Góra Bony (Iwona Biegańska-Mana)

Równe



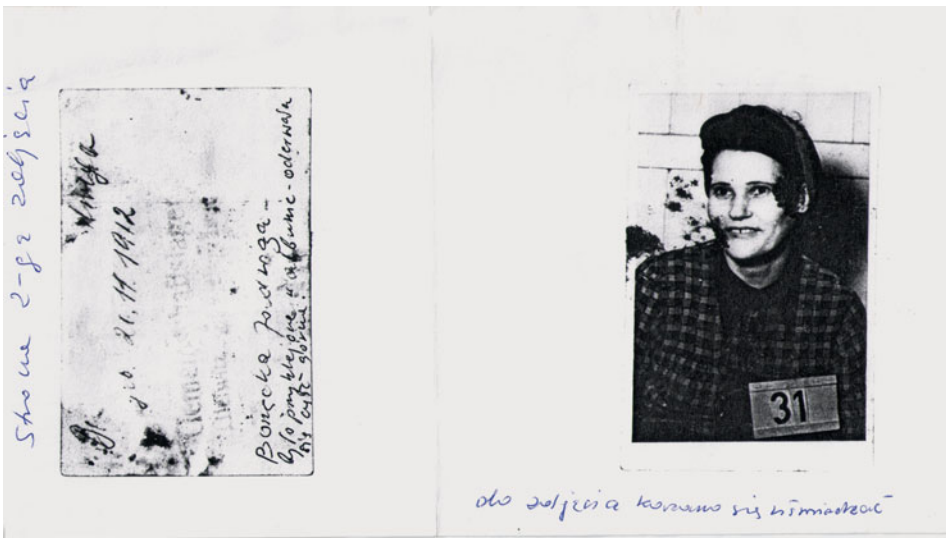
Równe, 1937 rok. Na fotografii z lewej strony: Marceli Borzęcki (ojciec Henryka??).
Fot. z prawej: Henryk Borzęcki (z lewej strony) z kolegą (Iwona Biegańska-Mana)



Równe, 1930 rok. Fotografia z lewej strony: ślub Jadwigi i Henryka Borzęckich.
Fot. z prawej: Jadwiga i Henryk Borzęccy z dzieckiem (Iwona Biegańska-Mana)



Równe, 1936 rok. Na fotografii z lewej strony siedzą od lewej: Henryk Borzęcki, Jadwiga Borzęcka, dziecko Borzęckich, Zofia Klemczyńska, Janusz Nosewicz. Fotografia z prawej: Jadwiga Borzęcka z dziećmi (Iwona Biegańska-Mana)



Jadwiga Borzęcka fotografia z Gułagu (Iwona Biegańska-Mana)

Inne miejscowości



Nowa Wieś (A. Gaśianowski)

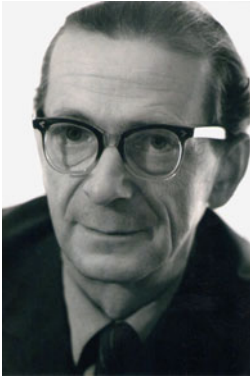


Stryj (A. Gaśianowski)



Janowa Dolina (A. Gąsianowski)

CZESŁAW JANCZARSKI (1911–1971)



Inspirator i założyciel Grupy Poetyckiej „Wołyń”.

Z jego inicjatywy utwory członków grupy publikowane były w specjalnych kolumnach Grupy Literackiej Wołyń (1936–1938) w „*Życiu Katolickim*” i „Okolicy Poetów” oraz w tomikach Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”.

Czesław Janczarski opublikował w 1936 roku tomik wierszy *Błękitna chustka* jako tom II Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”.

Urodził się w Hruszwicy na Wołyniu, zmarł w Warszawie. Ukończył gimnazjum w Równem. W latach 1932–1934 studiował na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu im. Jana Kazimierza we Lwowie, a w okresie 1934–1938 filologię polską na Uniwersytecie Warszawskim. W czasie studiów utrzymywał kontakty z Józefem Czechowiczem oraz od 1935 roku związał się z autentystami z kręgu czasopisma „Okolica Poetów”, wydawanego przez Stanisława Czernika w Ostrzeszowie.

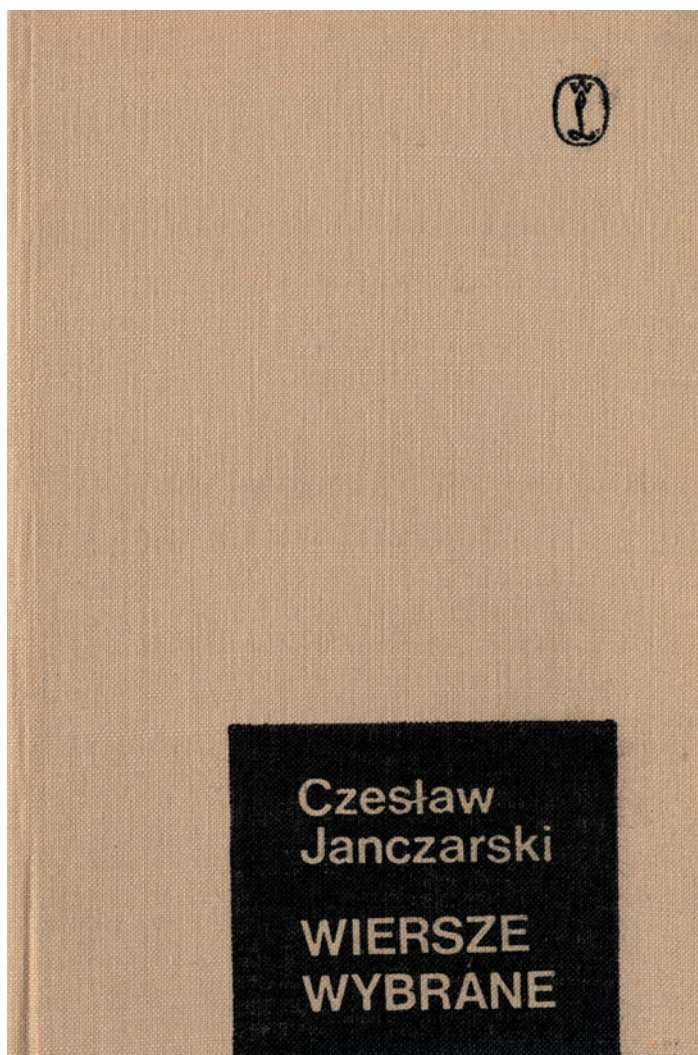
W czasie wojny przebywał na Wołyniu, we Lwowie i w Puławach. Od 1946 roku zamieszkał w Warszawie pracując w wydawnictwie dla dzieci i młodzieży „Nasza Księgarnia”. Ponadto był organizatorem zespołów „Żywego Słowa” (zespoły recytatorskie wyjeżdżające w teren) w wydawnictwie „Czytelnik” (1946–1950) oraz członkiem zespołów redakcyjnych „Iskierek”, a potem „Świerszczyka” (1950–1955). Pracował wspólnie z Tadeuszem Kubiakiem i Bogdanem Ostromeckim w redakcji poezji Polskiego Radia w okresie 1955–1957.

Był twórcą pisma dla najmłodszych „Miś” i redaktorem naczelnym od początku jego powstania (1957) do końca swojego życia. Twórczość dla dzieci stanowiła główny nurt jego pisarstwa. Jest autorem około 90 książek dla dzieci, młodzieży i dorosłych, pisanych wierszem lub prozą, nie licząc publikacji w prasie, radiu i telewizji.

Ogłosił tomiki poetyckie: *Akwarela* (1933), *Błękitna chustka* (1936), *Imię na korze* (1936), *Arkusze poetycki* (1938), *Wykrój liścia* (1957), *Dzbanek i źródło* (1960), *Wiersze z natury* (1966), *Portret z gałązek i ziół* (1970) i *Wiersze wybrane* (1974).

Opublikował utwory dla dzieci i młodzieży: *Jak Wojtek został strażakiem* (1950), *Przedszkole na Kole* (1952), *Ślady* (1953), *Wesoły Florek* (1956),

Świerszczykowe nutki (1957), *Kopciuszek* (1957), *Kto w lesie mieszka* (1958), *Gdzie mieszka bajeczka* (1958), *O królewnie Śnieżce i siedmiu krasnoludkach* (1959), *Przygody i wędrówki Misia Uszatka* (1960), *Srebrnogrzywek* (1960), *Mieszkanie Hani* (1961), *Abecadło przyrodnicze* (1962), *Co się wkoło zieleni* (1963), *Tygrys o złotym sercu* (1963), *Nowi przyjaciele Misia Uszatka* (1963), *Listy, listy, listy* (1964), *Gromadka Misia Uszatka* (1964), *Bajki Misia Uszatka* (1967), *Przedszkole Krysi i Jurka* (1967), *Zaczarowane kółko Misia Uszatka* (1970), *Nasza ziemia i słońce* (1972), *O Lechu, Czechu i Rusie* (1983).



Okładka tomiku *Wierszy wybranych* Czesława Janczarskiego ze wstępem Bogdana Ostromięckiego, opublikowanego w 1974 roku

Wieś Wołyńska

(fragmenty z poematu)

I.

Przy mostku dzieciaki chlupotu błota naniósł,
mały Hryc o barierę oparty łyzy słone łyka z chlebem.
Ulicą fura ze zbożem godność swą toczy wyniośle.
Cerkiewka zielenią kopuł dzwoni i dzwoni w niebo.

Ktoś w polu zawiesił melodię i huśta na niej upał.
W okienną pelargonię kot bury pyszczek wsunął.
Ciszę w pokrzywie zbudził gniady od pola tupot,
I biały psiak z pokrzyw przez ogród na łąkę runął.

Śmiech się potoczył drogą i przywarł, ciekaw, do sztachet.
Prysnęła jak stado wróbli od mostku zbłocona czereda.
Obłoki tymczasem płynęły poważnie i ciężkie na zachód
I szare kładły cienie na łąk, na drogę, na strzechy.

II.

Na chutorze Didowa Pohybe! Wieczorem bzykają komory.
Turkot furgonów od szosy zapadał pod górę jak dzień.
Czarny pies Żuk szczekaniem okrążył szczelnie parkan
i zaniósł brzęk łańcucha od bramy aż pod sień.
Za chatą w badyłach i astrach dyń żółtych rozparł się przepych
a nieopodal, w lesie, księżyc czerwony się zamknął –
wytoczył się potem pod górę, gałęzi sosnowej uczepił.
Od łąki spóźniony bocian tłukł cisze zajadle kijankę.

III.

W stodole ruszyła sieczkarnia, z hukiem wypadła na drogę,
aż słońce przestraszone skryło się prędko za obłok.
Polem szła odwilż w bruzdach, śnieg pleśnią leżał na stogach,
Po obu stronach drogi kikuty ostów żal wiodły.
Zamknięciem wrót stodoły ktoś zamknął warkot sieczkarni.
Na dachach brudna zieleń. Pod śniegiem strumyk zaszumiał.
Wtedy wiatr w górze troskliwie ze słońca obłok odgarnął
i zapłasało w soplach zimowe, smutne popołudnie.

*„Życie Katolickie”, 1936, 9 lutego, nr 6, s. 84-85,
I kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Dziesięć lat

1.

Chwiało się słońce na wysokim badyłu,
babie lato wiatr w kostrzewach snuł.
Powłókł bruzdy biały żagiel motyla
wzdłuż pól...

Pamiętam nocą szły do okien twarze słoneczniki,
– czas się wtedy dzielił na pole i dom –
plecionki niedokończone w lipcowym łyku
powierzać snom.

Rano szelest wróbli od dalekich stodół
i w skrzyp podłogi tupot bosych stóp.
Na niebie był jak karaś wyłowiony z wody
błękitniejący nów.

2.

Czy inaczej jest w tęczy półkolu
co związało las i łąkę wstążką?
Za górkami kołysze się Wołyń,
pagórkami pszeniczne gorąco.

A na rzece kroplą słońca tacę
tak nietrudno w kawałeczki rozpluskać;
potem słońce znów na miejsce wraca
i na wodzie drży złotą łuską.

3.

Może nocą z wody wydra się wyczochra,
strzepnie z sierści konstelacje gwiazd?
Wykołyszają słoneczniki w miejskich oknach
dziesięcioletni świat – – –

*„Życie Katolickie”, 1936, 5 kwietnia, nr 14, s. 212,
II kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Pasieka

Czuby śliw pochylało znużenie:
dojrzwania słodka melancholia,
– czas błękitem szumiał i cieniem,
Pszczoły, pszczoły...

Przynoszony na skrzydełkach szum łąbinu
popielate cienie sypał w piach.
A na płocie dojrzwały maliny
co dnia.

W kołysaniu sosnowego wiadra
na obłoki studzienne czekać,
gdy południe w maliniaku się kładło
pasieką.

*„Życie Katolickie”, 1936, 5 kwietnia, nr 14, s. 212,
II kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;
Błękitna chustka, 1936, s. 23.*

Las

(urywek z poematu *Wieś Wołyńska*)

Był las niewielki na wzgórzach pomiędzy wsią a szosą
w osikach śpiewały ptaki – drżały gałązki od zięb,
w leszczynach i głogach sroki. Kiwały się cienie sosen,
płochliwe zające z kartoflisk do lasu niosły lęk.

Na jasnej polanie kwiaty z kosmatych wznosiły się traw
i bez szelestu padały – to dzwonki to motyle.

A nad polaną jastrząb przebywał niebo wpław
trzepotem skrzydeł z góry obłoki do sosen chylił.

Z południa chyliło się słońce na drugą stronę lasu,
kiedy Maryna na chutor w chustce orzechy niosła.
Hryć zwiżał bat na błękit – krowy szły wolno na paszę.
Nad drogą dojrzałych węgierek Hryć ramionami kosz chwiał.

*„Życie Katolickie”, 1936, 5 lipca, nr 27, s. 427,
III kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Czerwiec

Wierszyk ten poświęcam Wackowi Iwaniukowi

Podnoszone z szelestu traw w błękitnym kubku poziomki,
spod stóp zmyka suchy chrustu trzask.

Po pniach mchami spływa zieloność
jak z przepelnionych was.

W zboża jak padały skowronki,
zboża kołysały się od pieśni.

Wiatr trawami przy lesie pomknął
ryżym wąsem w ostach zaszeleścił.

W dzień zgubiony w krzakach trel słowika,
jak na niebie błękitnych nów,
jak niebieska chustka na trawniku –
czerwiec słów.

*„Życie Katolickie”, 1936, 27 września, nr 39, s. 611,
IV kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Wspomnienie dzieciństwa

Dy zielona nowina
drzewa i ziemię utka,
wtedy – nie wiem dlaczego – przypomina
mi to dzieciństwo:
jakiś staw pokryty rzęsą, dziurawa łódka,
wysokie czuby pokrzyw: ostry zapach i obawa;
pod płotem schówek w miękkiej żółtej glinie,
dużo, dużo pokrzyw i jakaś bryczka
nieokreślono – żółtawa.
Wreszcie psie miękkie kudły u policzka.
Czereśnie kwitnące: słodki głowy zawrót
i jakiś bardzo kochany kompot z rabarbarum.

*„Życie Katolickie”, 1936, 27 września, nr 39, s. 611,
IV kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;
Błękitna chustka, 1936.*

Pożar

Zerwaliśmy się od kolacji:

na łunie od parkanu wyczernił się smukły świerk,

fala gwaru uderzyła o szyby,

blaski o ścian brzeg.

Płoną na wsi stodoły, parskają wierzby płomieni,

biegną ludzie i psy

Ryk bydła na łączce w czerwieni.

Na las padła struga różowa,

widać czerwone pnie sosen.

Nie biegnę, tylko sztachety szumu mijam.

Ktoś od progu zawołał: – Pali się stóg.

Wtedy brzęk wzrósł u powału dymu,

o szybę nieba tłukł.

Mijają łączkę, tam kropelki rosy jak łzy.

Naraz wzbił się wśród iskier płonący snop.

I krzyk!

Gasnąc powoli nad lasem żegluję ku mlecznej drodze.

„Życie Katolickie”, 1936, 13 grudnia, nr 50, s. 791,

V kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.

Po obu stronach wołyńskiej drogi

A. Knollowi

Jeśli będziesz jechał drogą wołyńską,
albo Polesiem,
to zamiast kłąć niewygodne mosty
w imię słowa: postęp,
zwróć uwagę na rzadki kolor nieba –
soczysto-niebieski latem, seledynowy w jesień.
A nade wszystko oddaj podziw
wołyńskim falistym pagórkom:
jedziesz dołem i górą,
łąką, mostem,
mijasz brzozowy las i uroczysko,
jakiś kurhan zorany i samotną sosnę.
Po bokach drogi rosną strzeliste bodiaki –
gdzie indziej nie zobaczysz takich.
Kłonią głowy przed tobą dorodnych pszenic czuby –
nasza nadzieja, chluba!

*„Życie Katolickie”, 1937, 11 października, nr 37, s. 576,
VI kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;
Imię na korze, 1934.*

* * *

Nurkowały jaskółki w lipowej chmurze szumu od rana
wznosiły się wolno po łądygach dymu osty żarliwe.
Tam, gdzie droga w oziminach płynie, potok siwy,
Niosę wiązanek kwiecica, modlitwy o rosie zbierane.

Przyjm, o Pani, skromny wianek, proste moje słowa
I litanie piosenki i kornych dłoni wdzięczność.
Do kapliczki we sinym tynku u drzew wiekowych
w białej komży dzieciństwa niosę kaczeńców naręcze.

Panno Wierna, ciszy mojej tej wiosny pobłogosław,
Od nocy złych niech bronisz szum Twej modrej szaty!
Panno Można, gdy znalazłem zagubione swe wiosła,
Jeszcze słabe mam dłonie, nie udźwigną mej doli, Matko...

*„Życie Katolickie”, 1938, 7 sierpnia, nr 32, s. 499,
IX kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Muza

I

Oj, polami, zielonymi łąkami szła:
chusta to, była żółta, zwoływała chmury i skowronki,
prowadziły ją skrzypce grusz w wiśniowy sad,
a stąd tak blisko było do mnie.

Kiedy wieczór napłył ciepłą falą snów od ciszy ciemnozielonej
i gasną w macierzankach złote pasma świerszczy,
widzę ciebie, dziewczyno: o szafirowym zmierzchu nad rzeką
ognikiem słowicznym płoniesz.

II

Zegary koczują po wieżach, żalosne wydzwanają kwadranse,
na strychach jedwabny szmer sów.
Światło pomyka gzymsem – to w białej dłoni
Podajesz mi bukiet słów.

Potem, nocy, co ciemną pustką w kamienne podwórko opadła
słucham, zamknięty w kuli ciszy.
Wtedy wiem – na ulicy
mała dziewczynka w żółtej chustce gusła zapala w latarniach
– dudnią bosc stopy po chłodnym kamieniu.
Biały arkusz na szepcie zmierzchu
barwami leśnych ptaków się mieni.

III

Pociąg unosił z pól zapach skoszonych koniczyn,
od dębów na tor wybiegały zbutwiałe echa
pachnące chłodną konwalią.
Wydłużone cienie słupów biją w trawy, sekundy liczę –
Mkną coraz dalej.

Nad trawami błędny pokrzywnik;
ach! jak jazda ta nikogo nie dziwi.

Stoisz o biała oparta balustradę
tam gdzie płochliwa dróżka tor truchcikiem mija,
granatowy wiatr kędziory rozwija
i w uśmiechu powiew chustki układa.

Błękitna chustka, 1936, s. 7-8.

Wiersz

Krzak bzu na podwórku: suchy krzak marca,
węgiel przesypywany szuflą na bruk.
Na schodach pod nogi upadło światło,
wracam,
dźwigam do domu kosze pełne słów.

Słowa były jak krople w kałuży o twardym dnie,
określały gwiazdami niebo,
niosły się w iluzoryczny śpiew,
kołysały ciszy brzegi.

Wieczór podaje wciąż czarne kreski w oczach futryn –
daleki był spokój jak lotos –
i ten wiersz
jak płatek z opadłego wiatru na oczy.

Myślę: w błękitnej wannie nieba kąpią się młode obłoki,
Słyszę plusk białych piór;
Jak zziębnięte ręce grzeją niepokój
błękitem.

Gdy nie zmienię nieba nakłutego ciszą gwiazd w słowa,
łkaniem przylgnę do chmur.
Mały chłopiec piszący wiersze,
zdań czarny oprzęd – pył węglowy
wołam.

Błękitna chustka, 1936, s. 9.

Słowa o wiosnie

Malwy czerwone, strzeliste rosły w moich snach.
Kiedy ptak przebudzonych oczu wyfruwał przez okno na brzeg,
obłoki jak troski rozpinały błękitny dzwon –
dziewczęta wiosnę niosły.
Brząkają palce klonów
w badyle strun zielonych
przyjściem dalekiego sierpnia.

Środkiem Wisły toczą słońce wypoczęte:
wiosła kajaków zszywają rozprutą dziobem toń,
u wiosel krople śmiechu.
Na wybrzeżu tułacz krzyk oczu płoszę trzepotem wróbli,
ciepło żyjącego ptaka tulę –
czekam.

Malwy były w moich snach –
Salwami wyrastały na klombach i u szyb w słowa.
Słowa były jak różnokolorowe pawie,
dzwoniące jak łąka

Na słowach, jak na fali, smutek wiosny kładę
balladą.

Błękitna chustka, 1936, s. 10.

Wiersz sentymentalny

Nad szarą symetrią ulic liliowe płomyki skrzypiec jak szloch.
Od północy polarne psy smagane błękitem
w Wiśle topią kudłate zmęczenie.
To nie nastrój: ten żal jak niedopałek w koszu
To tęsknota za czymś co z dzieciństwa szło.

Wiem już, że nie dla mnie tokuje ten kamienny gryf,
a tylko setki pyłków usypiają fontannę serca,
złe kłamstwa – srebrne blaszki śmiechu uderzają o bruk, o smutek,
a melodia skrzypiec coraz wyżej się kołysze,
coraz słabiej lśni – –
już nie słyszę.

I tylko czasem to zwykle szczęście na przedmieściu –
Kiedy zachód białe zapali firanki
Skrzydła piosenki zaszumią po srebrnych liściach jabłonek.

Na peryferiach szczęścia, daleko od gwaru
domek buduję, mały domek.

Błękitna chustka, 1936, s. 11.

Melodia

Nietoperz jak liść z czarnego spadł do zamyślonych rąk.
Z okna płynie różową wstążką melodia, powiewa.
Szary strzęp smutku zawleczony w kąt
o to granie: przeźroczysty sześcian powietrza.

Obudził dziś nietoperz niepokój na dnie piosenki,
piosenka zbiegła z pięter, szary tynk drga,
kolory w doniczkach zakwitają, kołyszą się piętra –
ciepły płatek pelargonii przykładam do warg.

Jednym rzutem spragnionych dłoni wyrastam – tulipan snów;
budzę się czując jak mocno tętni w skroniach chwila.
Wyjdę, refren jak ćmę w lampie zgaszę.
– Tam w złotowierzbach lekki, biały puch.

Błękitna chustka, 1936, s. 12.

Sen

Badam puls szumów i zmienność barw zodiaka:
Szeleści wachlarz kolorów jak powierzchnia wód,
Za szelestem już tylko cisza – przepaść.

Jak delikatnie ujmuję przegub chwili...
Jasność krąży po ścianach, spłoszony mrok w szparach,
Za rzesą firankowych bazi biły ołowiane dzwony chmur
na alarm!

Kiedy świtem jak kotarą targnął gwizd fabrycznych syren
sen trwał jeszcze na białym parapecie okna
– to jesienną aleją szedł paw,
miał powłóczyście spojrzenie kochanki –
i gdy tylko słowem ktoś szyb dotknął
zaszumiał dzień jak staw.

Błękitna chustka, 1936, s. 13.

Młodość burza

Pod bluzką uderzają blaski najmocniejszych czerwieni,
u sprężonych ramion opal młodości: opalone ciało,
podam je zielonej fali jak konchę obłoków, śmiało
potem przetnę powrót białym muszłom w błękit.

Przed czarną burzą biją w cynkową blachę głuche błyski,
pogieęte skrzydła obłoków zniżają się nad piach
jak wielkich ptaków wirujące stado.
Z kasztanów barwny popiół padał
to chmury krzykiem napędzał obłąkany paw.

Pod czarną burzą biją w cynkową blachę głuche błyski,
pogieęte skrzydła obłoków zniżają się nad piach
jak wielkich ptaków wirujące stado.
Z kasztanów barwny popiół padał
to chmury krzykiem napędzał obłąkany paw.

Idę, zastygającą pianę zgarniam z piersi i ud.
Lipy unoszę brwi trwożnie nad krawędzią pól.

Przesiewane przez liście olch świergotem zbłąkanych szpaków
sypią się kolorowe pyłki spalonego kurzu –
coraz bliżej dzwonne kołatania horyzontów,
napływają niebieskie fale, ciało zapachło burzą.

Teraz już biegnę gubiąc czyjeś zielone od błyskawic ręce, ‘
czyjeś włosy koloru owsa.

I naraz w czerwonych olchach zaszumiało jak w nawie.
Pod pnie i kretowiska sycząc wpełzła spieniona woda;
Wezbrana krew jak strumień wstrzymany szeptała na piasku –
d z i ś t r w a m i ł o ś ć!

Stałem pod kroplami błyskawic
co w kałużach trzepotały i gasły.

Błękitna chustka, 1936, s. 14.

Wspomnienie dzieciństwa

Gdy zielona nowina
drzewa o ziemię utka
wtedy – nie wiem dlaczego – przypomina
mi się dzieciństwo:
jakiś staw pokryty rzęsą, dziurawa łódka,
wysokie czuby pokrzyw: ostry zapach i obawa;
pod płotem schówek w miękkiej żółtej glinie,
dużo, dużo pokrzyw i jakaś bryczka
nieokreślono – żółtawa.
Wreszcie psie miękkie kudły u policzka.
Czereśnie kwitnące: słodki głowy zawrót
i jakiś bardzo kochany kompot z rabarbarum.

Błękitna chustka, 1936, s. 17.

Dzień na wsi

I

W strzechach wróble strząchnęły noc z szarych skrzydełek,
stodoła drzwiami ziewnęła pachnąca snem i sianem,
a słonecznik oparty o przełaz słońcu się kłaniał.

Las rano próżno się silił mgłą gałęziami rozgarnąć.
Sznurkami dymów szarych noc uciekała z chałup.
W stajennej latarni
mrok się dopalał.

W takiej chwili w oknie zobaczysz:
żółty stóg słomy podszedł
i myśl owinie ci pacierz:
Boże!

Potem mgła się o wierzby oparła
jak dym pni czerwonych
i już tylko jak cisza w słonecznikach nieśmiało się błąka.

Dzień wstał radosnym turkotem wozów od łąki
upalny.

II

Spoza żyta miedzami las na drogę spogląda:
dobre, wilgotne spojrzenie pod szumem gałęzi.
Drogą, koleiną kurz szary płynął
na pagórek w niebieską oddal.

Żyto poszumem pszczoł jak rzeka spada w dolinę.

Wszędzie

Nigdy niewidoczne przepiórki nawoływały się po imieniu,
wiatr oddechem tylko ciężkie kłosa muskał,
a lipcowe słońce na błękitnej pustce
właśnie przechodziło zenit.

Wóz na mostku w dolinie wydudnił
południe.

III

Krowy na odległym pastwisku jak czerwone plamy
I las przekreślony od dołu pagórka cieniem
słońce ciepłym uśmiechem grzało
kładąc bursztyn w każdym spojrzeniu.

Nad drogą osty kiwały się w senność.
Wtedy w kurz szary żuk szumem skrzydeł uderzył.
Powoli, od miedzy do miedzy,
zając powracającym krowom drogę przeszedł.

Przy wiosce w wierzbach wróble czuły się bezpiecznie
i krzycząc się szurgotem opowiadały bajki.
Zrobiło się szaro, potem ciemno
Gdy wóz skrzypiąc leniwie przywitał na sianie wieczór.

Błękitna chustka, 1936, s. 18-19.

Maj

Pagórka zbocze
Maj oblał kleksem fiołków.
Sękata otyłość lip,
Czerwona okrągłość sosen
Oczom.

W szmer liści zielonym zachwytem
Miętko płynie słoneczne: ach!
Trzmiel – baryton
Nie intruz
Przysiadł kolorowym aksamitem.

W cień lip skryć łopot myśli,
zawilcem się przyczaić,
niegłośno,
naiwnie
oddychać majem.

Błękitna chustka, 1936, s. 20.

Lato na wsi

Kot wróblom w oczy nie śmie spojrzeć prosto:
na płocie czeszą piórka młode żółtodzioby,
suszą skrzydełka ranną rosą nawilgłe.
Z lasu do wioski
przyleciały wilgi
na wiśnie łutowe.
I czemu tu się dziwić
gdy wiatr wkoło zażyłość sąsiedzka i kolorowa.
Tutaj – patrzymy jak cisza pnie drzew omszyła
i w powietrze kwitnących lip
rzucamy myśl niezawisłą:
coś z lata mieć w sobie!

Błękitna chustka, 1936, s. 21.

Wspomnienie o Marysi

Daleki dzwonek z kościoła tak łatwo zamienić w miłość.
Przed oknem świat się pochylił:
wspomnienia.

Niosłem myśl o Marysi do lasu i błękit.
Na górze sierpami kobiety niebo zanosily do fartuchów,
zdzierały z chustek obłoki,
a chabry przy drodze huśtały ciężar trzmieli.
Wtedy
Zatrzymały się żółto na miedzy rzeżuchy,
zza lasu wybuchły kłęby białych chmur
i dzwonek z kościoła przeciął cisze przelotem jaskółek
jak sierpem –
boża krówka kroplą krwi upadła na trawę,
nieruchomo zaskrzepła
kulkę.

Marysiu wśród splątanych gałęzi znalazłem twoje oczy na chwilę
I pieśczoły białych ramion
bliżej.

Błękitna chustka, 1936, s. 24.

Sierpień 1932

Z góry na łąkę zbiega wesoła ścieżka,
pod górę dźwigniesz śmiech w zdyszanych ustach:
tam i z powrotem.

Ogród mydlane bańki dmuchawców troską gałęzi chromi,
pod płótem
schówek jeż ma.

Oto właśnie najszczerze zdziwienie
Gdy gruda ziemi w jeża się zamieni.

Rok 1932, sierpień:
księżyc w dmuchawcach pozapalał świece,
na straży wioski stanęła wysmukle topola
i gdyby nas szelest nie przestrzegł
ktośby zobaczył mnie u twoich kolan.

A księżyc poprzez gałęzie lipy zapytał o drogę do łąki.
Tamtędy!
Śmiech w trawach się zbłądził...
Tutaj! tu!

Za topoli
przykołysało żyto zapach pola –
cicho, ci... jeż rozmawia na ścieżce z księżycem.

Błękitna chustka, 1936, s. 25.

Sielanka

Gołębie w sieci nieba jak złapane płotki
huśtały od rana błękitną sieć.
Liliowego chłodu natrzepał świerk pod okno,
na żółty piach, pod sień.

Wieś przysiadła jak stado kuropatw,
otulona skrzydłami strzech.
Ćwierkały wróble w obłokach
omiatanych z nieba szumem drzew.

Gdy Marysia – dziewczyna moja,
błękit chustki zgubiła wpośród lip,
dzień potoczył się słońcem w powoje
– nikł.

W tam pszenice pachniały jak jej włosy,
Na lebiodach był smak jej ust,
wróble w miedze trzepotu niosły
– marysinych słów.

Świerszcz wciąż drogę cykaniem zabiegał,
– a nikt wtedy go na pewno nie słyszał –
Już z daleka błękit chustki powiewał,
aż przysłonił się liśćmi. Marysiu....

Błękitna chustka, 1936, s. 26.

Gdybym miał talent malarski

Gdybym miał talent malarski
I pędzlem władał biegle,
Malowałbym krajobrazy
Wołyńskie – najpiękniejsze
I ludzi i ich chleb
I chaty białe, wiśniowe sady
I psy na łańcuchach kudłate,
Niebo, jak nigdzie błękitne
I dal tęskną jak dumka.
Malowałbym – gdybym umiał –
Nawet róże przekwitłe
I badyle przekwitłych słoneczników.
A do ram brałbym wzory
Z ukraińskich haftowanych ręczników.

Akwarelą, 1933.

Tłoczny trawnik

Pod parasolem marchwi
Legł żuk w pancerzu czerwonym.
Gorącym ziele wielki tłoczny trawnik.
Mrówki wciąż czymś zajęte
Krążą w różne strony.
Czuć cząber i mięte.
Z przekwitającej róży opadł jeden listek,
Zawisł na chwilę na nitce tęsknoty.
Niebo dziś takie piękne, błękitne i czyste,
A na nim baldach marchwi i motyl.

Akwarelą, 1933.

Mały domek

Nad szarą symetrią ulic
liliowe płomyki skrzypiec jak szloch.
Od północy polarne psy smagane błękitem
w Wiśle topią kudłate zmęczenie.
To nie nastrój:
ten żal jak niedopałek w koszu
to tęsknota za czymś,
co z dzieciństwa szło.

Wiem już, że nie dla mnie tokuje ten kamienny gryf,
a tylko setki pyłków usypiają godzinami fontannę serca,
melodia skrzypiec coraz wyżej się kołysze,
coraz słabiej łśni –
już nie słyszę.

I tylko czasem to zwykłe szczęście na przedmieściu,
kiedy zachód białe zapali firanki –
skrzydła piosenki zaszumią
na srebrnych liściach jabłonek.

Na peryferiach szczęścia
daleko od gwaru
domek buduję,
mały domek.

Wykrój liścia, 1957.

Okolica poety

Krokom odebrać można siłę,
sercu nadzieję,
oczom światło.

Uschnie drzewo przegniłe,
skończone dzieje –
zabić jest łatwo.

A ja przecież żyję
i wiersze piszę nawet,
jak ptak na wiosnę gniazdo wiję,
piórka zbieram i trawę.

Każde słowo i zdanie
drżące, niczyje
podnoszę, chucham na nie:
czy mi ożyje?

Każdy dźwięk, każdą nutkę
podnoszę jak ziemi grudkę,
zbłąkany blask księżyca,
szmer, co w trawach się chowa –
i to jest okolica,
którą poznaję od nowa.

Wykrój liścia, 1957.

Próba autobiografii

Oczy miałem jasne,
radosny byłem jak zielony liść.
Wiersz mój był jak ćma,
która szuka gwiazdy.
Pytałem: dokąd iść?

I tak, nie widząc z daleka
groźby ukrytej w rozpadlinach chmur
ani wilczych dołów na równej drodze,
ani wilczych oczu w twarzy człowieka,
nie mając więcej wiedzy, niż ma jej źdźbło trawy,
szumiałem jak źdźbło na wietrze, bez obawy.

I kiedy uniosłem w rękę
pierwszą blaszkę z przeciwnotniczego pocisku,
pochyliłem się od grozy i lęku,
w oczach lusterko przysło.

Wlokłem teraz, jakby z życia wydarte,
żałobne noce i dni,
człowiek – wyrwane żyto.
Odebrano mi przyjaciela i spalono dom,
wyszadzono, dotkliwie pobito.
Potykałem się o rysy na pękniętym szkłe.

Z wędrówki tej wyniosłem czyste ręce
i iskrę, która była we mnie jak w krzemieniu.

Za widnokregiem pierzchający cieniu,
nie wracaj.

Oczy moje pojaśniały na nowo,
przytulam główki dzieci z miłością niezwykłą,
odrastać zaczyna we mnie zielony liść.

Liść ten jednak ma inny wykrój.

Wykrój liścia, 1957.

Do K...

Gdyśmy błękitny tynk nieba łupali,
spააś znużona, chmuro-panienko,
zraniona gałązką malin.

A las, pod skrzydłem wiolonczeli,
kołysał się i polny konik
sygnalizował tajne wieści.
Stałbym się może tylko pieśnią,
gdyby nie ciepło twojej dłoni.

Wykrój liścia, 1957.

Dzieciństwo

Czasem jakiś zakątek zielony,
skręt rzeczki,
stok górki,
słoneczny zapach macierzanki
lub wiatr pachnący lepiechem –
i to wystarczy,
widzę matkę,
w koszu niesie ogórki,
a ja drepcę za nią,
ciągnę kopru wiechę.

I śmiech po prostu bierze,
byłem jak skrzydło motyla,
pyłku powłoczka lekka,
jeszcze nie starta.
Mówią – wierzę,
do psa, do konia, do człowieka
szedłem bez lęku,
odchodziłem bez skargi.

Niech wiersz ten radość wypowie,
pyłek na skrzydle,
zapach na kwiatkach,
bieg rzeczki,
gdy słońce mego dzieciństwa,
znów po czterdziestu latach,
znalazłem w spojrzeniu, w mowie
mojej córeczki.

Wykrój liścia, 1957.

Portret córeczki

Moja córeczka
ma duże, wesołe oczy,
malinowe usteczka
i bardzo cienki warkoczyk.

Chodzi, a właściwie biega
do klasy pierwszej.
To mój najlepszy kolega.
Dla niej serce i wierszyk.

Najbardziej lubi lody,
piosenki, georginie
i bez.
Zachód słońca na Bukowinie
potrafi ją wzruszyć do łez.

Mówili, przewidywali:
Będzie z nią kłopot, zobaczycie.
A jej literki jak lale
na błękitnych drózkach w zeszytcie.

Wkłada przed lustrem berecik,
wsuwa książki do teczki.
A ja maluję portrecik
mojej córeczki.

Wykrój liścia, 1957.

Nie mijam

Nie mijam płaczu dziecka,
skrzywdzonego kota nie mijam
i psa z kulawą nogą,
ani motyla leżącego na szynach.
Nie mijam ptaka z połamanym skrzydłem
zerwany kwiat odnoszę do domu,
nad zbłąkaną mrówką się schylam.

I gdy słyszę w gwiazdach
szum odrzutowca,
myślę:
dlaczego w epoce atomu
ludzie tak często mają podstępny krok kocich łap,
psim zębem patrzą na siebie wrogo?

Widzę za oknem dzieci:
zaczynają już one rozumieć ten wiek.
Czy nie mijają,
czy odnoszą do domu,
czy schylają się?
– myślę, dziwną zdjęty trwogą

Wykrój liścia, 1957.

Może ktoś...

Chciałbym, żeby jakaś dziewczyna
albo staruszek,
a może nawet dziecko,
którzy widzą i czują jak ja,
ale nie potrafią tego opisać,
pomyśleli, czytając mój wiersz:
i ja tak się wzruszam,
znajome słowo słyszę,
wiersz ten mi przypomina...

Może ktoś westchnie,
uśmiechnie się życzliwie,
pomyśli: tak prawie
widziałem kiedyś ranek wśród liści –
złote ważki słońca siadały na trawie,
naprawdę poeta nie zmyślił.

Byłaby to wielka nagroda,
o której marzę zbyt nawet śmiało,
patrząc z daleka w okna domów,
gdzie, być może, mieszka nieznajoma dziewczyna,
staruszek albo dziecko,
którzy mogliby powiedzieć:
nie niszc tej kartki, szkoda,
jest na niej słowo znajome.

Wykrój liścia, 1957.

Cisza

Cisza

jakby głos trąbki zatrzymany w biegu
że nawet rogi jelenia
zmieniły się naraz w suchy konar
ptak wtopił się w niebo
dym strzału w obłok
i tylko echo strąca
gałązkę śniegu
kołysze igliwie

Biorę tę śnieżną ciszę
ciszę dobrą
biorę żarliwie

Dzbanek i źródło, 1960.

Z wakacji

Pagórek podniósł się o turkot wozu
a potem naraz opadł
w dolinie zamilkł
pod liliową mgłą smółek

I tylko jeszcze małe ptaszki na świerku
łuskały ćwierkanie
pająk spłoszonym długonogim strachem
wbiegł na kreci pagórek
przystanął
i znikł

Prosto do oczu
prosto w ramiona
pogoda szła

Żeby jej nie spłoszyć
stałem się cichy i niepozorny
zmieniłem krzak róży
w mały polny obłok

I naraz znikła mi tuż obok

Obłok był przekreślony
czarną kreską
krakania wrony

Dzbanek i źródło, 1960.

Niedobry wieczór

Małe sosenki gęstwa
i kręty strumyk nieba
w górze księżyc jak puzon
wędrujący trębacz

Zza gałęzi nas śledzą
ciemne oczy nocy
ach te oczy nie wiedzą
jak to się wszystko skończy

Las jest jak ciemny wagon
niesie nas gdzieś po torze
światło bladością nagą
zawisło na buforze

I wagon naraz skręcił
w noc bez oczu bez toru
zostawić w niepamięci
zostawić w niepamięci
światło tego wieczoru

Dzbanek i źródło, 1960.

Z wędrówki

Zasp tu nawiało puszystych czap
całą noc latały za oknem
białe sowy śniegu

A tutaj iskra skrzył olchowych szczap
cień twoich małych kolan
łaska noclegu

O świcie rdzawy jastrząb spadnie na las
pod niebem zwisającym
z zajęczych łap i uszu

Obejrzę się na szyby blask
na komin dymu
twój biały kożuszek

Dzbanek i źródło, 1960.

Deszcz o świcie

Wychylam z gwiazdy jak z piosenki
kudłaty łeb w krawacie nocy

po cichu zbliżam go do ręki
zapalam w drzewach sowie oczy

Łasi się klarnet mgła bezbarwna
a bęben wbija ćwiek po ćwieku

wodzi mnie grajka po moczarach
doniczka wierzby pod powieką

W doniczkach kwitły tulipany
srebrny pękł w nocy saksofonem

i płyną chmury jak organy
wiatr je popędza pies zielony

Gwiazdom wyrasta siwa broda
a księżycowi ośle uszy

wędruje milcząc po jagodach
niosąc piosenki róg po puszczy

A kiedy pęknie miód księżycy
i noc smolista zatrzepoce

po oknach oczach i doniczkach
spłynie o świcie deszczu ocet

Dzbanek i źródło, 1960.

WACŁAW IWANIUK (1912–2001)



W 1936 roku współtworzył Grupę Poetycką „Wołyń” wspólnie z Czesławem Janczarskim, Stefanem Szajdakiem i Zygmuntem Janem Rumlem.

Publikował utwory w specjalnej kolumnie Grupy Literackiej „Wołyń”, jaka ukazała się w „*Życiu Katolickim*” pod redakcją Czesława Janczarskiego w okresie 1936–1938 oraz w „Okolicy Poetów”.

W 1936 roku ukazał się jego tomik wierszy *Pełnia czerwca* jako tom I Biblioteki Grupy Literackiej „Wołyń”.

Urodził się w Chojnie Starym koło Chełma, zmarł w Toronto. Po ukończeniu studiów prawno-ekonomicznych otrzymał w 1939 roku stypendium Funduszu Kultury Narodowej i Ministerstwa Spraw Zagranicznych, które skierowało go na praktykę konsularną w Argentynie.

W grudniu 1939 roku wstąpił do Wojska Polskiego we Francji. Brał udział w kampanii norweskiej walcząc pod Narvikiem.

Debiutował w 1933 roku, w czasopiśmie „Kuźnica Młodych”. Przed 1939 rokiem zamieszczał swoje wiersze m.in. w „Kamienie”, „Okolicy Poetów”, „Zwierciadle”, „*Życiu Katolickim*”, „*Miesięczniku Literatury i Sztuk*”, „*Zecie*”, „*Kulturze*”, „*Kurierze Porannym*” i „*Zwierciadle*”. W okresie II wojny światowej jego utwory ukazały się w prasie wojskowej, w czasopismach „*Polska Walcząca*” i „*Defilada*”.

Od lat 80-tych XX wieku publikował w Polsce w „*Akcencie*”, „*Więzi*”, „*Kresach*”, „*Twórczości*” i „*Tygodniku Powszechnym*”.

W maju 1949 roku na stałe zamieszkał w Toronto, gdzie należał do czołowych postaci polskiego życia artystyczno-literackiego. Był związany ze środowiskiem paryskiej „*Kultury*”, „*Wiadomości*”, „*Oficyny Poetów*” i „*Kontynentów*”. Do Polski przyjechał dopiero w 1991 roku na Zjazd Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie. Był wieloletnim przyjacielem i współpracownikiem paryskiej „*Kultury*”, nie tylko jako poeta, ale i krytyk literacki.

Wiersze z okresu jego działalności w Grupie Poetyckiej „Wołyń” mają zabarwienie balladowe, nawiązują do symboliki magiczno-obrzędowej. W 1939 roku Iwaniuk opublikował niewielki poemat *Dzień apokaliptyczny*, czym zbliżył się do nurtu katastroficznego w ówczesnej polskiej poezji.

Był członkiem Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie do 1986 roku, współtwórcą Polskiego Funduszu Wydawniczego w Kanadzie, gdzie przez

wiele lat pełnił funkcję prezesa, a do ostatniej chwili – członka zarządu. Należał do komitetu doradczego nagród Fundacji A. Jurzykowskiego, zasiadał w jury londyńskich „Wiadomości” (tzw. Akademii Grydzewskiego) i PEN Klubu Kanadyjskiego. Współuczestniczył w powołaniu kanadyjskiego oddziału Związku Kombatantów Polskich, Kongresu Polonii Kanadyjskiej, Klubu Polski, Towarzystwa Przyjaciół Paryskiej „Kultury”. Podpisał list pisarzy polskich na obczyźnie, solidaryzujących się z sygnatariuszami protestu przeciwko zmianom w Konstytucji Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej (List 59). A przebywając jeszcze w Polsce, w Chełmie był członkiem Zespołu Poetyckiego „Pryzmaty”, Grupy Literackiej „Wołyń”, a później członkiem-założycielem Lubelskiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich w Lublinie (od 1990 roku).

Laureat wielu nagród, m.in. paryskiej „Kultury” (1964), Fundacji A. Jurzykowskiego (1968), Fundacji im. Kościelskich (1971), im. T. Sułkowskiego, Roju (Roy Publishers) za przekłady wierszy E. Dickinson, „Wiadomości” (1975), Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie (ZPPnO 1979) i innych.

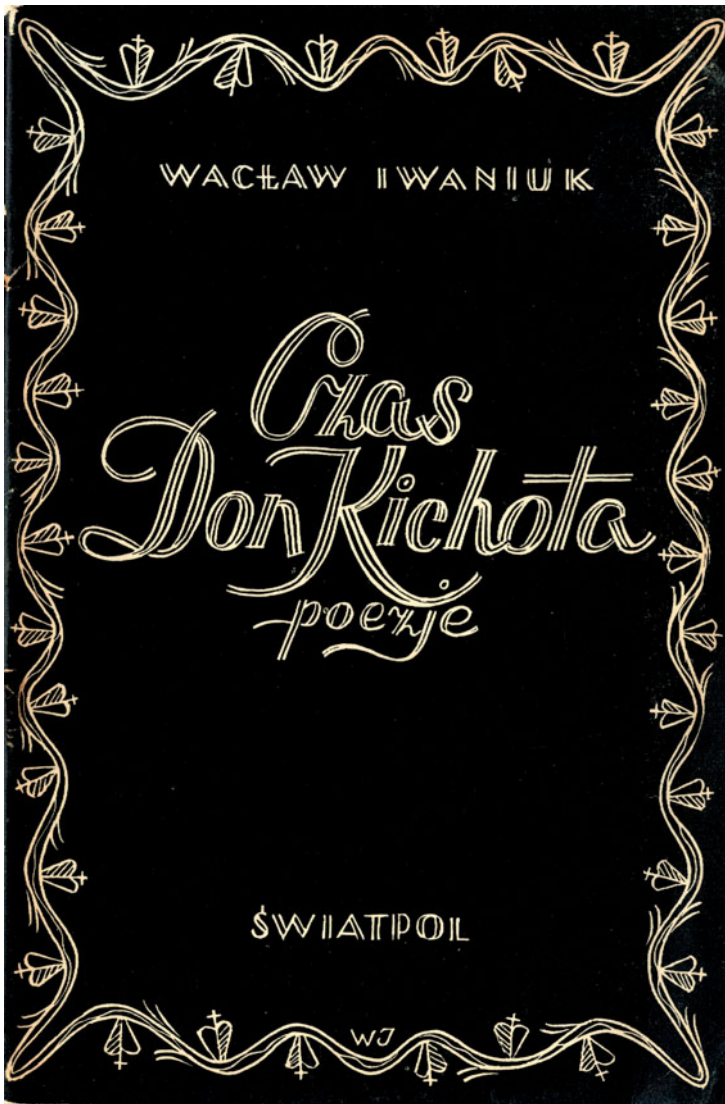
Tomiki poetyckie: *Pełnia czerwca* (1936), *Dzień apokaliptyczny* (1938), *Czas Don Kichota* (1946), *Dni białe i dni czerwone* (1947), *Dziennik z podróży tropikalnej i wiersze o wojnie* (1951), *Gorycze nocy* (1951), *Pieśń nad pieśniami* (1953), *Milczenia* (1959), *Wybór wierszy* (1965), *Ciemny czas* (1968), *Lustro* (1971), *Nocne rozmowy* (1987), *Nemesis idzie pustymi drogami* (1978), *Dark Times* (1979), *Evenings on Lake Ontario. From My Canadian Diary* (1981), *Kartagina i inne wiersze* (1987), *Podróż do Europy* (1987), *Trzy spotkania* (1988), *Powrót* (1989), *Moje obłąkanie* (1991), *Zanim znikniemy w opactwie kolorów* (1991), *Moje strony świata* (1994), *Podróż do konsulatu polskiego w Kurytybie* (poemat, 1994), *W ogrodzie mego ojca* (1998), *Triste* (poemat, 1999).

Antologie: *Poezja polska 1914–1939* (1962), *Poeti Polacchi Contemporanei* (1961), *Wiersze poetów chełmskich* (1964), *ANTHOLOGIE DE LA POÉSIE POLONAISE* (1965), *Neue Polnische Lyrik* (1965), *L’VII – numero vingt-cinq. Trente-cinq Poetes Polonais Contemporains, 1918–1965* (1966), *Nacht der Sintflut* (1968), *VOLVOX* (1971), *CHANT DE LA POLOGNE, Anthologie de la poésie polonaise du vingtième siècle* (1972), *Brat słońca* (1976).

Proza: *Podróż do Europy. Opowiadania i szkice* (1987), *Ostatni romantyk. Wspomnienie o Józefie Łobodowskim* (1998).

Inne wydawnictwa: *Szopka polityczna* (1952), *POLONICA in der Verlagen der Bundesrepublik Deutschland* (1966), *Przebity światłem* (1969), *EXPORA-*

TION IN FREEDOM, Narrative and Poetry from KULTURA (1970), The Great Collage (1974), Tiempos oscuros (1979), Tardes en el lago Ontario. De mi diario canadiense (1981), Wiersz dla Pawła Mayewskiego (1993), Powrót do domu (1996), Escénico sądowe czyli nasi w Kanadzie (1997), Sonet dla Marki-zy (1998), Miranda. Fragmenty wspomnień (2001).



Okładka tomiku *Czas Don Kichota – poezje* Wacława Iwaniuka opublikowanego w 1946 roku w Londynie przez Wydawnictwo Światowego Związku Polaków z Zagranicy

Do brata

Przeminęły nasze lata wiosną trzydziestą trzecią
kochałem wtedy wiosny jak ognie czerwone w twych oczach
w roku trzydziestym czwartym październik nam drogo przeciął
mnie
bratu memu
tak się kiedyś rozstają drzewa
gdy człowiek wyrwie z ziemi
objętość ich pełną i ciężką
trzydziesty trzeci rok pod nogami się memi zielenił śpiewał zwycięsko
od chwili tej uniosły się martwe horyzonty

coraz dalej krążyły szelestem skrzydeł upite
tu spocząłem – czterdziestego trzeciego pułku
wschodniej armii Rzeczypospolitej
tu otrzymałem twoją dłonią pieczętowane niebieskie koperty
do strzelca czterdziestego trzeciego
Wacława brata mego
spadały słowa
gubiły się łomocząc po Wołyniu
rosyjsko – przeciągle – smutnie
odchodziły szumiącym Horyniem
płynię

pułki odchodziły na inne kwatery

*„Życie Katolickie”, 1936, 9 lutego, nr 6, s. 84-85,
I kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Zegary

Od Dobrej zawieszanej na stalowych drutach
dotyk Wisły rozpala i zalewa żar
pionowo tryskają bajki na ziemię
zegary
potem szczęście po zegarach dzwoni
czarne palce zanurza w koło
ósma – dziewiąta – dziesiąta –

wtedy gdy godziny dźwiękiem
zasłaniają wylot na Wisłę
ponton czarnych jaskółek zawisa
dziewiąta – dziesiąta – jedenasta –

czas brzęczą czerwone pszczoły
Marszałkowska – popielata – różowa – niebieska
Aleje – Nowy Świat – przedmieście
zegary dzwonią po mieście
dwunasta

*„Życie Katolickie”, 1936, 5 kwietnia, nr 14, s. 212,
II kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Okno

Szare chmury jak papier – gołębie i latawiec,
Na szybach z wosku twarz odlana – popatrz –
Goni niebo latawiec i chłopiec.

Potem chłód rąk do góry uniósł ramię z gipsu –
Świat przeszedł między oczy a słońce.
Niebo chmury obciążęło cieniem.

Ale już ich nie było!

Tylko noc opuchła na szybach
oderwała od okna krzyk
Niosła ponad rzeką gęstniejącą,
w rosnących krokach.

Chłopiec i latawiec.

A może wiersz?

*„Życie Katolickie”, 1936, 5 lipca, nr 27, s. 427,
III kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Kwadryga

Stół kwadrygi przeciąga za oknami,
bije w szyby noc, bije czas.
Niebo ciężko zwisa jak aksamit
rozpalony w kolorach bez nazw.
A kwadryga na złotych koniach,
łąk zielone wydłuża granice.
Rozszalały się konie po błoniach,
blask uderzył w czarne okiennice
Rozprysnęły się nagle anioły.
Konie znikły. Lecz stoi kwadryga.
Droga żółta od blasku popiołu.
Czarna gwiazda w żółty piach zastyga.
Strój kwadrygi jest teraz ponury,
W pośród kobiet dziewice z liliami.
To ołtarze płonące światłami.
W koło stoją niewiasty – posągi,
Ziemia cała z czarnego marmuru.
Niebo płaskie, wilgotne od łez,
Łąki noszą sofianowy zmierzch.
Mówisz – słyszę, ale cię nie widzę.
Mówisz – miłość, siła – jaka siła?
Oto słyszę cię, ale nie widzę.
Lecz odchodzę

Kwadryga ruszyła.

*„Życie Katolickie”, 1936, 27 września, nr 39, s. 612,
IV kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;
Pełnia czerwca, 1936, s. 19.*

Z wierszy samotności

Zamilkną dzwon. Stanie czas.
Nie pytam się, wszak szkoda słów.
Wkoło wystrzela sosnami las.
Więc czy iść dalej,
Czy wrócić?
Mów.

Więc czy to woda, czy dzwoni dzwon?
Czy wiatr powiewa, czy wzywa dłoń?
Człowiek czy echo?
Umilkł, nie dzwoni.
Dźwięk się zamyka w zamkniętej dłoni,
ręka sternika.

*„Życie Katolickie”, 1936, 13 grudnia, nr 50, s. 791,
V kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Fragment z poematu „Pełnia czerwca”

A świt, który się lęgnie w czarnej skrzyni stawu,
na pagórki bezkształtnie opada mielizną.
Nabrzmiwiają fujarki ostrzegawczym gwizdem,
napięty krzyk oddają uszom poganiacza.
Gdy mleko nad wzgórzami całopalne wstaje,
brzask unosi ukryte, nieruchome konie,
obniża grzbiet wypukły pod ich ostre stopy,
które drogi dalekie krótkim krokiem znaczą.
Na innym teraz brzegu zatrzymam nogi,
wpatrzony w jasne widmo
i szaleństwo nocy.
Lecz noc moja od śpiewu jest złota i widna,
a dzień nieskończony atramentem broczy.

*„Życie Katolickie”, 1937, 11 października, nr 37, s. 576,
VI kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;
Biblioteka Grupy Literackiej „Wołyń”, 1936, tom I.*

Mój fach

Z igieł bielutkich utkany
złocisty pąk –
spada mi ranek poranek
do rąk.

Spada mi kula złocista
w szuwary snów.

Chwytam wciąż blask odbłaski
dzwoniących słów.

Już sowa skrzydła unosi –
złocisty pąk –
chwytam pióra mądrości
do rąk.

Słowa w słowach o słowie.

Ja w deszczu słów.

Oddaję się dziwnemu rzemiosłu
– łowieniu słów.

*„Życie Katolickie”, 1937, 12 grudnia, nr 50, strona 767,
VII kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Ballada

Już na ziemi leży noc jęcząca
Od kawek, od snów, nietoperzy.
Krzyk przebiega echem po łące.
Czarna fala na stawach leży.
Lustra wszędzie zaciągnięte krepą –
biją wróżby – biją sygnały.
Oj, nie szukaj matki daleko!
Oj, nie szukaj matki w dzień biały!
Atmosfera jest jak oliwa,
na wypukłe opada łąki
W rzece księżyc spieczony spływa.
W rzece kąpią się czarne pająki.
Dziś do rzeki tabunem idą
czarne konie, łasice i koty –
A na rzece pływają wydry!
Groźnych wężów ogromne sploty.
Syczy żar rani i parzy.
Krasne widma to wstają, to giną.
Oj, nie kochaj, nie kochaj twarzy,
Twarzy, które po rzece płyną.
Noc ma dzisiaj dwoisty uśmiech,
Najpierw skusi, a potem ginie.
Więc nie kochaj, nie kochaj pieśni,
Która nocą nad łąką płynie.

*„Życie Katolickie”, 1938, 7 sierpnia, nr 32, s. 499-500,
IX kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Prolog

Z poematu *Pełnia czerwca*

Kiedy napływa plama świtu
dno się zamienia w biały sufit.
Dzień przebudzony nagłym zgrzytem,
mgłą ciężkich snów idzie się upić.
Lecz przebudzony ptak jak błękit
płynie po mlecznej plamie drogi
do snów w kołyskach nocnym płaczem.
A wszystkie ścieżki jak trumienki
szukają zgubionych Imion.
To świt zdeptany przez puchacze,
z drapieżnej nocy płyną.

Kiedy wybucha rozpacz bagien
Niebo pokrywa por kroplisty.
A twarz puchacza jak twarz maga
Z nocy wynurza wóz ognisty.
Pękają drzewa dwuramiennie.
Serce zamiera w szorstkim bólu,
gdy źródło świtu jadem bije
w zielone lustra prętem żmii.

Tam się otwiera łąd jak ciało.
Drży krew wydarta w ciężkiej walce.
Padają ciała ogorzałe
Pod ostrym ciosem twardych palców!
To magnetyczne, martwe pole,
ostre dwusieczne krają noże.
A każdą noc jak dziką rolę
Różą północnych wiatrów mrożą.

A każdy dzień jak nóż z ołowiu,
Rozcina grube węzły nocy.
Wtedy się księżyc płaszczy nowiem.
Snem lunatycznych bije w oczy.

Pełnia czerwca, 1936, s. 5-6.

Pełnia czerwca

Z poematu *Pełnia czerwca*

I.

Parne godziny wieczorami zasną
Po sadzawkach drżących południem.
Od zachodu na głębokie studnie
przynoszą noc w fartuchach samarytańskie niewiasty.

Na ogrodach ciszą jabłonią
soczyste koniczyny
podaje ognistym koniom!

Chylą grzywy żółte kaczeńce.
Martwe skronie kładą u nóg.
Fujarka wieczoru trzęsie,
w schnący na łące stóg

Za gorącym, ciężkim miesiącem
dziewczęta z parobkami przepadają w łące.

II.

Nad wodą czerwoną i czystą
dęby i sosny moczą twarde nogi.
Pasterze, czarne konie pasąc na łące, gwizdzą,
Pałają czerwone ognie.

Od drzew do drzew
ogniste podnoszą ręce.
Płynie czerwony śpiew.
Śmiech dźwięczy.

Za śniadaniem, za wołaniem,
księżyc głowę strzępiastą wyłania.

III.

Kobiety nad studnie przynoszą różańce.
Klin dębowy rozpiera piersi.
Nad ogniami dziewczęta tańczą
i pieśni.

Huczą kopyta huczą.
Szumią omdlałe skrzydła.
Ranek ogniem po pniach się tłucze.

Jeszcze blask się nie niesie po wodzie!
Jeszcze ciemno na wschodzie!

Jeszcze w oczach znużeniem nie dnieje,
Szatan w trawach się śmieje!

Pełnia czerwca, 1936, s. 7-8.

Północ

Z poematu *Pełnia czerwca*

O Chrystusie szczęśliwy Boże
patrz jak czarno budzi się las.
Jak umierają zorze
w wodzie po pas.

Zasłuchane, ciężkie północe.
Z piersi szatan słowa wrywa.
Jak niedojrzałe owoce,
powiewa grzywa.

Stąpa słońce. Dzień idzie. Chór aniołów
od południa rozprasza mrok.
Przez mchy grube, przez grząskie zioła,
przez długogrzywe łąki,
wojski cwałuje w skok.

Drzew dziewczęta, białe anielice.
Cherubiny paproci i dziewann.
Stoją sosny, ciche pokutnice,
Złym przekleństwem.
Pogańskim śpiewem.

O Chrystusie, szczęśliwy Boże,
Możny nadchodzi wróg.
Paprocie, złe kwiaty, kiełkują w pokorze
u jego nóg.

Wiatr oczy zakrywa prochem.
Popiół pokutą gryzie.
Las pochyla piersi mocną tarczą.
To wróg się z północy zbliża.
Już bębny warczą!

Pełnia czerwca, 1936, s. 9.

Ofiara

Z poematu *Pełnia czerwca*

Idę szukać ukrytych po wodach i bagnach
kroków wiotkich jak kłosa w czarnym runie traw.
Gdzie zrywają paprocie dziwożony smagłe,
chowając w dna ramiona, ciszą kościelnych naw.

Nie widzę ujścia rzeki. Topi się bieg wśród drzew.
Prąd kroki unosi w słowiańską północ puszczy.
Przywoła świetliste wilki w żyłach gorąca krew.
Oddech jak ziarno – z piersi się będzie łuszczył.

Na rękę błyszczą tarcza, oszczep i łuk.
Pieśni łuczników prowadzi białe dziwożony.
W spłoszoną skore jelenia wpadł oszczep. Napływa kruk
i płacz ginącej sarny roznoszą sosnowe dzwony.

Kobieta aniołom czarnym rozplatają włosy.
Chór goni nad sosnami miesiącem i wiatrem.
Od wód ciężką kurtyną mgły – płótna się unoszą.
Padają jelenie martwe.

Goniąc w zgubionych drogach po trawie i rosie,
jak noce żegnające kapłanów ogniste czary.
Oto kładąc ręce na stosie
błogosławię arkońską ofiarę.

Pełnia czerwca, 1936, s. 13.

Sobótki

Z poematu *Pełnia czerwca*

Pieśń dna oplatają płynne wodorosty
zaczepione u piersi.
To odbija się łuk aniołów
rozpierzchłych od zbudzonej pieni.

Zatopione dziewice nurzają głos
i barwy,
i ramion ruchy.
Echo od drzewa do drzewa
idzie i śpiewa.

Od wiosł wodne panny rzucają smukłe palce
na klawisze.
Wyklinają słowa
z dna
i ciszy.

U ramion wodne lilie.
Miesiące dzwonią północ.
Zabobonne wigilie
otwierają pierzaste oczy.
Na rzekę.
Na noc.

Paprocie przekładają do twarzy rozpalone świętojańskie ręce.
Po korze budzi się nów.
Wyżej w gałęzi naręczu
milion pięciokątnych głów
spływa z brzękiem na błonie.

Panny klaszczą w kolana
i w dłonie.

Noc się robi słodkawa w szorstka.
Pieśnią podpływa do gardła.
Świt symbolicznym śpiewem
wschód targa.

Panny odpływają za bagna
O poranku czerwonym bez czaru.
Już pogasły ognie świętojańskie
i ucichła melodia szuwarów.

Pełnia czerwca 1936, s. 14-15.

Obłąkani

Z poematu *Pełnia czerwca*

*Któregoś wieczoru wziąłem Piękno na kolana –
I znalazłem je gorzkie...*

Rimbaud

Epilog

I.

Tak tropem własnym świat nas ściga,
wbijając w srebrną przystań wiosło.
A noc pajakiem nieruchoma,
i dzwony w brązu pieśń porośle.
Gdy miasta w słupy wystrzelone
żegnają nas swych bram westchnieniem,
kominy jak wyniosłe trony,
domy -październik białych ramion,
kładą na czoła piętno znamion.

Prowadzi nas melodia krtani
do mogił w rzędach białych brzoź.
Aż cmentarzami obłąkani
chwytny obosieczny nóż.

A od południa z krzykiem wiosny
Bocianom w locie skrzypią ręce.
Człowiek swych ramion krzyż wyniosły
oddaje każdej bożej ręce.

Prowadzi nas raz noc, raz dzień,
Do światła rzecznej akwareli.
Gdy pochylamy się odbiciem
nad wodą pełną szarych drzeń.
Tam pierwszy raz ujrzałem skrycie
jak kreda śmierci twarz mi bieli.

Wracamy nagle nie wołani.
Odlecą ptaki w szumie skrzydeł.
To cisza idzie na spotkanie.
Tam gdzie mogiły i brzask brzozy
nagle się jasny cień położył.

Tak na tej ziemi bezpowietrznej.
Tak na tym lądzie krótkotrwałym
Raz nas otacza jasna przestrzeń,
to znów pograża mrok szerniały.

Prowadzi nas melodia krtani
Do mogił w rzędach białych brzoź.
Aż cmentarzami obłąkani
Chwytny obosieczny nóż.

II.

Spoczywa głowa martwą śniedzią.
Zatęchłym skrzepem błot opluwa.
Czoło ze zmatowionej miedzi
Bieleje wapna nagim grzbietem.
Gdzie spadło czasu ostre dłuto,
Wiatr w nozdrza wpada i dmie fletem.

Pieśń obłąkana huraganem
zaczyna średniowieczną mużę,
idącą w noc świętego Jana
naprzeciw piersi mlecznym wzgórzom.
Dotykać wozów – kół co tańczę
na martwych osiach skrzypem czasu,
wskazując miastom bieg skazańczy.

Prowadzi nas melodia krtani
Do mogił w rzędach białych brzoź.
Aż cmentarzami obłąkani
Chwytny obosieczny nóż.

Pełnia czerwca, 1936, s. 16-18.

Anna i jesień

Wysoko stoi tam twój obraz Anno,
W czerwieni, która włosami zsypuje się w wodę.
W lustrze nieba i ziemi wiatry fale do ust moich garną,
jak słowa gorące i młode.

Wśród wieczoru przychodziłaś Anno,
patrząc przez jesień drzew brązowo-rdzawych.
Włosy miałaś brzoźowe, rudowłosa panno,
i usta jarzębiną szminkowane krwawo.

Teraz widzę twój profil i czuję twe oczy,
zapatrzone przez kosze obwisłych gałęzi.
To z dojrzałych jabłoni stężały owoc się toczy
i nie wyznanym słowem na ustach twych grzęźnie.

Dziś nie mogę cię kochać – opadłaś z uroku,
jak zeszłoroczne wiersze.
Anno, taką miłością darzysz mię co roku,
gdy za oknem wrzesień drży na wietrze.

*Pełnia czerwca, 1936, s. 21;
„Okolica Poetów”, 1936, nr 2, s. 13(37),
kolumna Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Cyganki

Tu przychodzą cyganki
rzucać się nagą piersią na spokojną wodę.
Odchodząc samotną jesienią.

Zataczane w kolanach elipsy.
Ruchy tanecznych bioder,
i ręce łowiące w poszumie ostatni akord pieśni,
nad głową tańczyły jak węże.

W zatłuszczonej zgniłej zieleni
giętką strugą mijałem młodość.
Cyganki zwijały na kłębki swych piersi
tęsknotę.

Wiatr zrywał z nieba welony
i rzucał w puste aleje.

Odchodząc tańczyły
Ubrane w brązowe szale.
Każdego ranka dalej,
odpływał tan.

W tobie przychodzi miłość,
moje dalekie echo.
Cyganki odpływały jakby ich nie było.
Ni tu – ni tam –
daleko...

Pełnia czerwca, 1936, s. 25.

Pieśń Owidiusza

Panny mają ogony, a w ogonach promień.
Ciężkie włosy, gwiazdziste snopy głów.
Jeżeli panna się odwróci,
odejdzie bez słów,
niebo zaleją starożytne konie.

Wtedy dzwonki uderzą w klawisze.
Struny włochate jękną – rozśpiewają struny.
Panny, odchodząc, omijają ciszę,
fortepian dzwoni – dźwięk u palców wisi.
Ruszają wtedy starożytne konie.
Na czole kołpak, ogień w oczach płonie.

A ponad głową.
A ponad głową
śpiewa syrena: Miłość leży w dłoni.

Nie przytulaj się do mnie czule.
Nie zakrywaj skrzydłami twarzy.
Bo mam oczy zakryte bólem.
Szarym prochem – pieśnią grabarzy.
Nie przytulaj się do mnie jękiem.
Świat bez ciebie jest zawsze pusty.
Nagle anioł u stóp jej klęka
i całuje w bezbożne usta.

Panny mają ogony. Zagniewany głos.
Promień nie świeci w oczy ale pada cieniem.
Płaczesz. Wtedy Korynna rozplata swe włosy.
(Oto nadchodzi chwila metamorfoz.)

W ósmym roku już cię nikt nie wspomni
Owidiuszu, gdy masz oczy zwrócone ku Tomi.

Pełnia czerwca, 1936, s. 26.

Okno

Szare chmury jak papier. Gołębie i latawiec.
Na szybach z wosku twarz odlana. Popatrz.
Goni niebo latawiec i chłopiec.

Potem chłód rąk do góry uniósł ramię z gipsu.
Świat przeszedł między oczy a słońce.
Niebo ziemię obciążyło cieniem.

Ale już ich nie było.

Tylko noc opuchła na szybach
Oderwała od okna krzyk.
Niosła ponad rzeką gęstniejącą
w rosnących krokach.

Chłopiec i latawiec.
A może wiersz.

Pełnia czerwca, 1936, s. 25.

Pokusa

...Czekam Boga z żarłocznością

Rimbaud

Chcemy tropić zwierzęta nierozsądną strzałą.
Ssać gotyk rozstrzelany w książkach zaśniedziałych.
Słowa twej ewangelii w suche zdania wiązać.
Płomieniami słońc czerwcowych jak pszczołą kwiat twój obciążać.

Wśród kwiatów wyłuskanych brzęczeniem trzmieli,
pszczoły miodne między słowa dzielić.

O ul zakratowany śniedzią mchów
wygrzanych w mroku. O ul purpurowy.
Wskazujesz niewidzialny kształty
ambonom pełnym twoich wielkich słów.
W wysokich ołtarzach świec. W witrażach od nocy liliowych.

Lecz ja nie wierzę zakłębom biblijnym.
Prorokom śmierci, prochom posągów i krzyżów.
Bo lot Twój w moich oczach jest krzywoliniorny.
A słowa Twe śpiewają łacińskie puszczyki.
I nigdy się do mego serca nie przybliżysz.

Więc myślisz: barbarzyńca.
Heteryk bez wiary.
Coniedzialną alchemią czynisz bezkrwawą ofiarę.
Zbliżasz do ust spoconych ciężar płynów.
Uświęcasz w konfesjonałach potępionych synów.
A Bóg się temu nie dziwi.
O Hostię nie łamie rąk.
Strzelają tylko słowa.
Błogosławiają wargi aktami.
Łuskasz ślepy kapłanie Ewangelii strąk
I rzucasz cenną prawdę pełnymi garściami.

Pełnia czerwca, 1936, s. 28.

Na śmierć poety

Bronisławowi Ludwikowi Michalskiemu

Sny to złoto w pierścieniach zamknięte.
Martwe usta, głowa o włosach zielonych.
Wargi modlą się – płyną pieśniami – półświęte.
Pieśni, które pękają jak gliniane dzwony.

Gdzieś daleko – tam szeptem odprawiają modły.
Kobiety bogom prośby zawieszają w pętach.
Jak wiatr, gdy śmierć przeczuje chłodem.
Jak wiatr, gdy opowiada wieczorem o mękach.

Tak daleko. Tam szept ust nie dochodzi.
Nie pójdzie hymn ten zawarty wśród warg,
gdy wieczorem płyną powodzią
w sosnowych trumnach skarg.

Życie, które zamyka kroki nieliczonych godzin,
– spalone motyle nad płomieniem świec.
Gdy motyle inne się rodzą,
Gdy przychodzą ażeby lec.

Po co w drzewach tych śpiewa bard.
Pa co łuski melodii przesiewa słoneczne przez całun.
Przechodzą ponad głową i kolumnami wart,
salutując martwemu ciału.

Poezja –
Gliniane dźwięki uderzają po pniach echem.
Dobre barki, szczęśliwe łodzie,
śmierć wiślaną zgarniając pustką.

Wychodzisz?

Jakżeż życie oddała się w kręgach.

Tu granica świeci semaforami.

Do bezmiarów młodością sięgać

Póki pierwszy się huk nie złamie.

Dlaczego wychodzisz sam?

Gdy noc zamyka oczy, wylot ulicy brzęczy ogniem
po bladym dniu.

A wśród spróchniałych ram

Postać twa klęczy.

Jak zboże klęka pod kosą na urodzajnym pniu.

Pełnia czerwca, 1936, s. 29-30.

Co jeszcze mogę powiedzieć o Józefie Czapskim

Artyście za Swobodę Tajemną

Do Maisons-Laffitte dojeżdża się metrem z Paryża
a potem wyboistą już ulicą do pielgrzymiej Furtki.
Przed Domem czeka Redaktor
a na poddaszu limbo Artysty; Czapski
wpatrzony w siebie maluje portret słońca
ognistą kulę nad Ziemią.
Mądrość jego farb jest tak oczywista
że słyszę ich głosy gdy schodzą na płótno.

Ludzie na płótnie są żywi
jak wiara w nich Artysty.
Może na mój wiersz spadnie kropla
szaleństwa z palety Czapskiego
by mój wiersz ożył.

Dłoń artysty to różdżka czarodziejska
on jej ufa jak ja ufam słowu.
Wprowadź moje zdania są krańcowo różne
bo wiersz żyje sam na skrzydłach wyobraźni
– proza idzie po ziemi –
zaś obraz jest z farb paproci.

Jakie więc podobieństwo łączy nas
jaka nieznaną miłość –
jakie elementy rozjaśniają nas?
Gdy patrzę na ciepłe słońce w obrazie
Czapskiego
wiem że we mnie żyje
ze czas jest lepszy niż był.

Co jeszcze mogę powiedzieć o Józefie Czapskim?
Że był wnętrzem naszej martyrologii
Że żył by ratować innych

Moje strony świata, Toronto, 22 listopada 1989.

Lustro

Przybliżam twarz do lustra ale lustra nie ma
Szukam rysów mych dłonią, ale nie mam dłoni.
Pod turkusowym niebem które nie płowieje
Czysta jak lilia Różia powraca z kościoła.
Wiem, że się w cnotach zanurza jak paw
Pilnuje własnej dumy jak prządka kądzieli
Jeśli mówi, orkiestra instrumentów gra w niej
Jak w parku na Powiślu w słoneczną niedzielę.
Wspominam tamte czasy zamienione w wiór
Z drzewa które się spóźnia nietoperz ulata.
Pod górę po kamieniach prosto na Krakowskie
Przedmieście, biegnie Tamka wyboistym krokiem.
Chciałbym tam być, ktoś słowo ponagła do ucha
Pragnę istnieć, o lustro, pomóż mi wyjść z siebie.
Niestety, błędzę jak król Lear, palce są mi wzrokiem
I byle wiersz ojczysty przebija mnie wskroś.
Chwytam, co mam pod ręką. Może sucha gałąź
Połamana wiatrami, wskaże mi kierunek.
O, ślepy królu Learze, z niedołącznym ciałem
Jak długo można być ślepym i nie wiedzieć o tym.

Lustro, 1971.

Ziarno

Nie ma go!

Jest słonecznik,

Okrągły namacalny,

a w słoneczniku

wieczność owalna.

Nie ma go!

Są kroki –

to przez powietrze

słoneczniki owalne idą.

A każdy wie

jak ustrzec mądrym okiem

i wybrać ziarno lepsze,

które jeszcze może się przydać.

A rozchodniki

są drobne i nikłe,

bez szafranowych złocień.

Mogłyby żyć

pod słonecznikiem –

ale nie mają po co.

Don't touch me, I'm full of snakes!

Don't touch me, I'm full of snakes!

Jestem jak martwa gleba bez kropli powietrza

Jak zestrzelony wiatrem obłok

Jak rzeka która była i której już nie ma

O skamieniałych brzegach. Jak bezsilne słowo.

Don't touch me! Wolę nosić w sobie

To, co wypełnia moje sny po brzegi

Lata których żadne słowa nie omodlą.

Chowam w sobie trujące wspomnienia

Żmije płomieni i jad gazu –

Żyję jak lustro, z twarzą ku przeszłości.

Ciemny czas, 1968.

Wiersz dla samego siebie

Szukałem szczęścia po świecie, które było we mnie.
Podróżowałem z kraju do kraju zamiast mieszkać w domu.

Moment

Jest cisza ziemi i szept
spadających liści
gdy żegnają się z drzewem.
Słucham mowy wiatru
bo może ostatnia to już jesień
przeorana krzykiem
odlatujących ptaków
ich lakoniczną mową.
Wiatru nikt nie uwięzi
jego wolność jest inna od mojej
wciąż na bezdrożach
obcych sumień.
Gdy słucham mowy wiatru
słucham własnych słów
a te kryją zasadzkę
bo w każdej sylabie wiersza
jest moja prywatna prawda
o której nic nie wiesz.

Jak blisko jesteśmy boskich praw
i jak daleko od samych siebie.

Z wczoraj na wczoraj

Czym jest lustro
Którego nie ma
choć wmawiamy w siebie
że będzie –

Jaki jest dzień
Który minął
zanim nastał
przeszedł obok nas
wczorajszym krokiem
i tyleśmy go widzieli –

Czym jest miejsce
którego nie ma
choć mówimy:
Było
więc jest.

Lustro, 1971.

Rekolekcje

Mam w sobie własne mgły i piękne pogody

Pascal

Siłą zamknięci, nie możemy wyjść
Szukamy klucza by otworzyć drzwi
Szukamy siebie w bezradnej podróży
Która rani nam ciało i kości obnaża.

Czas nas otacza niewidzialnym ruchem
Wypełnia słowa, więzi zdania
A niebo tym błogosławi którym piekło sprzyja
I bierze ludzkie życie jak wygrany fant.

W słowach rośnie i ginie uroda natury
Łączy się z ziemią sklepienie powietrze
Głosy, kamienie rzucone pod nogi
Zamknąłem w sobie w szczelną obojętność.

Bąłem się kiedyś własnego obrazu
Chciałem być kroplą ukrytą pod brwią
Zanim się stoczy z obolałej rzęsy
W niebyt, jak w ciemne dziurawe naczynie.

Po drodze pokutują zapomniane źdźbła
Jałowym kłosem raczą pola
Tak jak je pozostawił i ominął czas
Mokry od rosy o zimnych pazurach.

Ziemia składa swój ornat. Jej bogaty tren
Ukryty po zapolach , cieszy teraz myszy
A dla mnie pozostało jałowe ściernisko
Jak smutny fortel który się nie udał.

Tak wciąż tracimy więcej niż nas na to stać
Człowiek jest tylko fragmentem pytania
Musi pamiętać żeby żyć
I odejść aby wrócić.

Lustro, 1971.

Chciałbym uciec bo trwoga niszczy

Chciałbym uciec bo trwoga niszczy
Ale nie ma dla mnie ucieczki
Chciałbym usiąść na jakimś brzegu
Chciałbym oprzeć głowę o kamień
Przyjąć w oczy łagodny promień
Zamknąć w sobie czas przed odejściem.
Ale nie mam już dawnych źrenic
Ale nie mam już dawnych stóp
Moje ciało mnie opuściło
Odszedł mnie mój własny czas

Lustro, 1971.

List do Zbigniewa Herberta

Chciałem ci jeszcze przypomnieć
byś pamiętał o sobie;
zapisuj każde słowo
bo może być dla nas łąbędzim śpiewem
lub doliną bez wyjścia.

Staraj się mimo agonii
dać życiu pełny kształt.

Nikt dziś nie czyta głośnych Deklaracji.

Nikt nie dotrzymuje jałowych Traktatów.

W ciemności płomień świecy wydaje się słońcem
Ciało w którym mieszkasz jest konfesjonałem
jego ciszę wypełnia szept tak zwanej wieczności.

Wiem –
po obu stronach czekają ukryte pułapki
na pogodzonych z Losem.

Masz jeszcze pod dostatkiem pamięci dla Żywych
purpury dla Zmarłych
żyj jak dżdżownica
przeżywając ból Ziemi.

Nasz obłąd
musi być czytelny.

Z Freuda

Nikt nie zabrania ziemi stroić się w ornaty,
przywdziewać ciemność, wchodzić w togę blasków,
w kolory kwiatów, których wdzięk przemija...
Życie jak owoc rodzi się i ślepnie
błądzi i idzie o kulach
czterech pór roku –
lub wisząc na włosku
pełne rozpaczy kontempluje sytość.
Wieczorem sen zamyka nam oczy,
wtedy jak Freud szukamy po omacku
by wydrzeć nocy prawdziwe istnienie.

Wybór wierszy, 1965;

Powrót, 1989.

Mały erotyk na dwa ciała

W Europie jest strasznie ciemno –
Przypomina mi się moje mieszkanie
na ulicy Dobrej
I Różia o grubych dłoniach
susząca bieliznę.

Razem rozwieszamy płócienne jasności
na sznurze przeciągniętym przez pokój
który łączy dwie przeciwległe ściany
jak dwa różne światy
i rozmawiamy milczeniem.

Ona mnie bierze za rękę
i pokazuje łóżko
gdzie jest jeszcze więcej jasności
i pulchny kwiat pierza
w zmysłowych poduszkach.

Pragnę dowiedzieć się co w nich śpiewa –
Przykładam ciekawe ucho –
gdy Różia trzyma w dłoniach moją głowę
by nie stoczyła się w przepaść.

A potem
w zamyśleniu wieszamy bieliznę –
I czekamy
aż wróci jej rosyjski kochanek.

Wybór wierszy, 1965.

STEFAN SZAJDAK (1910–2004)



W 1936 roku współtworzył Grupę Poetycką „Wołyń” wspólnie z Czesławem Janczarskim, Wacławem Iwaniukiem i Zygmuntem Janem Rumlem.

Publikował utwory w specjalnej kolumnie Grupy Literackiej „Wołyń”, jaka ukazywała się w „*Życiu Katolickim*” pod redakcją Czesława Janczarskiego w okresie 1936–1938 oraz w „Okolicy Poetów”.

Urodził się we wsi Turze w powiecie ostrzeszowskim, zmarł wieku 93 lat w Środzie Wielkopolskiej. W 1932 roku ukończył Państwowe Seminarium Nauczycielskie w Ostrzeszowie. W tym samym roku rozpoczął pracę jako nauczyciel w szkole podstawowej w Kępnie, a następnie w Ostrzeszowie. Od 1 stycznia 1934 roku przeniósł się do miejscowości na Wołyniu – Łucka, Równego, oraz Kiwerc.

W 1938 roku rozpoczął zaoczne studia na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego w Lublinie. Z chwilą wejścia armii radzieckiej do Kiwerc został aresztowany, a następnie zesłany do obozu pracy na Syberii. Był żołnierzem 2. Korpusu Polskiego Generała Władysława Andersa. Brał udział w całej kampanii włoskiej – od Taranto przez Ankonę do zdobycia Bolonii oraz uczestniczył w przełamywaniu Linii Gotów i Hitlera. W okresie od 11 do 18 maja 1944 roku brał udział w walkach o Monte Cassino.

Po powrocie do Polski zamieszkał w Środzie Wielkopolskiej, gdzie pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej. Tę pracę łączył od 1959 roku z funkcją bibliotekarza, a następnie dyrektora biblioteki pedagogicznej.

Od 1929 roku należał do grupy polskich poetów autentystów.

Józef Czechowicz (jeden z najbardziej oryginalnych i wysoko ocenianych polskich poetów awangardowych 20-lecia międzywojennego, współpracujący z „Kamena”) w artykule zamieszczonym w „Kurierze Literacko-Naukowym” (1938, nr 50 strony 8-9) charakteryzuje Stefana Szajdaka jako „poetę idącego własną drogą”. Niezaprzeczalny jego osobisty dorobek – zdaniem Czechowicza – stanowią wyraziste miniaturki wierszowane. „Poeta posiada dar samorodnego podpatrywania świata i obywa się niemalże bez pośrednictwa literatury”.

Przed 1939 rokiem Szajdak publikował swe wiersze w następujących czasopismach: „Wici Wielkopolskie”, „Okolica Poetów”, „Kamena”, „Kultu-

ra”, „Kuźnica”, „Fantana”, „Prosto z Mostu”, „Miesięcznik Literatury i Sztuki”, „Życie Katolickie”, „Nowy Przyjaciel Ludu” w Kępnie, „Miesięcznik Literacki”, „Na Szerokim Świecie”, „Gazeta Ostrzeszowska” w Ostrzeszowie, „Wielkopolanin” w Poznaniu. Używał pseudonimu literackiego – Stefan Kadjasz, pod którym opublikował *Pieśni ludowe z pod Kępna* („Wici Wielkopolskie”, 1935, nr 7-8, lipiec-sierpień, s. 58).

Po II wojnie światowej jego wiersze ukazały się w następujących czasopiśmie: „Nurt”, „Nike”, „Gazeta Poznańska”, „Głos Wielkopolski”, „Literacki Głos Nauczycielski”, „Bez Przysłony”, „Fakty”, „Tygodnik Ludowy”, „Średzki Kwartalnik Kulturalny”, „Okolice Poetów” (1978, numer okolicznościowy), „Chłopska Droga”, „Gazeta Zachodnia”, „Народне здоров’я” – czasopismo Lwowskiego Uniwersytetu Medycznego im. Daniela Halickiego.

Tomiki poezji: *Dedykacje słońcu* (1992), *Blask życia* (1994), *Gorące źródła* (1998), *Wiersze wybrane* (2016), *Stefan Szajdak, Autentysta. Współzałożyciel Grupy Poetyckiej „Wołyń”, Utwory* (2016), *Stefan Szajdak. Blisko i bliżej. Стефан Шайдак. Близько і ближче* (2018).

W 1978 roku Wydawnictwo Łódzkie zamieściło utwory Stefana Szajdaka w *Antologii Poezji Autentystów*, a Wydawnictwo Poznańskie w 1981 roku wydrukowało jego wiersze w antologii *Pieśni i Pejzaże*. Wiersze tego poety zawierały również antologie: *Drugi puls* (Almanach poezji nauczycieli, Poznań, 1984), *Almanach Młodej Poezji Wielkopolskiej* (Poznań, 1986), *Almanach Poznańskie Dachy* (Poznań, 1986), *Biesiada Poetycka, Listopad Poetycki* (Poznań, 1986), *Penetracje* (Almanach Nauczycieli, Poznań, 1987), *Na poddaszu* (Poznań, 1989), *Czas Niezapisany* (Almanach Poetycki, Poznań, 1999), *Antologia Grupy Poetyckiej „Wołyń” – część pierwsza* (Poznań, 2018), *Antologia Grupy Poetyckiej „Wołyń” – część druga, Антологія Поетичної Групи «Волинь»*. – *Частина друга* (Poznań, 2019), *Поетичне сузір’я* (Równie, Ukraina, 2019).

W 2012 roku opublikowano pozycję książkową *Stefan Szajdak. Poeta Autentyzmu*, a w 2021 roku jego biografię *Stefan Szajdak. A jednak i to minęło. Poeta Autentysta. Współzałożyciel Grupy Poetyckiej „Wołyń”*.

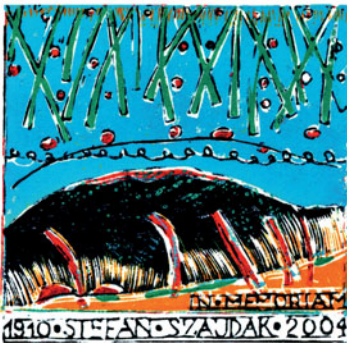
Wiersze Stefana Szajdaka znajdują się również w katalogach do wystaw: „Portret z wierszy i pamięci. Grupa Poetycka «Wołyń»” (Wrocław, 2018), „Portret z wierszy i pamięci. Grupa Poetycka «Wołyń». Портрет із віршів і пам’яті. Поетична група «Волинь», Каталог виставки” (Kijów, 2019), „Portret z wierszy i pamięci. Grupa Poetycka «Wołyń»” (Środa Wlkp., 2022), „Portret z wierszy i pamięci. Grupa Poetycka «Wołyń». Portret din versuri și amintiri. Gruparea poetica «Volînia»” (Cluj-Napoca, Rumunia, 2022).



Stefan Szajdak

A jednak i to minęło

Poeta Autentysta
Współzałożyciel Grupy Poetyckiej „Wołyń”



ПОЕТИЧНЕ СУЗІР'Я:

*Оже Гомес
Василь Зуйковик
Микола Шакура
Євген Шайдак*

Fotografia z lewej strony: okładka polsko-ukraińskiego tomiku wierszy Stefana Szajdaka *Stefan Szajdak. Blisko i bliżej*. Стефан Шайдак. Близько і ближче (Środa Wlkp., 2018). Fotografia środkowa: okładka biografii *Stefan Szajdak. A jednak i to minęło. Poeta Autentyzmu. Współzałożyciel Grupy Poetyckiej „Wołyń”* (Środa Wlkp., 2021). Fotografia z prawej: okładka antologii *Поетичне сузір'я* (Równe, Ukraina, 2019). (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Utwory tego poety prezentowane były na antenie poznańskiego i warszawskiego radia. Był laureatem konkursów poetyckich w Gdańsku (1984), Poznaniu (1986) oraz w Zduńskiej Woli (1986). Po 1945 roku opublikował również wiele prac krytycznych w czasopismach pedagogicznych. Był także współautorem książek: *Film skuteczną pomocą dydaktyczną* (Warszawa, 1970) oraz *Wielkopolskie sejmiki szlacheckie* (Środa Wlkp., 1984). Jest autorem publikacji o wybitnych postaciach Ziemi Średzkiej, opublikowanych w „Gazecie Poznańskiej”, „Mówią Wieki” i „Polonistyce”.

Rozmyślania

Morze,
Brzeg dojrzałości i łódka.
W niej żeglarz.

Łódka sunie na Zachód,
A myśli na Wschód.

Płynie, –
bałwaniąc krew.

Życie
przyrasta do nas,
jak słoje wody
lub krew.

„Kamena”, 1935, 4(24), s. 69;

„Wici Wielkopolskie”, 1935, nr 7-8, lipiec–sierpień, s. 56;

„Życie Katolickie”, 1936, 9 lutego, nr 6, s. 85,

I kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.

Podobieństwo

Gdy
patrzę
na
pociąg
w
dal
mknący,
myślę
tak:

– jadę –
codziennie przecież
po szynach lat,
pod sklepieniem życia,
wspartem na pierwszym i ostatnim dniu.

W biegu
miałem już stacje:
dzieciństwa i młodości –
i ku następnym się zbliżam.

„Miesięcznik Literatury i Sztuki”;

„Organ Komisji Artystycznej Związku Nauczycielstwa Polskiego”, 1935, nr 9;

„Życie Katolickie”, 1936, 9 lutego, nr 6, s. 85;

„Życie Katolickie”, 1937, 10 kwietnia, nr 15, s. 229,

I kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.

Widzenie

Gaj

Złote ptaki

i zboże.

Rów przesłowiony glonami słów.

Matczyne schylone brzozy,

ziemniaki, ziemniaki, ziemniaki

i uwacone łozy

W między

Kosa sierp,

Kosa sierp.

„Życie Katolickie”, 1936, nr 14, s. 212;

„Życie Katolickie”, 1937, 10 kwietnia, nr 15, s. 229,

II kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.

Wakacje

Krzyż.

Szosa w dół cwałująca z szybkością lat.
Śródpolny kurhan szwedzki: dziejów stóg,
młodzieńczo otwarty prostokąt chat
w ramach dróg.

Wasz dom na wzgórku – czerwony mur
z naszych twarzy brał farbę i wzór:

Kochłowy

Dziś myśli zielone chce uwieść Wołyń,
jak Łuck lubartowski Styr,

Kiwerce, Kiwerce –

kłujący życia wir,

o skrzypce poezji wołające serce.

Reniu i Wicku,

gdy wiatr zachodni ukochaną brzezinę łamie,
wspominam Poznań, Bałczynę, Kochłowy: wakacje.

Cieszą jak piękny list lub widok ojca w bramie,
gdy wcześniej rano powraca ze stacji.

*„Życie Katolickie”, 1936, 5 lipca, nr 27, s. 427,
III kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Tak co dzień

Choć,
południe moją łąkę wypala
co dzień, co dzień –
choć piła czasu tnie me życie, wciąż dalej,
co dzień, co dzień –
choć śmierć tajemniczym lękiem kłuje serce
co dzień, co dzień –
choć świat mię bije pięściami po twarzy
co dzień, co dzień –
– nie płaczę.
Po co płakać?
Przestrzeni i czasu nie umiem utracić.
Wieczność mam w sobie.

*„Życie Katolickie”, 1936, 27 września, nr 39, s. 612,
IV kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Ballada

Elipsy:	Kreśli koła
Stawu, łódki	i ryby woła.
- i ryb -	Czary
- - - -	na światy.
cyrkiel	Targnął
- - - -	i zakrzyknął szybko:
rybak.	Mam cię rybko!

*„Życie Katolickie”, 1936, 27 września, nr 39, s. 612,
IV kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Barwne wstążki

Żałobna wstążka w absydzie wieczoru, nisko.
Czy to wieczór pluszcze w rynnie, czy jesień?

Czerwona nad czarną wyżej
odlewa z serca dzwonną krew.

Odejdź, bo ta w pobliskim przylesiu
wysoko skacze jak żreback pożaru.

Najmłodsza – zielonożytnia
Nad źródlanym płacze strumykiem.

Ponad łąką muzykę sześciostrunnych skrzypiec
sztafeta słupów zanoszą do lasu, za pole.

Zapomnisz o nich – w książce wstążka czarna,
jak kurzawa sadzy, zamula ci oczy.

Mamo, Twoja i tamte wstążki odpleć mi dzisiaj
i pięknie owiąż rozczochrane wiersze.

*„Życie Katolickie”, 1936, 13 grudnia, nr 50, s. 792,
V kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

W lesie

Patrz

jak liściotrysk brzozy bije

i krople liści drgają, drgają

w błękitnej prawie ciszy!

Tunelem drzew przechodzę do leśnych polanek.

Zasypiają oczy, lecz znów się budzą jak poranek.

Brzozom, brzozicom,

leśnym dziewczętom, wirują warkocze w tańcu.

Liście poranku przy lesie, przy gaju,

czekają, czekają

na płomień jesiennych drzew – – –

Już łuna wieczornych liści

w orszak sypie światła i śpiew.

Wtedy

las moje metafory czyści.

„Życie Katolickie”, 1937, 11 października, nr 37, s. 576,

VI kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.

Nauczyciel wołyński

Smutny nauczycielu!
Twarz twoja – smutku kwiat,
szary poemat
ścieli się, ścieli...

Biała szkoła, rumiankowe ściany,
wśród dzieci, książek i zeszytów.
Zlituj się, Ojczyzno, zlituj,
wytrwaj nauczycielu kochany!

Detefon, w piątek list i gazeta
odwiedza cię – a Pan Jezus w niedzielę.
Smutny nauczycielu,
sercem się dzielisz jak poeta.

Na czole rosa
mgła bieli oczy.
Najpiękniejsza wiosna do szkoły kroczy:
dzieci ją w koszykach do chat niosą.

Budzisz czas ranny.
Uśmiechnij się, nauczycielu kochany!

*„Życie Katolickie”, 1937, 12 grudnia, nr 50, s. 787,
VII kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Motyw Wołyński

Świta.

W jakim stroju błądzi po miedzach kobieta.

Mówią gosposie: do kubła zbiera rosę

i krowom przynosi;

gdy chlebem je pożywi i rosą napoi,

najlepiej we wsi będą doić...

Wyjaw tajemnicę:

dlaczego w tym stroju

szukasz o świcie tajnego napoju,

a wieczorem w bieli obchodzisz pół granicę?

Powiedz, czarownico...

*„Życie Katolickie”, 1938, 7 sierpnia, nr 32, s. 500,
IX kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Prawie

Gdy
czas najpionniej wyrasta nad tor
namiętnością ciągnącego południa
jak czerwień serca i myśli:
świat rozrzucony wśród planet i gwiazd
związujesz trzepotem sztandaru
jak
ptak,
jak
ptak.

Odlatują zielone ptaki
i spadają liście.

Ktoś szepce :
– Patrz: płonie poezji krzak.

„Okolica Poetów”, 1936, nr 2(11), s. 12.

Kopanie ziemniaków

Zgrubiałe struny radlanek
Lekko drgają: jesień przysłała je stroić.
Dojrzały pieśni, dojrzały ziemniaki

Dziewczęta kołyszają smyczki rąk,
Motykami wiodą po strunach,
Bije, chustek bije łuna.

Smyczki	Rytm	Dziewczęta
zgrubiałe	motyk	łowią
radlanki	struny	kuliste
tną	siecze	ziemniaki

Rytmu, motywów, ziemniaków pełne kosze
Teraz je znoszą.
Na wóz zsypują galopujący refren,
Jak do grobu

„Okolica Poetów”, 1937, nr 2(23), s. 13.

Przy Parku Wilsona w Poznaniu

Zielenią owiany tramwaj pędzi jarem kamienic, doliną.
Za nim wóz, za wozem szyny – czyje to lejce zgubione?

Dziewczyno,
idąca w nocy stronę,
myśli twoje i spojrzenia
ścigają się z lotem ptaków ognistych – lamp,
Niepokój, piękno w oczach gra –
i radość twej młodości do wiersza wkładam.

A tu Wilson Europę o pokój błaga,
o słowo najcichsze prosi jego dłoń,
– Hiszpanio, Europo.....

„Okolica Poetów”, 1937, nr 8/9 (29/30), s. 31(55).

Pierwszy wieczór

Drogo przez las –
zasłana w ten wieczór wonią kwiatów i szumu,
nutami ptaków i dalekich sosen:
o, mowo drzewnego tłumu –
wciąż pachniesz mi świeżo, jak Twoje oczy radosne i włosy

Wciąż grasz,
drogo piękna i tęsknoty.

Lecz pamiętasz ów moment złoty,
Gdyś kołysana niepokojem po zorzach kwitła na skraju lasu,
Nad piaszczystym źródłem?

Dziewczyno w białym berecie:
Oj, moment już się w zorze zanurzył – w noc odleciał –
Lecz wciąż czuję ciepłe ręce oddane i dobre spojrzenia.

Chwilo szczęśliwa, jak wówczas w nas
grasz?
Wiem: tyle masz dzisiaj myśli, ile śpiewu i szumu las;
wiesz: jak korony wieczorne przyjaźń się rumieni.

Wtedy na skraju drzew, na jakim brzegu
Dziś w strofach kwitniesz? Dni czaru nie umrą.
Módl się za pieśni moje,
Módl się za pieśni moje
Podpieraj serca kolumną!

I pomyśl – stajesz się wierszy serdecznym chlebem.
Moja panno dobra, wszystkie winy mi przebacz!

W poezję i radość przepłyną
Chwile czaru dziewczyno, dziewczyno.

„Kamena”, 1938, nr 5, s. 91.

Ballada

Skamieniały bór
W czarny marmur.
Prószy z niego żałobna mgła
I dziwożony wychodzą jedna, druga.

W ciszy pluska ich wysoki chichot
i księżycyca – cicho.

Z lewa czołgają się wzgórza – już blisko.
Północ bije. Słysząc szept: Powalisko, Powalisko,
Chodź ze mną na żalnik.
Idą z Marchołtem wywłóczyć ... O, umarli...

Straszy upiorna noc, demoniczna mgła.
A księżyc zląkniony ukrywa się w chmurach.

„Kamena”, 1938, nr 7, s. 135.

Przez młodość

Zapraszam Cię do poetycznej łodzi.
Młodości wodo, nadziejna wodo,
ręce prześpiewaj na wiosła;
będzie przestrzeń szczęśliwa rośla
usta gorące ochłodzi.

Dziewczyno, czóлно błogosław!
Odwieziemy młodość – wiersze przywieziemy tą łodzią.
Fale ją kolebiają.
Ty – przyjaźń przepiastuj w słowa,
w pieśń – młodość.

Rozpadną się wodne dzwony
Zgasną mokre wzgórze.
Czoła i horyzonty się zachmurzą.
Lecz tak szybko zmilkną ciepłe łony?

Pomyśl –
fala wita się z falą, szum z szumem, z wodą woda;
I nasza młodość.
Gdy spojrzę w Twe oczy – kierunek moich podaj.
W sercu wiarę, wiatr na czole, w oczach śpiew sosen.
Po triumf płynimy zwycięską strofą – w dłoniach zapal wioseł.

„Wici Wielkopolskie”, 1937, nr 7-8, s. 58;
„Okolica Poetów”, 1937, nr 6(27), s. 11(203).

Dzieciństwo wiersza

Przede mną leży bryła słów:
pierwotna i szorstka,
jak wiersze młodego poety.

Młot myśli pochwycę.
Rozbiję,
roztrzaskam,
rozpylę
na słowa-atomy.

Stare słowa
przetopię na nowe słowa,
zbuduję strofy,
i jak skibkę chleba
Wam podam
wiersze.

„Miesięcznik Literatury i Sztuki”;

„Organ Komisji Artystycznej Związku Nauczycielstwa Polskiego”, 1935, nr 9.

Wieczorem

Jeźdźcy sosen dzień wiozą nocy.
Cwałują półkolem wieczornego horyzontu.

Już kroczy.
Wichrze, wstrzymaj koni namiętą pierś,
bo wgalopują w płomień!
Choć kare, rzucają na błękit gniadą sierść.

W pędzie się złali.
W obręcz boru
ich oddal – przetapia – miedź wieczoru.

W kolonii Wiszniów i Aleksandrii
gospodynie rozprawiają oknom prostokąty światła,
z obór niosą udojone mleko.

Dlaczego drzewa kwitną zimą w sadach
wołyńska chato mi się spowiadaj.

U Skarżyńskich darcie pierza.
Dziewczęta przyszły i usiadły za stołem.
Oblatują im chichoty i rozmowy wesołe.
W sita przesypują pierze z worka,
co rosło jak ciasto w dzieży.
Chłopcy weszli. Usiedli wzdłuż pieca.
Oj, będą się pannom zalecać, zalecać
i śpiewać polskie i ruskie śpiewać pieśni.

Dziewczyno, dziewczyno,
będziesz miała pierzynę.

„Kurier Literacko-Naukowy”, 1937, nr 3.

Motyw

Świta

W jakim stroju błądzi po miedzach kobieta.

Mówią gosposie:

do garnuszka zbiera rosę i krowom przynosi,
gdy chlebem pożywi i rosą napoi
najlepiej we wsi będą doić.

Wyjaw tajemnicę:

dlaczego w tym stroju
szukasz o świcie czarodziejskiego napoju,
a wieczorem w bieli obchodzisz pół granicę.

Powiedz czarownico.

„Kurier Literacko-Naukowy”, 1938, nr 50.

Smutny wiersz

Szyny ukrzyżowane na polach ze wschodu na zachód,
jak istnienie
i droga równoległe z zachodu na wschód,
jak kierunek myśli – twojego: „o marzenia”.

Pociąg – dom, dym – tęsknota,
myśli gorące wiózł i splatał;
takt szyn, krew i serce:
najsmutniejszy dziś werbel.

W procesji chat dom szary pytał jak serce nauczyciela,
ach, kiedyż wakacje, ta najdłuższa niedziela?

Matko, matko! Nie przepłaczesz prawa;
jak wiosna droga odeszła i tylko w snach ci się zjawia.

Biedna córko, cóż ci to wszystko, mądre księgi,
gdy najpiękniejszej nie poczytasz, nie możesz sięgać...
O, słodkie wspomnienia, jak w ogrodzie jaśmin:
nad drogą najszczęśliwszy smutek topoli, kiedyż się zaćmi?

„Fantana”, 1938, nr 2. s. 12.

Wołyński las

Gdy mnie nie było,
i was nie było,
rósł wołyński las.

Drzewa
lesiły się bezkresnie
pachnąc żywicznie i leśnie.

Ramiona
kładły na barki
na szyję
na biodra
(dzieci tak kładą w zabawach)
i śpiewały słowiańską pieśń.

Czas
rozłupał gęsty las
gęstą treść

„Okolica Poetów”, 1935, nr 2, s. 18.

Wieczne rąbanie

(z cyklu: Wołyń)

Bór.

Biały dom.

Tor. Pole.

W przychaciu dwóch:

ojciec i syn,

jak linie bliskich szyn.

Ojciec rąbał drzewo,

syn

– drewnianą pochodnią powiewał.

Ojciec i wieczór,

syn i pochodnia:

tłumaczy i upodabnia.

„Okolica Poetów”, 1936, nr 1(10), s. 10.

Urok wiosny

Urok wiosny zmartwychwstaje
w orce, nadziei traw, gwiździe ptaków i płaczu czajek.

Na pagórku sosenki – fontanny czaru,
mieszkanki poetycznego obszaru.
W oczy chluszcze piana sosenna, mogą teraz pić urok.
Do strof zachwytu mi natrząś, wicherze, chmuro.

Pod lasem łąka zmartwychwstaje!
Nie kwil, czajko, choć w strózkach
pochowana będzie twa siostra –
przetopię chór traw i solo czajek.

Na brzoźnych strunach
poeta z wichrem gra o pięknie Wołynia.
Lesie gałązeczkami nut oplatasz skronie
i śpiewne dłonie.

Graj,
znój i zapal przesuń do pieśni,
śpiew oddaj:
niech się w wierszach rozleśni.

Urok wiosny zmartwychwstaje
w orce, nadziei traw, gwiździe ptaków i płaczu czajek.
Wiosno, pięknem Wołynia poświeć me pieśni,
Stoję w skibiennym zdroju.
Urodę zakwitaj mi poezjo, dziewczyno moja!

Stefan Szajdak (Kiwercze)
„Kurier Literacko-Naukowy”, 1937, nr 18.

Muzyka

Jesienna poro – grają barwy zórz i krwi.
Ścinasz słoneczne dni:
Ściany się chwieją, sypie się próchno mgieł i brzóz.

Kopaczki przeczytał radlanek stronice
a pątniczki traw prorocstwo kos, śmierci granicę.

Mgła wspomina o trumnie,
Z liści wiatr plecie wieńce – kto umrze?
Wichrze, siostra umiera – słoneczna dal.
Ty za oknem płaczesz, tej siostry ci żal?

Jesienna poro – grają barwy zórz i krwi.
Ścinasz słoneczne dni:
Ściany się chwieją, sypie się próchno mgieł i brzóz.

Walc żałobny grają wiatru organy
A Chopin na pożółkłym fortepianie.

Stefan Szajdak (Kiwerce)
„Kurier Literacko-Naukowy”, 1938, nr 3.

Do kościoła

Twój piękny gotyk
przystraja suknie suknia kwitnącej czeremchy,
Aniele, trzewiki grają w prawej ręce
a lewą torebką taktujesz i kręcisz.

Minęłaś wieś białą i anioły brzóz,
Co lato wiodła do wsi, strzegąc łąk i zbóż.
Traw przy ścieżce i pszenic się spytaj
Czy cień gotyku nie przygniótł żyta.
Oglądaj się, na warkocz
motyl niebieski rwie się jak w oczach.

Za lasem wspaniały gotyk wszedł więc zaczekaj panno,
pomogę ci wzuwać każdy trzewik
za ten wierszyk
bukiet ranny.

„Kuźnica”, 1938, nr 13, s. 5.

Przyjaźń

Czesławowi Janczarskiemu

Brzęk pszczół, woń płatków i owocu
przekołyśz mi, sadzi, do pieśni, dniem, nocą.
Kołysem oczeretu i traw
łąko, pokoleb wiersze – zbaw
Żyta, pszenicy, owsa i jęczmienia szarfą
Przepasz, ziemio, gorącą pierś. Podaj zbóż harfę.
Szeptu sosen, natchnienie brzóz
i gwizdu ptaków naszum, o lesie nastruż.
Od dziś chcę rozumieć i ukochać was
o. lasy. chaty i sady,
o. pola, łąki i lasy,
o. wichry i niebo.
Urodzajny kroczy czas.
Dachy chat tęsknią do anten.
Szum książek i gazet traktuje niewiedzę,
zagłusza dni tamte.
Widzisz miedzę?
Na czole wiatr.
Zezuję obuwie
i w ziemi ochłodzę stopy bosc.
Przepływem czarnoziemnych skib
natchnij mnie o rolo,
i pokrop czarem swoim w porannej rosie.
W oczach noszę odbicie, by poezję mą rozblił.
Gdy młodość gotuje się jak wrząca woda –
w pieśni powiązę Wołynia urodę.

„Życie Katolickie”, 1936, 14 marca, nr 11, s. 163.

* * *

Za czernikowskich dni
rozsyłałeś poetyckie wici
zwołując autentyzmu młodych rycerzy

Na czele poetyckiej armii
stał skromny wódz – poeta
z małego miasteczka

Dał swym rycerzom
pierwszą strzelbę do ręki
poetyckie słowo
i żołnierski zapach do boju

Przez 5 lat trwała walka

Niosła się po kraju
skromna wiktoria
poetycka gloria
wyższa od Bałczyny

W wielkiej wojnie
broniąc ojczystego kraju
padło wielu jego żołnierzy

Wódz padł na polskiej ziemi
wśród śpiewu ojczystych zbóż
na łódzkim cmentarzu

Z drobnych wiktorii
blasku autentyzmu strof
upletli Mu żołnierze wieniec laurowy

Co Ci dam dzisiaj poeto
Co Ci dam za poetycki łuk?

Mam
dzisiaj
tylko
skromny naszyjnik
uwity z owoców wiejskiej jarzębiny

Ostrzeszów, dnia 4 czerwca 1978 roku

Mury sędziwe. Wypisy z poezji o Ostrzeszowie, Ostrzeszów, 2010.

Wiersz napisany z okazji sesji pt. „Dziedzictwo Autentyzmu” dedykowanej S. Czernikowi w Ostrzeszowie 4 czerwca 1978 roku, w której Stefan Szajdak uczestniczył.

* * *

Nie lękajcie się
poetów,
pieśni.
Wielbią urodę
ziemi i nieba.

Opowiadają
dobrą nowinę.

Jak wigilijny dzwon,
kolędy,
zanoszą błaganie,
aby nie zabrano nam
światła,
pokoju.

Kluczem wersetów
otwierają
doskonalszy świat.

Dedykacje słońcu, część – Z blasku gwiazd, 1992, s. 8.

Myśl i słowo

Myśl –
kwitnąca łąka,
limba wysokich gór
i melodia morza.

Słowo –
owoc dojrzewający w pieśniach.

Poezja –
rajski sad,
ogrody wiszące Babilonu.

Poeci –
zapraszają
na królewską ucztę.

Dedykacje słońcu, część – Z blasku gwiazd, 1992, s. 9.

Poezja

Ptaka z rozpiętymi skrzydłami
spina
ziemię i krainę gwiazd,
otwiera dalekie krajobrazy.

Urodna dziewczyna
unoszą wiosnę w źrenicach.
Matka obdarza spragnionych
poetyckim chlebem.

Prostokątne strofy
szumią jak pola
urodzają myśli
dla ludzi.

Kwitający sad
z orkiestrą pszczół
niesie urodę słów
do pieśni.

Blask myśli, część – Ziemia ojczysta, 1994, s. 8.

Przeszłość

Pochód narodów
do światła.

Strzaskane posągi
brutalnych władców,
grzesznych książąt,
zgasłe imiona
wryte w kamieniu i księgach.

Czas wojen krzyżowych,
stosów czarownic
i powstań krnąbrnych chłopów.

Świat deskami zabity,
rumowisko stuleci,
krwawych podbojów,
przyjaźni, nienawiści
i nadziei.

Dedykacje słońcu, część – Impresje, 1992, s. 45.

Dni

Dni przystankami
na których
nie zatrzymuje się czas

Wschodzą i gasną
jak gwiazdy

Wybuchają zielenią
i opadają
lotem jesiennych liści

Przez granicę zórz
i ciemny las
przenoszą trud i radość
w brzezinowy świt

Jak jesiennie ptaki
odfruwają do innych krajów

Na białych kartach
zapisują rytm ludzi i przyrody

Drugi Puls. Almanach Poezji Nauczycieli, Poznań, 1984, s. 76.

Samarytanka

Wyrzeźbiona słońcem
w cytrynowej sukni
kroczyłaś dostojnie
z domu do studni.

W dzbanie na głowie niosłaś
urodę
i chabry nieba.

Czarująca córo,
daj kubek źródlanej wody
ze studni Jakuba.

Podziękują ci
oliwki na wzgórzach Samarii
i lśniące wieże Sychem.

Dedykacje słońcu, część – Z podróży, 1992, s. 36.

Kana Galilejska

Drogo

unosząca zmęczone me stopy
z Nazaretu nad Jezioro Genezaret
wśród kamienistych zboczy
ochłódź me oczy żyznymi polami kłosów
a stopy falami jeziora

Drogo

zmartwychwstająca w tumanach pyłu
zmęczona od pożaru słońca
i krzyków biednych arabskich dzieci
błagających o jałmużnę – bakszysz
daj odpoczynek w galilejskiej Kanie

Smutna wioszczyno

ubogość twa mieszka w źrenicach obdartych dzieci
i każdej cegle
wypalanej na słońcu

W krypcie franciszkańskiego kościoła

starożytna amfora – falsyfikat
woła nas historią
dawną glorią

Kano

zaproś nas na ucztę weselną
Przemień me strofy w 6 stągwi
a każdą myśl w słodkie wino
Przemień przydrożne kamienie
w okrągłe bochny chleba
a każde razowe me słowo
w kromkę chleba

Daj dzieciom najeść się chleba do syta

a starcom napić się wina do syta

Drogo
splatająca meandrami szosy
Jeruzalem i Kanę
usychasz dziś od skwaru słońca

Słońce
niebieska huta
dziś przestrzeń 150 kilometrów
rozciąga
i wydłuża daleko

Lecz od smutku do radości dzieci
jeszcze dalej
jeszcze dalej

Folder. Klub Nauczyciela w Poznaniu, 1980.

Dead town w Kairze

Słońce
na fletach
wygrywa blask faraonów,
piramidy Cheopsa w Giza.

Ulice
wezbrane kolorowym tłumem
toczą splendor wieków.

W kioskach
kupisz złote monety,
jak barwne gazety.

W dead town
płoną tysiące pomników
– zwykłe domy.

Kairski cmentarz,
rozległe miasto
opowie glorię i łzy stuleci.

Dedykacje słońcu, cześć – Z podróży, 1992, s. 39.

W lipcu

Młodziutkie lipy jak poborowi
o nie ustalonych kształtach
wynurzają się z nocy.
Poranek ubiera je w mundur wojskowy
blask zórz
i przygrywa orkiestrą pszczół
kołysaną gałęziami drzewa.
Kareta słońca z jednym kołem
zawiezie na poligon
i kołdrą obłoków okryje przed chłodem.
Pod lipą pachnącą
tak pragną kochać
żołnierze dziewczyny
i zbierać nektar
z kwitnących ust.

Nieopublikowany wiersz.

Sady zimą

Zmarznięte ciała drzew
w habitach paulinów
jak greccy bogowie z marmuru
szepcą litanie za sad zimowy
strzegą sadu modlitwą.

Cherubini szronu
w togach mgły i szronu
blaskiem skrzydeł
wskazują drogę do wiosny.

Nieopublikowany wiersz.

ZYGMUNT JAN RUMEL (1915–1943)



W 1936 roku współtworzył Grupę Poetycką „Wołyń” wspólnie z Czesławem Janczarskim, Waławem Iwaniukiem i Stefanem Szajdakiem.

Publikował utwory w specjalnej kolumnie Grupy Literackiej „Wołyń”, jaka ukazywała się pod redakcją Czesława Janczarskiego w „*Życiu Katolickim*” (1936–1938).

Absolwent Liceum Krzemienieckiego, a następnie student polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. W latach 30-tych działał w Wołyńskim Związku Młodzieży Wiejskiej. Był publicystą i przewodniczącym komitetu redakcyjnego miesięcznika „Droga Pracy” wydawanego przez Zrzeszenie Byłych Wychowanków Liceum Krzemienieckiego, dodatku do „*Życia Krzemienieckiego*”. Publikował w dwujęzycznym piśmie „Młoda Wieś – *Молодое Село*” wydawanym w Łucku i w „*Naszym Widnokręgu*” oraz w uprzednio wspomnianej „Drodze Pracy”.

Uczestniczył także w pracach Uniwersytetu Ludowego w Różynie w pobliżu Kowla, zorganizowanego w 1935 roku. Idea Uniwersytetów Ludowych wzmożła się wraz z odzyskaniem przez Polskę niepodległości. Realizowały one edukację pozaszkolną, skierowaną do młodzieży wywodzącej się ze wsi i kształciły animatorów pracy oświatowej i kulturalnej na potrzeby środowiska wiejskiego. Poeta opowiadał się ponadto za podejmowaniem działań zmierzających do wyrównywania różnic w rozwoju gospodarczym Wołynia (*Siew*, 1937).

W 1938 roku Zygmunta Jan Rumel skierowany został do Wołyńskiej Szkoły Podchorążych Rezerwy Artylerii im. Marcina Kątskiego we Włodzimierzu Wołyńskim.

Początki okupacji spędził na Wołyniu, gdzie już pod koniec 1939 roku wstąpił do podziemnej antyrosyjskiej organizacji powołanej przez dia-

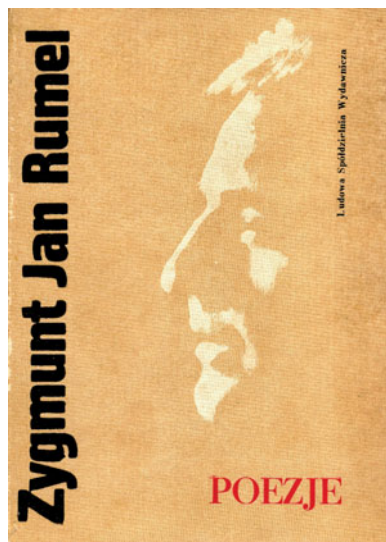
łaczy ruchu ludowego. Jesienią 1941 roku powierzono mu zadanie emisariusza Batalionów Chłopskich na Wołyń. Następnie, na początku 1943 roku promowany został przez Kazimierza Banacha na komendanta VIII okręgu Batalionów Chłopskich – Wołyń (pseudonimy: „Mały”, „Krzysztof Poręba”); (Gmitruk, 2009; Nicieja, 2016; Szajdak, 2020, 2022).

Był propagatorem współistnienia dwóch kultur – polskiej i ukraińskiej, budowania porozumienia i dialogu między obu narodami przy zachowaniu pełnego poszanowania odrębności każdego z nich. Można to uważać za paradoks historii, ale z pewnością Zygmunt Jan Rumel nie jest pierwszą, jedyłą i ostatnią osobą, która działając i zabiegając o porozumienie w różnych aspektach z innym narodem, została przez ten naród tak skrajnie negatywnie doświadczona. Zginął tragicznie w 1943 roku w Kustyczach (województwo wołyńskie, powiat kowelski, gmina Turzysk).

Z wielkim smutkiem i żalem można skonstatować, że tragizm wydarzeń historycznych wywarł decydujący wpływ na życiorys, poznanie i dostępność dorobku literackiego Zygmunta Jana Rumla. Jego pierwsze próby poetyckie, opublikowane w szkolnym piśmie, miały miejsce w 1934 roku. Utwory Rumla, dzięki ich nieprzeciętnej wartości artystycznej oraz oryginalności są obecnie coraz bardziej doceniane jako znaczące elementy występujące w kulturze artystycznej Kresów. Jego wiersze niezwykle pięknie utrwalają tamten miniony świat, dają wyraz wrażliwej osobowości literackiej poety. Ponadto sięgają one często do polskich i ukraińskich podań, legend, obrzędów, zabobonów, wyobrażeń, słownictwa pogranicza kresowego, bogactwa kultury ludowej etc. Zygmunt Jan Rumel w swej twórczości nawiązywał do tradycji polskiego romantyzmu.

Z Rumlem wiązano wielkie, uzasadnione nadzieje jako z poetą nieprzeciętnego talentu i wrażliwości, co zostało podkreślone przez Leopolda Staffa i Jarosława Iwaszkiewicza. Niektóre jego utwory pod względem poziomu i wyrazu artystycznego porównywane są z twórczością innego wielkiego poety – Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Stąd też często określa się Rumla jako Baczyńskiego Kresów. Niestety, obu nie było dane przeżyć II wojny światowej.

Rękopisy wierszy Rumla przetrwały dzięki żonie poety. Wybór jego wierszy, dokonany przez Annę Kamieńską wydano pośmiertnie w 1975 roku (*Zygmunt Jan Rumel. Poezje*). Ponadto jego utwory zawarte są w pierwszej i drugiej części *Antologii Poezji Grupy Poetyckiej „Wołyń”* (2017 i 2019), wydanych pod redakcją Lecha W. Szajdaka oraz w *Krzemieńczanin* (Gorska 2008) i w *Wierszach Zebranych* (Kuzińska 2018).



Okładka tomiku wierszy Zygmunta Jana Rumla z 1975 roku – *Zygmunt Jan Rumel. Poezje* (Fot. Lech W. Szajdak)



Fotografie od lewej strony:
 Krzemieniec – widok z Góry Bony; Liceum Krzemienieckie;
 Krzemieniec, płyta dedykowana Tadeuszowi Czackiemu
 i Hugonowi Kołłątajowi, założycielom Gimnazjum w Krzemieńcu
 (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)



Fotografia u góry: Liceum Krzemienieckie, klasa VIII gimnazjum im. Tadeusza Czackiego, 1934/1935. W środku nauczyciel Kazimierz Groszyński, pierwszy z prawej w górnym rzędzie Zygmunt Jan Rumel (Muzeum Niepodległości)
Fotografia na dole: Krzemieniec, dworek, w którym mieszkał Zygmunt Jan Rumel, obecnie Muzeum im. Juliusza Słowackiego (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Odwiedziny Piasta

Wyjdę wieczorem przed chatę, otworzę szeroko wrota,
wyniosę
chleb, kołacz, mleko i miodu garniec
i próg posypię piaskiem, izbę chędoźnie ogarnę...
Może Piast siwy o zmroku do mnie w gościnę zawita.

Psy zaszczekają radośnie, bydło w oborach zaryczy,
wieś cała wyjdzie naprzeciw Staremu Kołodziejowi,
co z drżącą ręką u góry, z na Wschód zwróconym obliczem,
będzie ucichłym polem i ludziom błogosławił.

A potem wszyscy wspólnie pod tą ubogą strzechą
zasiądą świętym zwyczajem do prasłowiańskiej wieczerzy.
W dymiących misach strawę podawać będzie Rzepicha
i białe ciasto pomnażać w wielkich chlebowych dzieżach.

I może, drogą znużeni, przyjdą z Zachodu wędrowce,
odziani w płaszcze podrózne u zakurzone sandały...
I cud z przed lat tysiąca może się ziści raz jeszcze,
że z ludźmi przy jednym stole wieczerzać będą anioły.

*„Życie Katolickie”, 1936, 9 lutego, nr 6, s. 84–85,
I kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”*

Noc

Czas stąpa krokami godzi, wzdłuż i wszerz: równo, miarowo.
O godzinie dwudziestej czwartej kończę dzisiejszy dzień życia.
Pokój o ścianach obcych – sześcian kwadratowy –
i okno – spojrzenie w ciemność po ramie z odblaskiem księżyca.
Zegar bije powoli – liczę: uderzeń dwanaście, –
ciszą wzdłuż i wszerz pokoju przechadza się czas krokami.
Księżyc – srebrzysty lunatyk – pogasił latarnie w mieście.
Niebo kirem rozpięte opadło na dachy płotami.

*„Życie Katolickie”, 1936, 9 lutego, nr 6, s. 84-85,
I kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Dziś

Już nie w modzie hiszpańska gitara
Ani włoskie, piękne serenady...
Dziś muzyką jest nam dźwięk dolara,
A koncertem zaś hockej Kanady.

Dziś, gdy miłość mamy na ekranie,
A w dancingach zgrabne for-dancerki...
Gdy zabawką na lwy polowanie
I miast kwiatka słoń u botonierki.

Dziś gdy profesor Piccard zwiedza stratosferę,
I lunetą szukamy mieszkańców na Marsie,
Gdy lekarze, w godzinę – uleczą cholere,
Gdy przez megafon uliczny mamy tango Warsa.

Dziś gdy nad oceanem krążą Zeppeliny
I gdy oba bieguny flagami przybrano,
Gdy świat można objechać w przeciągu godziny...
Dziś rachunku sumienia zrobić nie umiano.

*Luty-marzec, 1933,
„Nasz Widnokrag”, kl. VII.*

Poranek

Mojej siostrzyczce

Na łąkach siano pachnie skoszonym lipcem
a bosonogi grajek brzozom zawodzi wiklinowe smutki,
aż się wychylił i nasłuchuje z przydrożnej kaplicy –
Jezus malutki.

Mgławki poranek rosą się wplątał w zielone trawy,
krowa go stamtąd zliże mokrym językiem,
a z koniczyny uszy wystawi zając ciekawy,
aż pastuch pędzący bydło spłoszy go krzykiem.

kl. VIII.

Pole

Nie będę dziś sobą,
nie będę mądry i ludzki...
Wpatrzę się w polne niebo,
w płócienne, lniane obłoki.

Wystarczy mi świerszcz w koniczynie,
koncertujący pod liściem
i te badyle niczyje
w niebo sterczące kiścią.

Nie będę o niczym myślał,
ani niczego żałował...
...jarzębinowy wisior
smutek rumieńcem zachowa.

A potem – potem gdzieś w rowie
wargi przytulę do ziemi...
...wszystkie swe bóle wypowiem
...wrosnę zielonym korzeniem.

Listopad 1934

Jabłoń aksamitna

Jance Sułkowskiej

Odpłynęłaś w głębinę zachodu
Poza sine kontury wzgórz
Poza kryształ nocy i chłodu
W bladym smutku zwarzonych róż.

Odpłynęłaś w mrok pełnobarwny
W akwarele płonących zórz
Jak rzucone w płomienie ziarno
Które nie wszędzie już.

Odpłynęłaś mowo błękitna
Z oczu moich wyjęta dna
I próżno teraz pytam

Jabłoń aksamitna
W smutku jak dawniej trwa
A może przekwitła?

Krzemieniec 1937

Zajazd

Zajechali nocą zbrojni przed dwór –
Toporami wyrąbali wrót zwór...

Malowanych – malowanych wrót –
Co zaporą skrzypiały u kłód...

Rozrąbali wtargnęli – i w głąb...
Wrzask zahuczał... Odzwierza rąb!

Posypały się w drzazgach skry –
Pod toporów ciosem – jak kry...

Posypały się skry od drzazg –
Runął w cień – runął w sień dźwierców trzask!

Sienią w sień – cieniem w cień – druga sień –
Rąbać sień! Rąbać cień! Rąbać w pień!

Cień już padł – sieni dwie – komnat trzy!
Krwawy ślad... Jakiś krzyk!... Iskier skry!

Oknem w sad! Ratuj! Mord!... Dalej bór...
Zajechali nocą zbrojni przed dwór...

Wrzesień 1939

Werset

Twój dziad w czerwonym polu
Szkarłatne kwiaty kładł –
Twój ojciec niósł do boju
Dwadzieścia młodych lat...

U września ran koralu
Zastygał śmiercią brat –
Gdy wstyd twe czoło palił
Że on – a nie tyś padł...

Dziś tęsknisz – werset stali
Płomieniem krwawych szmat –
U nowych ran koralu
Jak ojciec nieść i dziad...

Listopad 1940

Maskarada

Zatańczą kolumnady w muzeach ojczystych –
Szambelanowie strojni – księżne przeźroczyście...

Księżyc wpłynie przez okna – może ukraiński?
I wrócą emigranci ze Stasiem Leszczyńskim...

Perfumy woń marmurów po salach rozleją,
Zapachną kandelabry lampkami oleju.

Poeta romantyczny cień upnie firanek –
A sufity przesnują gwiazdzisty firmament.

Może szablą zaszczęknie – może szyszak spadnie?
Może przejdą z poselstwem francuscy notable.

Arcybiskup przysięże jakoweś tam pakta –
A słowo zgrzytnie – veto – w gablotkowych aktach.

I cienie znów pobłądzą – zaszemrzą marmury –
Aż północ tajemnicza trzykroć jęknie kurem.

I papachą wyskoczy watażka Chmielnicki –
I porwie z Sali księżyc – księżyc ukraiński.

1940

Moja chwila

Tylko ten smutek który zna
Moja piosenka – no i ja.

Te kilka bladych błahych słów
Co księżycowi kradły nów.

I jeszcze sen i jeszcze płacz
I walet kier – bladziutki gracz.

I malowanych dzbanów dno
Co polewaną glinę gną.

I tylko chwila – chwila ta
Którą piosenka zna – i ja...

1940

Anioł czuwający

Jance Sułkowskiej

Snem czuwasz przy mnie – anioł w czerni –
Z tajemną różdżką przeznaczenia –
Snem – jawa Twoja się dopełni –
Nieprzemieniona w krąg istnienia.

Snem czuwasz przy mnie promienista –
W welonie czerni na ramionach –
Żałobna, smutna – ale czysta,
Ale już wiecznie odkupiona.

Snem czuwasz przy mnie – czuwająca –
I znak namaszczaś na mym czole,
Różdżką – jak anioł snów – kojącą
W pozaświatowym bytu kole –

Snem czuwasz przy mnie – – –

Listopad 1940

Do przyjaciół

Ścieżka która spotkania nasze błękitem wywiodła
i liry cienkostrunność stoczyła w łęk siodła –
by dłonią spiąwszy obłok dalekością konia
skracać celom odległym niemożność dokonać
odpiąwszy śpiewność lauru lotnym dziobom ptaków
a barwność kształtującą kwietniejącym makom –

Ta ścieżka nie z przypadku ślad swój odnalazła
a łęk świecący korą próchnicy na gwiazdach
odgarnąwszy – na żyły natknęła się pewnośc.
Czy kopalnią oddzwoni cienka struny śpiewność

nie wiadomem dla dzisiaj. Pierścienia początek
zanim północ obiegnie magicznym trójkątem
wpiętym w cykliczne ciało natchnień runowieszczych
by dojść gdzie pokładami szumią złoża wieczne –
nie wiadomem dla dzisiaj – jednego pamiętnem
stać się trzeba naczyniem – by dążyć za pięknem.

1940

O dniu i nocy ballada w pewnym nowym mieście

Pani pewnej przypisana

Za zielonym ogrodem –
za podwórcem dzwoniącym –
klasztór sennym nieszporem
w popołudnie potrąca – –

Spływa zieleń w przeddasze –
cień się modli do słońca –
promień białym pałaszem
ciosą mury z gorąca – –

Za podwórcem i murem –
za klasztorem i sadem –
dachy ścielą się bure
które klasztor spowiada – –

Ściany biegną ku ziemi –
rdzawozłote i srebrne –
płuczac okna w zieleni
szyb odbiciem podniebnym – –

Za ścianami szyb okien –
pokoiki trzęsące
w półmrok tańczą dwukrokiem
nocą – srebrem miesiąca – –

Lampka błyska świetlikiem –
w drzwi otwarte – tak krucho –
obraz koniem pomyka –
zegar cyka cyfr skruchą – –

Cień firanki upina
w czyjeś dłonie i ręce –
aż klasnęła detyna
poczajowskiej panience – –

Zapach bzu się pochyla –
ponad sen rzęs i powiek
zastygając w smug chwilach –
w baśń senniejszą niż człowiek – –

1940

Dwie matki

Dwie mi Matki–Ojczyzny hołubiły głowę –
Jedna grzebień bursztynu czesała we włos
Druga rafy porohów piorąc koralowe
Zawodziła na lirach dolę ślepą – los...

Jedna oczom tańczyła pasem złotolitym,
Czerep drugą obijał – pijany jak trzos –
Jedna boso garnęła smutek za błękitem –
Druga kurem jej piała buntowniczych kos

Dwie mnie Matki–Ojczyzny wyuczyły mowy –
W warkocz krwisty plecionej jagodami ros –
Bym się sercem przełamał bólem w dwie połowy –
By serce rozdwojone płakało jak głos...

Lipiec 1941

Drukarnia

Czarne literki w taśmach mitraliez,
Odbite rzędem na lustra stronic.
Głuche jest tętno tajnej drukarni –
Zmęczonej dłoni palący płomień.

Czterech?... Czy cienie?... Liczy maszyna!
Podwyższyć nakład! Dziesięć tysięcy!
Cztery są serca – lecz imion nie ma,
Może je kiedyś pamięć wydźwięczy.

Czarne literki w stalowym rzędzie...
Czterech?... Czy jutro?... Godzina szósta!...
Dziesięć tysięcy maszyna przędzie
Czarnych literek na białych lustrach.

Czy jutro?... Jutro!... A może dzisiaj
Buchnie nad miasto płomień jak salwa!
Czarne literki piaskiem przysypie...
Nitką czerwoną ziemię ubarwi...

Warszawa, luty 1941

Przewodnica

Zakukała kukułeczka zozula
szarym świtem przez zielony liść,
dzieciół czarny po korze zaturlał –
możesz iść – możesz iść – możesz iść...

Zakukała zozuleńka, zakukała,
wykukała z sinej chmury świt,
świt po niebie rozsypał róże białe
cyt – poczekaj – poczekaj – cyt –

Zakukała, zakukała donośniej –
nagarneła z sinej chmury róż,
tam pod lasem bujne żytko rośnie
przejdziesz miedzę – miedzę wąską wśród zbóż...

Zakukała, zakukała ciszej
obok miedzy przysiadła na głóg –
kroki słyszę – kroki słyszę – kroki słyszę –
lichy nie śpi u rozstajnych dróg.

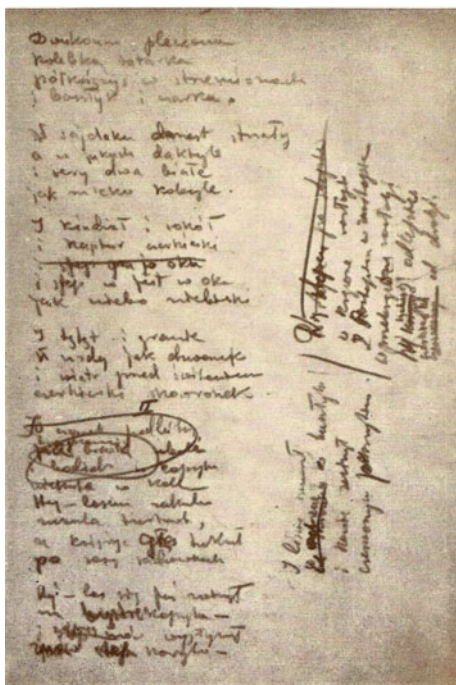
Zakukała, zakukała mi znowu...
przeszli, znikli – teraz idź – prowadź Bóg!
Kukułeczko, zozuleńko, bądź zdrowa –
moja rzeka już jest tu – chłodny Bug.

Czerwiec 1941

Step

I

Dwukonna pleciona
kolebka tatarka,
półksiężyc w strzemionach
i baszłyk i czarka!
W sajdaku chrzest strzały,
a w jukach daktyle
i sery dwa białe
i mleko kobyle!
I kindżał i sokół
i kołpak czerkieski
i step co jest w oku
jak niebo niebieski!
Za lasem załkała
zozula turkawka,
a księżyc głos turlał
po rosy sadzawkach!
I liściem sznurował
srebrzyste baszłyki
i konie zaciął
czerwonym pokrzykiem!
A las się już zwinął
na bystre kopyto
i zaprzęg wypłynął
znów w stepu koryto!
Burzanem! Burzanem!
W kręczone rozłogi!
Stój!! Dworu to ściany
Stanęły w bieg drogi!



Oryginał wiersza *Step*
Zygmunta Jana Rumla

II

Miesiąc biały
miesiąc biały
ostrowcem płynie –
płucze rosą
płucze rosą
warkocz kalinie –
Moje płyną
moje płyną
jaśniejsze kosy –
wijąc liczko
wijąc liczko
srebrniej od rosy –
Sinym stepem
sinym stepem
bojaryn jedzie –
miesiąc złoty
miesiąc złoty
kolebką wiezie –
Oj nie miesiąc
oj nie miesiąc
wiezie on złoty –
ale serca
ale serca
szczerą ochotę.

Czerwiec 1941

* * *

O! Nie pytajcie się dlaczego
Skąd się ta prawda we mnie bierze
Dająca wid niewiadomego
I miarę którą myśli mierzę.

I wiara która wizje składa
Pod szept gorący tego pióra
Że Naród co dziś tli w pokładach
Stanie jak wielki Waligóra.

I miecz i wagę swą podniesie
I prawa swe jak słupy wważy
Wypogodzony jako jesień
A silny jako wola w twarzy.

I granie swe bukowe wbije
Dokąd imieniem sławy sięgnie
Komu wolności szlak odkryje
Na nie pisaną dziejów księgę.

Że się zjednoczy ponad siebie
Obejmujący inne plemię
I prawdą czynu zakolebie
Sen – który dotąd jeno drzemie.

O! Nie pytajcie się – dlaczego
I skąd – ta prawda którą mierzę
Dająca wid niewiadomego –
Bo z Was się ona we mnie bierze.

1941

Pieśń

I

O twej krasie słyshałem dumy i smutne jak dumy pieśni,
o łągach twych ponadrzecznych i chłodnych ustroniach parowów,
i co wiatr czarnomorski nocą w gałęziach leszczyny szeleści
żałobą rozhovorów.

Słyshałem – żeś chlebem pachnąca i miodna okwieciem gryki,
a tęskna, jak tęskne melodie śpiewają w sadach chutory,
żeś czarnobrewa młoda, rumiana i niezdożyta,
co napój warzy miłosny z ziela gorzkiego jak piołun.

Słyshałem – że dziadów pamięcią sięgasz w czas starych pacierzy,
gdy kniazów Konstantych w Ostrogu błyszcząły złote zbroice,
a perekopski chan ordą szlaki tve sine mierzył
i ponad łuną pożarną półksiężyc zapalał zniczem.

Słyshałem – że czajki tve bystre odwetem na wschód nosił Horyń,
i nie wróciła z nich żadna – usnęły na Dniepru porohach...
Tylko w poranki mgliste imię szeptały – Wołyń –
burzany gęsto rozsiane po ukraińskich drogach.

II

O twej krasie słyshałem dumy i smutne jak dumy pieśni
ziemio szeroka wołyńska w jasny rzucona przedwieczesz,
– ale dziś sercem i dłonią chcę nową pieśń ucieleśnić,
pieśń może prostą, tak prostą, jak chleb nasz codzienny i pacierz.

Prawda, żeś z innych ziemio najbardziej bujna i piękna,
na harfie grająca barwy każdej dostałej jesieni,
albo pachnąca oparem wiosennym, mgłą miękka,
i latem z przyzb się śmiejąca – Łada słowiańska i Ksieni.

Ale to wszystko jest szatą i jędrnym ukrytym w niej ciałem,
świadczącym o mocy i pędzie żywicznych w żyłach twych soków,
jak jabłoń pyszna wyglądasz, okryta w jabłka dostate,
ciężarne miąższem złocistym i ciepłem słońca potoków.

To wszystko jest szatą jeno – jej barwą, światłem i cieniem
i tą tęsknotą, co z piękna pełnego kształtu się rodzi,
ale dziś – dłonią i sercem chciałbym odnaleźć to drzenie,
które, nim jabłoń wyrosła, szczepiło jej pędy w ogrodzie.

III

Samodziały, samodziały przędą dziewczęta
Pryśki, Nastki, Jaryny – nie pamiętam –
na surową, na chłopską odzież
i na hafty, których nie wypowiem.

Przędą, przędą na biegłych wrotkach,
Wołyń w palcach ich barwnie się mota
w proste znaki i proste nici
na płóciennych, lnianych okryciach.

Przędą Pryśki, przędą Jaryny,
już oprzędły płótna Wołyniem,
w znakach prostych i tak najprościej
na tych płótnach Wołyń się mości...

Czarno się skiba kładzie, bo rodny jest czarnoziem,
choć Hryć wiosną orze o głodzie.
O głodzie Hryć wiosną orze
choć chleb i dla niego boży.

Czyście żyto ukryli w stodołach,
że o głodzie Hryć na konie woła,
czyli zbrakło kaszy hryczanej
z rodnej ziemi latoś oranej?

Czarno się skiba kładzie, bo rodny jest czarnoziem
choć Hryć wiosną orze o głodzie.
Lecz nie wstrzyma głód chłopa dłoni
póki chlebem nie wzejdzie Wołyń...

Po rozłogach i jarach rośnych
echem toczy się pieśń donośna,
echem toczy, do chat dociera,
białe drzwi na gościńce otwiera.

Od gościńców tłumnie i razem
promienieją spracowane twarze,
te, co wiosną orały o głodzie
i co przędły w chałupach przy mrozie.

Śpiewną, śpiewną wołyńską niedzielą
na gościńcach koszule się bielą,
w znaki proste i nici proste
z pracy Nastki, Jaryny radosnej.

Po rozłogach i jarach rośnych
echem toczy się pieśń donośna,
echem toczy, do chat dociera,
białe drzwi na gościńce otwiera...

Jesteś nam ziemio matką, jesteś nam karmicielką,
na równi sycisz człowieka, na równi łodyżkę niewielką.
Z twych piersi pełnych, dostojnych jabłoni wykwiła wspaniała,
gdy ją sadownik znojny zaszczepi wążką i małą.

Jesteś nam ziemio zawsze jak dobra matka surową,
dlatego kwieciami prostym łąką zakwita odnową.

Dlatego serca koniczyn a nawet głogów i tarnin
biją tak głośno o wiosnie, gdy je twa miłość ogarnie.

Dlatego syn twój sadownik, jabłonek szczepiący małą,
przez miłość matko ku tobie czyni ją doskonałą.

Dlatego owoc piękniejszy niż inne rodzi mu ona,
albowiem drzeniem miłości ku tobie była szczepiona...

IV

Słyszałem o tobie dumy i smutne jak dumy pieśni,
ziemio szeroka wołyńska, w jasny rzucona przedwieczesz,
co słońcu i dzieciom swoim dostałe podajesz piersi,
gdy szepcą – one i słońce swój przedwieczorny pacierz.

Słyszałem o tobie dumy – a dziś swą pieśń dorzucam,
pisaną sercem i dłonią z miłości zrodzoną ku tobie,
niech ją pagóry kolebią i sady wiśniowe nucą,
niech ją cierpliwy sadownik jabłonce młodej opowie.

Pieśń tę wyplotły dziewczęta na prostych wzorach ręczników,
pieśń tę o głodzie na wiosnę Hryć końmi chudymi wyorał,
wyrosła mi z dumań chłopskich, tak bliskich, a jakże ukrytych,
nieznanych, jak nigdy nieznaną jutra słoneczna jest pora.

Słyszałem o tobie dumy i smutne jak dumy pieśni,
piersi mi ryła tęsknota w twe sine szlaki i drogi,
przy których burzan nocą swe słowa smutne szeleści,
a mgławy, błądy poranek wiosen odkrywa progi.

Obelisk

I

Zegary dzień obeszły! Okręcam pierścienie!
Czas dłutami zapukać pod jutra pieczęcie!
I posąg wydrzeć bryle – urzeźbić kamienie –
Aby dziełem stanęło dzieła przedsięwzięcie.

Zegary dzień obeszły! Wicią sny potrącam!
By wizje się rozsnuły w przestrzeni orbitach!
I lawa co się kurczy pod czaszką parząca –
Odląła formom mowę w postaci granitach.

Ta bryła to jest Naród! Legendę kuć w bryle!
Srebrnych i białych orłów wyszytą piórami!
Ja tę bryłę ukształcę – na ilem jest w sile –
Złupać granit ramieniem twórczej nocy snami!

Ja tę bryłę porażę myślenia obuchem!
I w szczeliny podłożę uczucia dynamit!
I uderzę – jak słupem ognistym – mym duchem!
Albo posąg wykuję! Albo pęknie granit...

II

Zegary dzień obeszły! – Okręcam pierścienie! –
Profile uwięzione zgrzytnęły dłutami!
Granitowy obelisk ruszył z posad twardych!
Oto orły go dziobią! Kaleczą oskardy!
A ćwieki czekańcowe utwierdzą do ziemi! –
Rośnie pomnik ogromny blokami kamieni!
Niebo dźwiga jak tarczę i chmury obala!
Pozaniebne zodiaki go ważą na szalach!
Księżyc uwiązał kolisty pod cedrowym stropem!
Pianą mgławic kosmiczną – słonecznym syropem
Namaszcza skronie czoła! I posąg olbrzymi
Ponad tęczy wypukłość – jak lawina dymi!...

Kupcy wiozą wędrowni dalekie kamienie!
Lud skiby chlebne kraje!
A cieśle ciupagami strugają wierzeje!
I pieśni po kruzgankach roznoszą lutniści!
A mędrce upinają pióropusze myśli!
Grają śpiewy organów pochwalonym hymnem!
I bory kładą kłody na kadzidło dymne.

III

Kuje Naród! Los dźwiga i potraja dzieło!
Czołem kruszec wytapia w sił nabrzmiały węzeł.
I rozwija w potęgę – co się snem zaczęło
Srebrnych i białych orłów – o lotu potędze!

Kuje Naród! Los dźwiga kołami obrotu –
Okręcając snu pierścień niewstrzymanym pędem!
Oto płynie jak arka – podobny do grzmotu!
Harmonią zespolenia dźwignięty – nie błędem.

Kuje Naród! Pieśń kuje twórczego tworzenia!
Bohaterstwem nieznanym walczących pokoleń!
Jak łańcuch się sprężają wszystkie pokolenia!
I w dziele tym zaklętą wyzwalają dołą!

Kuje Naród! Los-Posąg Siłacza Olbrzyma!
Posąg trudu i ducha wolnego człowieka,
Co jak Atlas na barkach całe niebo trzyma!...
A świat więziony błędem – tysiąc epok czekał!...

IV

Posąg harmonii i ładu!
Posąg twórczego zapędu!
Posąg tworzącej gromady!
Posąg potęgi legendy!

Posąg mozołu wolności!
Posąg braterstwa i pracy!
Posąg powszechnej jedności!
Posąg złamania przemocy!

Posąg wieczystej harmonii!
Posąg powstałej wielkości!
Posąg zapału pochodni!
Posąg Ludzkości!

V

Zegary kują północ! Kur odkuś srebrzyście!
Okręcam tajemnicze kolisty pierścienie!
Myśl pod słowami szumi – jak kora pod liściem.
Jak jęk dartych sztandarów nad tłumem sumieniem...

Czoło twarzy odpadło! Mózg odleciał głowie!
Żegluję poza czasem ciemnym nocy hełmem.
I jestem siebie częścią! Innością w połowie!
Potracam nieśmiertelność – kowadłem śmiertelnym!

Czas w upływach co były – istnienia pokazał!
Odwróconej historii odrysował cienie.
I treści – które będą zaklęte w wyrazach –
Dał by zwolnić do życia dłuta uniesieniem.

I widzę coraz dalej! Okrażam horyzont!
Chcę dotrzeć do początku – naleźć – Oko-Jądro!
Spojrzeniem się wyciągam w nieskończony przyrząd –
Dotknąłem! – Rozpoznaję! – – Wiekuista Mądrość! –

Zastygłem obarczony widzenia potęgą –
Ponad czasem i bytem istnienia materii –
I poczułem się prochem przed Tworzenia Księgą –
Przed hymnem – Nieskończonej Trwałości – misternym.

Obok stosami leżą upadłe szermierze!
Przebite uczuć włócznie – słabością zwalone –
Z których każdy nad Mądrość swoim okiem mierzył
I żagwią namiętności Jej ściągał koronę! –

Rozpoznałem talenty! Dotknąłem geniusze –
Co słońcu wydzierają drobiny odkruszeń,
Pędząc je po elipsach w płaszczone koliska.
I te co pył kosmosu w wszystkich liczą błyskach!

I te co strun napiętych pilnują harmonii!
I te co tworzą jękiem podobnym do ogni
Historycznych przekształceń chmurne obeliski!

Przystanąłem!... I byłem tym najbardziej bliski...

VI

Za oknami świt skrzydły orlimi poruszył!
Zwolona snu potęga! – Okręcam pierścienie! –
Czas drogę odmierzoną tworzeniem dla duszy,
Przełać w pracy człowieka codzienne istnienie.

W szarość – u której co dnia łańcuchami rosna –
Ogniwami skuwane czynów dziennych ciągi! –
By smukłej móc zaciosać dłutem – ruchu wiosło –
I na wiosła przeciosać – nieciosane drągi! –

Materię skupić w jedno! – Kształtami przemierzyć
Proporcji dzielnych pełne każde wolne dzwono –
Duchem – jako pierwiastkiem cząstki przepromienić,
By hymn popłynął pieśnią ruchu połączoną.

Nateżyć smukłość wiosel i lądy opłynąć –
Omijając okręty o żaglach bez wiatru!
I burzom stawić czoło rozwichrzoną grzywą!
Pęd wyłamać wysiłkiem – spiętą wolą hartu!

Europy historię wyczytać Narodem –
Odstygłych kształtów hełmy rzucając na Wawel! –
Pokoleniem – jak falą – uderzając młodym!
Na obelisk dźwigając herb – N o w ą W a r s z a w ę !

VII

Zegary dnia dobiegły! – Kolisko pierścienia
Misterium tajemniczym ujęło się w okrąg! –
Słońce łódź toczy białą po złotych promieniach! –
Zegary dnia dobiegły! – Zamknęły widnokrag! –

Warszawa, październik 1941

Żywe srebro

W pamiętniku Marysi Janeckiej

Na tej białej karteczce
Srebrny kwili strumyczek,
Niby sen w kolebeczce –
Niby w wodzie kamyczek.

Kropelkami literek
Biała białość szeleści –
Płynie strumyk-papierek,
Ledwie w sobie się mieści.

Srebro bielą przelewa
Żywe srebro pisania –
I do siebie sam śpiewa
Papierkowe śpiewania.

I do siebie sam kwili,
Niby sen w kolebeczce –
I literki z snem myli –
Na tej białej karteczce.

Wiersz jak srebro jest żywy –
Strumyk srebra prawdziwy.

Listopad 1941

Komentarz

Mieczowi – Mieczysławowi Zadróżnemu

Ot znam ja w Polsce kilku ludzi –
cała w tym moja tajemnica –
których w tym życiu nic nie brudzi
i którzy mają czyste lica.

Chodzą – jak kroków ich stąpanie
po nieskończonym kręgu myśli –
i myśl zmieniają na działanie –
i są w działaniu niezawiśli.

Takich znam w Polsce kilku ludzi –
cała w tym moja tajemnica –
która zdziwienie wielkie budzi – – –

1941

Więzień

I

Cztery ściany zamknięte!
Szare pudło ceglaste!
I okienko wciśnięte
W strumyk światła półjasny!

Cztery kroki wdeptane
W szmatek wąskiej podłogi!
Cztery kroki do ściany,
Cztery kroki tej drogi!

Tylko serce się tłucze,
Jak dzwon w wieży spiżowej!
I myśl skronią tak huczy
Bólem czaszki i głowy!

Cztery kroki! Znów cztery!
W głąb ceglatego sześcianu!
A pod czaszką ból wzbiera!
Cztery kroki do ściany!

II

Ściana – ściana wisząca
W płatkach bólu nad głową!
Myśl o cegły potraça –
Przeminionych dni mową!

...Jar pachnący i kwietny
Z kredy białych kraszanek,
Błękit nieba półletni –
Półzamglony – jak ranek!

Sianokosy i pożar
Ciepozłoty promieni!
Przechylona w jar brzoza –
Wiszarami zieleni...!

Leszczynowa altana –
Ciepły orzech z łuskańca...
Nie – to plamy na ścianach!!!
Kroki cztery do krańca!!!

III

Nie! To można zwariować!
Już okienko tam zgasło!
Tylko boli wciąż głowa!
Tylko myślom wciąż ciasno!

Tylko kroki wciąż cztery –
Nim klucz w zamku zazgrzyta!
I zaskrzypią litery
Krzyżujących się pytań!

Nie! Nie! Tamto wytrzymam!
Tylko kroki do ściany!
Tylko w głowie szum dymu
I na ścianach te plamy!

Nie! – To pewno zmęczenie –
Sen do oczu znów klei...
...Ciepłe, ciepłe promienie
W rzędach białych alei...

1940

Dramat

Jest dramat dwoistości, który dusze pęta –
I historię rozdziera – na połowy garnie.
Po jednej stronie piana swarliwa i mętna –
Po drugiej myśl samotna tworząca ofiarnie.

Jakiej karty nie dotknąć – jaki wiek poruszyć –
Dwie się jednej całości szamoczą połowy.
Dwie połowy tej samej – jednej polskiej duszy.
Ten to dramat odwieczny – polski narodowy

Trzeba by ukazywać co dzień polskiej scenie –
Jak zwierciadło każdemu podając do oczu,
A może żywiej zadrga zbiorowe sumienie –
Co dziś jak mętna rzeka historią się toczy..

Czerwiec 1943

* * *

A kiedy do Ciebie powiem
nie tak, jak dziś – a żono –
w tej dziwnej, śpiewnej mowie,
co w maj jest zatajoną...

I niby sen, myślami,
nad czoło Twe pochylę,
aby je pieścić snami
śpiącemi w spojrzeń pyle...

I sny Twe zaczaruję
muskaniem śpiewnej mowy,
która tak w serca kłuje,
strumyczku purpurowym...

Kiedy się skryję cały
w tem jednym, cichem słowie –
zaklęty pazik biały –
– co Ty mi wtedy powiesz...?

* * *

Ty jesteś jak księżniczka nieznanego dworu,
który roją po nocach w półsenni poeci,
który malarz wykleja wizjami kolorów,
a muzyk zasłuchany srebrem tonów plecie.

Tam w komnatach oszklonych zaduma się słania
i myśli w białych szatach, które jutro będą,
i cisza cicho stąpa, cichsza niżli grania,
które w duszy artysty utwór jego przędą.

Tam czas twój nie przemija, posągiem ujęty,
rzeźbionym przez natchnienia tęskniących rzeźbiarzy,
lecz rośnie na cokole, jak rzeźba zaklętym,
by przetrwać wieczność sztuki uśmiechem twej twarzy.

*Myśląc o kimś rysujemy portret jego
duszy. Z takich myśli o Tobie powstał
właśnie ten wiersz – Zachowaj go ode
mnie –*

Zygmunt

Warszawa , w sierpniu 1941

* * *

Jak dziwna w tobie mieszka radość
tak bliska mi – taka znajoma
jak sny co srebrne sieci kładą
na jawę duszy utajoną.

Prząśniczko białych sennych krosien
wyczarowana śpiewnostrunnie
przędąca nić o moim losie
nić co zerwana była u mnie.

Odnaleziona w n i e p o j ę t e m
a tak od dawna przecież bliska
jak ślad co przetrwał w obojętnem
by się pamięcią snu odbłyskać.

Prząśniczko duszy mojej krosien
odczarowana złej zadumie
witam cię w śnie który podnosi
tęskniące oczy twoje ku mnie.

1941

List

Odchyl kopertę – tak, tą dłonią –
Co nosi ślad mój – pocałunku –
Słowa pieśczętą się pokłonią
I czar przyniosą w podarunku...

Odchyl kopertę – szelest cichy –
Jak księżycowych, białych bazi –
Literki biegną – małe mnichy –
Czar przypomnienia je prowadzi...

Literki biegną – upojeniem –
Jak małe mnichy w nieskończoność –
Jak księżycowe baze, cienie –
Składając twoje imię – żono...

26 listopada 1941

*Hanyśko moja
trzymaj się mocno
i dobrze –
Zygmunt*

Akwarelka

W ogrodzie – zaklętym ogrodzie
co istniał raz tylko i w baśni
na wodzie pod wodą i w wodzie
kryształił się pałac i jaśniał.

Z perłowej był masy perłowej
kolumny zwijały lilije
w połowie się chwiał a w połowie
podwodne opływał powije.

Plótt koral u okien plótt koral
łuskami ryb łuskał o szyby
i woal miał z piany i woal
skrzelami ubity przez ryby.

Falował falami – falował
Kołysał białawe łabędzie
Połową gdzieś spłynął – połowa
w tej baśni odbijać się będzie.

1941

Godzina trwogi

Ostra płomieni włócznie łopocze!
Miedzianobarwa w barw oceanie!
Przestrzeń chwieje – niebo druzgocze!
Paruje ostrzem w czerwonej pianie!

Szału kometa! Bunt wszechistnienia!
Iglica błędu w Boga kompasie!
Na twarz padajcie – goreje ziemia!
Planety pękły w bytu atlasie!

Na twarz padajcie – trwogi godzina!
Barwy rozchwiane w skrzydła łopoczą!
To Abel powstał – ściga Kaina!
To Dawid Wszechświat rozbija procą!

Modłów wzywajcie – ziemia zapada!
Gwiazdy pękają w kosmicznej lawie!
Góry zerwane dudnią w pokładach!
Gdzie Noe!? Wołać! Noe z korabiem!!!

1941

Z poematu *ROK 1863*

Historio – kolędnico przeznaczenia pieśni –
Która Naród prowadzisz przez losu wierzeje
I smagasz jako kaci – złowrogo – złowieśni –
Strugą wichru – co żywych – kość i popiół wieje.
Dziś bicz twój smagający nad nami jest z tobą –
I jak ból naszych kości – cierpieniem nas smaga –
Ty stając na kurhanach pierś otwierasz grobom
I sądzisz jako prawda – karząca i naga.
Uczynków naszych wagę na szale układasz –
Ja — twoją obojętność poznaję – ty badasz.

Na ile krąg obręczy oplata rąk koło
Obracając jak kamień mielący u młyna.
Co wymiela z dusz ziarno – w plewę kruszy zioło
Ruchem co stare gniecie a nowe poczyna.
Na ile pod gniotącym kamienia obrotem
Ułomi się duch ludzki – skorupa zwietrzeje –
A ile zmięknie gład ów – rozszon ciągu potem –
I jaką szczyrby długość wsiąkła krew wyzreje.
Ty badasz obojętna – milcząca – wyniosła
Z uśmiechem sfinksa w twarzy – przeznaczenia pośła.

Dziś wichur twój nad nami przemiata istnienia
I mieczem płomienistym niby anioł sięga –
Ryjąc bytu tworzywo do spodów korzenia –
Z którego Naród rośnie – Naród żywa księga.
W jej białe czyste karty – pokoleń łańcucha
Czynów ludzkich codzienność wmuruje ogniwa –
I nadzieli im miarę woli – z wolnych ducha
I formę – którą jeno wolny duch dobywa.

Wieki miną nad nami – przyjdą nowi ludzie
Na swoją miarę mali – na swoją ogromni –
I rozorzą mogiły i kość wydrą grudzie
I albo ślad zamiotą – albo czcią pokłonna
Odmierzą sławie dumnej w marmurze pomniki –
Które ludzkość zadziwią. Przyjdą wichry nowe
Nowych dziejów zarania moce – Kolędniki –
A w onczas w owym szyku – ten tylko zostanie
Który mimo koleje – doskonali t rwa n ie .

Marzec 1942

Pogrzeb pięciu poległych

I

Biją dzwony we spiże –
Na kościelnych wieżycach.
Łamią dźwięki o wyże –
Tłum faluje w ulicach.

Toczy trumny olbrzymie –
A milczące i czarne.
Ramionami je trzyma –
I ku górze je garnie.

To je zniży ku ziemi –
Tyka drzewem do bruku –
Do milczących kamieni –
To je dźwignie w pomruku.

Nad głowami zatoczy –
Aby niebo wejrzało –
Jeśli boże ma oczy –
Aby – aby widziało.

Płyną trumny jak baszty –
Jak płonących wież głównie –
Ramion dźwigną je maszty –
Niby pomsty pochodnie.

Niby dzwony wieczności
W swojej śmierci tak dumne –
Jaśniejące jak kości –
Liczba swą pięciotrumne.

Płyną – płyną jak wieże –
Pięciostrelne – ogromne –
Zawrzeć z pomstą przymierze
Przysięgami niezłomne.

Płyną – płyną jak góry
Co się zbyły swych posad –
Przez ulice i mury –
Pną się – gniotą niebiosą.

Płyną – płyną – jak dzieje
Spętanego N a r o d u –

W swe cmentarne wierzeje –
Wiodą czoło pochodu.

II

Bramo – bramo cmentarna –
Na popielne mogiły –
Popękana i czarna
Masz ty w sobie te siły?

Aby przyjąć te trumny
Na wieczyste spocznienie –
Czy masz taki dół dumny?
Czyli masz taką ziemię?

Bramo – bramo cmentarna –
Czy ogarniesz je sobą –
Czy tak będziesz mocarna
Że nie wydrą się grobom?

I uderzą w niebiosą
Jako mury Jerycha –
Niby dzwon wielogłosy
Który skarga kołysze.

Bramo – bramo cmentarna
Pogrobnego żalniku
Czyli masz takie żarna
Dla tych dzwonów – pomników?

Co wymielą proch z kości
I posypią na urny –
Niby ziarna wieczności
Na ich byt pięciowtórnny.

Bramo – bramo cmentarna
Czy masz takie wierzeje –
Jak wrotnica ofiarna –
Co pomieszczą te dzieje?

Spętanego Narodu –
Który skargi tak grzebie?

Niewolnego snu – głodu –
Czy pomieścisz je w siebie!?

Marzec 1942

* * *

Takie dni płyną przy nas, pełne barw, złotokłose,
Niby z baśni wyjęte, jak ta baśń, pełnolose.

Takie dni płyną przy nas, tajemnicze, tej baśni,
Aby może je kiedyś jaki bajarz objaśnił.

Przemianował na znaki, co pobieżą aż w wieczność
Niby czaru i dziwu nieśmiertelna konieczność...

Ale dziś, o te baśni, które znaki swe mnożą
Gwarą wieści pieśniarską, poświęcaną i bożą.

My nie dbajmy... Niech losy najswobodniej nić motą
W kołowrotkach, co równe słońc i gwiazd kołowrotom.

Póki w wiecznym zegarze, co wskazówki ma boże,
Nie wybije godzina, która wszystko przemoże.

18 sierpnia 1942

Słowo zaczarowane

I

Białe sady zakwitły,
Białe sady majowe,
Białokwieciem drobniutkiem,
U pręcików różowem.

Białe sady majowe,
Jak wiatr ciepły rozchwiane,
Białe sady zakwitły
Pręcikami różane.

Słońca moc je ogarnia
I nasycza ich wonie,
One pną się ku niebu
W swej jasności opłonie.

Jak obłoki zgarnione
Bukietami w kaskady
Czyli miła pamiętasz
Białokwiecie i sady?

II

Moja miła – maj taki
Był już z nami na ziemi,
Myśmy byli w nim sami
W swej miłości skupieni.

Nieodrodni, jedyni,
Białopienni, jak kwiecie,
Sami jedni z tym majem
I miłością we świecie.

Nieodrodni, kwitnący,
Żywiodajni, jak sady,
W sobie tylko skupieni
Wśród maja kaskady.

Sami jedni! – Pamiętajsz
Miła moja to tchnienie
Tej ogromnej miłości –
I to w maju skupienie.

5 maja 1943

Kołysanka

Kołysanka, kołysanka,
Narodził się Maj
Szmerem rosy u poranka,
Otulił go gaj.

Kołysanka, kołysanka,
Pęka pierwszy pąk,
Kląsła kwiecica malowanka
Płateczkami rąk.

Kołysanka, kołysanka,
Białolistny puch,
Wątle płatki, jak falbanka,
Uklejają ruch.

Kołysanka, kołysanka,
Za gałązką świt,
I miesięczek – wyklejanka,
Cyt – miesięczku – cyt.

Kołysanka, kołysanka,
W kolebeczce Maj,
Pije życie z rosy dzbanka,
Otulony w gaj.

Kołysanka, kołysanka,
Kolebeczka z mgły,
Świt jaśniej u poranka
I rozwija sny.

5 maja 1943

O poetach

Znam słowa o poetach, że są nieszczęśliwi –
Wpół nadludzy, wpół ludzie, a tylko ćwierć żywi.
Lunatyczni jak światło, księżycowi poeci,
Których duch ponad światem z kometami gdzieś leci.
Znam słowa o poetach i ich samych wyznania –
W których czasem się rąbek jakiejś prawdy odsłania,
Ale trzeba to wyznać – nawet, nawet poeci
Sami siebie nie znają. Krom zamierzchłych stuleci
Gdy to Dawid, Izajasz rozmawiali z wiekami
I krzepili swój naród proroczymi psalmami,
Gdy to wieszcz ów oślepy starogrecki z Hellady
Bogów z ludźmi prowadził na przygody i zwady.

U nas kilku znam ledwo, którzy wieścić umieli –
Jary Jan Czarnolaski, Konrad, wątły Anhelli,
Promethidion przemądry i swat-družba z Wesela.
Innych z kunsztem rymowym chociaż było wielu –
Kunsztowi przekazali imiona – nie wieści
Która ludy prowadzi – prawa dzieje treści,
I niby łuna wielka – niby gwiazda boża
Nowe lądy dobywa pokładami z morza –
O c e a n u L u d z k o ś c i . . .

Czerwiec 1943

JÓZEF ŁOBODOWSKI (1909–1988)



Debiutował w 1931 roku tomikiem *O czerwonej krwi*. W 1932 roku relegowany został z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. W 1937 roku otrzymał Nagrodę Młodych Polskiej Akademii Literatury za publikację *Demon nocy* (1935). W okresie 1937–1938 był redaktorem czasopisma „Wołyń” w Łucku. We wrześniu 1939 roku wziął udział w kampanii wrześniowej i z brygadą generała Maczka przedostał się na Węgry, a następnie do Francji. W 1941 roku wyjechał do Hiszpanii, gdzie spędził resztę życia. Był jednym ze współzałożycieli Sekcji Polskiej Radia „Madryt”. Publikował także w paryskiej „Kulturze” i odegrał znaczącą rolę w budowaniu powojennego dialogu polsko-ukraińskiego.

Był regularnym autorem tekstów w londyńskim „Tygodniu Polskim” i „Orle Białym”. Józef Łobodowski był znawcą ukraińskiej i światowej literatury. Jego bogaty dorobek oprócz utworów poetyckich zawiera tłumaczenia oraz publikacje dziennikarskie. Tłumaczył dzieła T. Szewczenki, Ł. Ukrainki, J. Małaniuka, M. Oresta, M. Rylskiego, P. Tyczyny, V.W. Symonenki, W. Stusa i innych poetów ukraińskich, a także św. Jana Chrzyciela, F.G. Lorki, A. Achmatowej, J. Brodskiego oraz A. Sołżenicyna i innych.

W wielu pracach poruszał tematy ukraińskie, w szczególności tragedię M. Chwyłowego, A. Kruszelnickiego, ofiar represji politycznych i Hołodomoru.

J. Łobodowski wierzył w duchowy związek między narodami, był zwolennikiem idei narodowego samostanowienia, popierał niezależne aspiracje narodów Europy Środkowej i Wschodniej, w tym oczywiście Polaków i Ukraińców, stając się rzecznikiem polskoukraińskiego pojednania. Uznany został przez Ukraińców za „łącznika między literaturą polską i ukraińską”. Jego poemat *Pieśń o Ukrainie* przełożył na język ukraiński Swiatosław Hordyński.

Utwory poetyckie: *Słońce przez szpary* (1929), *Gwiazdny psalterz* (1931) – oprócz własnych wierszy przekłady utworów autorów ukraińskich, rosyjskich i białoruskich, *O czerwonej krwi* (1931), *W przeddzień* (1932), *Powrót Alaina Gerbaulta* – poemat (1935), *Rozmowa z ojczyzną* (1935), *Demon nocy* (1936), *Noc nad Warszawą* – poemat (1939), *Złota hramota* – poematy poświęcone Ukrainie (złożone w wydawnictwie w 1939, wydane w 1954), *Z dymem pożarów* (1941), *Modlitwa na wojnę* (1947), *Uczta zadżumionych*

– zbiór satyr i fraszek (1954), *Złota hramota* (1954), *Pieśń o Ukrainie* – poemat (1959), *Kasydy i gazy* (1961), *Jarzmo kaudyńskie* (1969) – wybór wierszy, *W połowie wędrówki* (1972), *Dwie książki* (1984), tomiki poetyckie: *Dytyramby nieprzejednane*, *Popołudnie fauna*, *Tryptyk o zamordowanym kościele* – poematy o tematyce prawosławnej, [współautor] (1984), *Mare Nostrum* (1986), *Pamięci Sulamity* – wiersze poświęcone Zuzannie Ginczance (1987), *Rachunek sumienia* – wybór wierszy 1940–1980 (1987), *Dytyramby patetyczne* – wybór wierszy (1988).

Józef Łobodowski zadedykował wiersze między innymi: Achmatowej, Czechowiczowi, Gałczyńskiemu, Pasternakowi, Szewczenko, Wierzyńskiemu.

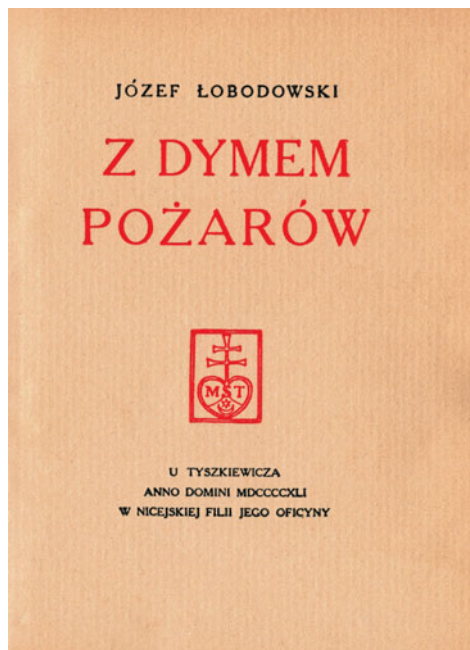
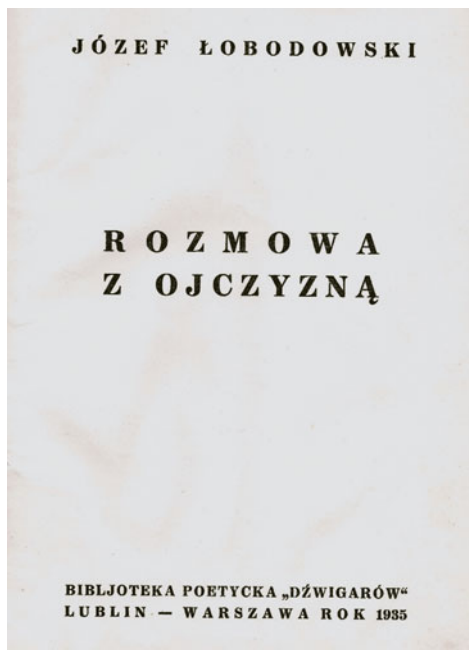
Utworki prozą: *Uzurpatorzy wolności* – eseje (1936), *Trylogia ukraińska* (wydanie krajowe 2017):

- *Komysze* (1955),
- *W stancy* (1958),
- *Droga powrotna* (1960),
- *Dzieje Józefa Zakrzewskiego* (wydanie krajowe 2018),
- *Czerwona wiosna* (1965),
- *Terminatorzy rewolucji* (1966),
- *Nożyce Dalili* (1968),
- *Rzeka graniczna* (1970),
- *Żywot człowieka gwałtownego* (2014) – wspomnienia.

Dramaty: *Wyzwolenie* (1933 niewydrukowane), *Lubelska szopka polityczna* (1937).

Przekłady: *U przyjaciół* [wspólnie z Pawłem Zajcewem] (1935) – poezje Michaiła Lermontowa, Aleksandra Błoka, Siergieja Jesienina i Władimira Majakowskiego, *Poezje w przekładach* [wspólnie z Grzegorzem Peradze i Giorgim Nakaszdyze] (1936) – poezje Tarasa Szewczenki, *Witeź w tygryziej skórze* (1937) – epepeja Szoty Rustaweliego, *Oddział chorych na raka* (1973) – powieść Aleksandra Sołżenicyna.

W języku hiszpańskim: *Por nuestra libertad y vuestra. Polonia sigue luchando* (Madryt 1945), *Literaturas esclavas* (Madryt 1946).



Okładki tomików wierszy Józefa Łobodowskiego *Rozmowa z ojczyzną* oraz *Z dymem pożarów* (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Gazela o złej miłości

Miłość jest srebrną chustą, którą księżyc
ociera czoła, skąpane w śmiertelnym pocie.
Aleś ty była łucznikiem, co z wysokiej wieży
nocnej tęsknocie napina cięciwę.

Miłość jest dzbanem wody, pochylonym ku wargom
wędrowca, pozbytego nadziei i mocy.
Aleś ty była wiatrem, spiekotą i skargą,
podrywającą o północy ze snu.

Miłość jest haftowanym siodłem i strzemieniem,
do którego wygodnie przylega jeźdźca stopa.
Aleś ty niosła tylko bunt i cierpienie
i byłaś jak na okopach czarny sztandar.

Miłość jest hebanową poręczą i miękką zasłoną,
łożem, na którym o zmierzchu spoczywasz.
Aleś ty była błyskawicą czerwoną
i burzą, co na żniwa gradem opada.

Przeto odrzucam srebrną chustę,
haftowane siodło, poręcz hebanową
wylewam napój z bukłaka, by w piasek pustyni wsiąkł,
i przypadam pokorną głową
do twoich kolan i rąk.

Kasydy i gazele, 1962.

Na własną śmierć

Na obcej ziemi boję się umierać.
Bez lęku spotkam śmierć ojczystą,
śmierć na ziemi, co mych prochów nie rozgubi.
Tam się oddam szeleszczącym liściom,
zamienię się w goryczkę i łubin...
Żeby mi lubelskie, cmentarne słowiki
zanosily się co noc miłosnym krzykiem;
żebym wiedział, w ciepłą wtulony borowinę,
żem jest dla niej nie przybłądą, nie gościem
lecz synem;
żeby mnie obcy kamień nie ziębił,
żebym każdym ścięgnem pilnie czuł,
że jak czarna próchnica, jak korzenie,
wrastam ziemię,
aż do serca, aż do głębi,
w dno odwieczne,
w pradziadowski muł.
Żeby mnie głosy dochodziły z bliska
Od wrosłego w płowy pagór majdanu.
Żeby małe dziecko litery nazwiska
zgadywało z deski, dżdżem na blich wytartej;
żeby na nadbystrzyckich rozlewiskach
kumkały żaby do białego rana;
żeby opary, wznoszące się z rozgrzanej gleby,
snuły się nad murawą mogilną
i żeby
dwoje młodych, wzięwszy się za ręce,
rozmawiało najczulej wśród grobowych płyt,
żebym na chwilę,
na jedną, nie więcej,
znów usłyszał polskiej mowy rytm.
Żeby mnie deszcz przepoił i wicher wydeptał,
żebym się stracił, zagubił w nocnych szepciach,
oszołomił listowia zwiędłym aromatem;
żeby, gdy się korzenie w mym sercu rozrosną,

młody krzew ponad głowę zaszumił
i ludziom opowiedział z nadchodzącą wiosną
wszystko to,
czego ja już nie umiał.
A na obcej ziemi boję się umierać..

W połowie wędrówki, 1972.

Nasze granice

I

Tam, gdzie jasny miecz i ciężki pług,
gdzie się lemiesz z czarną ziemią porał,
gdzie wśród borów i rozlanych strug
dłoń chwyciła za stylisko topora;
gdzie zadumą pociemniałym brwiom
leśny wicher gorycz stepu przybliży,
gdzie gorące kaliny bujnają krwią
obmywają czarne stopy krzyża;
gdzie puszczone stępa siwy źrebiec
węszy czad i na wieczorne cienie parska,
a skłębione chmury na niebie
podpełzają jak horda tatarska:
gdzie co nocy swawola złym snom,
a sny groźne z burzami są w zgodzie,
gdzie spalony ręką wroga dom
i wycięte jabłonie w ogrodzie...
Tam zaciosaj na zawsze graniczny swój znak,
mogłami gęsto kopce wyznacz,
by Ci z pól, rozłogów i młak
nie spłynęła wykrwawiona ojczyzna.
I gdy pieśń, szalona pieśń od Wschodu
truje serce jak łyk okowity,
waruj, pilnuj ojcowskich rodowodów,
cmentarzami dziedzictwo swe wytycz.

II

Jeszcze pochylę się czule
nad dalekim kaukaskim cmentarzem,
wezmę w ręce ciężką grudę ziemi,
akacjowym gąszczem zarosłą;
jeszcze w pamięć synowską cię wrażę,
proch najświętszy do ust przytulę,

jeszcze imię twe ujmę krzepko w dłonie,
by mi w życiu było jak wiosło.
A od ojca zdeptanej mogiły
podam hasło wołyńskim pagórom,
by chroniły, by nie wydały
ubożuchnej panieńskiej truchły.
Niech spoczywa pod słońcem i chmurą,
niech zetlałe kosteczki i żyły
w nadhoryński wrosną czarnoziem
i by ziarna ich nie zagłuchły.
I pokłonię się jeszcze po raz trzeci
mogile, najgłębiej rozdartej,
w podsmoleńskim, naddnieprowym lesie,
gdzie mu czaszkę kulą wroga przebito,
niech sprawuje naszą wieczną wartę
na skrzyżowaniu stuleci,
niech na rękach związanych uniesie
nieśmiertelną Rzeczpospolitą!

III

Więc dopóki wiatr ogień rozżarza
w prochach zmarłych, nim dołączysz i twoje,
będziesz trwał na odwiecznych cmentarzach
jako szabla wbita po rękojeść.
I po wieki wieków jasny lemiesz
będzie trącał o zbutwiałe polskie kości,
które wrosły w niewolniczą ziemię
gorzkim ziarnem zacieklej wolności.

Jarzmo kaudyńskie, 1969.

Wigilia

Gdy pierwsza gwiazda przez szyby się przedrze
i wonny obrus twarz radośnie zmarszczy,
z powagą wielką, jak hostia w katedrze,
do izby wejdzie ciepła miska barszczu...
choinka niebem gwiaździstym zajarzy,
świerki podejną, w okna patrzeć będą,
melodia spłynie od spokojnych twarzy
i klęknie w progu dziecinną kolędą...
zaszumi w głowach, jak od mocnej wódki,
będziem się trwożyć, oglądać, odwlekać
i zobaczymy w dzień urodzin ludzkich
brnącego śniegiem smutnego Człowieka.

Gwiazdny psalterz, 1931.

Ballada lubelska

Ponad łąkami zmierzchy zapadały sine
i woń rozkwitających lip...

Wezbraną wiosną dusił się Sławinek,
koń niewidoczny przy dyszlu zaparskał,
leniwy chłopski głos i wozu skrzyp,
i ciepły kurz, i z karczmy pieśń pijana...

I gwiazdy stały co noc nad Lublinem,
i Lublin w gwiazdach brodził po kolana.

A my brodziliśmy we snach
i dudnił w słowach głuchy grzmot rebelii.
Kto raz w źrenice trwogi spojrzeć się ośmieli,
kto raz poczuje w ustach gorzki piach
zwalonej wiary...

Kiedyśmy się wzięli
za młode ręce, aby iść na przełaj,
bezglowa Nike znowu lot podjęła
w groźnym proteście późnych wnuków
i czyny zbyt pośpieszne, zbyt gorączkowe dzieła
sięgnęły bruku.

Czas się opóźniał. Serca biły szybciej.
Już brakowało nam tchu i powietrza.
Więźniowie w miasta kamiennego krypcie
ku nie zrodzonym jeszcze biegliśmy cegielniom
bić szyby okien, rozwalać na przestrzał
i dłońią zgarniać wapno lat
jak szorstką kielnią.

To o polską rewolucję szła rzecz.
Twarda sprawa chłopsko-robotnicza.

Ale taki nasz zawzięty obyczaj,
że w pochodzie oglądając się wstecz,
nie śpiewało się na obcą nutę,
nie deptało się zbłoconym chamskim butem
uśpionego w jaśminach cmentarza..

Bo co drugi grób nam się rozżarzał
krwią poległych w służbie Niepodległej,
bo wołały prochy krwawych bitew...

Więc z ojczystej gliny młode cegły
chciał wypalać zbuntowany architekt.
Aby przedłużyć renesans i barok
o twarde dłonie czerwonych murarzy.

Aby co bandos bezdomny wymarzył,
spełnieniem stało się, a nie ofiarą.
By w rozjarzonej ponad miastem łunie
spłonęła nędza
– jak bez ognia zmóc ją?! –

I teraz, młody, w drżących rękach unieś
tę pieśń, ten hymn
przed polską rewolucją!

Gdy się w knajpie zbiorą marzyciele,
myśl namiętna, za nią mowa krewka –
i po którejś tam szklance, ni mało, ni wiele,
zakołuje rebeliancka przyśpiewka:

... Na skroniach łąk zziajanych
Bystrzycy chłodny bandaż.
Na ratuszowej wieży rozwiany
czerwony sztandar.

Z Piasków, z Kośminka, z Bronowic
pochodem ruszymy razem. Przeciw czarnemu ludowi
chodź, burżuazjo!"

Odwali kamień ksiądz Piotr Ściegienny,
co śnił, obejrzy na jawie.
Tym, którzy w walce niezmienni, pobłogosławi.

„Zwawiej wapno wymieszaj w kubie,
rusztowania wznos jak najprościej!
Zbudujemy na nowo nasz Lublin –
miasto wolności!”

Tak nam było, tak się nam przyśniło:
– sen o polskim, powszednim chlebie,
– gdy ojczyzna znaczyłoby miłość,
– a żyć w kraju piękniej niż w niebie.

Szło się później zaułkiem znajomym,
deszcz raz po raz z rannej chmury bryźnie.
wznosiły się w marzeniu szklane domy
na Wieniawie,
na Kalinowszczyźnie.

Pachnie chlebem rozczyinionym z piekarń,
pachnie sianem w Czechowicza wierszach.
Żaden pies na przedmieściu nie zaszczeka,
gęsty dym... z kasztanów czy z kadzielnic?
Z buntem płacze się miłość najpierwsza,
matki łzy, gorzki opar pijatyk...

Wiatr lubelski na ustach śmiertelnych, jak ostatni wijatyk.

Lew na łapach kamiennych wsparł się,
stary zegar wydzwania północ,
każde drzewo na nogach się słania,
kołyszącej się dorożki czółno...

Z ócz nie zgarniesz tamtego miłowania,
nie odgradzisz się trumnami lat.

I naprasza się znowu
wracający z gwiaździstego połowu,
ogrodowy, sławinkowski wiatr.

Żeby jeszcze do wiosny dożyć,
pojedziemy kajakiem do Zemborzyc,
będziem wiosłem odgarniać kaczeńce.
Niech w kościele murowanym, malowanym
znów zahuczą na Creator organy,
kiedy staniesz pod wieńcem.

Jakże mogła do nas trafić zła wojna,
jeśli tamta ulica
Spokojna
nazywała się?

Jakżeś odszedł, nie wrócił i zamilkł,
jeśli siwa matka co dnia łzami
zalewała się?

Nie zaczynaj znowu, nie zaczynaj,
nie pochylaj się nad szklanką wina,
skroń bezsenną do poduszki przytul.
Niech na zawsze rozwieje się widmo Lublina
na ulicach
śpiącego Madrytu.

Coraz rośnie bolesny rachunek.

Pojawiają się twarze zatarte, niejasne,
błyskawica przelatuje z deszczu na deszcz,
jak ze struny na strunę...
... oczy przetrę, zbudzę się, znów zasnę...

Miasto wraca w wojenną zagładę,
syczy piasek pod stygnącym piorunem,
wchodzę w łunę, w ulice od ognia za ciasne,
biegnąc, stopą poznaję ślad za śladem,
okręcam się gorących popiołów całunem,
nim potknę się we śnie o śmierć mą własną i runę.

Przepływają sny zbiegane, ręce,
odzyskują formy wypukłe.
Mroczne lustro na kawałki rozłukłem,
już się spod ich władzy nie wypłaczę;
podnoszę z ziemi najmniejszy nawet kawałek,
odgaduję w każdym dzieje skamieniałe,
wszystkie zamiary zuchwałe,
przetrawione do szczętu ogniem,
tak wiele co zmarnowałem,
tak żalosną garsteczkę osiągnąć.

Huczy, dudni na bruku lubelskim mój śpiew:

„... swoją młodość tragiczną i męską
za pas zatknąwszy jak nagan,
wiemy jedno:
na naszych klęskach znajdzie zgubę miażdżący nas świat...”
Taka z własną ojczyzną się zmagał,
taka była nierozumna odwaga,
żeś nie umiał przekroczyć zwyczajem
barykady piętrzących się lat).
Byle ramion nie zabrakło ku czynom,
miód i mleko przez piachy nędzarskie popłyną!
Więcej myśli jasnej, więcej hartu:
– Wstanie Zamość, Krasnystaw, Lubartów!

Tańczy miastem fala rozhuśtana:
– Dzielić morgi! Fabryki dla nas!
Wykuj sobie przyszłość, wykuj,
tam już w górze, na patyku
kapie soczkiem marksistowski ananas!

A tu ojczyźniany dzień, powszedni, słotny
na oślizgłych brukach się ślimaczy.

Wilkiem łypią oczy bezrobotnych,
wzbiera z piwnic rebeliancki zaczyn.
Gdy napłynie szary tłum przed starostwo,
gdy pod gradem kamieni szyby jękną,
trzeba wtedy głowę trzymać prosto
wpatrzonemu w rewolucji piękno.

Błysk przeleci po schylonych lufach –
tak przed laty bywało z obcym wojskiem.
Teraz jeszcze mocniej trza zaufać,

jeszcze twardziej zaciąć drżące usta...
Czy od kuli kozackiej, czy od swojskiej
jednakowo krew do gardła chlusta.

Nasz sztandar płynie ponad trony,
nad miastem płyną robotnicze trumny,
a kolor każdej jest czerwony,
i wpośród ulic wyludnionych
wybija werbel pogrzeb dumny.
Stare groby na alarm huczają –
któż ucieszy się
tą zabawą bratobójczą?!

To nie ludzkie nieszczęście. Dziejowa konieczność!
Mielą żarna historii serca na otręby.
Rozczyń mleczkiem teorii udrękę odwieczną,
walką klas polakieruj i wkładaj do gęby.

A gdy zwątpisz na chwilę, uczony dialektyk
wytknie, żeś padł ofiarą społecznych obciążeń,
skalpel wbije do mózgu, zaliczy do sekty
i tabliczkę z wyrokiem na szyję uwiąże.

Uciekajmy na wiatr od wyroków i anatem,
na ten wiatr, aby winy nam zmazał.
Ukręconym z piachu batem
będziem gonić głupiego Pegaza.
Idzie droga na stary Markuszów,
przez Puławy zakręca na Kaźmierz.
Wrzaski kawek i kruków puszcza mimo uszu,
odpowiada moim stopom wyraźnie:
– ucz się, głupi, ucz,
jak trawa na pastwiskach rośnie,
jak się sójki i dzięcioły przedrzeźniają o wiośnie,
na zagaję i orawy zbaczaj,
boczkiem z miasta na wieś się wytaczaj,
tam ci będzie młodziej i radośniej!

Potrąciłem o topole i lipy,
w nadwiślańskie zabrąłem spichrze.
Do polowym jeszcze wiatru nie wypił,
a już noc do mnie śmieje się chytrze:
– widzisz, głupi,
jak cię uchlał ten trunek!
Toż cię weźmie policyjny posterunek!
Biegaj cwałem na łąki zziajane
świętojańskim wykpiwać się sianem,
leć na gwiazdy jako ćmy na łunę!

Poparzyła mi wargi jak wrzątek,
jakbym brnął po szyję w pokrzywie.
Napatoczył się przydrożny świętek,
ciemną głową pokiwał żałośliwie:
nawojujesz się, chłopcze, do syta, a juści!
Puszczą cię w świat z torbami przemądrzy oszuści!
Wróć do domu wydeptanym śladem,
byś przed wichrem i gradem
mocniej w ziemię korzenie zapuścił.

I usiadłem nad Wisłą jak nad Babilonem –
stopy pokrwawione, skrzypki potłuczone...
Oj, da-dana, da-głupi,
koprowinę za dukaty żeś kupił,
teraz waruj z podkulonym ogonem!

Księżyc w chmurach toporem się zaciął,
drzewa gwarnym obstepują kołem.
Przepływają widziadła niegdysiejszych przyjaciół,
oglądają się, czy na nich zawołam.
Lecą liście z kasztanów, umierać im gorzko,
gwiazdy są nad Niecałą,
gwiazdy nad Radziwiłłowską –
śpiewka skrzypek urasta w żałości,
w balladę z tamtej strony,
w wiatr, co bliźny z dnia na dzień zalecza...
Błyskawica miecza na schylonych szyjach
i przez gwar żywiołów się przebija
rzewna nuta człowiecza.

Oj, skrzypki, skrzypki z samorodnej lipki,
oj, struny srebrnopłynne!
Nie wyplątać się wam z nocnej matni!
Dzień wojenny wstanie nad Lublinem
i dla skrzypka wstanie dzień ostatni.

Jedna śmierć spada siarką i ogniem,
druga – dymem krematoriów ziejąc...
Ileż ciosów, upokorzeń i potknięć,
zanim popiół twój w czarną ziemię zasieją!

Zgrzebny pasiak, chodaki drewniane,
w struty chmurach stoi Majdanek –
śmiertelne pole.
Pieśń na ustach jak cykuta piecze,
kiedy padasz – nie grotem, nie mieczem –
ugodzony wprost w serce fenolem.

I tak widmo za widmem spotykam,
głos każdego żmudnie przypominam.
Grzebię dłońią w spróchniałych ruinach,
w snach się szarpię –
dzikie zwierzę we wnykach.
Wichrem wieje podziemna muzyka,
rozniesione gorzkim dymem ognisko.

Jak i ja szukałeś słowa, które zbawia,
teraz, w noc odchodząc, mnie pozdrawiasz,
szubienicą pozdrawiasz oświęcimską.

Biją tętna w skroniach – młoty w kuźni –
idą tłumem, w las mroczny, wykrot po wykrocie.
Ni jednego słowa nie rozróżnisz
z ust zaszpunktowanych kneblem trocin.

Zimna lufa na karku, w mózgu wybuch,
leczą w głąb bezdennego szybu,
nie wstrzymają ich dłonie skrępowane
ani stopy w dyby pojmane,
dziś ich widzę, jak widziałem przed laty...

To najwyższym nad ziemią kurhanem
płynie w niebo poderwany Katyń.
Przyjacielem pomordowanym,
przyjacielem zakutym w kajdany
jakież słowa ma żyjący przekazać?
Ciągle błędzę ulicami Lublina,
na grobowcach kolana zginam –
krtań z ołowiu mam, a usta z żelaza.

Jesień pełna zakłęb i wzdychań,
biją dymy z porudziałych ściernisk
i te słowa ze srebra i z czerni,
dłoń bezbronna, która mroki odpycha...

Przez was, śmierci męczeńskiej wierni,
padną w gruzach
mury Jerycha.

Wchodzę w mrok zapleśniały starych ulic,
archeolog przeddziejowych czasów.

Noc rozkłada ramiona, jakby chciała utulić
zwiądłe światła martwego szabasu.

Dłoń wyciągam, długo szukam:
– gdzie kirkut?

Oczy ślepią kłęby chmur kosmatych...
Wzgórze kurczy się
jak chasyd na nędzarskim wyrku
pod wzniesioną prawicą zatraty.

Tu, gdzie wszystkie kamienie przed wiekiem wydeptały,
cień zbrodniarza w każdej bramie się czai
i jęk płacze się w przedświtu szeptach:
– Och, Sabaoth, Sabaoth Elohim!

Szumi wiatr, w ostrzejszą wrasta nutę,
na gałęziach samobójczo się wiesza.
Niebo w burzy nad rozbitym kirkutem –
rozsłochana, zrozpaczona rzesza.
Rozdarto świętą ziemię aż do samych trzewi,
aż do głębi.
Potrzaskano kamienne serca lwów i gołębi.
Na nic bunt i lament się przydał,
łaski u Jehowy nie wykołatał.
Nie ostała się, nie ostała się proca Dawida
wobec złości silnego Goliata.

Nie wstał mściwy Rabbi z siedmioma synami,
buchnął krzyk mordowanych i zamilkł.
Teraz wracam, proch grobowców stopami gniotę,
staję, oglądam się
za cmentarzem, za Jeszybothem,
biegnę Rynkiem, Podzamczem, Lubartowską,
krew do ust i oczu się klei...

Nie ma ich, wyszli z swoją śmiercią i troską
w krematoriów dym, ku Judei.

Którzyście mi nie skąpili przyjaźni,
których wraz ze mną widok świata drażnił,
szlachetni buntem i gniewem rozumni;

którzyście z getta, znad stronic Talmudu
rwali się w górę i czekali cudu
na krwawej ziemi, tej krążącej trumnie;

których jedynie z daleka pozdrowić
mogłem, gdy zguba ku Izraelowi
szła w huku butów i w kolczastych drutach,

cóż wam w ostatniej godzinie zostało,
jeśli nie dumnej rozpaczy zuchwałość,
krzykiem z wnętrzości na wieki wypruta?!

W nikczemnym wieku, co puszcza na przetarg
i krew, i wolność, bezsilny poeta
kogo powstrzyma wizją takich zgonów?

Jakim przerazić słowem czy melodią?
Tylko w popiele nam siadać i podjąć
„El mole rachmim”
nad grobem milionów.

W sen zapadają się widma. Nim słońce
wstanie na niebie pogodnym Madrytu,
zbudzę się, okno otworzę szeroko –
nic – tylko z dala czyimś szybkim krokom
echo wtóruje...

I wciąż nie ma świtu.

Fałszerz i kłamca powie, że kto uszedł
z ziemi ojczystej, usycha jak drzewo
wyrwane z gruntu... Jak liść w zawierusze
pędzony, nigdy gałęzi nie chwyci,
zawsze poddany niechętnym powiewom,
zwiędnie, pług obcy zgniliznę przeorze...

Gdyby znaleźli się tacy wróżbici,
którzy by wówczas, przed laty dwudziestu
przepowiedzieli, że czas ostrym nożem
rozetnie życie i rzuci daleko
nie przystające do siebie połowy;
że z tamtych brzezin, z rdzewiejących rdestów,
z łąk muskularnych nad stalową rzeką
zostanie garstka spopielałej mowy...

I zabronione mi będzie na jawie
słuchać lubelskich cmentarnych słowików,
wyciągać czułe ramiona na trawie,
wraz z którą rośłem...

Ale jeszcze zdławię

ten krzyk

i wyjdę za granicę krzyku.

Znam dobrze drogę, znam drogę powrotną,
nie zastawioną doczesnym szlabanem.
Gdy wasze stopy niezdarne się potkną
i z gąb wypadną zęby połamane,
powrócę cieniem z mej dumnej diaspory
przez zarośnięte przeskakiwać tory,
w gwizd lokomotyw na znajomych stacjach...
W śpiewie słowików, w jaśminów paradzie
kąt na lubelskim cmentarzu się znajdzie,

a dla was
wieczna
przyjdzie emigracja!

Może tylko to jedno się policzy –
ten powrotny w snach conocnych zachwyty,
woń zroszona lubelskich koniczyn,
rozjarzone policzki łubinów...

Wiatr gorący do ramion znów się przypiął...

... to już tu, cicho schody zaskrzypią,

niewidzialne usta szepną:

– synu!

Widzę chłopca i kozę pstrokatą,
biegnie z pyszczkiem wyciągniętym ku marchwi.

W ulach brzęczy miodosytne lato,
siwy obłok srebrnym smyczkiem zaraz zatnie,
srebrne trzmiele rzucą się na sad,
w rozkrzyczaną, upalną matnię...

Miodne ule jeszcze mocniej zabrzęczą
i wyjdziemy z snów ku Twoim tęczom,
nimeś burzą na jawie
na nas spadł.

Lecą gwiazdy – rozszarpane pawie –
świat kotłuje się, zatraca się w kurzawie
nieodwracalnych już lat.

Ach, od jakich modlitw, od jakich kantyczek
śpiewnych słów w tę godzinę pożyczę,
żeby doszły, żeby dotarły?

Odpuść grzech mój i wygładź winę,
daj, bym w oczach, na świat obcy umarłych,
tamte domy i drzewa... tamte chmury sine...

... niech uchwycę je, w stulone przyjmę ręce
i, padając, jak sztandarem się okręcę
ostatecznym widzeniem:

Lublinem.

Lecą lata, płonące pociski,

rozhuśtały się cmentarne drzewa.
Znowu siadam nad grobami przyjaciół i bliskich
proch zetlały w palcach przesiewać.
Bacz, coś zdziałał, co o sobie powiesz
ku zmierzchowi chylącym się dziejom,
gdy już jutro spóźnieni jak zawsze wnukowie
proch twój
w palcach niechętnie przesieją.

Otwórz tamto okno, bliżej drzewom podaj,
niech podejda ku szybom i rynnom.
Była pełnia pełgająca na wodach,
wczesnych świtów niepowrotna uroda,
rześka dziwność dnia i nocy inność.
Na chodnikach stóp dziecinnych tupot,
wróbli wrzask, by weselej śmiać się dzieciom.
Ku Wieniawy drewnianym chałupom
brzask jaskrawy
spadał mroczną zamiecią.

Weź go w dłoń, czulej struny nie zerwij,
zawiąż mocniej, na usta namotaj!
Tętni koń bułany, skoczył w słońca czerwień,
już jest cały z purpury i złota.
Zaczesalem palce w krwawą grzywę,
przez tę krew i purpurę nie przebrnę.
... Łzawe oczy najładniejsze jeśli siwe,
najpiękniejsze włosy
jeśli srebrne...

Srebrny deszcz w siwe oczy zacina,
srebrne trzmiela rzuciły się na sad,
trzęsie się srebrny dreszcz? na orzeszynch.

Znów się mroczna rozdziera kurtyna,
oszronionych gwiazd
siejący grad.

Jakbym w nocy tej,
rozwleczonej na wyrocznych sądach,
wysrebrzone dachy Lublina
znów oglądał
zza więziennych krat.

W nadbystrzyckich gajach naświstuje słowik,
ciepły opar z podoranych borowin,
mgła na łąkach kożuchem się rozwełnia.
Jest czerwcową, świętojańska pełnia,
byś w niej usta obmył i uzdrowił.

W mrok semafor jak zielony motyl
zatrzepotał mi skrzydłem przyjaznym –
to już blisko, to Motycz...
Ileż razy stąd drogę znalazłem!
Już sapaniem zdyszanych lokomotyw,
już kasztanów wonią chmielną i gorzką,
już zadudnił most drewniany pod dorożką,
można jechać nie patrząc, na ślepo...
Przecwałowały konie,
spod kopyt ostatnia iskra,
tu się zatrzymasz, tu koniec,
tu twoja przystań...

Garść gorącego popiołu
nad ziemi ojczystej polepą.

Położ głowę znużoną, połów
pod gwiazd chłodniejących trzepot.

„Ręko wytrwała i groźna,
mieszająca glinę gwiazd w sinym kuble,
trójkacie nieustępliwy w niebieskiej wysokości!

W gorzkiej pomroce mgły,
nad białymi łąkami
żarzy się senny Lublin –

miasto krzyczącej młodości...”
Niech odrodzi się ten rebeliancki krzyk
świecić w ślepiu uzurpatorom!
Aby mówić nie odważył się nikt,
że się miasto poddało przemocy.
Groźne widma wczorajszych bojowników
niech się znowu pod ręce biorą,
niech wychodzą w tym namiętym krzyku
naprzeciw nocy!

Niech na próchnie księdza Ściegiennego
buchnie płomień i świeci na wartach.
Niech się zbiegną ku nowym szeregom zapadnięte groby
powstańców!
Dreszcz przeleci wśród zbudzonych kamienic
i chorągiew kulami podarta
szare niebo krwią zarumieni
i powieje na starym szańcu.
Niech się każdy kamień rozkrzyczy
pożarem polskiego buntu!
Niech hardy honor robotniczy
nieśmiertelnej zaświadczy ojczyźnie!
Wiosno lubelska, wybuchaj,
zdławione krtanie odszpuntuj!

Moskiewska, burżujska jucha
niech dzień odwetu użyźni!

Widmo wolności błądzi w ulicach i straszy.
Któryś zaufał przemocy, widmom nie ufaj!
Księżyc sztyletem spiskowca w gęstwę się zaszył,
każda uliczka spoziera w mroku jak lufa.

Któryś się podszył pod imię Proletariusza,
wstrzymaj się, trwożny, w pamięci uważnie zatnij:
– Wicher się budzi, ziemię do trzewi porusza,
na bój wychodzą żywioły, a bój to będzie ostatni!

Drzew różaniec przy białej katedrze,
naradzają się, o coś proszą,
zamawiają...

Niechże szerzej ta noc się rozedrze,
niech podniosą się powieki ślepej śnicy!

Powracają moje słowa, potykają się,
ciężką noszą
utrudzeni przemytnicy.

A mnie nie ma, ponoć nigdy nie było.

Tom nie ja w lubelski bruk łomotał,
to nie mnie wzywa stara tęsknota
i miłość...

Widma dawnych lat – towarzysze nieuchwytni!
Każdy z nas nielegalny przemytnik
i banita.

Ocierajcie ślepiec z nocnej drzemy,
wyglądajcie, czy jeszcze nie świta...

Doniesiemy nasz przemyt,
doniesiemy!

Przez mrok nocy chybotliwym czółnem...
... luli, luli... kołysanka tułacza...

Nazwy ulic jak perły od starości pożółkłe
między dłońmi czułymi przetaczaj.
Pergaminu postrzępiony zwitek
przed oczami z szelestem się rozkręca.
Któż tam stoi pod białym portalem Wizytek,
kto wygląda zza kulis pustego teatru?
Płynie z żaglem snu drobna postać dziewczęca,
już wśród drzew,
już we mgle się rozwiewa...

Nie pozwólcie,
bym tym snem aż do zgonu się zatruił,
uratujcie mnie,
lubelskie drzewa!

Ku odwiecznym lipom i kasztanom
na Lipowej, na Ogrodowej...
Jeśli kiedy niedołącznym trafię słowem
w waszą gęstwę wiatrem rozhuśtaną,
tamte czułe noce jeszcze raz przypomnijcie,
tamtym szumem skronie obejmijcie,
bym na zawsze
w waszym cieniu przystanął.

Po rozstajach snu, na pół ślepy, po omacku,
fiołkowym, cmentarnym zmierzchem...
Czarnym skrzydłem zrywających się gacków
bije we mnie letnia noc, nim pierzchnie;
deszcz o świcie polną drogę zakurzył,
strząsa płatki z krzaku dzikiej róży,
mąci rzeki przebudzoną powierzchnię.

Przez malinę, przez podstępne potrzaski
ile jeszcze razy dźwignąć stopy?
Więc to ja znów przekradam się ogrodem Saskim
mur przeskoczyć,
gdy już brama zamknięta...?

Głucho zieją ulic okopy,
drwiąco patrzą żółte latarń oczy,
znów się w topiel starych snów zapadam,
słaniający się po wszystkich zakrętach,
po tych samych
nie zgładzonych śladach.

Dzień nadejdzie – sny natrętne odrzucę,
na lubelski cmentarz powrócę,
wrosnę w groby, w krzewy malin, w jaśmin.

Niech wyręczą wtedy usta
uśmiechnięte i nieme
skowrończychy nad czarnoziemem:

Jużeś tu,
więc uspokój się,
zaśnij!

Zaśnij... luli, luli... mój jedyny synku,
ulżyj sobie,
popłacz jeszcze krzynekę!

Stoi krzyż próchniejący na Sławinku,
krwawa gwiazda krąży nad Sławinkiem.

Wygrzebuje się z lotnych piachów piosenka:

A jak na wojaczkę go zegnała,
aż się brzoza liśćmi posypała.
A jak listu daremnie czekała,
aż na rzece woda poczerniała.
A jak pieczęć na tym liście łamała,
aż się pod nią ziemia uginała.

Ugina się ziemia, ugina coraz mocniej,
podkłada się przyjaźnie tej wędrowce nocnej,
nawołuje, bym przyszedł...
Zawsze chętna ku takiej usługę,
w stronie swojskiej, nie cudzej
w nieprzespany sen ukołysz.

W lotny piach obróci się piosenka.

Błądzi cień po Europie – odwieczny emigrant –
rozgrzebuje popioły, w wątle iskry dmucha.
Na minionych, słotnych zawieruchach
tren żałobny za życia wygrał;
gubi się w gwarным tłoku – a jest mu bezludnie;

słyszysz: chmura za niebem dudni,
zapowiada się wśród gromów i błysków.
Oto los wyłączzonego z dziejów,
opuszczonego na pobojuwisku.

Ocknięty na dnie armatniego leju
zbiera się w sobie, szuka broni i ładunków.
Trafił na stopy trupa w gnijących onucach,
ropą dłonie ubabrał, a w zdławionych płucach
duszą wyziewy zatrutego trunku.

Krzyk, co razem z czarną krwią wyrzuca,
że go skreślono z rachunku.

Iskry z krzemienia lecą, lecz proch zamókł,
na pieśń karczemną hardą przerobiono nutę.
Pośród sprzedajnych klerków,
wśród handlarskich kramów
próżno potrzasać żołnierskim kikutem;
zanim burza przewieje po idących wiekach
i groby pobielone zetrze palec Boży,
trwaj w zaciekłej rebelii i ochryple szczekaj
jak pies,
co na sztandarach się położył.

A oczom, którym dawno łez nie stało,
wciąż zwróconym ku goryczom i troskom,
znowu gwiazdy nad ulicą Niecałą,
nad Spokojną i Radziwiłłowską,
i zegar z Bramy bije nad Madrytem,
i świtem widmo do okien zagląda
i żąda spłaty długu.
I znów ostre żądła
snów niespełnionych kłują – jadowite.
W ciągłej wędrówce wśród ruin i zwalisk
kto się doszuka, dosłucha i dalej
kroki na dzienne czuwanie wywiedzie?

Przed szumem nocy, przed mroczną zgryzotą
skronie skrzydłami mi przykryj i otocz,
ptaku wyroczny, mój wierny sąsiedzie!

Głucho wpatrzony w okna niewidome,
ślepnę jak one, a gniewny barometr
łudzi mnie, zmyśla i kłamie.

I żółć gryząca i ocet na wargach,
aż się nachyli jutrznia-pielęgniarka,
trzęsąc chorego za ramię.
Wstawaj – powiada – nazbyt długo czekasz!
Nic tu nie wskóra najsprawniejszy lekarz,
przyczyn cierpienia nie wskaże.

Nie wydobrzejesz na takiej opiece.
Wyrzuć dryjakwie, nie zamawiaj recept,
krwawe pozdzieraj bandaże.

Znowu z wiatrami bądź w spółce i zmowie!
Patrz: przerażeni uciekli widzowie,
trzasnąwszy drzwiami od szatni...
Weź ziemię w dłonie, przykładaj do rany,
idź,
z nocnych snów do reszty wyplątany,
gdzie bój cię czeka ostatni.

Poezje, Lublin, 1990, s. 214-233.

Lubelszczyzna

Dolinami, zielonymi parowami kraina się rozpostarła,
rozlewami torfowisk i łąk podeszła
ku stromym wąwozom...

Złota woń macierzanki napływa do gardła,
ani wiesz,
skąd i dokąd cię wiozą.
Czy tęsknota daleka,
czy rozpacz i strach,
skurcz pod sercem, gdy słów już zabrakło do wyznań,
na pastwiskach, na rzekach,
po majdanach i wsiach
wciąż usypia moja Lubelszczyzna.

Kiedyś wrócę do ścieżek wydeptanych i szos,
gdziem się z wiatrem spotykał i ziemi bił czołem,
dość słyszała tych pieśni,
więc pozna mój głos,
kiedy na nią po imieniu zawołam.

Przyjdą zmierschcy fiołkowe, zatoczy się wóz,
furman cmoknie na rośle mierzyny – i ruszę...
Ach... i droga, wiodąca szpalerami brzoź
między polne jabłonie i grusze.

Niby dym, co wieczorem nad jedliną się snuł, mgła mi oczy
przesłoni, lecz do łez się nie przyznam,
i wśród leśnych uroczysk,
śród majdanów i siół
cicho uśnie moja Lubelszczyzna.

Do kraju polnych grusz
i złotych sosen,
gdzie misę z zsiadłym mlekiem nakrywa bochen chleba,
gdzie płatki bzu poranną piją rosę,
od dawna już

powracać mi potrzeba.
Niech tylko Tanwią spłynie pierwsza kra,
niech w zwierzynieckich lasach zakwitną
krzaki leszczyn,
usłyszę, jak o zmierzchu flet pastuszy gra,
jak mi pod stopą
sucha gałąź trzeszczy.

Lubelski cmentarz zarósł gęstwą drzew,
jak dobrze spocząć przy boku swego dziada! –
i niech mi tam jaśminu krzew
o moim kraju opowiada.

Poezje, Lublin, 1990, s. 315-316.

Noce lubelskie

Ewie Szelburg-Zarembinie

1

Wiatr północny, rozszumiały okrutnie –
cienie się chronią po bramach smutne i chore –
wbity w mrok miasta jak Szymon Słupnik,
kładę idące lata pod myśli zawziętych toporem.

Ręko wytrwała i groźna,
mieszająca glinę gwiazd w sinym kuble,
trójkącie nieustępliwy w niebieskiej wysokości –
w gorzkiej pomroce mgły, nad bladymi łąkami
żarzy się senny Lublin – miasto krzyczącej młodości.

Rozbitych pagórków urnom
nocny wiatr obsypuje żółte próchno,
zagony pachną horyzontem,
łąki wyrastają ramionami traw,
kasztan liście palczaste w twych włosach zaplątał,
a półmrok
jest kwaśny w ustach jak szczaw.

Nie wiemy, kto ponad nami przystanął,
kto zgarnął garścią mrok nocy i w niebie napiął –
pod palcami gwiazd uderza czulszą membraną
serce niesione przez miasto,
kiedy, żałobnie wśród ciszy chrapiąc,
zegar wybije dwunastą.

Trudno jest iść milczącemu, łatwiej by było zapłakać,
a jeszcze trudniej utrafić wzrokiem na nerw – obnażony sens.
Bredzą nędzarze przez sen w kamiennych barakach,
obejmują drżącymi rękami
sterty węgla, bułek, kartofli i krwawych, soczystych mięs.

W klatkach, gdzie męczą ludzi, upalne ciąży Palermo,
płynie czas pokoleń, pęcznieje głód,
kołyszą się łóżka płynne żywicą i spermą:
miłość – drapieźny ptak w rozwidleniu kobiecych ud.

Wali się idącemu na głowę nocny świat,
gwiazdy opadające na drzewach gasną –
teraz już tylko wejść i bramę za sobą zatrzasnąć,
bramę, za którą cwałem przebiegają tabuny lat.

2

Ręka upalna lata błękit na drzewach rozpina,
kłujące szpilki słońca jątrzą się w każdym nerwie –
jest świt o trzeciej godzinie,
jest czerwiec,
błyszczą sierp Bystrzycy i kajak ukryty w trzcinach.

Wieczorem objęci wpół
ze skromnym w kieszeni banknotem
idziemy hurmą do knajpy zimny alkohol żłopać,
sączy się z butli przymilnych wódek srebrzysta ropa,
kwitną na obrusach wina zielone i złote.

Gęste powietrze parzy usta witriolejem,
tańczą dziewczynki śliczne na nóg jedwabnych łodygach,
tańczymy wszyscy –
północ nieruchomieje,
pod szklanym wzrokiem księżycy miasto zastyga.

Biją godziny – stąpa koń czarny –
zmydlony na nim popręg.
Nawołują się cienie nocnych przerażeń głosem,
tancerki mają usta purpurowe i mokre,
tancerki lgną ku naszym prężnym torsom.
Runie przez słabe sztachety nocy brunatny wodospad,
porwie stoliki, orkiestrę, służbę i nas –
i białe tancerek ciała pokłuje ospa
ropiejących, nabrzmiałych gwiazd.

Na przedmieściach chichocą wesołe dziewczęta,
nad białymi sadami ciepły wiatr powiał,
ciemne drzewa, jak rumaki w pętach,
kołyszące grzywami listowia.

Mroczna Kalinowszczyzna
rozsypała się w gąszczach i umarła,
ciepły powiew od sadu rosą w twarz mi bryznął,
zapach kwiatów podskoczył do gardła.

Senne cienie na palcach stąpają ostrożnie,
żaden z nocy grobowej
wyjrzeć się nie waży –
leżę w mroku bezwładny i kopyta spiżowe
przelatują zabitemu po twarzy.

Na więziennej baszcie czarny topór
utkwiał w nieba fiolecie i grozi
nasze serca, oblane księżycowym ukropem,
wybuchają w kolejnej eksplozji.

Księżyc wolno zstępuje po dachach wygiętych
ku odległym, nieznanym wybrzeżom –
jak umarłym monety
ciężkie gwiazdy na powiekach nam leżą.

Jeszcze strone pagóry, światła na glinianych urwiskach,
czarny Cień za nami idzie,
czarny Cień na krzywych palcach nas liczy –
w gardle dusi, w gęstwie już błyska:
z sinej nocy grozi tajemnicze.

Wiatr północny rozszumiały okrutnie
pędził na miasto chmury, kurzawę i chłód –
niebo tryskało mleczem,
konie biły kopytami u wrót,
pod kopytami trzeszczy gwiazd spalonych żużel,
wieczór
utonął w sonej głębi źrenic
i silniej serce odurza
samotnym śpiewem jarzębinowej jesieni.

Porzuconemu w jesiennej samotności
brakuje szerokich dróg i morza,
wąwozów i jedlin –
drzewa spopielił pożar.
daleki tętni pościg
i zmierzch
opada popiołem na dachy ludzkich osiedli.

Historio, która się tworzysz
skurczami rąk i w krzyku ust wygłodniałych,
wymierzana tanków tętentem
i marszem okutych nóg,
zbliżają się ku miastu semaforów czerwone sygnały
i przebija mrok nocy
krótkich spięć groźny huk.

W dniach narodowych świąt niebo jest jasne jak flakon,
przeciągają od rana orkiestry dęte,
błyszczą na słońcu księżom tonsury,
mosiężne hełmy strażakom –
i chodzi z puszkami kilka młodych studentek.

Spłynęła krwią szara ściana,
wżarła się w przestrzeń tym herbem,
przecina mrok aksamitny orzeł i krzyż,
krzyż i orzeł!
Dudni na bruku ulicznym nóg natarczywy werbel
dla ciebie, o dyktatorze!

Biało-czerwoną legendę jakże udźwignąć na barkach
i nie zapomnieć o krzyku, co się na ustach położył?
Oto nam w młodej pięści zwija się kastet anarcha
i myśl z ostrego mózgu spływa jak farba po nożu.

Wracam do domu wieczorem.

Głośnik oświadcza miastu:

marszałek Piłsudski, ojczyzna, cześć bohaterom...

Wiem wszystko:

herbata z chlebem, ramiona lat dziewiętnastu...

Świat jest ten sam, ten sam,

który oknem codziennie otwieram.

5

Wiatr północny rozszumiały okrutnie,
tryska spod ziemi krew i huczący wypełnia semafor;
czekając, aż się miasto czerwono zaludni,
zwitek papierów i spluwę chowałem za szafą.

Znowu wieczorem usta parzył powietrza witriolet,
znów kłuła wzrok nieświadoma znikomość rzeczy.

Miastem się toczą gwiazdy:

cekiny, piastry, obole –

to sprawy, które są złe, a którym nikt nie zaprzeczy.

Po cóż zaprzeczać dłoniom niosącym spoczynek,

wykwitającym jak jaśmin

z rozpaczy mrocznych szacht –

do ramion cichej przystani już nie zawinę,

pędzony przez wszystkie morza korsarski jacht.

Zaszły łzami oczy matki blade,

starym barkom nieposilny ciężar.

Ciężką drogą, niepowrotnym śladem,

jedzie syn własne serce zwycięzać.

Za strzemiona mnie nie chwytaj i nie płacz,
drżącą skronią przytulona do grzywy –
pod pułapem nawisłym wśród ciszy i ciepła,
w czterech ścianach byłbym nieprawdziwy.

Gdy sąsiedzi zapytają o mnie,
urągając twoim siwym włosom,
ty odpowiedz im, stratą swą dumna ogromnie:
– Mego syna dziś na marach przyniosą...

Szumia jesienne kasztany,
północ przez palce przecieka,
siwym gołębiem świt na zgniłych okiennic deskach,
matce, znużonej rozpaczą,
na rozpalonych powiekach
połóż swą dłoń litościwą.
Gwiazdzista Panno Niebieska!

Ręko wytrwała i groźna,
mieszająca glinę gwiazd w sinym kubie,

trójkacie nieustępliwy w niebieskiej wysokości –
w gorzkiej pomroce mgły
nad bladymi łąkami
żarzy się senny Lublin –
miasto krzyczącej młodości.

Drzewa nad drogą przystanęły smętnie,
nagły i ostry skręt zebrał je w ciemne półkole,
tak jakby obok
szumem wezbranych tętnic
daleka opowiada się kolej.

Błyskawica nad ziemią,
grzmot na spotkanie mi wyszedł,
spadają krople niewidzialne,
niewidzialna ręka nam grozi
wiatr we włosach i serce już słyszy
wybuchy podziemnej eksplozji.

Poezje, 1990, s. 70-75.

Lublin 1934

Nad miastem wstaje zmierzch. Zachód we krwi się utopił.
Pod stopami rozbitych pomników gruz.
Kamienice znane na pamięć. Niebo, pod którymś rósł,
wierzby zgarbione nad drogą jak smutne pięty,
Wieczór kroplami gwiazd; w otwarte oczy bryznął –
tobie, milcząca, uwięzła w mroku ojczyzno,
cierpkie pieniactwo poety!

Nad sennym Lublinem noc. Chmury brunatne.
Ptaki potworne wieją ze świstem żelaznych piór.
Ognie migocą w oknach. Śpiewa samotny chór.
Słowa słyszane po stokroć serce zduszone uwodzą.

Ach, serca! Dzwony alarmu na zapomnianych poddaszach.
Kroki, których stąpanie na zawsze w pamięci zatnę.
Cienie skłębione biegną. Każdy za sobą zaprasza.

Kogo pilnujesz, człowieku? Kto jest twój wróg?
Czyje drapieżne ręce grożą orężem?
Zwycięzcą będę w tej walce, choć własnych słów nie zwyciężę.
Przejdę przez wszystkie granice, każdy zdobędę próg,
wywyższę serce człowieka nad rozkład straconych ciał –
wydziedziczony władca
tej jednej jedynej przełęczy,
którąś przekroczyć się bał.

Nad wrzawą słów i pułków tupotem głuchym
szeroka i krwawa luna wyrasta –
twój granatowy płaszcz unoszą wichru podmuchy,
samotny poręczycielu mieszczańskiej ciszy –
złamały się linie domów,
kamienna rewolta miasta,
której znużony nie słyszysz.

Świerków czubate gromady, jak pęki dzid,
rozwiewa świeży wiatr
popiół żałobnych elegii –
spójrz: nad nami zwichrzony świt –
morze bijące o brzegi

Poezje, 1990, s. 76.

W Zemborzycach

Pani Wenus wszędzie zastawia swe zatrzaski,
więc to samo dziać się musiało w Lublinie.
Podobno młodzi wciąż całują się w Ogrodzie Saskim,
a Bystrzyca też podobno ciągle płynie.

Spływało się kajakiem do Zemborzyc,
w tamtych lasach było dosyć mchów i czernic.
Po to właśnie wyrok bóstw nas wszystkich stworzył,
więc musieliśmy wyrokowi być wierni.

Pieniła się woda przy starym młynie,
noce i gwiazdy przeglądały się w głębinie,
bo każda noc była znojna i gwiezdna...
I co? – Bystrzyca ciągle jeszcze płynie?
Bez nas?!

Dwie książki, 1984, s. 105;

Poezje, 1990, s. 267.

List do matki

Późny wieczór się kładzie nad starym Lublinem,
w szelest i w cień uciekają zamglone klony.
Granatowieje niebo, dotąd błękitne i sine,
nad Tatarami opar się wznosi zielony
i zmierzch fiołkowy otwarte bramy nasyca...

Kroki moje zgłuszone w mrocznych lubelskich ulicach,
powrotne kroki młodości raz jeszcze niechaj usłyszę!
Głowę moją szaloną niech tamten wiatr ukołysze,
w gęstwie jaśminów zaszumi,
wzburzone włosy potarga,
niech wszystkie dawne zaklęcia zbudzi na wargach
i starą furtkę zaskrzypi,
gdy klucz z niej wolna przekręcę,
by oprzeć drżące skronie o spracowane twe ręce.

Coraz ciężiej zasypiać, budzić się coraz trudniej,
behradna dłoń opada na głowę małego wnuka.
Ognistymi kłami w znużonych oczach południe,
po nocach budzisz się, gdy gałąź w okno zastuka,
nasłuchujesz długo – odwieczna matczyzna praca –
gdy się kroki wstrzymują przy bramie:

To może syn mój powraca...

A on nie powraca, zły, niedobry syn,
a on nie pisze nawet, jak zawsze... przedtem...

„Na próżno do przywołuję codziennych modlitw szeptem,
daremnie go rozgrzeszam ze wszystkich win.

Nie przychodzi,
zabłąkał się wśród obcych, dalekich ziem,
nie poradzą, nie dopomogą
bezsilne ręce matczyne...”

O, srebrna moja, najbielsza,
teraz dopiero wiem,
naprawdę złym byłem synem.

Noce rzucone na pastwę szalonym snom,
młodość, co była rozterką, gniewem, rebelią i pychą.
Wszystko rozwiało się w burzy,
wszystko przepalił grom,
że się jak liście umarłe po ziemi ścielą...

A tylko gorzki twój płacz zbłąkaną jaskółczychą
wciąż krąży nad pogorzela.

W tej drodze, którą idę skroś zbójeckich borów
przez świat, co mnie otacza jak bezludna pustka,
zwierzęta głodu, trwogi i pomoru,
świecąc płomieniem ślepiów, chciwie węszą w ślad,
na skrzydła rudych łun porwany wiatr
na twarz opada zakrwawioną chustką,
znużone stopy potykają się na grobach
i próżno w list do ciebie
chcą się związać słowa,
słowa
stłumione jak płacz...

Jarzmo kaudyńskie, 1969, s. 49-50.

Cmentarz w Lublinie

Jakiż sens brać w dłonie ciepłe trupy wydarzeń,
jeśli nie można ich wskrzesić,
jeśli nie można ich zmusić,
by po raz drugi umierały inaczej?

Zawodowi tych spraw opowiadacze
potrafią wymierzyć proporcje
między piaskiem, którym rzuca się na powieki zmarłych,
między głowami, które wygłasza się, czkając na stypie;
umieją wymierzyć trumnę
i rękę, kwiaty sypie.

Zawsze lubiłem cmentarze. Lubiłem w nocy
drzemać wśród grobów, porwanych powodzią jaśminów.
Powietrze zalewało krtań chmielnym płynem,
słowiki krzyczały na cały świat o swoim szczęściu,
oszałałe, w miłości niesamowite.

Cmentarz kołysał się, wzbierał wiosną, żył.
Budziłem się późnym świtem.
Na pobliskim pagórze chłop prowadził konie:
szły rześko, pobrzękując kantarami.

Ten cmentarz już nie śpiewa. Dawno zamilkł
głos, co był głosem umarłych,
ale zachęcał mnie do życia.

Nazwiska na kamiennych tablicach się starły,
nie pamiętam ich.
Drewniane krzyże pod murawę się zapadły,
z próchna nie wydobędę ich.

Zapomniałem na ile ciągnął się stajań
i zatraciłem miarę dzisiejszych wydarzeń.

A cmentarze stoją w kwietniach i majach,
w sinej mgle świtów, na plusze i skwarze,
unoszą w dłoniach ciepłe trupy lat –
i po każdym pogrzebie grabarze
przy podziale srebrników kłóćą się zajadle.

Tak nieraz, gdy kruszyłem suchy chleb, w mój ślad
leciały z wrzaskiem wróble, gile, trznadle...

I chciałyby je wszystkie wziąć w dłonie
i wskrzesić, aby po raz drugi umierały inaczej,
a to znaczy,
że musiałbym wskrzesić sam siebie,
aby inaczej żyć po raz drugi
i zasłużyć na jaśminy, na słowiki,
na cmentarz...

Przechodzi pogrzeb po pogrzebie
i pod skrzydłem szarugi
wolno wleką się żałobne zwierzęta.

Jarzmo kaudyńskie, 1969, s. 53-54.

Gazela żałobna

Pytasz, czemu mi skronie posiwiały.

Jeszcze nie noc i księżyc włosów nie osrebrzył,
jeszcze dzień i słońce mnie ozłaca,
jeszcze lato
i szrony na ziemię nie spadły.

Więc pytasz, czemu mi skronie posiwiały.

Biały jest kolor żałoby.

Białe są prześcieradła, w które owijają umarłych.

Biały jest marmur,
pod którym znużeni spoczniemy.
Biały jest kolor żałoby.

Gdy ci umrze kochanek,
wyjdiesz cała w bieli,
ciemną głowę okręcisz w całun biały,
białym kwieciem
cmentarną ścieżkę wymościsz...

To dlatego mi skronie posiwiały,
żem w żałobie
po umarłej młodości.

Kasydy i gazele, 1961.

Kasyda satyryczna

Oto jest uczta godna aniołów i hurys.

Najpierw wino zaperli się w czarach,
potem flet poda czysty ton,
jak skowronek wywinie się do góry.

Tamburyny go w pieśń zamieniają.
A Zaira, Abigal lub Tamara
będzie giąć się ku czułym spojrzeniom.

Do najdalszych Andaluzji granic
tylko wino, muzyka i taniec.

A ty, skąpcze, turbanu nie godny,
jak przyjmujesz gości na ucztach?
Dawno nie znasz czem złote wino,
zmija gnieździ się na dnie każdej czary.

Much brzęczenie pieśnią jedyną
i na fletach grają ci komary.

Zaś jedyne tancerki – głodne pchły.

A ty siedzisz, śmierci wyglądając,
wśród pcheł i komarów
jak pająk.

Kasydy i gazele, 1961.

Gazela białym wierszem

Chciałbym otworzyć kindżałem moje serce
i wprowadzić cię do niego
i zaczekać aż się rana zablizni,
abyś w niej została jak w haremie.

Jak ampułka z wonnym olejkiem,
jak monstrancja,
w której niewierni chowają swego Boga,
jak szkatułka ze złotem
zagrzebana w ziemię.

Ale nie mogę...
Ale nie mogę, bo moje serce jest zbyt małe,
moje serce,
które zmieściłoby się
w twej zaciśniętej piąstce,
piąstce, której paluszków nie chcę całować,
by nie zajęły się tym ogniem,
którym płonę.

Kasydy i gazele, 1961.

Służebnica diabła

Szła ogrodem – cała w przegięciu bioder,
już rozkwitła, już nadmiernie urodna...
Unosiła ku kwiatom piersi młode,
nieświadoma, a w grzechu pogodna.

Diabeł widział dokładnie jej urodę
i nie wątpił, że będzie zgodna.

Położyła się posłusznie ze złym diabłem,
ani w głowie jej że zejdzie do piekieł ...
Nie broniła brzoskwiń, ani jabłek,
sądząc że to ze zwykłym człowiekiem.

Bo nie domyślała się, że poszła z szatanem ...
Najpierw było szczęście i wesołość –
dziś jabłuszka wyściskane, biodra sponiewierane,
ramiona wysmarowane czarną smołą.

Gdy się chyłał ku różanym licom,
nie od razu odgadła
że staje się diabelską miłośnicą.

Zatraciła się w grzesznym życiu ze szczętem,
szeptała:

– Nie chcę dłużej, ale muszę ...

Poleciały z wiatrem płatki pomięte,
uwiądnął misternie spleciony wianuszek.

Teraz już wszystko o straconej wiecie,
nie dziwcie się, że uległa i osłabła ...

To nie jej wina, bo przecież
nie domyślała się
że staje się służebnicą diabła.

Gdybyż o nią wcześniej jakiś anioł zadbał!

1934–1976

Dwie książki, 1984, s. 102-103.

Sztyletnicy

Słowa żyją. W ich żyłach kipi krew
ku walce, nie ku zabawie, ni zalotom.
To rzecz na śmierć i życie. Więc poetycki śpiew
ma być jak krwotok.

Przestraszyłeś się, poeto. Wolisz się kryć.
Nim zacząłeś, podły lęk już zdjął cię...
Nie chcesz widzieć że wiersz twój ma być
ciosem noża po wezbranej aorticie.

Urodziliśmy się w bolesnym krzyku
i tym krzykiem, a nie bezradnym płaczem
sprzeciwiamy się zbrodniom i sfalszowanemu kartom.
Nam należeć do sekcji gniewnych sztyletników,
bo inaczej
w naszych czasach żyć nie warto!

Dwie książki, 1984, s. 37-38.

Czternaście kul

Oto konie apokalipsy w pobliżu już tętnią,
wychylają się ze strutnej mgły szydercze pyski szatanów,
zguba nadchodzi – wszystko według planu –
a niebo patrzy na nas gwiazdą beznamiętą.

Jak drżącą ręką trafić na bijące tętno
epoki, jak z huczących nurtów Oceanu
łódź naszą wyprowadzić? Ze spalonych łańców
nie trwoga wstaje; gorzej – rośnie obojętność.

Co dnia wołamy z nadzieją: – Pod Twoją Obronę,
Matko Najświętsza,
Do naszych domostw powrócić nam zwól!

Lecz możni świata nadal mają dłonie ubłocone,
nie obchodzi ich rozpacz bezbronnych, ni szyderczy ból.
Więc niech wybuchą gniewny, nieubłagany sonet –
czternaście wierszy, jak czternaście kul.

Dwie książki, 1984, s. 38.

Mitologia

Lato już od siwego upału omdlało,
rozpływają się góry na horyzoncie
i jaszczurka wybiegła przed domem przyciesie.
Najsoczystszych płodów ociążałość –
nim ostatnie z nich przymrozek strąci,
chodźmy razem uprzędzić jesień.

Zawiewają wiatry, coraz miodosytnej,
nad głowami obłoków dziwność
i bezsenność łączy zmierzchy i świty.
Gdy się tak dawniej zdarzało
radzili starożytni:
– Zapal lampkę wotywną
na ołtarzu Cypryjskiej Afrodyty.

Dwie książki, 1984, s. 92.

Erotyk żeglarski

Pochyliła się noc ku ramionom,
pochyliła się ku piersi pełnym dzbanom.
To nie gwiazdy, to twe oczy płoną,
już jesteśmy sami,
już o na tej ziemi zapomniano.

Czas zatrzymał się i nad nami przystanął.

Twe ramiona i nogi to wiosła,
którymi zagarniasz mnie na ostateczne głębie.
Jużeś, łódzko, w żeglarza całkiem wrosła,
obłoki na nas spadają jak gołębie,
sztandar zwycięstwa – rozpostarty żagiel.

Biją fale o burty, a wszystkie nagie,
są przychylne, choć wichry dzikie,
coraz gwałtowniej nami kołyszą.

Od wzajemniasz się im radosnym krzykiem,
By go potem skwitować rzewną ciszą.

1936–1977

Dwie książki, 1984, s. 99.

Sonet barokowy

Gdybym żył i chciał pisać w wieku XVII-tym
Jakich bym metafor użył i przenośni?!
Im głos bardziej zduszony, tym przemawia głośniej,
Szept łacniej, niżli wrzawa, dotrze do niewiasty.

Wiersz bez porównań – to chleb bez omasty,
na drożdżach tropów ciasto wyżej rośnie.
Śpiew niech rozwija się jurniej o wiosnie,
by przed jesienią przedwcześnie nie zastygł.

Wapienną winogrodu krew rozsada glebę,
ciasto rośnie, pożywnym będzie wkrótce chlebem,
mleko zamieni się w tłustą śmietanę.

Głodu nie będzie. Po wieczerzy na osłodę
podasz usta, natarte szafranem i miodem,
i piersi winem wytrawnym wezbrane.

1941–1972

Dwie książki, 1984, s. 101.

Romans prozaiczny

Ojciec od dwóch miesięcy bezrobotny,
skończył się kredyt w narożnym sklepiku...
A oczy miała pełne iskierek psotnych,
A biodra jakby rzeźbiarz natchniony ją wykuł.

Zaczęło się od spojrzeń przelotnych,
rozstrzygnęło się w studenckim pokoiku.

Płakała – krople rzęs mieniły się na rzęsach
Ale usta były posłuszne , ramiona pokorne.
– Od dawna na obiad nie jedliśmy mięsa,
trzeci miesiąc zalegamy z komornem...

Odtąd noce do czerwieni rozżarzone –
on z pomocą zawsze iść był gotów.
Nie brakowało już na kino drobnych monet,
ani matce na zakupy szeleszczących banknotów.

Kościół pobliski przyzywał hucznym dzwonem,
ale dla niej nie było powrotu.

Ku ustom zbrukanym nieszczerzej miłości słowa..
Na wycieczce kajakiem w cieniu dębów i cisów,
kiedy indziej na świętojańskich paprociach.

(Dziejopis beznamiętnie zanotował:
– To były lata gospodarczego kryzysu
i powszechnego w Lublinie bezrobocia).

1931–1975

Dwie książki, 1984, s. 101-102.

Narodziny Syryngi

Piękna Syrynga uciekała przed bożkiem Panem,
była nimfą, wstydliwą i szybką, jak łania,
ale i tak Pan by ją nad rzeką pochwycił.
Goniły za nią włosy rozwiane,
wiatr ucieczce tej ostro się wzbraniał,
już pożądliwe ręce bóstwa były blisko jej kibici...

Jakiś Greczyn tę baśń wymyślił, bo nie ja...
Ulitowała się nad Syryngą zgrzybiała Gea,
w trzcinę ją zamieniła...
Pan pociął trzcinę ,
siedmiousta wyrobił z niej fletnię,
dmucha i opowiada dzieje tysiącletnie –
tak niepokorną unieśmiertelnił dziewczynę.
Uciekłaś, no to uciekłaś...!
Mogłaś ze mną zwiedzić wszystkie raje i piekła,
Jak Eurydyka z Orfeuszem.
A ja Syryngę ująłem dłońmi i dmucham
i tak odradza się tamta zawierucha,
i unieśmiertelniam cię, choć nie muszę.

Nawet nie poradzę ci: tej fletni posłuchaj! –
Boś już zapadła w niepamięć.
I głuszę.

(Chyba że kłamię...)

1955–1975

Dwie książki, 1984, s. 37-38.

Była żydówką

Była Żydówką, ciało miała złoto-śniade,
powieki pierzchliwe, jak motyle,
biodra, jak dzban wezbrany miodem.
Gdy szła, pół miasta biegło za jej śladem,
by choć przez chwilę
napatrzeć się na grzeszną jej urodę.

Rzewny śnie, ramieniem mnie przygarnij!
Niech wspomnienie zaszumi w mej głowie jak wino!
Nich przybliży tamtą porę słoneczną!
Zamykały się pokornie oczy sarnie
gdyśmy zrastali się w jedyność
i na własność brała nas wieczność.

Była Żydówką, wstydziła się z chrześcijaninem,
bo w nią wmówiono
że chrześcijanie mają jej rasę w pogardzie.
Ale ja przecież żywiłem myśli całkiem inne,
gdy schodziła, wstydliva, ku moim ramionom...

I z każdym dniem ją kochałem coraz bardziej!

1935–1975

Dwie książki, 1984, s. 104.

Erotyk nieprzytomny

Twoje ramiona – ciężkie łańcuchy, ścigające mnie
na bezdenne głębie,
twoje biodra – okręt unoszony Golfstromem;
twoje piersi – ogniem uskrzydłone gołębie,
twoje oczy – przepaście... Kroków skały strome.

Niech mnie ścigają łańcuchy – utonę!
Na bioder okręcie niech na wieki zasną!
Podpalajcie mnie, gołębie, ogniem uskrzydłone!
Przyjmijcie moje zwłoki, oczy przepastne!

To za zawsze rozżarzony popiół,
to burza, której nawet wieczność nie uśmierzy.
I cóż z tego żem się spalił, czy utopił?
Kto płomienia i burzy nie zaznał,
ten nie żył.

A Pani Cypryjska zawsze szaleńcom przyjazna...

1950–1975

Dwie książki, 1984, s. 105.

ZUZANNA GINCZANKA (1917–1944) (właściwie Zuzanna Polina Gincburg)



Urodziła się w 1917 roku w Kijowie, w rodzinie zasymilowanych rosyjskich Żydów. Po wybuchu rewolucji październikowej jej rodzice wyjechali do Polski i zamieszkali w Równem na Wołyniu.

Poetka zaczęła tworzyć wiersze już w wieku 3 lat, zaś swoje pierwsze utwory opublikowała w wieku 10 lat w gimnazjalnej gazecie. W konkursie poetyckim w 1934 roku ogłoszonym przez „Wiadomości Literackie” uzyskała wyróżnienie. W 1936 roku wydała swój jedyny tomik poezji *O centaurach*.



Tomik wierszy *O centaurach* Zuzanny Ginczanki
(Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Po ukończeniu gimnazjum przeniósła się do Warszawy, gdzie rozpoczęła studia pedagogiczne. W 1936 roku zaczęła publikować wiersze satyryczne w „Szpilkach”. Ponadto jej wiersze opublikowały „Echa Szkolne”, „Odrodzenie”, „Sygnały”, „Nowe Widnokregi”, „Skamander” i „Wiadomości Literackie”. Bywała w „Małej Ziemiańskiej”, słynnym miejscu spotkań warszawskich literatów; przyjaźniła się między innymi z Witoldem Gombrowiczem.

Zuzanna Ginczanka była także autorką słuchowisk radiowych dla dzieci i dorosłych (wspólnie z Andrzejem Nowickim).

Wybuch II wojny światowej zastał ją w Równem. Jesienią 1939 roku przeniósła się do Lwowa. Publikowała swoje wiersze i tłumaczone na język polski utwory Włodzimierza Majakowskiego, Pawła Tyczyny, Łesi Ukrainki, Tarasa Szewczenki oraz Achillesa Le Roy w „Nowych Widnokręgach”, „Czerwonym Sztandarze” oraz „Almanachu Literackim”.

17 września 1940 roku wstąpiła do Związku Radzieckich Pisarzy Ukrainy. Publikowała swoje i tłumaczone na język polski wiersze innych autorów w „Nowych Widnokręgach” oraz w „Almanachu Literackim”.

Z chwilą wejścia Niemców do Lwowa w czerwcu 1941 roku ukrywała się kolejno we Lwowie, Felsztynie, Krakowie oraz w uzdrowisku Swoszowice. Na początku 1944 roku poetka wróciła do Krakowa i wiosną 1944 roku została aresztowana, a następnie rozstrzelana przez Niemców (Śpiewak 1953; Kiec 1994, 2019, 2020; *Zuzanna Ginczanka. Wiersze*, 2017).

Zamiast różowego listu

Moje malutkie miasto ma zbyt wiele uliczek –
(nie mogę ciebie spotkać, choć co dnia wszystkie liczę).
Moje malutkie miasto ma uliczek za mało –
(nie ma w niej takiej jednej, by się dwoje spotkało).

Moje malutkie miasto mogło stać nad tysiącem,
które mają chodniki długo, długo idące,
a nad każdą by stało smukłych domów miliony
jak dynie pełne pestek drobiem ludzkim zmrowionych –
– a każda co dzień inna pena twego kochania
mogła święto spotkania na tych domach wydzwaniać,
na tych domach ogromnych kolorowych klawiszach –
– – a my byśmy szli
wiecznie,
a w nas byłaby cisza.

Moje malutkie miasto mogło stać nad króciutką
tylko jedną jedyną, jak strumyczek wążiutką,
a uliczka ta mogła mieć dwa tylko domeczki
naprzeciwne radosne roześmiane dzwoneczki –
– moglibyśmy wyjść sobie w jakiś wieczór lub rano
z naszych domów: śmieszyczek, radośnianek, wiośnianek
i od razu się spotkać sercodzwonnie dłońwdłównie
i patrzeć sobie w oczy
wiecznie
wiecznie
dozgonnie.

Moje malutkie miasto ma zbyt mało uliczek
i zbyt wiele uliczek,
których nigdy nie zliczę.

O centaurach, 1936, s. 30.

Wiersz o radosnym czekaniu

Przybiorę swój pokoiczek – czyściutko, białutko, ładniutko,
owinę alpejskie fiołki niebieską, miętą bibułą –
(niebieska mięta bibułka Kaśkinym gustem wzrok pieści,
niebieska mięta bibułka tak pachnie, jak samo szczęście. –)

Przypnę do biurka pinezki, błyszczące nowe pinezki,
a z biurka zetnę starannie kreślone ołówkiem kreski –
(być może stare wrażenie znów oradośni mnie błyskiem:
tak chce się zostać dorosłą, a życie jest zwykłe i bliskie –)

A potem usiądę sobie i będę tylko czekała,
mój uprzątnięty pokoić cichutki się będzie stawał –
(nie mówcie, że nie ma sensu takie bezdenne czekanie,
bo przecie – myślę tak sobie – raz wreszcie coś się odstanie –)

Więc czekam sobie, tak tylko – i biały czeka pokoić –
być może ktoś w drzwi zapuka – – ? i tak czekamy we dwoje –
(Są różne, różne pukania, jak różne, różne są dłonie,
a słyszę wszystkie, prócz tego, któremu echem się skłonię –)

Za oknem na cienkich drutach wróbelki siadły kapelą,
jak nuty na czarnych liniach stakaccą catta1 we trele –
(Melodia mego czekania – błąka się radość po mieście –
niebieska mięta bibułka tak pachnie, jak samo szczęście)

12 lutego 1933

Pięć szkiców Indii

Jeśli się tego nie wie, notes nagradza dwójką:
na politycznej mapie mały czerwony trójkąt,
na kwadratowy kilometr jest siedemdziesiąt pięć głów,
w Dekanie sto i pięćdziesiąt milionów (pamiętaj!) była –
cynamon, grafit i kauczuk, herbata (może powidła?)
nazwy: Narbada, Bombaj, Gath – trudny poplot słów –

Lub inne Indie: kobry, turbany na głowach, słonie,
walka z Sikhami, przygody, ucieczki, no i pogonie,
jogowie, fakirzy, Budda, fanatyzm bramińskich nacji –
na chybił trafił palcem uderza się w świat ich obcy,
potem zaś w ciemne noce na spółkę wieją tam chłopcy,
rankiem schwytni wracają z ojczulkiem z najbliższej stacji.

Indie dorosłych – to Ghandi; czyta się przecież gazety:
bierne powstanie Hindusów – ruch wolnościowy kobiety –
na fotografii Mahatma; patyk i okulary,
a obok tkwi kołowrotek – coś jak talizman lub czary.

Indie poezji to tajnia złotem ściemniałym bogata,
był kiedyś „Ranrajana” i był „Mahabharata”;
teraz jest mądry i stary Rabindranath Tagore –
księżyc przybierający, kwiaty pachnące, jak dobroć,
wieczorna gwiazda uczucia, świecąca jak „Koh-i-noor”
i myśl, co oplata słowa i wiję się w nich, jak kobra –

A ludzie są tacy zwykli i prości, jak ja i ty,
a wkoło nich życie jest ścisłym poplotem radości z krzykiem
i pewnie trudno ich dzielić naprawdę na przymiotniki,
tylko w lekturach bohater jest skryty, dobry lub zły
(w południe czasem są deszcze a w noc bezgwiezdna ciemność)
a ludzie w Indiach żyją i mają co dzień codzienność. –

20 lutego 1933

Wiersz o prawdziwym czekaniu

Była sobie cichuteńka rozpacz, milcząc, chwile z grządek życia pełła,
znajdowała siebie w smutnych wierszach, w smutnych wierszach, w Popiele
i Perłach

A onegdaj bezbronne zmęczoną melodramat ją uwiódł z teatru
i przegląda się w lustrach i myśli: „Były wieńce z wpółuwiedłych kwiatów”

23 lutego 1933

Przyszło

(Przyszło dziś do mnie dzieciństwo w niedoścignioność się rozwłóczyć)

Były kiedyś pełne szuflady babcinych kluczy –
zardzewiałych i lśniących –
grubych i cienkich – –
można było na nich wygwizdać różne piosenki.
Niektóre miały basowość ociężałych trzmieli
inne dudnienie syrenich gardzieli,
ale najwięcej było takich, co piiiiszcząły wysoko
ciiiiiiiutko – leciiiiutko –
w ciiiiszy,
jak myszy.

Krótko, stalowo, dźwięcznie uderzały o siebie,
klucze od nieistniejących, pogubionych, żadnych drzwi;
czasem były rude od rdzy,
czasem zielone od pleśni.

(Przyszło dziś do mnie dzieciństwo w niemożliwość się prześnić)

A potem znalazłam drzwi do kluczy, które się pogubiło,
bo każda godzina życia miała ciężki zamek,
a każdy dzień miał swą niedomkniętą zawijłość –
zagubiły się gdzieś pęki
czarodziejskich kluczy,
na których gwizdałam naiwne piosenki –
malutkie, rzewne pieśni – –

(Przyszło dziś do mnie dzieciństwo w niedoścignioność się rozwłóczyć,
przyszło dziś do mnie dzieciństwo w niemożliwość się prześnić).

2 marca 1933

Przepis na prostotę życia

Brukom ulic się dziwić przez okna, liczyć wrony i łykać dzisiejszość,
wszystkie myśli odrzucać od siebie i zostawiać jedynie najmniejszą,
nie nazywać niczego słowami, nie wyplatać ze wzruszeń określeń,
nie wpisywać w zeszyty spostrzeżeń, definicji nie sączyć z uniesień. –

Nie ozdabiać się rzewnowzdychliwie w beznadziejność twarzowo przeziętą,
rozczochranych, cygańskich tęsknotek nie nazywać liliową tęsknotą,
nie przyjmować odwiedzin wspomnienia, które łzawi się zwykle półpłacząc,
nie hodować w doniczce miłości i nie skrapiać snów wonną rozpaczą. –

Łapać muchy i ziewać szeroko; nie odnawiać skończonych rozdziałów, –
i nie zbierać kolekcji ze spleenów, autografów i zgasłych zapałów – –
– – łykać ranki hałaśną radością i na dłoniach podawać im serce,
a wieczorem zasypiać w prostocie, jak w dziecinnej mięciutkiej kołderce.

4 marca 1933

Przedprzebiśniegi

...nie była córką morskiego króla, szacha perskiego, ni prezydenta –
i nikt jej lekiem wiedzom opólnocnych nigdy nie pragnął marzeń opętać.
Godnym uwagi w tej całej sprawie było serduszko pełne po brzegi,
choć bohaterka tak była młoda, że rwała wiosen przedprzebiśniegi –

Fizjologicznie tłumaczyć bajkę, choć to nie zdarza się przecie, chcę wam:
otóż dziewczątka razu pewnego zasnęło w łóżku na boku lewym,
(rzecz znana: ucisk sprawiony sercu stwarza w snach nocnych dziwne
rojenja)
no – i przyśniła się jemu miłość wraz z przebłąkitem czyimś spojrzenia.

Wiadomo chyba wszystkim słuchaczom, co czyni miłość bławatkokłótna
z początku były jakieś wierszyki i „wiosna, krosna – sosna, radosna”
a potem były i aforyzmy pachnące życia przecutym majem
„miłość wszystkiemu serca nadaje i zaginione już wskrzesza raje”

Były spotkania, wiersze Leśmiana: „bo wszak zepsuciśmy już kulturą!”
partie tenisa, kawowe lody, zdenerwowanie „jego” maturą,
letnie wakacje, myśli przez trawę, dni bisiorkowość przekolorowych
i platoniczne, wzdęte powagą, niedomówione, głupie rozmowy – –

Przedprzebiśniegi, to dziwne kwiaty – można raz zemdleć od słodkiej woni,
ale są skryte od ust czerwieni, i opalonych a miękkich dłoni –
przedprzebiśniegi, to dziwne kwiaty – można od słodkiej ich woni skonać,
ale cóż wiedzą o nich ramiona, ciepłe, brązowe niemal ramiona? –

Rozłąka pachnie skoszoną trawą i leszczynową wilgocią leśną
i są spotkania po tych rozłąkach, które zazwyczaj ich nie przekreślą,
więc się dziewczynce bajka-nie-bajka skończyła zanim była zaczęta
...nie była córką morskiego króla, szacha perskiego, ni prezydenta

5 marca 1933

Utwór dedykowany Tadeuszowi Błażejewskiemu

Zielnik do wypełnienia

A na pierwszą kartkę wkleił się złociście zapach letnio pszczelny
(czasami się zbiera słów bezprzyczynowych i rozmarzeń zielnik)

A na drugiej kartce strzępi się pytanie zieleciem tajemniczym:
„Czemu zwykle w bajkach mają złote włosy wszyscy królewicze?”

A na innych kartkach (każdy cal przeszłości ma swą parabolę)
kwiaty zasuszone blakną w świetle czasu różnych barw symbolem.

A ostatnia kartka była ciągle pusta – ciągle, aż do wczoraj:
w całkiem obcym mieście zakwitł mi przypadkiem pewien kwiat
w wieczorach –

I znów pachnie w marcu nieznajomy kwiecień szczęściem na wpół
chmielnym
(czasami się zbiera słów bezprzyczynowych i rozmarzeń zielnik).

19 marca 1933

Listy

Czasem wie się, że nic nie kryją białe listy pachnące drogą,
choć się trzyma je nie otwarte, by przeczucie zabarwić w błogość –
Czasem lila, albo różowe wróżą ciszą zachody słońca
i umieją sentymentalność bladziuteńką czułością trącać –

Przemilczając beztreścią słowa, lub haftując treścią milczenie,
mogą wmówić oczekiwanie, lub odżegnać miłość znudzeniem,
mogą nizać się na rozłakę i wypełniać ją rzędem pereł,
lub uprościć ją zapomnieniem – beztęsknoty grudniowym sterem –

W rzeczywistość ujętych stemplem jest ich wiele – bezkresny milion
w poniedziałek chlebne zwyczajnie może przynieść je wprost pocztylion
w życiu mieszcza się tak najzwyczaj, niby w jego torbie skórzanej,
nie umieją kraść z losu zdarzeń i zamieniać w burze niezdarzeń

Lecz jest jeden – taki czekany – nie spodziewam się go z daleka
na miliony tych spodziewanych, których przecie nigdy nie czekam.
Jest ten jeden nienapisany – na miliony milionów jeden
(mógłby przybyć w dużej kopercie ubarwionej w jasną rezedę)

Gdyby przyszedł – (w milczącej ziemi śpi fijołków wonna szczęśliwość)
gdyby przyszedł – (w szemrzących sosnach drzemie jeszcze jasne igliwo)
gdyby przyszedł – (ludzkie uśmiechy kwitną jeszcze na ustach blado)
Trzymasz w dłoniach pęk nowej wiosny, nierozkwitły, jak moja radość.

25 marca 1933

* * *

A pójdę chyba przed siebie wiejsko-słoneczną ulicą,
gdzie bruzdy świeżo wgłębione wprost w nieba wschód się przemycą –
a pójdę chyba też na wschód słoneczną drogą po piachu
(słońce pękatość potoczy po mojej drodze na zachód)

Na prawo wiosenny roztop zabłyszczycy, jak szklana tafl a,
na horyzoncie – na lewo płaskość rozwinie się w wachlarz
zasmucę się: na tej łące samotnej w jasności ranka
nie wylądjuje przede mną samolot Twój – niespodzianko. –

Łąki czekają bezwiedne, jak blade, zmęczone twarze,
miast ciebie – pilota zdarzeń, jest pustka pilot niezdarzeń.
Zrywam w garść gałąź świerkową, zieloną, pęcznie stokrotną
i gryzy igły tak cierpkie, jak przedkwietniowa samotność.

29 marca 1933

Ostatni śnieg

Niech się ścielą białe masy śniegu, żeby można było iść bezgłośnie – bez ech

–

Niech się ścielą białe masy śniegu, by zszroniło moje sny bezwiośnie – bez ech –

W maju nocą bruki bocznych ulic mrok wyścieli, jak czarny aksamit
i kontury domów spłyną w sady wyiskrzonej suto skier gwiazdami.
Noce – noce wejdą w moje życie cichuteńko zza przyszłości węgła
i zostaną zbyt samotne sobą – rysowane głębią czerni węgła – –

W maju będą ranki jasnobarwne malowane wschodów miękkim pędzlem.
Niebo – błękit, lekki błękit pruski i promieni wpółchromowe frędzle,
połyskliwe cynobrowe dachy i liliowość, która w bzach się ścielę –
w maju będą jasnobarwne ranki – jasnobarwne ranki-akwarele.

A południa będą, niby radość – rozsypana sepia w żółte blaski,
niebo przejdzie w krzep ultramaryny, dachy w karmin bezcieniowo płaski,
A w ogrodach zieleń bzowych liści w jedną mocną plamę się rozgrzeje,
bo południa będą, niby radość – malowane pełnych plam olejem.

A wieczory w maju się rozmarzą i zamilkną w zamyśleniu – – kiedy? – –
niebo nisko, nisko się pochyli i w oddali skłoni się w seledyn,
wszystkie barwy cichuteńko zbledną uciszone w minorowe gamy,
a wieczory w maju się rozmarzą w melancholię wsnute pastelami

Niech się ścielą białe masy śniegu, by zszroniło moje sny bezwiośnie – bez ech –

Niech się ścielą białe masy śniegu, żeby można było iść bezgłośnie – bez ech

–

23 kwietnia 1933

Projekt wiersza o liliowym słońcu

...aż znudzi mi się w starych słowach przesiewać wyszarżałą skargę,
...aż znudzi się żonglerka uczuć i rzut miłosnym bumerangiem,
...aż znudzi mi się nową wiosną corocznie z biciem serca witać,
i myśleć, że to moja miłość na polach fiołkom każe skwitać –

a wtedy spokój się rozleje, jak woda we mnie i wkoło mnie,
przestanę się w kąciku sofy zaciągać wonnym dymem wspomnień,
przestanę już zwyczajem smutnych bezdźwięcznie imię w myślach jąkać
i żadna miłość mi nie każe zielonych pęknięć szukać w pąkach.

wtedy napiszę wam legendę o fioletowym, bzowym słońcu
(stare tematy: smutek, serce – jak chmury wiatrem się rozgonią)
a będę pisać ją w języku Cziczików z siódmej części świata
(Jakie to nudne: wciąż te same wyrazy splatać i rozplatać)

„Liliowy, fioletowy słoń bum-takdżon iktingi fiu likoku
liliowy, bzowy piękny słoń kulczikfin irtringi fiu dżiktoku –
(ostatnie zdanie –, proszę państwa, w przepięknej mowie tych Cziczików –
– to wytrych wszystkich szczęścia zamków – to sens i mądrość słów bez
liku)

3 maja 1933

Gramatyka

(– a wrosnąć w słowa tak radośnie,
a pokochać słowa tak łatwo –
trzeba tylko wziąć je do ręki i obejrzeć jak burgund pod światło).

Przymiotniki przeciągają się jak koty
i jak koty są stworzone do pieszczot
miękkie koty ciepłe i potulne mruczą tkliwość andante i maesto.
Miękkie koty mają w oczach jeziora i zieltopiel wodorostną na dnie.
Patrzę sennie w źrenice kocie
tajemnicze i szklane i zdradne.

Oto jest bryła i kształt, oto jest treść nieodzowna,
konkretność istoty rzeczy, materia wkuta w rzeczownik,
i nieruchomość świata i spokój martwot i stałość,
coś, co trwa wciąż i jest, słowo stężone w ciało.
Oto są proste stoły i twarde drewniane ławy,
oto są wątłe i mokre z tkanek roślinnych trawy,
oto jest rudy kościół, co w Bogu gotykiem sterczy,
i oto jest żyłne tętnicze ludzkie najprostsze serce.

Zaś przysłówek to nagły cud,
niespodzianka potartych krzesiw –
było coś nie wiadomo jak –
a już teraz jest w skos i w poprzek
i oburącz oplata myśl i jest pewnie rzewnie i dobrze.

A zaimki to małe pokioiczki,
gdzie na oknach rosną małe doniczki.
Każdy kącik – to pamiątka po dawniej,
a są tylko dla Ciebie i dla mnie.
Tu tajemną abrakadabrą
kwitną prawa miłosnych algebr:
ja – to ty, ty – to ja (równanie)
ja bez ciebie – ty beze mnie to zero.
My lubimy otuleni zmierzchami

w małych słowach jak w szufladkach szperać.

Ja to ty – ty to ja. Równanie.

A zaimki są tak tajne jak kwiaty,

jak malutkie, malutkie pokoiczki,

w których mieszkasz w tajemnicy przed światem.

(– więc weź tylko słowo do ręki.

i obejrzyj jak burgund pod światło,

a wrosnąć w słowa tak radośnie,

a pokochać słowa tak łatwo –).

O centaurach, 1936, s. 20.

Agonia

Kreślą się żółte gwiazdy
sentymentalną lirą –
Artemis biała i smukła
w księżycu przegląda się lustrze –
taki już gwiazdnych przeznaczeń
tajemnie zapadł wyrok:
nic cię nie może zbawić,
nic cię nie może ustrzec:
: zdychasz, stara Europo,
patosem brzękniesz jak trup,
„o Francjo, – o Anglio, – o Niemcy, – o Litwo!!!”,
zanosisz się suchotnico
kaszlem żołnierskich rytmów
(: więzi bęben takt stóp),
gnijesz gangreną – policją,
ociekasz kodeksów ropą –
– zdychasz, stara Europo!
Jakże czeremchy naręcze
w wąskie flakony ustawiać?
Jakże mi maj rozparskany
w chomąty
gnać
tabulatur?
Wyżarł twój ląd, wyżłopał
wolność, jak słodki nabiół,
przeżarł się, stara kanalia,
miodem rozgrzanych kwiatów –
O drogo u stóp skomląca,
gdziekolwiek, gdziekolwiek pójdę,
credo moje najdroższe,
bliźniaczo zrośnięte ze mną –
spotka nas zwykły drogowskaz,
rozłupie szlak wagabundom
(: więzi bęben takt stóp)
i ogołoci z konarów

zwykłe, pokorne drewno;
ale się w mózgu lęgnie
jak w leszczynowym orzechu
świadomość nikła i wątła,
że wyjście jest prawie obok
(przez cynk, przez metal i ołów
prąd ostry wyblyskiem – przeszedł)
: zdychasz już suchotnico,
zdychasz, stara Europo –
taki już gwiazdnych przeznaczeń
tajemnie zapadł wyrok,
nic cię nie może zbawić,
nic cię nie może ustrzec –
– kreślą się żółte gwiazdy
sentymentalną lirą,
Artemis biała i smukła
w księżycu przegląda się lustrze –

3 czerwca 1934

Uczta wakacyjna

Na talerzu szarym ziemi, malowanym w zieleń trawy,
Mam sałatkę, przyrządzoną z kwiatów wonnych i jaskrawych,
I z naczynia w kształcie słońca, które formy swej nie zmieni,
Leje lato na nie ciepły i złocisty miód promieni.

W innej misie z szkła czarnego, niby nocnych chwil kryształ,
Leży banan półksiężyc żółty, gruby i dojrzały;
Lipiec suto obsypuje wnet firmament półksiężyc
Cukrem gwiazdek, których pełna jest wszechświata cukiernica.

Z przezroczego dzbana piję niebo z pianką chmur – oczyma;
Lokaj – lato na swej tacy złotą dynię słońca trzyma.
Wgryzam się zębami uczuć w kraśne jabłko dni czerwonych
I do kosza serca chowam skórki wspomnień już zjedzonych.

„Echa Szkolne”, 1931, nr 1/21, 1 października, s. 2.

Obcość

Patrz:

purpurowy trubadur święto obwieścił surmami –
kupcy rozdają szkarłat i maści pachnącej miarki –
na szklanych szczudłach sopranu chwieją się mdlejąc pieśniarki –
tancerzom dzwonią torsy i ud błyszczący ornament –
– a tyś spowszedniał sobie

ulicą

mierzoną

codzień,

a w tobie jest śmierć nieuchronna

jak igła krążąca w żyłach.

Radość przepływa

z dala

w różowej świątecznej łodzi

daleką obcą rzeką

z ultramaryny i z iłu.

Powiedzą o twoim żalu: „płaskostopy i karłowaty“

powiedzą o twoim smutku: „bielidło, olejek, róż“.

Ni liryka z tkliwych batystów

ni ciężki epos z brokatu

nie wyzna ciebie

nikomu

domysłem z za siedmiu mórz.

O centaurach, 1936, s. 27.

O centaurach

Ścierają się rym o rym ostrzone wiersze ze szczękiem
– nie ufaj ścisłym rozmysłom, by żaden cię nie opętał,
– nie ufaj palcom jak ślepcy,
ni oczom jak sowy bezrękie –
oto głoszę namiętność i mądrość
ciasno w pasie zrośnięte
jak centaur. –

Wyznaję dostojną harmonię męskiego torsu i głowy
z rozrosłym ciałem ogiera i cienką pęciną nogi –
– do żeńskich chłodnych policzków
i kłębów okrągłych kobył
galopują wspaniałe centaury
w dzwonie podków z łąk mitologii.

Ich namiętność skupioną i mądrą
i ich mądrość płomienną jak rozkosz
odnalazłam w dostojnej harmonii
i stopiłam w pasie i sercu.

Popatrz:
namysł
o twarzy antycznej
zgrzanym koniom zawierzył swą boskość,
jak spętane rumaki po jaskrach
drżące zmysły pędzą po czerwcu.

O centaurach, 1936, s. 5.

Fizjologia

Pod opalonym naskórkiem krew podrażniona boli –
w krętych opętlach tętnic życie wylewa Wisłą,
w cienki nabłonek wargi ciśnie się krwawo półkolem,
rumieńcem zgrzanych policzków w manifest chce mi wytrysnąć –
cieszę się: życie! (wykrzyknik); oddechem daję posłuch,
że niby: lat siedemnaście,
że niby: jestem szczęśliwa,
a przecież jestem nadziana na pal, na własny kręgosłup
(mam w sobie śmierć nieuchronną jak igła krążąca w żyłach),
to nie da się przekabacić,
i nie da się przezebrać:
w prześwicie słońca przez dłonie mogę pięć kości dostrzec –
pod pomarańczą piersi jest suche jak gałąź żebro,
a pod gibkimi mięśniami jest sztywno chruściasty kościec –
Oczami jak agrafkami
ostro wpięłam się w świat,
żółto strzelony promień
w źrenicę wwiercił się jak świder –
znieńska srebrzystym dyskiem
blask w odbłysek tęczęwki wpadł,
znieńska w przymknięciu powiek
wzrok z chwytu świata się wydarł –
pamiętasz, jaki ma znak
w dwa serca rozcięta grusza –
i jaki na wargach smak
zostawia jabłeczny rozgryz?
soczysty wytrysk czereśni,
gdy podniebieniem ją zdusisz,
jest zwiastowaniem bolesnym
i lipca chrzęstem szczodrym –
Ostrość. Czujność. I baczność.
: broń naostrzona – zmysły
w walce z dniem, co jest dzisiaj,
zdobynam następny dzień –
zgrzyt żwiru, żarna i żużlu

jest wiedzy tajnym domysłem,
a łupem jest to i tamto
i wszystko, wszystko, co wiem.
Walko, tania sentencjo,
w której zwycięstwo jest klęską,
w której zdobywasz kwadranse,
któreś właściwie już oddał;
pod lśniąca klingą – źrenicą,
siekąca ostro i gęsto
wyczuwam twarde obrzeże –
pusty jak zero oczodół. – –

31 marca 1934

Labirynt obłądny

Pusty czworokąt w ścianie, drzwi, obłądnie się rozmnaża dokądś,
dokąd nie spojrzę, rosną drzwi stokrotnie płaskie jak prostokąt –
dokąd nie pójde, będą drzwi i skąd nie przyjdę, pozostaną,
póki mi wrosną klinem w mózg – aż mi się wżgną i wryją raną,

i będzie pustka czwórnych ram, i będzie czwórnych kątów bezsens,
będzie szaleństwo rannych ścian, z których wydarto miąższ okrzeseś –
w mózg się wśrubuje niby wir skośnie wrotnymi nawrotami
rozwirowany wachlarz drzwi, co razem są i nie są drzwiami.

A w tym obłądzie przyjdzie myśl, która przebodzie mnie jak motto,
że w zawiłości setek drzwi jedno są ciszą i prostotą –
rozpędzi w skos i w tył i w przód każda przedarta w kwadrat czeluść,
aż wreszcie jedność weźmie w chwyt mnie wysmaganą wprzód przez
wielość.

Tysiąc tysięcy niedrzwi – drzwi, przez które muszę iść, choć nie chcę,
groteską swych bezzębnych paszcz świadomość progów swych wychłepce;
tysiąc tysiadcze pierwsze drzwi mogłyby dziś już wtulić w spokój,
lecz jest ten szal, co woli ból rozbłąkań, niż się portem okuć. –

Jeśli przestanę pędzić w przód w dni ludzką męką nieczłowiecze,
tysiąc tysięcy białych dni przeze mnie ciszą się przewlecze –
a jednak chcę na każdy cios w boleści w przód się rwać wieczyście,
miast czekać w mgle ogłuchłych cisz, aż samo do mnie przyjdzie wyjście.

15 grudnia 1933

Treść

Ciężarny gęsty Pacyfik warczy pod taflą szklistą
różowomięśna pantera jedwabne futro rozsadza —
biblijny boży wieloryb płonącym tranem tryska,
jak boży biblijny archanioł blaskiem ociekał na gwiazdach.

Widzisz –
to właśnie dlatego.
Czarnoziem rozsadza chodnik.
Pod każdą milczącą powłoką wietrzysz petardę treści.
Niebo od gwiazd się przepali
jak od rozwianych pochodni.
Przyptyw i odpływ pociągów czas wzbierający obwieści.

A kiedy krzyczysz:
„śmiech”,
trzydziestodwuzębne rżą baby.
A kiedy szepcesz:
„śmierć”,
głuchoniema
ślepotą
dławi.
Prężą się drżące zwierzęta, któreś z uroczyisk wywabił,
których imionaś wysłowił,
któreś imieniem wysławił.

Sprawy czerwone i ciepłe z frazesów się rodzą jak z matek
treść bulgocącym krwotokiem wybuchą z śpiewnej udręki.
Imię pęcznieje światem —
świat się wydyma zaświatem —
– a ty
słowa ciałem porośle
wymawiasz –jak Stwórca –
z lękiem –

„Skamander”, 1936, s. 120-121.

Canticum canticorum

Pienią się winne jagody,
Pachnący nard
Ciężko zalewa sady –
Pałam braciom mym trzody
W słoneczny skwar –
Dlatego jestem śniada;
Szumi noc granatowa.
Od żółtych gwiazd
Gore popieli się niebo.
Oczy płonące chowam
W rzes cyprysowy las,
Jako sadzawki w Hazebon.

„O miła moja, otwórz –
Obiegnę sad –
Mam sypką rosę w kędziorach –
Usta mi twoje powtórz,
Bym znowu zgadł
Czy piłaś jabłka z wieczora” –
„Jak mam tobie odemknąć
Skrzypiące drzwi –
Gdy suknie z siebie zewlekłam,
Matki mnie trzykroć przeklną
A stada kóz
Nie dadzą słodkiego mleka”.

Noc granatowa szumi
I szczepki winnic rozchwiane
I liście fig –
I wcale zasnąć nie umiem.
Bramy rozwieram drewniane –
– A miły znikł.
Szafranu i kasji wonność.
Olejek ściekł
I myrra ścieka na klamkę.

Ścieżka zaciera się wolno
Jak spruty ścieg –
Mrok czarnooki za gankiem.

Szukałam go – nie znalazłam.
Wołałam go
– Lecz mi się wcale nie ozwał.
(A piękny jest jako gwiazda
Jak niebios dno –
Każdy go tedy rozpozna).
Zaklinam was panny w wonnościach
Przez sarnę z kniei,
Przez łanię nagłą jak zamach:
Nie szukajcie zawczasu miłości
Nie budźcie jej,
Pokąd do was nie przyjdzie sama.

O centaurach, 1936, s. 12.

Pycha

Spotykają razowych młodzieńców unerwione dziewice pszeniczne,
aniołowie o świeżym oddechu prezentują astralne ciała.

Wiem:

wplątałam się w dobro i zło
jak w stokrotną trójlistność koniczyn –
dzwonią jabłka wszelkiego poznania pomieszane w łykowych kobiałach.

Więc mam pytać o drogę
do Ciebie
zabłąkana na snów skrzyżowaniach?
Tyle razy już oczy niebieskie czarną nocą uczerniał dzień –
Osiemnaście zrudziałych czerwców
nie usłyszysz,
krzycząc,
pytania –
Osiemnaście zim nie usłyszysz siwych zim głuchoniemych jak pień.

Babskie ciepłe języki liści trą i sypią słowa na wiatr –
fanatyczny wąż z aluminium wije gniazda na rajskim drzewie.

Nie wiem, Panie,
co dobre,
co złe –
w osiemnaście wpatrzona lat –
zasłuchana surowa i baczna
coraz hardziej,
coraz mądrzej
nie wiem.

O centaurach, 1936, s. 10.

Proces

1

Na początku było niebo i ziemia:
czarny tłuszcz i chabrowy tlen –
i jelonki
przy gibkich jeleniach
z bogiem miękkim i białym jak len.

2

Kredo,
juro,
triasie,
gleba się warstwi po słoju –
miocen naciera czołgiem w majestatycznym podboju.
I rozdział jest między wodą
a ziemią paproci i brzezin
– i widzi bóg, że jest dobrze gdy zorzą wstaje genesis.
Azot się parzy w lawie,
lawą zastyga lakiem,
górze
na górę
włazi
grzmiącym kosmicznym okrakiem,
karbon nasyci ziemię węglowo kamienną miazgą –
– i widzi on, że jest dobrze wilgotnym płazom i gwiazdom.
Żelazo tętni najkrwiściej
fosfor tęży się w piszczel – –
– a on śpiewającym powietrzem w fujarki kraterów gwizdże.

3

Na początku było niebo i ziemia
i jelonki
i jelenie płowe.
No a dalej bieg się odmienia:
oto
ciało
stało się
słowem.

4

Kiedyś pod wonnym aniołem dorodny drżał rododendron,
skrzypiały chrzęściły skrzypy wielkie i rosłe jak New-York.
W Koninie, Brześciu i Równem
na skwerkach
stokrotki wędną
i policjanci
po nocach
ślubne
małżonki
miłują.

O centaurach, 1936, s. 7.

Epitaphium

... A kiedy ciemnym borem ciemna płynęła dolina
ślizgając się po żółwiach, grzęznąc w wysokich mrowiskach,
skacząc w bijące potoki, na mchy spadając goniłam
twój nieuchwytny uśmiech, który z mgłami błysnął.

... Nic z twarzy twojej nie zostało. Nic – tylko rysy złożone
w oku dostępną twarz, dawnej twojej twarzy kościel.
Lotne obłoki skojarzeń, gdyby wiatrem spłoszone
opadły z rysów jak z gór bym teraz mogła je dostrzec.

... Taki więc jest twój uśmiech: niebieskie fregaty wspomnień
różowe fregaty marzeń, wpierw rozpostarte do lotu,
kryły go swymi żaglami. Takie więc czoło twe! Skronie!
Usta! Obraz miłości twe usta zasłaniał dotąd.

„Sygnały”, 1939, nr 68, s. 5.

Maj 1939

Raz wzbiera we mnie nadzieja,
raz jestem niespokojna.
Zbyt wiele rzeczy się dzieje –
coś przyjdzie: miłość lub wojna.

Są znaki, że przyjdzie wojna:
kometa, orędzie, mowy.
Są znaki, że przyjdzie miłość:
serce, zawroty głowy.

Kometa błysnęła nocna,
gazeta nadbiegła dzienna.
O wiosno, wiosno miłosna!
Nie, nie miłosna. Wojenna!

Pełnia nadeszła wiosenna
i snów ze sobą naniósła.
O wiosno, wiosno wojenna!
Nie, nie wojenna. Miłosna!

Czytam codziennie dodatki,
wnioski z dodatków snuję,
obrywam na kwiatkach płatki:
kocha... lubi... szanuje...

Brzemienna! Wróżebna! Wiosno
inna od innych wiosen!
Cokolwiek byś mi przyniosła,
wszystko przyjmę i zniosę.

Na maju, rozstaju stoję
u dróg rozdrożnych i sprzecznych,
gdy obie te drogi twoje
wiodą do spraw ostatecznych.

Tęsknota nadciąga chmurą,
wieści przez radio płyną.
Czy pójdę, czy pójdę górą,
czy pójdę – doliną?

„Wiadomości Literackie”, 1939, nr 28, s. 1.

Przebudzenie

Świat – gęstwa niepojęta i zlepek obrazków
migotał pytaniami. Tam, w czerwonym blasku
pożarów nieustannych, czemuż to tak często
sięgają wojownicy po twarde zwycięstwo?
Przez wąwozy uliczne płynąc, czemu oto
zapala się lud gniewem i wzbiera jak potok?
Czemu smutkiem i grozą zarazem owiana
przygodna rzeczywistość bez wianka i wiana
nadchodzi, nic nie wnosząc w pragnące objęcia?
Przeszłość pełna przypadków jest nie do pojęcia,
przyszłość w dymnej osłonie jest nie do przejrzania...
Na co komu wysiłek naszego tworzenia,
jeśli nic nie nastąpi? Czoło ściśnij dłonią:
Czy prawdą jest, że w locie strzępy pierza roniąc
orły z herbów państwowych jedno i dwugłowe,
zbrojne w miecz, wyfruwiają na drapieżne łowy?
A pośród gwiazd – rzęsami sztywnymi mrugając –
tkwi oko Opatrzności. A może to pająk?...
Oto patrzę, zbudzona z koszmarów i widzeń:
Z chaosu, roztrącając mgły i tajemnice,
wyłania się w umyśle świat wielki i prosty:
metale magnetyczne, roślinne rozrosty
i czyny bohaterskie. O, różna w przejawach
materio, która miazgą sycisz i napawasz
rzec każdą, sprawę każdą. Lotny ptak nad chmurą
jak ster prostuje ogon i wygrzewa pióro.
Wiem: tyś ptakiem, obłokiem i słonecznym ogniem,
a jeśli mistrz zdumiewa dziełem wiekopomnym,
ty świecisz mu w umyśle i w sercu się żarzysz;
a jeśli lud wzburzony wstaje z gniewem w twarzy
naprzeciw drugiej chmary o napięciu sprzecznym –
ty iskrą rewolucji rozcinasz powietrze.
(Z każdego starcia zawsze ruch jak piorun tryska).
I w sobie siebie czuję, o, materio bliska,
co spokrewniasz mnie z ptaków, z obłoków gromadą.

Zjednoczona ze wszystkim wiersze moje składam
dla przyjaciół. A oni bawełniane kwiaty
dla mnie biorą na tkackie ruchliwe warsztaty.
Zamieniamy uściski.
Przed nami widnieje
morze pełne koralu, a za nami – dzieje...
Gdy słuchamy przeszłości, która jest za nami,
furkoczą strzały, szczeka wygładzony kamień,
zgrzyta radio żelazne i stalowe igły,
huczy pas transmisyjny. Z tych to rzeczy zwykłych
rośnie drzewo historii. A teraz w oddali
zielone morze, pełne czerwonych koralu,
pod wrogiem nam, pancerne kładzie się okręty.
Zanim statki ukończą swój kurs rozpoczęty,
zmieniają flagi na nasze. Przeszłość w przyszłość spływa
i ciągłość łączy wszystkie ze sobą ogniwa.
O, radości płynąca z rzeczy zrozumiałych!
O, rwące rzeki białka! O węglowe zwały!
O, słodczy poznania! Mgła opada, znika,
płyną białe strumienie, błyszczą drobna mika
i drzewa smukłe rosną na ładach odkrytych.
Patrzę w gwiazdy. Rozumiem. I płonę z zachwytu.

Lwów 1940

„Nowe Widnokregi”, 1940, nr 1, s. 85-86.

Mętne historie

Niewiadomy nie byle kto,
nawet trudno uwierzyć w to,
po kryjomu, pro sua domo
,
robi coś, a co nie wiadomo –
i nie tylko, nie tylko on,
ale wszyscy ze wszystkich stron,
nie wiadomo jak i dlaczego,
robią to lub coś całkiem innego.
Żaden akt ich nie wyda ni skrypt
i nie zdradzi przed nikim nikt,
że to w bardzo poważnej mierze
robią nie tak, jak się należy.
Kiedyś później, pewnego dnia,
wszystko nagle wystrzeli jak z pnia
co za zgroza, co za ohyda!
wszystko nagle na jaw się wyda –
wtedy krzyk się podniesie, że skąd,
że wprowadził na pewno ktoś w błąd,
zapytany o owe rzeczy,
energicznie każdy zaprzeczy;
lecz ktoś inny dowiedzie, że fakt,
nagle dowód się znajdzie i akt
i wymyślą zmyślne półgłówki
sensacyjne bardzo nagłówki.
Z wymienionych powyżej spraw
jeszcze żadna nie wyszła na jaw,
teraz jeszcze wszystko na pieńku
po cicheńku i pomaleńku –
teraz jeszcze o wszystkim – cyt,
i posądzać doprawdy wstyd –
kiedy skandal jak piorun trzaśnie,
wtedy wszystko dokładniej wyjaśnię.

„Szpilki”, 1936, nr 47, s. 5.

JAN ŚPIEWAK (1915–1967)



Urodził się we wsi Hoła Przystań w obwodzie chersońskim, zmarł w Warszawie. Dzieciństwo spędził w Chersoniu, następnie cała rodzina wyjechała z Ukrainy objętej wojną domową do Polski i zamieszkała najpierw we Lwowie, potem w Równem na Wołyniu. Studiował polonistykę na Uniwersytecie im. Jana Kazimierza we Lwowie oraz w Warszawie. Dyplom uzyskał w 1938 roku.

Od 1930 roku publikował artykuły krytyczno-literackie i utwory poetyckie w prasie literackiej: „Tryby”, „Lewar”, „Skamander”, „Ateneum”, „Pion”, „Sygnały”, „Kamena”, „Czas”, „Nasz Wyrz”, „Wir”, „Okolica Poetów”. Debiutował w roku 1938 tomem wierszy *Wiersze stepowe*. W okresie 1941–1946 więziony był w obozach pracy w ZSRR. Od roku 1949 mieszkał w Warszawie.

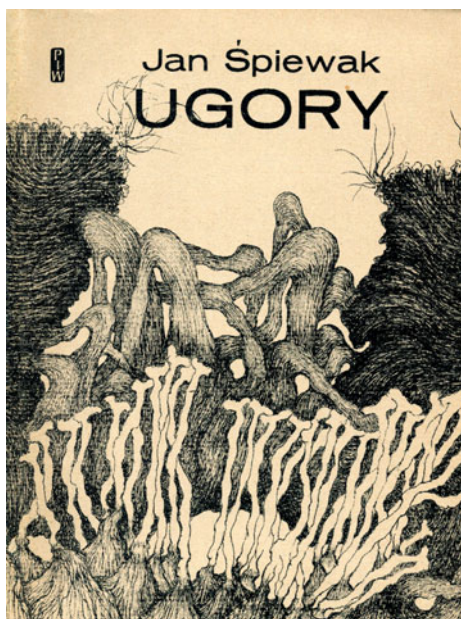
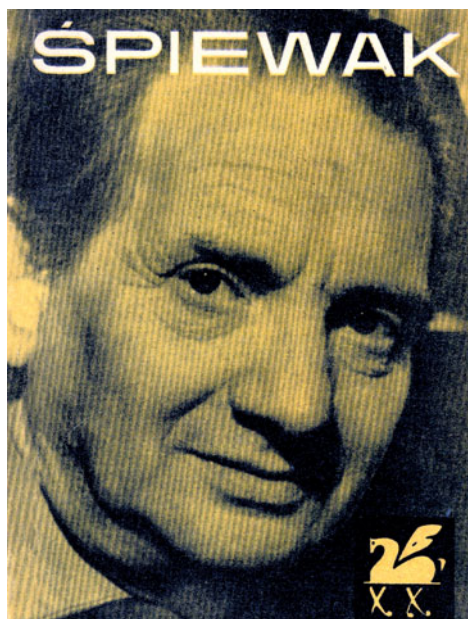
W roku 1950 wydał tom poezji *Wiersze*. W tym samym roku we współpracy z Leonem Pasternakiem opublikował antologię *Polska poezja satyryczna*. W roku 1953 ukazał się tom poezji *Doświadczenia*, w 1955 tom *Poezje*, a w 1956 przełożony wspólnie z Anną Kamieńską wybór bułgarskiej poezji ludowej *Oj, lesie, lesie zielony*, nagrodzony przez bułgarski PEN-CLUB. Następne tomy poezji to *Karuzela* (1957) i *Zielone ptaki* (1958). W 1959 roku wydał antologię wierszy o Polsce *Polska w poezji narodów świata*, a w roku 1960 tom poezji *Dialogi naiwne*. Następnie ukazały się: *Zstąpienie do krateru* (1963) – tom zawierający dwa poematy oraz tom *Poezje wybrane* (1963).

W 1963 roku ukazuje się tom poezji Wielemira Chlebnikowa opracowany przez Jana Śpiewaka, zawierający wiele jego przekładów oraz esej o wielkim nowatorze rosyjskiej poezji.

W 1965 roku opublikowany został tom prozy wspomnieniowo-eseistycznej *Przyjaźnie i animozje*, a w 1966 poezje wybrane z lat 1933–1963 pt. *Żrenice piasku*. Ponadto w roku 1967 ukazał się tom poezji *Anna*, a w 1969 tom *Ugory*. W 1978 roku opublikowany został *Wybór wierszy* Jana Śpiewaka ze wstępem i wyborem utworów dokonany przez Michała Sprusińskiego.

W liryce Śpiewaka pierwiastek wizyjnej fantastyki i katastroficznego niepokoju łączy się z mitologizacją przeżyć i wspomnień (np. poetycka transpozycja krajobrazu Ukrainy).

Wspólnie z żoną Anną Kamieńską tłumaczył dramaty Maksyma Gorkiego (*Na dnie i inne*). Z Sewerynem Pollakiem wydał w 1955 roku dorobek literacki Józefa Czechowicza, a w 1953 tom wierszy Zuzanny Ginczanki.



Tomiki wierszy Jana Śpiewaka – *Jan Śpiewak. Poezje wybrane oraz Ugory*
(Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

W głąb źrenic

1

To tkwi tak:

Rysy twarzy przechodniów nożami spojrzeń zrywam,
a potem porównuję do drzewa, a drzewo do chmury –
niech płyną.

Przyjaciół mówi wieczorem: – Jaskółki posąg pogody
unoszą ze sobą. – Kłamię. Posąg rysów daleko uśmiechem
płynię w Paryżu.

Pozostaje swoboda ruchów. Gniew kielkuje łzami, łązy
gryzmołą na szybie udo. Szybę jak list wrzucam do
skrzynki.

Oczekuję odpowiedzi groźnej jak odpływ morza.

2.

Pijany popik lato wyśpiewuje ochryple. Pszczoły na
tratwie kwiatów wyruszają w podróż i giną u brzegów
upału.

W akwariu chmur ślepe ryby i staw odbity w chmurze
pije głodnymi oczyma wodę.

Jest cicho.

Wtedy podnoszę się z tratwy i krzyczę: – Oto odpowiedź.

Wiersze stepowe, 1933–1938.

Zaśpiew

G ł o s

Niebo u burty pochyłe Wisłę przed burzę ucisza,
woda rzucona na płask pianą ocieka brązową,
ciągną ryby zaśpiewane, pieśni nieznanej owal
nie śnie do góry wypłynąć, grzęznąc opada niżej.

Żagiel, żagiel rozpięty szarpie dziobem ku ziemi,
drzew wędrująca gromada żegna dojrzałą jesienią.
Dłonie są ciężkie od żwiru, zieleń zakrzepła w kamieniu
– pocisk wiekami nabrzmiały – spowiedź milczących przemian.

Ryby ciągną zaśpiewne, sieć okrążając przeminą,
pyszczki są ostro wzniesione, płetwy otwarte do boju,
wiadrami do dna, usilnie, wiadrami krzemienie wydoić,
niech tryśnie gałęzią włochatą krzyk konającej rośliny.

Ptactwo krąży nad wodą gwiazdy unosząc na skrzydłach,
a palce ku brzegom wędrując, jabłoni czytają na ślepo.
Gorzkie kwitnienie odurza, wargi osoczem zalepi
i czyha noc szukająca ludzi zagasłych w sidłach.

C h ó r

Zieleń, zieleń przywołaj, czoło najwyżej podnieś,
liść koniczyny obłudny drogi nie wskaże zawilej.
Wiosła, jak płetwy szeroko, dniom nadchodzącym miłość,
a oczy mijane rozwiążą, jak usta cierpieniem głodne.

Wiersze stepowe, 1933–1938.

Elegia

*Pamięci przyjaciela, który utonął
w nurtach Horynia*

...W ogrodzie grały świerki. Brzegami ścieżyn bure cienie
kroczyły z wolna. W gałęziach szumiało lato jeszcze. Chmury szły.
A ty płynąłeś poprzez jesień furmanką chłopską. Promem, tratwą
i gwiazdny płacz tłumacząc smutkiem mijałeś dni swe bezustannie.
Surowa radość drogi jaśniej niż sen i strach kazała dojrzeć
oblicza niemych lat. Więc jakże jesieni witać chłód, gdy właśnie
naprzeciw trzeba iść. A ty, zdziwienie znając tylko,
zmieniałeś twarze miast. Codzienne wartki bieg Horynia czubate
brzegi wirem kręcił, koślawe kłody sunąc po dnie krabami
rosły, siwą zmorą. Daremnie przeto ciszę zdobywając siłą,
włóczęgę mieniając pędem, odtąd wracałeś wiecznie zatroskany,
i była jesień wszystkim, jeśli nazwać można zgaszoną kipiel
oceanem. Dlatego każdy dzień i chłód, i wiatr, i parnych
nocy powódź zmuszała wlec się krokiem chwiejnym, powolnym krokiem
przeobrażeń. Dlatego uśmiech ranił tylko. Dlatego mijać
siebie trzeba. I czekać niespokojnie, zanim bezwiednie z rzeką
nie popłyniesz gdzie bądź. I gdybym wtedy rzekł, że krople drobne
powstrzymać mogą świat i słońce, to ty byś odparł biegnąc dalej
a potem w dłoniach ujarzmiając wodę dojrzałyś może śmierć
bezkrwistą i wodną trumnę, w płynnych brzegach, i szmer szuwarów
jednostajny, jak my, gdy staliśmy bezmyślnie, godzinami
patrząc w głąb, w gasnącym słońcu skamieniali. I tylko chmury
nad głowami krążyły, zanim nie starł ich mrok, jak ciebie pamięć...

Wiersze stepowe, 1933–1938.

Sonata wojenna

Może jutro, może jutro znowu
będą drzewa po ulicach iść.

I uderzy w szyby podkową
wielooki i obzarty liść.

Może jutro, może jutro zieleń
Spłynie znowu do gniazd rzek
i popłochem kamiennym wyściele
oczy ulic nieprzerwany śnieg.

Nie.

Nie!

Nieba dłońmi na dół nikt nie zerwie,
tęczy też nie skruszy; tylko kropel czerwień,
tylko pól zranionych nieprzerwany bieg.

Może drumla, może pieśń ci powie,
może mgła ominie naszych westchnień brzeg?

Czemu słów twych ziarno spada na sitowie?
Czarne skrzydła tłuką twych uśmiechów dno.

Oto cień koślawy dłuży się i szemrze,
Głuchy werbel wojny głuży ulic ślad.

Na łańcuchu marzeń skuty, wiem, że
nóż mej ziemi na me oczy padł.

I różowi żyto nocą kroków sto
między cieniem wojny a poszumem wody.

I różowi żyto nocą kroków sto
między cieniem wiatru a pluśnięciem kuli.

Roście, palce, jak trzesienka wyżej
na szerokim czarnozielonym kraju.

Lećcie usta, w gale chmur jak wyżeł,
tam, gdzie słowa dojrzewają głodem.
Kto powstrzyma strumień ulic,
gałęziami fale kto umai?
Kipi ogień w głazach, w piasku słońce głębiej
budzi ślepy księżyc – pawiooki pająk.
I marmury sfruną nagle jak czarne gołębie.
I uderzy bateria skrzypiec nagle umierając.
Nie.
Nie!
Białe dłonie płaczą: – Ziemi, ziemi ratuj,
Wiatr zdmuchnąwszy ogień ochłodzi drogę krwawą.
Rzeka bliżej brzegów rośnie mchem i latem.
– Sława ludziom bez twarzy i ceniom bez ciał sława.
Woły włóczą się, gdzie trawy pola rdzą różowią
i chór pochylony nad sobą ciszy wyznaje spowiedź.

1938

Wiersze stepowe, 1933–1938.

* * *

Zbadałem źrenice ulic i wiem,
jaka jest barwa uśmiechu,
jaka jest barwa zdziwienia,
jaka jest barwa rzęs i wieczoru.

Brnęły gałęzie na przełaj jak chmura
i łopot liści ziemię zielenią tłumił,
i jamy nocy i dni jak dojrzały karabin
i karuzelę, i muszlę, i mrok ostrzejszy niż bagnet.

Były czarne pociągi, były okopy, w których ginęły jaskółki.
I rozkwitało kalectwo, i prężność mięśni młodzieńcych.
Była ziemia wydarta i kulą przebita pszenica.
Pszenicą i kulę unieśliście w oczach na zawsze.

I pozostały pociski. Nie skrzydła nie gwiazdy
gasnące – tylko dzień zastrzelony przez ślepcę.
Jak pierścień wyście rzucili go na dno
kroków wytartych swoich, aby czerwieniał jasnością.

I to było barwą uśmiechu, i to było barwą zdziwienia,
ale zdziwienie i uśmiech gruzy pokryły zielenią,
gdy dłonie wzniosły o piętro gołębie, aby
Wisła, Wisła z brzegów wyrosła i lat.

Źrenice piasku, wiersze z okresu 1942–1950.

* * *

Zamieci ulic nie ogarnę.
Dzień mija noc się ostrzy.
I tylko mróz, i tylko w nozdrza
uderza mrok jak fala czarna.

W wąwozach liści nie dostrzegę
źrenic przechodnia, który przeszedł
pomiędzy gwiazdą i pepeszą
w zgasłej zieleni kropłą śniegu.

Ach, na bagnecie wiatr zawisł,
a w jego oczach dno jesieni.
I rdzawy hełm się w ptaka zmienił
Jak kamień, który różą krwawi.

Na gruzach śnieżnej nocy – gdzie ja
odgarnę cień ten drżącą dłonią?
I to jest mgła. I chmury dzwonią
krawędzią zmroku. Znów nadzieja.

Źrenice piasku, wiersze z okresu 1942–1950.

Elegia

A kiedy chcę opisać Was, których nie ma,
Wasz wzrok w chwili stracenia,
wtedy słowa okrywają się zielenią –
miast stać się salwą. I znów się mijamy.
Wy pozostajecie w dołach kredowych,
w jamach z wapna i piasku,
ja, nadcinając nerw liści, nie wiem,
jak wargi światłem ochłodzić.
Ulice wydłużają się w wieczór.
Gołębie bielą dachy skrzydłami.
Z mego domu co dzień widzę dymiący się komin –
to statek, który nigdzie nie płynie,
a jeśli zmusić, by liście dzwoniły,
to ślad moich kroków uniesie się w górę.

Przyjaciele mówią: – Trzeba wiersze głaskać.
Między brzegami dwu wojen młodość
Bagnetem wita każdą gałąź.
Gdzie kończy się gałąź, a zaczyna się wystrzał?
Gdzie kończy się salwa a zaczyna się łąka?
Kamień, wchłaniając w siebie dźwięk podków,
Dojrzewa w melodię muszli oślepych.
Chmury, wchłaniając w siebie dźwięk trawy,
ociężały się pasą w jeziorze.
W źrenicach krople świtu płoszą jaskółki nocy.
Światło, gdy więdnie, staje się słone,
staje się bardzo różowe i niedotykalne.
Nie znam tętna zieleni, nie widziałem serca kuli.
Za brzegami pogardy zostaje piasek i śmierć

Źrenice piasku, wiersze z okresu 1942–1950.

Elegia

Długo mieszkałem wśród śniegu, dotykając się smutku,
dni spalonych łożem i nocy zwęglonej pieśnią.
Przemykały się sarny w snach, tkliwie drzewa gasiły milczeniem.
Brnęły brzozy przez step raniąc światło w ginących gałęziach.
Uderzało mnie serce o cień, zbrojna przestrzeń jak skała skrzydlata
poprzez lód, poprzez wiatr kruchą salwę gasiła obłokiem.
Kwitły oczy i dłoń, kwitły wargi i głos, i na ścianach wspinała się zieleń.
Tylko dotknąć warg, ująć dłoń, oddech ciepły w źrenice się wkropi.
U węzłowia Wasz głos, poprzez ściany Wasz wzrok w nozdrza biją
strumienie jarzębin. Stada godzin i wron krążą w mroku własnego
spojrzenia.
Krok oddechu się rwie i z zawiei na skroń ślepa trawa uderza siwizną.
Zamieszkując mój strach biły burze gasnących oddaleń.
W tłumie liści i drzew
zmarłe ptaki płynęły ku ogniom.
Nie patrz w liść ani w śnieg,
jeśli w smutek ubrany chcesz odejść. Dotkniesz brzozy i płacz
z kory sfrunie, u nóg gołąb, księżyc i wystrzał, północ.
Nie patrz w noc ani w dzień, ani w skwar, ani w chłód, depczą czy
tęsknotę, a zieleń dno rzek krwawi, by znów biegły drogi zbłąkane
mijaniem.
Wyście obłok i dni. Wyście gałąź i śnieg. Wyście step lodowaty i brzoza.
W Waszych palcach jest piach, w moich oczach Wasz głos chyli noc
ku strumieniom jasności. Bezład chmur, lot kamieni i skok krzaków
zbiegłych w popłochu. Jak zgadnąć, gdzie jest skroń, a gdzie szloch,
a gdzie klęczą gołębie bezgwiezdne. W Waszych skroniach tkwi lęk,
W waszych rzęsach jaskółka przekłuta. Na policzkach mych biel płonie
Ziemi płynącej dokoła, topól, jodel i brzóz, i wąwozów o cieniach
zastygłych.

Źrenice piasku, wiersze z okresu 1942–1950.

Moje głody

Na dnie dróg, na dnie śniegu i wiatru,
w zwiędłym nerwie kamienia i w ogniu
liści biegnących za mną bezszelestnie
pały się głody moje.

W rozstrzelanych dotykem morza i w oddechach
chmur unoszących strumienie waszych palców,
w płonących włosach gwiazd i w piaskach
pały się głody moje.

W czołgach porzuconych po bitwie,
w czarnych pociągach wiezionych na śmierć,
w prowadzonych na rozstrzelanie i do pleców
pały się głody moje.

W gnijących cielskach ryb otrutych
w sieciach rybaków wrzuconych w głąb
wodorostów świecących źrenicami soli
pały się głody moje.

W dłoniach, w których usta pożegnań
zanurzyły bezkształtny cień brzozy,
w gniazdach pocisków dla wróbla ośleptych
pały się głody moje.

W nocach, które rodzą pogardę i kule
w drutach kolczastych koncentracyjnych
obozów, w okopach kwitnących pszenicą
pały się głody moje.

Głody kamienia i wody, słońca i wiatru,
głody zieleni i śniegu, piasku i fali,
chleba odgrzewanego na ogniu
pały się długo we mnie dojrzewając.

Źrenice piasku, wiersze z okresu 1942–1950.

* * *

I czymże tłum idący jest,
jeśli nie cieniem kroków własnych,
gdy w kamień przemieniony gest
pył piasku wyolbrzymia w jasność.

I czymże chmury, kiedy zwiędły bruk
rumienia, aby stopy unieść,
jeśli nie mgłą rzuconą w łuk
nad miastem rozpryskanej łuny.

I czymże wiatru chłodny plusk?
To tylko zwiędła doskonałość
nozdrzy i trzewi, ślepych ust,
wyzwolonego z ruchów ciała.

Żrenice piasku, wiersze z okresu 1942–1950.

Pożegnanie z Apollinaire'em

I ja zbierałem naręcza wystrzałów
na polach wojną wypalonych bitew,
gdy maj, ciepły maj burzył skwer.
Na dnie zieleni, na dnie upału
wrzos niespokojnie fioletem kwitł.
Raniony szedł Guillaume Apollinaire.

I ja nuciłem: „Ach, jak na wojence...”
Zasieki oczy rozdzierały co dzień
i palce w ogień szły, na żer.
– Nie pójdziemy do kina więcej
Młodości nie dojrzą młodzi.
Raniony szedł Guillaume Apollinaire.

Nie zwołuję przyjaciół, polegli
przy dawno wygasłych ogniskach,
naszymi ustami wołają: „Śmierć à la guerre!”
I ptaki do nas wróciły, co zbiegły,
i zwiędły w okopach pociski,
Więc żegnaj, Guillaume Apollinaire.

Doświadczenia, wiersze z okresu 1951–1953.

* * *

Powroty niepotrzebne! Powroty zwodnicze
do wysp wygasłej dawno, bezgłośnie przestrzemi!
Jak gdyby krople morza ktoś wargami liczył,
Jak gdyby pożar dni gasił ustami milczenia.

O, powroty uparte! Powroty bolesne,
gdzie lat minionych rosną starte ślady,
gdzie światła starte dojrzewają we śnie,
do was schodami wierszy schodzę na dół.

Wy, świerszcze wątpliwości, wy, smutki daremne,
chwilowych nieporozumień ptaki wędrujące,
coście spłonęły dawno i zostały we mnie,
jak cierpki oddech wiatru i jak liść gorące.
Wy, krzaki cierniste marzenia kruchego,
wy, strome sosny rozwagi przedwczesnej,
wy, wiewiórki zadziwień dzieciństwa mojego.
Powroty niepotrzebne, powroty bolesne.

Doświadczenia, wiersze z okresu 1951–1953.

Przyptyw

Stałem onegdaj nad morzem głębokim.
Piasek spragniony stopy me chłodził.
Mknęły samotnie bystre obłoki
Cieniem bezskrzydłym krocząc po wodzie.
Stałem onegdaj nad morzem głębokim.

Na wydmach nawisłych złocił się modrzew.
Dom mój dźwigały wygasłe okręty.
Muszle mą młodość syciły szczodrze.
Narastał w falach szum obojętny.
Na wydmach nawisłych złocił się modrzew.

Zza horyzontu dłużyły się cienie.
I profil ojca odsłonił się nagle.
O, chwilo radości! O, lustro wspomnienia!
Ptaki rzeźbiły cię zwiewne i smagłe.
Zza horyzontu dłużyły się cienie.

Stałem onegdaj nad morzem głębokim.
Piasek spragniony stopy me chłodził.
Nisko spadały wiatry wysokie
Cieniem bezskrzydłym krocząc po wodzie.
Stałem onegdaj nad morzem głębokim.

Doświadczenia, wiersze z okresu 1951–1953.

* * *

Płacze matka, śpiewa ptak, gałąź szeleści.
W stawach znużone obłoki lipiec malują.
Bieli się mgła nad łąkami, rzeka szeleści.
Drzewa rzucają cień, cień odlatuje.

Płacze matka, rozkwita kwiat, krzak się pochyla.
Grabysze wysmukłe siność świtania piją.
Zioła po polach wędrują, klon się pochyla.
W chmurę uderza wiatr, chmura przemija.

Płacze matka, dzień się unosi, strumień przecieka.
Fale igrają łagodnie, dnem rozdzwonione.
Rosa dojrzała, świerki się srebrzą, trawa przecieka.
Płacze matka. Śpiewa ptak. Światło zgaszone.

Doświadczenia, wiersze z okresu 1951–1953.

* * *

Płakałem po zabiciu rodziców.
Widziałem rozstrzelanych.

Parzyły mnie głody wiatru i chleba.
Uczyłem się stawiania kroków.

Samotne fale uderzały o mój brzeg.
Kochałem swój kraj.

Kochałem głos dzieci i żony.
Kochałem to wszystko, co rozwija się.

Biegnąca po gałęziach chmura
Uśmiechała się do mnie.

Nienawidziłem faszystów i zbrodniarzy.
Brzydziłem się śliskich dłoni.

Nie byłem nigdy zapięty w surdut.
Zawsze walczyłem ze sobą.
Znalazł się ktoś, kto napisał:
– W jego wierszach nie ma człowieka.

Troski i niepokoje, wiersze z okresu 1953–1955.

* * *

Mieszkam w piętrowym domku
Naprzeciw jeziora.

Razem ze świtem codziennie
Uderzają w okna fale.

Nurek o dziobie drapieżnym
Wynurza się z wody.

Drzewa rosną podwójnie
Wydłużone o błękit.

Odwrócony od światła malarz
Uparcie rysuje ciszę.

Jak czuły Po K j
Kładę nie napisany swój wiersz.

Na jasność wiatrem nie poruszoną.
Niechaj odezwie się sam.

Troski i niepokoje, wiersze z okresu 1953–1955.

Napisałem o tobie wiersz

Napisałem o tobie wiersz
Była zima.

Mróz kruszył dzwoniący śnieg.
Zawołałem drzewa.

Zawołałem liście i trawę.
Zawołałem zająca.

Zawołałem poziomki, czarne jagody,
Łodyżkę maliny.

Drzewa przebrałem w pachnącą jasność,
Żeby świeciła.

Jagodom dałem cierpkie zapachy,
Żeby milczały.

Wysoko zawiesiłem słońce i księżyc.
Ot tak, na przekór.

Powiedziałem — ten wiersz jest nie o mnie.
Nie widzę tam siebie.

Zgasły drzewa, Uście, jagody.
Zgasło wszystko.

Była zima.
Mróz kruszył dzwoniący śnieg.

Troski i niepokoje, wiersze z okresu 1953–1954.

Pieśń o mieszkaniach

Moje pierwsze mieszkanie miało siedem okien.
Moje drugie mieszkanie miało dwie wilgotne szyby.
Trąba samograjka – kałamarzyk cienki.
Orzech rozśpiewany – mundurek uczniowski.
Serce niespokojne – księżyc na polanie.
Porzuciłem wszystko. Odszedłem na zawsze.

Moje trzecie mieszkanie spoglądało na malwy.
Moje czwarte mieszkanie: ogień i nadzieja.

Uliczki gdzie niebądź – słowa zbuntowane.
Popołudnia rzewne – kula i nadzieja.
Dobranoc, Mateńko – śpij, kochany Ojczy.
Porzuciłem wszystko. Odszedłem na zawsze.

Moje piąte mieszkanie: miłość i niepokój.
Moje piąte mieszkanie: chmury i uśmiechy.

Trąbka samograjka – jaśniejące główki.
Sny budzone krzykiem – koniki niesforne.
Niebo oczom bliskie – ciepło gwiazd łagodne.
Tego nie porzucę. Zostanę na zawsze.

Troski i niepokoje, wiersze z okresu 1953–1955.

Matka

Jak by to wyrazić, jak by to powiedzieć,
Modłę się w cichości, żeby nic nie wiedzieć.
Modłę się za białych, czarnych i czerwonych
I za wcześniej zgasłych, i nie rodzonych.

Za przydrożną jabłoń, za dłonie milczące,
Za wyschnięte pędy i za łzy płynące,
Za spalonych w piecach, gazem zaduszonych
I za krzyż rozstajny liśćmi umajony.

Matka wszystko umie i niczego nie zna.
Matka czujna sosna, matka droga gwiezdna.
Modłę się za żabkę i za rybkę śniętą,
Byle nie wspominać, byle nie pamiętać.

Karuzela, wiersze z okresu 1955–1956.

Źrenice piasku

Oddech mój co dzień budzi piasek ze snu
stopami zwiędłych liści i uśmiechów zgasłych.
Nieśmiało biegnie krew w mych żyłach
zaprzężona w ślepe ptaki i muszle ostygłe.

To dzień się zniża nagle ku tęczęwce trawy,
by noc jaśniała ostrzej niżli chwiejna skała.
To mówią dłonie do mnie łącząc wargi z mrokiem:
nie róża wzniesie pomnik, ale dłoń umarłych.

Oddech mój co dzień budzi piasek ze snu,
u brzegu liści, które płyną ze mną
w wapiennej ziemi rozstrzelanej pieśnią,
w której kule uwikły gniazdo z marzeń.

Łódź 1957

Zielone ptaki, wiersze z okresu 1956–1957.

Ile razy wspominam

Ile razy wspominam, widzę zawsze inaczej.
Ogród kłębi się w słońcu. O zielone rozpacze!

Pachną strychy cieniste, cierpką wonią pajęczyn.
Góra straceń się zbliża, lecz grobami nie dźwięczy.

Już rozkwitły gałęzie i już ptak się rozćwierkał.
Dymią kotły wodniste, ubożuchna wyżerka.

Dniepr falami się wznosi, wiatr łagodny i senny.
Sypie śnieg aż po skronie. Wyją, wyją syreny.

Nadlatują gołębie. Pierwszy pąk się otwiera.
Ślepe ściany się chwieją. Tak przedwcześnie umierać!

Mamo, mamó, tak wcześnie. Noc gwiaździsta unosi.
Pachną we śnie pokarmy. Skąd zrabować choć grosik?

Chodzi w butach kot bury. Biją ciężkie móździerze.
Ja nie kradłem! Nie kradłem! Tylko jakże mi przeżyć?

Sypie śnieg. Dłonie ojca. Widzę ciągle inaczej.
Rośnie ogród kulami. O samotne rozpacze!

Gdzie ty, mamó? Nic nie ma. Tylko grom. Błyskawice.
– Patrzą w chmury na zieleń oparzone źrenice.

Zielone ptaki, wiersze z okresu 1956–1957.

Powrót

Wróciłem. Drzewa rosły w lodowcach,
ptaki ryły dziobami zrudziałą ziemię,
kwiaty kroczyły ostrożnie, dotykając
wyschniętych ust i wyciągniętej dłoni.
Wróciłem zatraciwszy równowagę chodzenia,
daremnie usiłujący patrzeć monotonnie,
nie umiejący wspiać się w górę i w dół,
chwytający gałąź powietrza, śmieszny.
Wróciłem. Otoczony snami i bezsenną nocą,
wirujący wraz z krzesłem na chmurze z popiołu.
Tam mogłem obcować z tymi, których już nie ma,
zrywać liście, o których mówi się, że są zwiędłe.
Tam pola miały rozumne oczy, a ustrojone ogrody
poruszały brzegi strome i ścieżki zawitych wspomnień.
Wróciłem i raduje mnie skwar, który głaszcze włosy,
strugi śniegu, które spadając chłodzą wargi,
i ogień, który opatrzeć może moje ciało.

Zielone ptaki, wiersze z okresu 1956–1957.

* * *

Podano konie, są obrzydliwe.
Pan z dubeltówką, pani drzymie.
Ach, o czym chciałem? O czułości
albo o wdziękach krajobrazów.
Na koźle pustka, lejce z wiatru,
Srebrne podkowy dźwięczą rzewnie.
Pieją gęśliki, świszczą drumle,
truchcikiem biegną pola zadyszane.
W pokojach stary czort domowy
gra w kości z nudów z samym sobą.
Duszki w komodzie jabłka głaszczą,
tabaka w pudle mdleje wonna
i śpiewa kos cieniutkim głosem.

Rechoczą żaby, skrzeczą wrony,
fruwają pan i pani w chmurze.
Walczą wdzięcznie, grają w lotto
i koń się pasie na murawie z ognia.

A czułość, czymże bywa ona?

Zielone ptaki, wiersze z okresu 1956–1957.

A tuż obok, samopas

Ja też, owszem, nie można powiedzieć,
Cenię, nieraz w górze bywało się , w dole.
Znam i zsyłkę, i śniegi , znam nienawiść i litość,
Wiec przyznaję, a jakże, strzelistość,
I powiedzmy samomyślenie, przedwzrocność.
Ja rozumiem, że zwartość, że celność, że nowe.
A w krzywiźnie wróbliki są śmieszne.
Na maszynie zniecka – mrówkojad
I aniołek dziobaty i w piegach,
I jest także gramofon, płyta ciągle ta sama.
Także zięba, kukułka i kogut.
A tu obok coś chodzi samopas,
Pośród drzwi, między drzwiami, wśród drogi.
A zsumując, co będzie? Może jedność, omyłka?
Nie, mój panie, to właśnie jest życie.

Dialogi naiwne, wiersze z okresu 1957–1960.

* * *

Oj mamó, moja mam, maty
Już przychodzą po mnie swaty.
Kupują ręce, nogi przymusowo.
Jakże ty do tela się uchował.
Dadzą oczy kulom, na pożarcie.
Dadzą szabli ostrej przeciąć gardziel.
Każą nogi odciąć i rozrzucić,
A do tego pieśni rozgłośnie zanucić.
Spadnie żyto na kolana, nie odpowie.
Jak rozpoznać, gdzie kikut, gdzie człowiek.
Chwyci wreszcie ziemia w zasiekach za gardło,
Będzie leżeć dla ptactwa nieruchome jądło.
Oj mamó, moja mamó, maty.
Nie oddawaj mnie cerkwi w sołdaty.

Anna, 1967.

* * *

Trudno odróżnić, lata stłoczyły się w miazgę.
Ja, wpatrzony w Dniepr, w wąwozach wiślanych płoszę zgaszone zielenie.
W dłoniach zmarszczonych zasadzki śmiechu młodego.
W uliczkach kresowych port dudni poprzez Podzamcze na Wilczej.

Świszczące burzany zranionego domu nie ulecą.
Ja zdychający tylekroć ryby hoduję w sadzawce.
Wymieniłem koniom obroże, rozłupuję klatki dla ptaków.
W wymiennym przelocie powstają żarty karczemne.
Rodzi się wszystko na nowo, niepodobne do siebie, łamliwe.
Zwierztały wszelkie mundury, dzwonią słowa zdziwione.
Im dalej, tym jaśniej Dniepr płynie,
piany kolczaste toczą brzegi ruchome.
Ja w prochach zabitych chleb gryzę codziennie,
zwijam się w grudzie śniegowej, w karłowatych gałęziach.
Słowa powstają z lęków tych, których nie ma.
Ćwierkanie ptaków się rodzi z umarłych gardzieli.
Ja oślepiiony miazgą odległą wypatruję tylekroć
rodziców, muru z powietrza, drogi biegnącej na powrót.

Anna, 1967.

* * *

1

Ciśnij w ogień sen i sól
wywar z ziół i wywar z kul,
wywar palców zdartych z kości,
szczęki kredy, krew na oścież,
kroplę miodu, skowyt iwy,
dym zbutwiały, sztylet żywy,
łzę na ruszcie ciałożrąski
łuk zielony, gwizd gałązki.
Granat w zbożu ziemię chwieje
uroczyście ziarno sieje.

2

Ja, który byłem wszystkim i niczym
przemierzałem pustynie i schodziłem z gór
na wezwanie Baala, El i Asztarte.
Ja wznosiłem mury przemyślnie, grody warowne
i wierzyłem w istnienie wielu bóstw,
aby straszyły mnie chroniąc litością i piorunami,
smagają niewysłowieniem kamień brzemienny powietrza.
Błyskawice warczały głosami zwierząt
I wysyczały na wieki słowa rzeźbione w glinie,
zamyka się ziemia zawzięta,
unosily się iskry ofiarne.
Okrutni mordercy pamięci, niewiedzy i wyczuwania,
Dokąd płyniecie na statykach cedry wioząc i mirrę?

Ugory, 1969.

* * *

Ten zegar,
ten zegar, który patrzy na mnie
i czyni przeróżne grymasy.
Ten zegar połykający czas
nawija na swoje pazury
przyływy i odpływy morza,
obroty planet,
gwałtowne wybuchy ziemi.
Ten zegar, który żre i płodzi,
hoduje przestrzenie,
każe rozdzierać zwierzęta.
Ten czas prawa wzgórzom,
błogosławi przez ogień i wodę,
i dziwokształtne stworzenia.
Ten czas otwiera i zamyka bramy
i barwi stalaktyty,
ten obojętny czas stworzenia i rozpadu,
miar i wagi
ten zegar wyzbyty ust i dłoni,
uczuć i wzruszeń.
Pozorny czas, nie istniejący,
czas rozrachunków
w grymasach nieustannie,
nie wymierzony, nie dotykający siebie,
rozsypujący wióry,
nie przystawalny do jeziora,
ryb i ptaków,
kołyszący się na huśtawce,
której nie ma.

Ugory, 1969.

* * *

Skąły wgramoliły się ciężko na pióro.
Lasy weszły na papier.
Zieleń ociężale położyła się na wznak.
Orzeł uniósł jagnię do góry.
Na niedźwiedziej polanie niedźwiadki harcowały z pszczołami.
Drzewa zieleniały do przejrzystości.
Kamienie patrzyły sennymi wzrokami mchu.
Ślizgały się żmije wygłodniałe.
Liście przebierały się w coraz to inne stroje,
Grymasiły, obrzucały się barwami.
Bazanty, głuszce, cietrzewie
Szeleściły pysznymi piórami.
Pracowita ziemia brunatniała.
Wszystko czyniło to, co należy,
Tylko zgruchotane pióro moje leżało bezwładnie.

Ugory, 1969.

* * *

Marzę o nieruchomej świata mapie
nie rozdrażnionej ruchem,
pełzaniem,
skokiem, runięciem, odpływem.
Marzę, aby rzeka była tylko rzeką,
łąką, łąką, lasy lasami.
Marzę, aby skały były tylko skałami,
a nie bezimiennymi znakami strategii.
Chcę, aby krzesło, które stoi w moim pokoju,
stało wiekami, nim się przygarbi.
Lękam się, kiedy rzeki zmieniają osobowość.
Lękam się, kiedy miasta zmieniają przeznaczenie.
Wtedy na mapach powstaje niepokój
i gromy nie będąc gromami
biją dotkliwie i celnie.
Rozdzierają się trzewia przyrody.
Brony ogniste grzebią w ziemi.
Tylko planktony są obojętne,
silniejsze od ludzi.

Ugory, 1969.

* * *

A może dzisiaj pójść do gaju?

Tam siarka piekli się zawzięcie,
złorzeczy paszcza jadowita,
tam kruszą się jemioly deszczu,
tam się włamują błyskawice,
nie unerwione żyły gdaczą,
tam tłoczna siność rozeźlona,
tam wiatr zadaje ostre cięcie,
niedźwiedź stalowy mruży w maju,
tam rośnie łyżka smakowita
i gromem biją nawałnice,
kapryśnym radłem przeinaczą
pochody mrówek, pożar wieszczą,
zanim zraniony kruszec skona.

Już się wyłania wzrok skalisty.
Strumienie ogłuszone młotem
rozprysną się wyżarte jadem.
Ruchliwy szept szeleści gromem
i ogniem smaga, biczem chlaszcze,
wędzideł porzuciwszy jaszczce.
Zdarty z zieleni i bezlistny
karczuje ziemię gład omłotem
i rozpląszczonym cielskiem gada.
Jeszcze wybucha łubin, las wyrośnie,
nadbiegną krzaki, ptak przeleci,
pyły rozprysną się płodziwe,
i dźwięk się skruszy oniemiały,
i nagle ginie brzęk owada,
i oto płynny pęd gałęzi ustał.
Gdzie kruchy blask jesieni?
Gdzie wielogłoś zieleni?
Gdzie wieloświatna barw sprężystość?
Gdzie głód określa rzeczywistość?

Odeszły domy i sklepienia,
Rany odeszły i zwątpienia.
Wchłonięty piorun, błyskawice.
Dom nie istnieje i ulice.
Nie chępcze soku głód korzeni
i zbędny niespokojny natłok.
i ton
i dźwięk, i światło.
Znieruchomiła stoi rzeka.
I kto, i kto zobaczy
ostatni znikający cień człowieka.

Ugory, 1969.

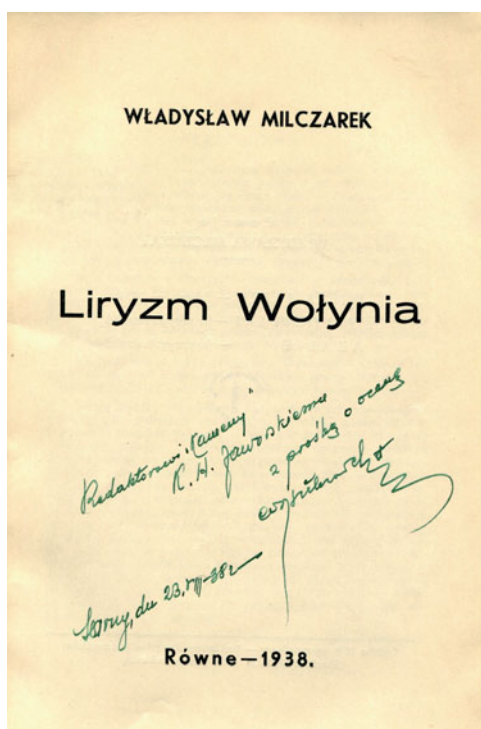
WŁADYSŁAW MILCZAREK (1916–1993)



Poeta i prozaik, urodził się w Oleksinie koło Równego na Wołyniu, zmarł w Warszawie.

Służbę wojskową odbył w tamtejszej podchorążówce, podobnie jak Józef Łobodowski i Wacław Iwaniuk, z którymi zaprzyjaźnił się i współpracował w Grupie Poetyckiej „Wołyn”.

W latach poprzedzających II wojnę światową Milczarek zajmował się aktywnie działalnością literacko-kulturalną. Współredagował tygodnik „Podchorąży”. Był członkiem Wołyńskiego Towarzystwa Nauk. Zadebiutował jako poeta w 1934 roku tomikiem wierszy *Wieża Babel*. W 1938 roku ukazał się drugi tom jego poezji *Liryzm Wołynia*. Cały nakład trzeciego tomiku wierszy poety *Wołyński las*, opublikowanego w Równem w 1939 roku uległ zniszczeniu w czasie wojny.



Tomik *Liryzm Wołynia* wraz z dedykacją autora dla K.A. Jaworskiego, redaktora „Kamenu” (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Jako oficer Wojska Polskiego uczestniczył w wojnie obronnej w 1939 roku, na początku w Korpusie Interwencyjnym, a następnie w Armii „Prusy”, pełniąc funkcję dowódcy plutonu ciężkich karabinów maszynowych. Wzięty do niewoli przebywał w oflagach Osterode i Woldenbergu. W obozie w Woldenbergu był członkiem tajnej grupy poetyckiej „Zaułek” oraz redagował pismo „Wołyń”.

Po wojnie wrócił do Warszawy gdzie dokończył rozpoczęte w niewoli studia ekonomiczne i podjął współpracę redakcyjną z dziennikiem „Rzeczpospolita”. W tym czasie opublikował *Boje Franka Kuriaty* będące opowieścią z września 1939 roku oraz opowiadania z obozu jenieckiego *Siódmy batalion*.

Po kłopotach z cenzurą w sprawie wydania tomu *Pożegnanie sadu* poeta zerwał z literaturą.

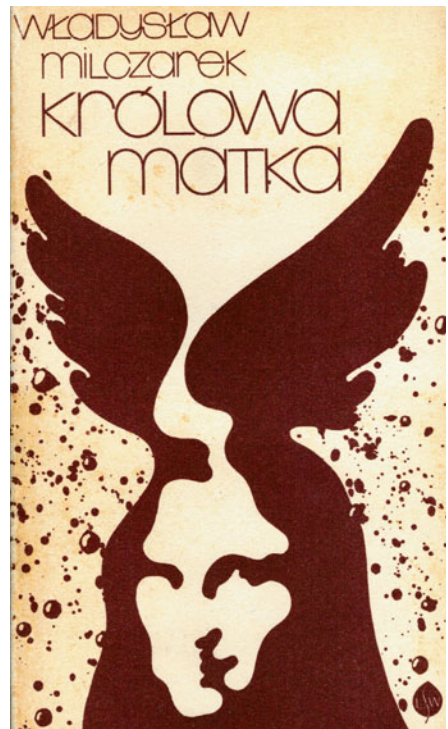
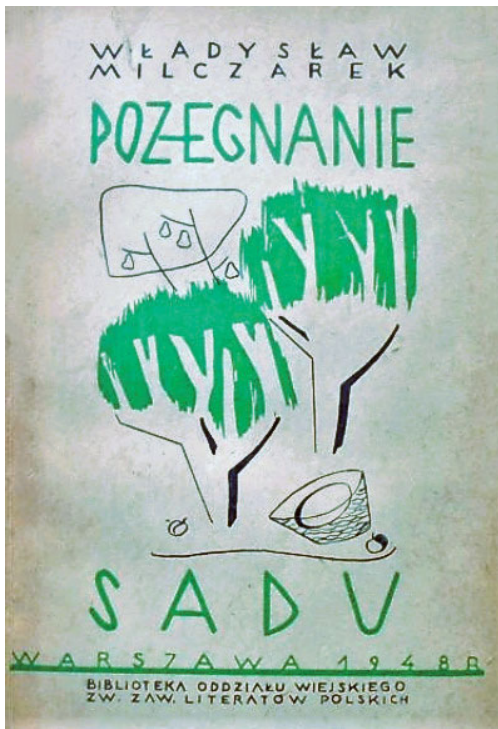
Kolejne pozycje książkowe Milczarka zostały wydane dopiero po 1956 roku. W 1957 ukazała się powieść *Z kraju czarnego chleba*, a w 1958 następna – *Boje Franka Kuriaty*. Władysław Milczarek jest również autorem powieści *Królowa Matka* (1977), której bohaterami są wołyńscy przesiedleńcy. W 1980 roku została wydana powieść *Krasnegóry*.

Jego wiersz *Łuczniczka* nagrodzony został w Konkursie Olimpijskim w Oflagu II C w 1944 roku, a w 1949 roku Milczarek otrzymał nagrodę Ministerstwa Leśnictwa za cykl reportaży o tematyce leśnej. Natomiast powieść *Królowa Matka* uzyskała II nagrodę w zamkniętym konkursie literackim Ludowej Spółdzielni Wydawniczej i Związku Literatów Polskich, ogłoszonym z okazji XXX-lecia Ludowej Spółdzielni Wydawniczej.

Dużą popularność zdobył pracując przez wiele lat jako redaktor Polskiego Radia. Współtworzył radiową powieść-rzekę, będącą sagą rodu Jabłońskich – *W Jezioranach*, z Zofią Posmysz-Piasecką i Andrzejem Mularczykiem, który kierował zespołem autorskim przez ponad 50 lat. Emisja pierwszego odcinka miała miejsce 29 maja 1960 roku na antenie Programu 1. Polskiego Radia.

Milczarek ma w swoim dorobku także sztukę teatralną *Syn Jagiełły*. Jako aktor wystąpił w filmie *Jeszcze słyhać śpiew i rżenie koni* w reżyserii Mieczysława Waśkowskiego (1971).

[http://pazda.eu/zygmunt/oboz/ksiazka_oflag/Oflag_IIC_Woldenberg.pdf]



Okładki publikacji z utworami Władysława Milczarka: tomik wierszy *Pożegnanie sadu* oraz powieść *Królowa matka* (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Chłopska Matka Boska

W kapliczce Twej przy drodze pachnie macierzanka
i polne róże.

W kapliczce Twej się wplata do kwietnego wianka
pacierze.

Codzień chłopiąt bosych gromada przychodzi
i klęka,
i pacierzem dziecinnym, niewinnych prosi
Panienkę.

Pobłogosław, o Pani, i płowe głowiny
Pogłaskaj

By odczuli tę dobroć Matczyną
z obrazka.

Odwróć burze, nieszczęścia dla ludzi,
od żyta –
żeby każdy miał chleba czarnego
do syta.

Pobłogosław ich, Pan, oczęta rozraduj
weselem –
żeby do Twej kapliczki z modlitwą, kwiatami
szli śmielej.

*„Życie Katolickie”, 1937, 12 grudnia, nr 50, s. 767,
VII kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Poezja kłosów

Wysłuchaj się kiedyś południem w poezję żytnich łanów
i zrozum tęsknotę kłosów.

I wycuj pragnienia, gdy toną w słonecznym upale
i błogosławią niebiosa.

Wyjdź w pole i słuchaj, jak kłosy tętnią rytmicznie
chlebem i miodem,

jak tu się rymy splątały prześlicznie

słońcem pogodą –

Wiążą się strofy dojrzałe urodne

jak snopy,

aż urósł poemat dla głodnych

zbóż kopy –

„Życie Katolickie”, 1938, 10 kwietnia, nr 15, s. 229,

VIII kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;

„Okolica Poetów”, 1937, 6(27), s. 17(209).

Liryzm Wołynia

Zbożna poezjo wołyńska, szumiąca miodem w kłosach,
Różowiejąca wschodem i złota w skwarne południe,
Poezjo chałup bielonych, nagietek, malw i mięty,
Jakżeś ty dla mnie bliska i śpiewna jakoś cudnie.

Nieraz wspominam sobie moje rodzinne strony
I noce srebrne księżycem i miłość ostatnią i pierwszą,
Wodę z głębokiej krynicy, wiatry grające na skrzypkach...
Ach, jakże byłem szczęśliwy, pisać zaczynał wiersze!

Porzucić stęchłe mury i uciec w pole za miasto,
Ramiona silnie sprężyć w złotym słonecznym upale,
Miedzami biec wśród zboża, ach, biec aż do zmęczenia.
A później odpoczywać i grusze liczyć po polu.

Wrosnąć w te szare lössy, po łokcie urobić ręce,
Przed pyłkiem najdrobniejszym uklęknąć na kolana,
Najmniejszy skrawek ziemi ukochać sercem gorąco
I miłość swą wyśpiewać szerokim bujnym łanom...

Można o wszystkim zapomnieć, można wszystkiego się wyrzec,
Lecz miłość rodzinnej ziemi nie szczeźnie w największej rozterce,
Nie trzeba być poetą, by miłość taką rozumieć,
Wołyńska ziemio rodzona, na dłoniach podaję Ci serce.

*„Życie Katolickie”, 1938, 10 kwietnia, nr 15, s. 229,
VIII kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Źródółko

Spod zielonego mchu, spod dębowego korzenia
Wytryskasz garstko wody źródlaną strugą korzenia
Ciurkasz na srebrnym flecie i grzmisz na szklanym bębnie,
Skrzykując codziennie rano, spragnione dzikie gołębie.
Spijam cię słomką żytnią w upalne letnie południe,
Spieczona mi usta mi chłodzisz, jak woda z najgłębszej studni.
Masz zapach wilgotnej ziemi i wszystkich kwiatów w dąbrowie,
Strugo najczystszej wody w cienistym letnim parowie.
Brzegi zarosły mchem i ciszą nasiąkły leśną.
W kwiatkach się miód przetapia i dojrzewają czereśnie.
A srebrną strugą źródółka powoli na zachód ciecze
Czerwone słońce, złote, jak rozkwiecony słonecznik.

1937

*„Życie Katolickie”, 1938, 10 kwietnia, nr 15, s. 229,
VIII kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;
Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 13.*

Zamieć

Przywlokła się zamieć sroga z za gór, z za lasów
i dopadła wioski,
Pochyliły się drzewa w sadzie do pasa
ze strachu.

Chałupiny strzechy wsunęły głęboko
a czoła;
i drzwi mocno podparły od zewnątrz
stodoły.

Wróblom świergot zamarzył u dziobów
jak sople;
i westchnęła w oborach chudoba, zamknięta
na skobel.

Hula zamieć sroga po wiosce i śniegiem
zacina
Aż się dymy ze strachu z powrotem schowały
w kominach.

1936

*„Życie Katolickie”, 1938, 7 sierpnia, nr 32, s. 499-500,
IX kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”;
Pożegnanie sadu, część – Aleja Słoneczników, 1948, s. 27.*

O leśnym Bogu

Boże, o chłopskiej twarzy i barach dębowych,
Boże ukrzyżowany w tej cichej dąbrowie.
Samotny, opuszczony – Boże zapomniany,
Wisisz tu i rozmawiasz z leśnymi ptakami.
Nie masz tutaj ołtarzów i nie masz kapłanów,
Pod gołym niebem sam się modlisz wieczorem i rano.
Nikt Cię nie stroi w kwiaty ni w złote ornaty,
Boże osamotniony i Boże obdarty.
Tyle lat tutaj wisisz i burze przetrwałeś,
Oczy Ci już wyblakły i szerniałeś cały.
Krzyż zarasta w około piołunem, pokrzywą,
Boże, łazarzu wielki, Boże nieszczęśliwy.
Szumią Ci tylko dęby potężną modlitwą,
Ptactwo śpiewa i kwiaty tylko Tobie kwitną,
Sam jesteś jeden człowiek pomiędzy drzewami...
Pobłogosław tę ziemię i módl się za nami.
Łazarzu nieszczęśliwy, Boże biczowany,
Przebacz nam nasze winy – zmiłuj się nad nami.

„Życie Katolickie”, 1939, 20 sierpnia, nr 34.

Nad Słuczą

Nad Słuczą noc się dźwiga z ciemnych oczeretów
Zatopionym księżycem patrzy w twarz poety...

Świat się rodzi dziwaczny jak w magicznych lustrach
I miłość zapomniana dojrzeła na ustach.

Przyjdź do mnie , bo mi serce murawą zarosło
I zwątpieniem nasiąkło jak szaloną wiosną –

Myśli się kłębią mgłami po zielonych łąkach,
I dzwonią zagubione na polu skowronki.

Nad Słuczą noc się dźwiga jak czarna opończa,
Gwiazdy na dnie migocą jak ogromne słońca,

I sen skrzydłami sowy musnął mnie po twarzy
Zacierając zrodzone w marzeniach obrazy –

Na falach kwiaty płyną pachnące żywicą,
A noc się rozśpiewała piosenką liryczną...

Przyjdź do mnie z twą miłością nieznana dziewczyno,
A może cię pokocham, może będziesz inną –

Oczeretem zaszumiął nagły wiatru powiew
Słucz westchnęła jak ciężko spracowany człowiek,

A w sercu pod murawą kochaniem wiecznym
Odezwała się ziemia i zwiła na ustach –

„Okolica Poetów”, 1939, nr 3(42), s. 15(535).

Wielka nienazwana

Tyle o Tobie pisano, mówiono, nakłamano
i narastałaś w sercu jedną krwawiącą raną.
I jakżeż Cię teraz mierzyć produkcją pszenicy i ropy,
jakie Ci miejsce wyznaczyć na mapie Europy?
Jakim okraścić kolorem, jakim zawołać imieniem,
o, Ty, maleńka, jak serce, o, Ty, największa na ziemi.
Wstydzę się mówić głośno, bo nie znam takiego słowa,
by Cię wyrazić godnie, by prawdę o Tobie zachować.
Trzeba zacisnąć zęby, chociaż w krwi cała broczysz
i dławisz w gardle, a nocą słono napływasz do oczu.
Musisz pozostać w sercu jedną krwawiącą raną,
O, Ty, najdroższa na ziemi, Ty, wielka Nienazwana.

1944

Pożegnanie sadu, część – Strefy głodnych, 1948, s. 51.

Łuczniczka

Nie wiem, czy jesteś Amorem, czy nowoczesną Dianą –
Miłością wabisz ułudnie, a śmiercią grozisz z kołczanu.
Przeciągasz się rozkosznie, ramiona drżą ci lekko,
Gdy łuk napinasz jak brew nad przymrużoną powieką.
Mierzysz spokojnie, a pewność pokładasz w swojej sile:
grot strzały prosto w serce, a w twarz klasycznym profilem.
O, teraz wysmukłe palce rozluźnisz, pochylisz głowę –
Zaśpiewa sopranem cięciwa, bełt warknie kolorowo.
Zastygniesz w tanecznej pozie, alabastrowe zjawisko,
Tylko ci usta drgną lekko i oczy dziwnie zabłyszczą.
O zostań tak na zawsze, masz w sobie niebiańską słody.

Wiersze obozowe (wiersz nagrodzony w Konkursie Olimpijskim w Oflagu II
C w 1944 roku);

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 19.

Żongler

Cztery magiczne kule,
Cztery złote księżycy,
Nocą pod gwiazdy wyrzucę
Świetlistą parabolą.

W sonej kosmicznej przestrzeni
Drogi bezbłędnie obliczę
I zamknę w jednej dłoni
Matematycznym kluczem.

Czy widzicie? Pod niebem wysoko
Złote kule wirują i brzęczą
I jak jabłka padają z obłoków
W moje czujnie otwarte ręce.

To nie ziemia je ściąga z powrotem
To nie ziemia w fontannę wygina –
Ja w elipsy pod niebem je splatam
Magnetycznym mych oczu biegunem.

Jeśli zechcę – zadziwię was wszystkich,
Złotą burzę rozpętam w przestrzeni –
Jak przez Boga rzuconych sto dysków,
Sto księżyców wyleci z mej dłoni.

Wiersze obozowe, 1939;

Pożegnanie sadu, część – Strofy głodnych, 1948, s. 48.

Poległe konie

Po nas nie płaczą ludzie
Czy to kogo wzruszy
że setki naszych trupów zawałiło szosy
barykadami mięsa,
skrwawionego ścierwa,
potokami krwi żywej,
gmatwaniną nerwów.

Napęczniały od słońca tułowia
Jak góry,
Nogi zastygły nagle w śmiertelnym galopie,
I po co to?
Że się wojny chciało Europie,
My mamy za to ginąć,
Nieszczęśliwe konie ?!

Śmierć nasza was nie wzruszy
Po nas nie ma żalu,
Ale wiecie na pewno, jak to strasznie boli,
Gdy płat gorącej stali wypruje jelita
I bluźnie krwią czerwoną,
Taką jak i wasza.
Popatrzcie w nasze oczy:
Każdy z nich wyczyta
Przerażenie i trwogę,
Nie mniejszą od twojej.

Meldunki płyną z sztabów
Wielkie straty w koniach...
Szefowie w kancelariach
Klną przy ewidencji
Wykreślając nas z rubryk,
A na konferencjach
Radzą nad rozdzielnikiem
Nowego remontu.

A później...
Na zachodzie
I na wschodnie fronty
Pójdą transporty długie,
Ładowne sianem, owsem
I końmi na ubój...

Wiersze obozowe, 1939;

Pożegnanie sadu, część – Strofy głodnych, 1948, s. 52.

Dzieciństwo

Las, łąka i rzeka, słońce, powietrze i woda –
w oczach niebiesko, niebiesko, a w głowie zielona młodość.

Dzień jak miętowy, w zbożu szeroko jak w stepie,
wieczorem – cudze wiśnie, bo smakowały najlepiej.

Strzelało się z łuku w niebo, kto wyżej, wprost do słońca
i czas tak leciał, jak strzała – godziny, dni, miesiące

Na strychny mieszkał świat bajki i wielka tajemnica,
a dziś nie trafię tam – przepadły dzieciństwa mego klucze.

Wyszumiał stary las dawnych dziecięcych marzeń,
Nie szuka tam już sławy Indianin o bladej twarzy.

Postarzał świat i zmałał, najprostsze ścieżki pospłatał,
i dziś biedniejszy jestem o tanie beztroskie lata.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 9.

U nas

Wieczory są modrookie, a sady kwitną wiśniowo,
dziewczęta mają usta o smaku dojrzałej renety.
W polu u nas szeroko, a zboża pachną zmysłowo,
ludzie są prości, jak nigdzie i mają serca poetów.

Piosenka jest zawsze liryczna, a miłość tylko najszczerza,
przyjaźń w otwartej dłoni a prawdę nosimy w oczach,
durzymy się prowincją, a zachwycamy wierszem
naiwnym, o księżycu i słowikowych oczach.

Tęsknimy ciągle, tęsknimy i nie wiadomo za kim,
I nie wiadomo skąd się bierze to ciągle zamyślenie,
Jesteśmy jak podróżni na niekończącym się szlaku,
wpatrzeni w błękitny pierścień uciekającej ziemi.

Wieczór jest modrooki, a noce kwitną srebrnie,
poranki są różowe, południe jak słonecznik –
szeroko, kolorowo, oddychać trzeba podniebnie,
a kochać tylko gorąco, a kochać tylko wiecznie.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 10.

Dom

Oto leśna dębowa powaga,
oto mocny dębowy dom;
zamiast okien jest niebieska droga,
zamiast studni jest zielony klon.

A pod strzechą, pod liściastą strzechą,
śpi spokojnie chłodno siwy cień,
ponad dachem słoneczne uśmiechy
i pachnący macierzanką dzień.

W gołębniku gruchają gołębie,
a gołębnik pod niebem się skrył;
spokój słodko opływa po dębie
z czarnoziemiu do brzoźowych żył.

Zielenieje, tężeje świetlica,
twardo rośnie dębowy mój dom,
płyną dnie i wieczory księżycy
na spotkanie marzeniom i snom.

Kwitną wiosny, lata pachną sianem,
pszczeiny podmuch zgina lipy w łuk –
w złotym kręgu lipcowego dzbana
patrzy słodko mój słowiański bóg.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 11.

Parów

Tu kiedyś umarła rzeka, ale to bardzo dawno,
a dziś, jak na mogile, wyrosły kwiaty i trawa.

Tu dawniej żyła rusałka, jak zwykle zwodnicza i piękna,
umarła podobno z miłości, jak mówi bajka-piosenka.

Błądzą tu teraz muchy pomordowanych jeleni,
szukając wodopoju w tej rzece soczystej zieleni.

Przychodzi tu czasem poeta, zaduma się i w ciszy
odczuje to, co minęło, a później wierszem opisze.

Powlecze dzisiejszy świat przeszłością odbiegłą daleko,
a cichy, trawiasty parów napełni po brzegi rzeką.

Wywabi duch jeleni, wskrzesi liryczną rusałkę,
a wtedy bajkę uwierzy i w piękno zwyczajnych rzeczy,
a w sobie odnajdzie Boga w zwykłym sercu człowieczym.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 12.

Poranek

Leśny poranek wyfrunął z białej kobiałki lipowe
i siwe mgły zwołuje do ociemniałych parowów.

Odplywają wełniste polany, zakurzyły się dukty jak drogi,
oparami wczorajszych wieczorów, roz tęsknionych nieznanym noclegiem.

A tu słońce, jak pająk ogromny, złote sieci rozsuwa po lesie
i wystawia ćmy księżycowe i wczorajsze wieczorne pieśni.

Ziemia jeszcze jest nocą natchniona, a już niebo się rankiem przymila
i garściami rozrzuca wokoło trzepotliwe słoneczne motyle.

I las teraz już cały słoneczny i la teraz zielone ma oczy,
i niebiesko spogląda na niebo: las słoneczno-zielono-słowiczy.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 14.

Bzy

Bzy przed świtem mają sny fioletowe
i bujają w pachnących obłokach,
gdy się budzą jest złoto-różowo
i trzmiel dzwoni na srebrnych organkach.

Kiedy świeżo rozkwitłe bukiety
Ranek złoży w zielonym flakonie –
Wtedy płynie majowa tęsknota
Fioletowym pachnącym cieniem.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 15.

Trzmiel

Jestem odpryskiem słońca
akordem letniej melodii,
świtów różowych gońcem,
pachnących smugą miodu...

Kochankiem wszystkich kwiatów
poetą łąk, ogrodów,
skrzypiec najcichszą nutą,
a imię moje słodycz...

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 15.

Kaczeńce

Na szmaragdowej łące
urośli kaczeńce,

zakwitły nad ranem
złotem i bursztynem.

Łąka jest pierścieniem
Kaczeńce kamieniem –

cóż to za klejnot
i kto go podejmie?

Myślę, że na świecie
jedynie poeci

tej ozdoby godni.
Bo czyż nie jest cudny

Pierścień szmaragdowy
Z oczkiem bursztynowym...

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 16.

Deszcz

Szumi, szypi, pluszcze,
zapachniało deszczem,

zadzwoniło w okno
melodią rozmokłą.

Na srebrnych cymbałkach
muzyk się rozpłakał

i rzewnymi łzami
płacze za szybami.

A na wiśni w sadzie
wiatrograjek siedzi

i zagarnia smykem
deszczową muzykę.

Szumi, pluszcze, szypi
na strunach swych skrzypiec

i zawodzi śpiewnie
wiatrograjek rzewny.

Deszczem zapachniało,
skrzypcami zawiało,

ktoś poszedł ogrodem
z dzbankiem na pogodę.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 17.

Akwarela

Biała chałupa, cztery okienka:
dwa patrzą na wschód, dwa na południe;
w ogródku malwy, słonecznik, mięta,
a obok żuraw zagłada w studnię.

Kawałek płotu przy sadzie drzemie,
na płocie garnki schnące po mleku –
zagłada słońce – kładą się cienie
i wykwitają złote wypieki.

Zieleń łagodna, biel niebieskawa,
w studni wyblakła ultramaryna;
strzecha, słonecznik – refleks złotawy –
w ogródku fiole, centki karminu.

Cienie, półcienie, gamy kolorów,
boski artysta nasycza, zmienia
i jak na białej karcie papieru
maluje pejzaż swego natchnienia.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 18.

Południe

To jezioro słonecznej kąpieli,
ogród
ciepłem nabrzmiewa soczyście –
to dostojna powaga niedzieli
odpoczynkiem osiadła na liściach.

Zamyślenie, marzenie o niczem,
może pacierz bezsłowny do Boga,
może w słodkim zapachu koniczyn
zagubiła, zdrzemnęła się droga.

Kołysanki najcichsza melodia
mąci oko i rzęsy wydłuża,
pajęczyną osnuwa ogrody
i motylem osiadła na różach.

Trzmiel pijany nasturcji kielichem,
zniebieszczała tęsknota przy studni –
ziemia ledwo oddycha, tak cicho.,
a to tylko zwyczajne południe.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 20.

Aleja słoneczników

Aleją słoneczników co dzień chodzi słońce
i kwiatom twarze barwi pyzaty rumieńcem;

smaruje chłodne usta bursztynowym miodem
i jak lampę zapala lipcową pogodę.

Aleja słoneczników to ulica słońca –
tu kwitą i dojrzewają upalne miesiące,

tu słońce jest płynnym kurzem, słodkim kwiatami-miodem,
złotym trzmielcem nad złoto kwitnącym ogrodem.

Posłuchaj. Już od rana brzmi słodka muzyka,
trzmieć wtulił się namiętnie w usta słonecznika

i dzieli się pieśczętą, sycą się urodą
złączeni pocałunkiem, złoty kwiat z owadem.

W alei słoneczników jest najwięcej lata,
cichej muzyki trzmieli i miłości kwiatów...

A wieczorem w alei, południem zmęczonych,
sto słońce śpi na uwięzi jak złote melony.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 21.

Łubin

Dzikie gołębie w łubinie
skrzydłami zmąciły fiolet
i słońcu nadały kierunek;

oto łagodnym półkolem
pod niebem, na zachód płynie
tęczowa łuna.

Wtedy pod arkadami
seledynowych mostów
wstają wieczory,

w kwiatach motyle gasną,
a zielonymi miedzami
płyną jeziora.

A kiedy sine gołębie
wpadną w orbitę zachodu
i w słońcu spłoną,

łubin zakwitnie na niebie
tęczowym wschodnim ogrodem –
pachnącą łuną.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 22.

Zachód słońca

Seledyny, karminy i złoto
opryskały niebieską paletę,
teraz malarz pozbiera kolory
i ułoży je w ramach wieczoru.

Horyzontem przekreśli słońce,
zwiędłe niebo podeprze miesiącem
i ciężkimi kroplami mroku
będzie gasił słoneczne obłoki.

Sinym cieniem o ziemię uderzy
i pokroi ją w pasy jak nożem,
drzewa ostrym zaznaczy konturem
i wydłuży je, dźwignie do góry.

Potem łąki szerokie i stawy
mgłą podpali, rozwłóczy sinawo,
a ostatnią iskierkę zachodu
chluśnie wiadrem księżycą jak wodą.

Pożegnanie sadu, część – Aleja słoneczników, 1948, s. 23.

Dziecięcy pacierz

Te proste za matką powtarzane słowa
takie kochane, a takie dalekie...
A dziś mi książkami napęczniała głowa,
Dzisiaj już jestem dorosłym człowiekiem.

Dzisiaj odmawiam uczone modlitwy –
labirynt słówek, miliony liter...

Czasami tylko gdzieś samotną nocą
Matczyny pacierz odwiedzi mnie we śnie –
Przypomni dom rodzinny, pierwsze słowa mowy,
Łąki, pola szerokie, aleje czereśni...

Obudzi się dzieciństwo w tym prostym pacierzu
wiejski kościółek stary, dzwoniące organy...
Ktoś bierze mnie za rękę i żegna jak matka:
W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego
A m e n...

1938

Pożegnanie sadu, część – Strofy głodnych, 1948, s. 40.

Poszukiwania

Oto od rana do nocy
błądzą wśród drzew i kwiatów,
aż mi nabrzęły oczy
gamą kolorów i światła

Coraz piękniejsze barwy,
coraz to inne cienie
podnoszę oczami z ziemi
i czuje je na wargach.

I teraz już nie rozumiem,
czym ja właściwie jestem,
tonem, półtonem w szumie,
liści zerwanych szelestem...

Czy krew tak szumi we mnie
czy gęste soki roślin,
czy tajnym rytmem ziemi
zgubiłem się jak w wiośnie?

Stuletni bór żywiczny,
stukolorowa łąka,
a może step kosmiczny
oczy mi dziś obłąkał.

Oto od rana do nocy
Pomiędzy niebem a ziemią
wibrują moje oczy
a serce porasta zieleń.

Pożegnanie sadu, część – Strofy głodnych, 1948, s. 41.

Misterium

*Na dnie Zbruczu w Kręciłowskim Parowie
odnaleziono posąg Światowida*

Ten bór nie jest borem – to fatamorgana,
to gontynę słowiańską wzniecił! letni wieczór
i słońce, jak tragiczną ofiarę wszechrzeczy,
złożył w nabożne dłonie leśnego kapłana.

Sosny płoną czerwono jak leśne łuczywo,
dzikie gołębie pożar poniosły na zachód
i podpaliły strzechę niebieskiego dachu –
od Zbrucza ruszyły łąki wilgotnym zalewem.

Leśne polany chciwie nastawiają usta
i krztuszą się zapachem słodkich traw i kwiatów,
nadchodzi noc pogodna i staje nad światem
modrooka, pogańska, noc bartnika Piasta.

Mleko mgieł o smaku ziół polnych i leśnych
spływa łagodną smugą w kamieniste stągwie,
w pasiekach złoty lipiec w szumie pszczelnej pieśni
płonie na piasrach miodu jak mityczny ogień.

Na drogach kutyh w srebrze rzą księżycowe konie
i wiatronogim tabunem kłębią niebieską przestrzeń,
bóg czterolicy – gospodarz wiatrów, pogody i deszczów
zwołuje święte stado na sianokosy i błonie.

A o północy wyjdą leśne panny i będą wiły wianki
z lilii korowodem pójda na pastwiska
ujeżdżać dzikie konie i karmić je z ręki.

O świcie śmigłe cyranki zaznaczą brzegi brucza,
a czajki w oczeretach wyklują młode słońce,
ostatni raz zarzą konie po zaroszonej łące
i wpadną w głęboki galop, gwiazdy unosząc w oczach.

Na dnie żyznego mułu spocznie kamienny Światowid,
wodorosty oplotą mu głowę zielonym wieńcem życia,
sen nocy pogańskiej w sercu przechowa przygodny człowiek
i będzie się modlił do słońca w bosko-ludzkim zachwycie

Pożegnanie sadu, część – Strofy głodnych, 1948, s. 42-43.

Legenda

W lesie szumiącym rozległe, w lesie pachnącym dębem
będziemy kuć szczęśliwie rozstłonecznione poręby.

Spod mchu i spod darni zielonej czarnoziem dobędziem zdrowy
i w świt różowy odziani zasiejem nowe dąbrowy.

Spęcznieje mocarne ziarno, kłosami wystrzeli w niebo,
rozszumia się żytnie łany, zapachną razowym chlebem.

W lesie szumiącym rozległe, w lesie pachnącym dębem
dojrzewać będą w słońcu rozradowane poręby.

I kiedyś wczesnym rankiem przyjdziemy zakochani –
dostały żniwny dzionek rozdzwoni się sierpem w dłoni.

Rozśpiewa się żytnia poręba, snopami się ułoży...,
a wtedy z czterech stron świata zjadą niebieskie wozy.

Rozwiozą naszą sławę, rozwiozą nasze ziarno,
zgłodniałe rzesze ludzkie nakarmią i ogarną.

Świat cały się rozstłoneczni, świat cały się rozbłękici,
Gdy ludzie będą szczęśliwi, gdy ludzie będą syci.

I kiedyś nowi ludzie rozrosną się jak dęby
i pójda w szerokie lasy – wykuwać nowe poręby...

1938

Pożegnanie sadu, część – Strofy głodnych, 1948, s. 15.

Śmierć maja

Zamordowano maj
w biały dzień, wprost na ulicy –
wywleczono za włosy liliowe bez ogrodów,
strzaskano kopułę czeremchy,
jaśminy podarto na strzępy
i czarnym karawanem zwieziono do kamienicy.

Zwalono na podłogę fioletowe płuca wiosny,
niech dławią się jak obłok strącony z nieba na ziemię;
nożyce, noże w ruch,
wyrównać za bardzo rozrosłe
bo kwiat przylegać musi do kapelusza mody.

Pocięto, pomięto kwiaty,
związano i do flakonów:
posumowano
pomnożono –
a jutro rozwiozą do domów
i zamkną maj bilansem
tylu, a tylu złotych.

Pożegnanie sadu, część – Strofy głodnych, 1948, s. 47.

Odwiedziny

Przyjdiesz do mnie dziewczyno zadeszczową porą
i do okna zapukasz cichutko, po kryjomu,
i przez szyby zamglone kapryśnym wieczorem
będziesz pytała szeptem, czy sam jestem w domu...

Przyniesiesz mi ze sobą słodki zapach deszczu
i młodość swą szaloną, co cię tu przywiodła –
stopnieje w sercu smutek od gorących pieśczoł
i rozwieje się w duszy chmurna niepogoda.

I znowuż sił nabiorę w twych słabych ramionach
i słodką radość życia odnajdę w twych ustach –
cały świat zamieścimy tutaj w czterech ścianach,
a swą wielką miłością wypełnimy pustkę.

Pożegnanie sadu, część – Strofy głodnych, 1948, s. 49.

BAZYLI PODMAJSTROWICZ (1917– 1973)



Informacje o poecie w polskiej literaturze powojennej są niezwykle skromne. *Historia polskiej literatury* oraz słowniki nie podają żadnych danych dotyczących poety. Dlatego poniższe informacje oraz wcześniejsze, zawarte w części I i II Antologii Grupy Poetyckiej „Wołyń” przywracają pamięć o poecie i jego dorobku.

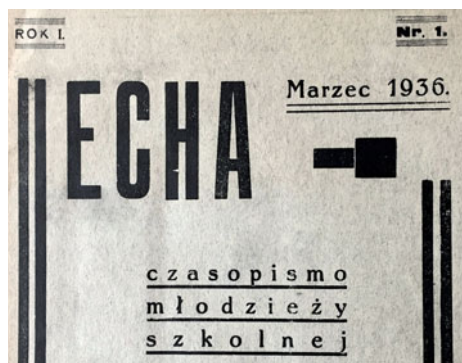
Bazyli Podmajstrowicz ukończył gimnazjum w Równem, a następnie studiował na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Zaczął pisać wiersze w wieku szkolnym. Jego tomiki wierszy *Tętno krwi – mity* (1935), *Ogród poezji* (1938) i *Mity* (1939) znane są w twórczości poetyckiej tamtych lat. Już wówczas jego dorobek poetycki został pozytywnie doceniony w polskich kręgach literackich.



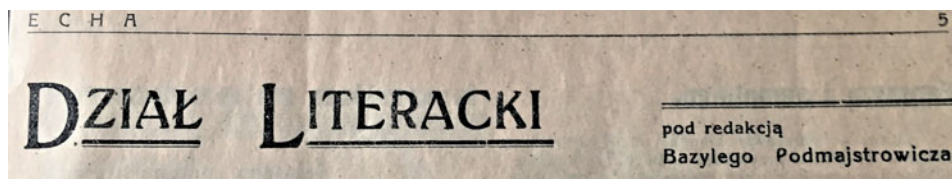
Strona tytułowa tomiku *Ogród Poezji* (Lech W. Szajdak, archiwum rodzinne)

Zdaniem Józefa Czechowicza (*Poezja Wołynia*, „Kurier Literacko-Naukowy”, 1938, nr 50, strony 8-9) „wiersze Bazylego Podmajstrowicza w tomiku *Ogród poezji* (1938) są znacznie świeże i zbliżone do charakteru twórczości Janczarskiego, a trochę i laureata nagrody młodych, Stanisława Piętaka. Zwłaszcza w tych częściach, gdzie mowa o wsi. Pejzaż pod piórem Podmajstrowicza nabiera własnego, niekonwencjonalnego kolorytu. Tym bardziej wzruszają młodzieńcze nieporadności autora w innych wierszach, związanych tematyką ze sprawami, którymi usiłuje się przejąć, lecz nie żyje nimi (miasto, fabryka, historia). Utwór pt. «Lipowy poemacik» pasuje tego debiutanta na poetę”.

W latach trzydziestych XX wieku Bazyli Podmajstrowicz prowadził Dział Literacki w czasopiśmie młodzieży szkolnej „Echa” wydawanym w Równem na Wołyniu. Publikował tam felietony literackie, swoje wiersze oraz fragment powieści własnego autorstwa – *Własenko*. Wśród tytułów felietonów wymienić można: *Poezja współczesna a życie*, *Dynie płynie a pusto w kominie*, *Kłopoty spod czerwonych księżyców*. Omawiał w nich, między innymi, twórczość poetów, w tym: Tuwima, Staffa, Bąka, Słonimskiego i Wierzyńskiego.



Strona tytułowa czasopisma „Echa”

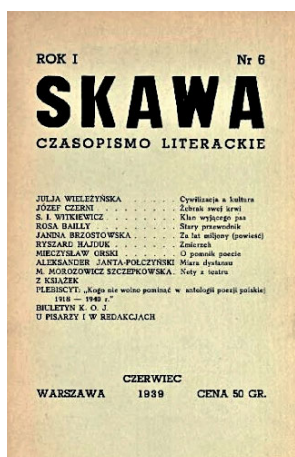


Winieta Działu Literackiego w czasopiśmie „Echa”, prowadzonego przez Bazylego Podmajstrowicza

W ww. Dziale Literackim znalazły się między innymi wiersze poety: *Prośba*, *Do nowego poety*, *Staw nocą* i aforyzmy zatytułowane *Myśli na czasie*. Na łamach tego działu Podmajstrowicz wypowiedział się następująco w kwestii, czym poezja winna być: „poezja musi być przede wszystkim poezją, a nie orężem w walce i czynnikiem, nie idącym w parze z prawdą artystyczną, musi być wiernym czyli twórczym odbiciem rzeczywistości namacalnej i psychicznej, nie zaś nieokreślonym stylizatorstwem i pozowaniem społecznym”.

W twórczości poetyckiej Podmajstrowicza dostrzec można dwa kierunki. Jeden związany jest z Wołyniem, reprezentowany przez następujące wiersze: *Zamek Lubomirskich w Równem*, *Wołyń 1*, *Wołyń 2*, *Zielony Horyń*, *Nad Horyniem*, *Na przedmieściu*. Drugi odnosi się do Wilna, z którym poeta związany był jako student medycyny Uniwersytetu Stefana Batorego. Do Wilna poeta nawiązuje w wierszach: *Obrazy wileńskie*, *Rossa*, *Wilno*, *Ostra Brama*. W nich nie można oddzielić uwarunkowań i okoliczności historycznych („tam serce drogie i polskie w ziemi spoczywa głęboko, tam Syrokomla usnął jak pieśń; miasto kopuł pobożnych, religijnych wieków, modlitwy w Ostrej Bramie w zwykłe szare dni”).

Dorobek poetycki Bazylego Podmajstrowicza zyskał mu szersze uznanie. Poeta znalazł się na liście ogłoszonej przez czasopismo literackie „SKAWA” (lipiec–sierpień 1939, Warszawa), zatytułowanej „Kogo nie wolno pominąć w antologii poezji polskiej 1918–1940”, obok dwóch członków Grupy Poetyckiej „Wołyń” – Czesława Janczarskiego i Józefa Łobodowskiego oraz innych uznanych polskich poetów tego okresu (Szajdak 2018, 2019, 2021; Szajdak i Stadnyk 2020, 2021).



Okładka czasopisma literackiego „SKAWA” z 1939 roku wraz z informacją o plebiscycie „Kogo nie wolno pominąć w antologii poezji polskiej 1918–1940”

W okresie powojennym pracował jako kierownik oddziału chirurgicznego szpitala kolejowego w Czerniowcach w Ukrainie. Przez pacjentów nazywany był „lekarzem od Boga”.



Fotografia z lewej strony: sala operacyjna, drugi od lewej Bazyli Podmajstrowicz (lata 1963–1965).

Fotografia z prawej: B. Podmajstrowicz z synami na wakacjach w 1961 roku (Irina Podmajstrowicz)

Pomimo bardzo absorbującej lekarskiej pracy zawodowej nie porzucił działalności literackiej. Jego utwory zawarte są w poetyckich i prozatorskich dziełach o humorystycznej i satyrycznej treści, zarówno w postaci oddzielnych utworów, jak i w antologiach. Podmajstrowicza cechowało ogromne poczucie humoru, które można znaleźć w wielu jego baśniach, felietonach oraz satyrycznych opowiadaniach. Jego genialne dowcipy z doskonałymi puentami wielokrotnie wypowiedane były ustami bohaterów popularnego humorystycznego programu telewizyjnego *Kabarecik 13 krzesel*. Cenione satyryczne czasopisma „Krokodyl” i „Pieprz” publikowały jego żartobliwe i pełne humoru miniatury z zaskakującym zakończeniem. Ponadto w swoim dorobku posiada teksty science-fiction.

Powojenna bibliografia poety obejmuje następujące pozycje:

Подмайстрович В., *Медведь-администратор и заяц-редактор; Бдительный Пахом; Три секретарши*, Радянська Буковина, громадсько-політичний іа літературно-художній альманах Чернівецького обласного літературного об'єднання, присвячений 100-річчю з дня народження великого письменника-революціонера Івана Яковича Франка, Чернівці, 1956, s. 161-162;

Подмайстрович В., *Печать и подпись*, Радянська Буковина, громадсько-політичний іа літературно-художній альманах Чернівецького обласного літературного об'єднання, Чернівці, 1957, s. 201;

Подмайстрович В., *Сыч-Авральщик*, Радянська Буковина, громадсько-політичний і літературно-художній альманах Чернівецького обласного літературного об'єднання, Чернівці, 1957, с. 201-202;

Подмайстрович В., *Специалист*, Радянська Буковина, громадсько-політичний і літературно-художній альманах Чернівецького обласного літературного об'єднання, Чернівці, 1958, с. 220-222;

Подмайстрович В., *Лена*, Радянська Буковина, Чернівці, 1959, с. 109-120;

Подмайстрович В., *И смех и грех: сатира и юмор*, Stanisławów, Wydawnictwo Obl. kn.-gaz. Izd., 1961, с. 63;

Подмайстрович В., *Короткие удары: юморески*, Kijów, Wydawnictwo Goslitizdat УССР, 1963, с. 71;

Подмайстрович В., *Таинственный тонор. Krasnouralski Pracownik*, Krasnouralsk, 1966, 26 czerwca (gazeta);

Подмайстрович В., *Як стати письменником: посібник-пародія*, „Літературна Україна”, 1966;

Подмайстрович В., *Карьера синего пиджака: сатира и юмор*, ilustracje J.E. Żołudiew, Użhorod, Karpaty, 1966, с. 55;

Подмайстрович В., *Лікарська честь: уривок з роману Доктор Кругляк*, Радянська Буковина, 2.08.1967;

Подмайстрович В., *Записки тихони: сатир. (powieść)*, Kijów, „Радянський Письменник”, 1969, с. 179;

Подмайстрович В., *Веселая шрапнель: сатира и юмор. Миниатюры*, Użhorod, Karpaty, 1971, с. 53;

Подмайстрович В., *Гоните Журавлиху!: фельетон (в стихах)*, gazeta „Під прапором ленінізму”, 1973, ліріес, с. 76.



Okładki książek (od lewej strony): *I śmiech i grzech* (И смех и грех), *Notatki milczka* (Записки тихони), *Zabawne drobinki* (Веселая шрапнель), *Kariera niebieskiej marynarski* (Карьера синего пиджака)



Okładki czasopisma „Радянська Буковина” z okresu 1956–1959 wydawanego w Czerniowcach, w Ukrainie (wówczas Ukraińska Socjalistyczna Republika Radziecka), w których zawarte są utwory Bazylego Podmajstrowicza

Wschód

Czy ty wiesz, że poranna i słodka
rozkochana, podobna do snu –
błękitnieje w ustach moja piosnka
jak gałązka różowieje bzu.

Czy ty słyszysz, jak pokrywa strzechy
jak za sadem świta pośród drzew.
Brzozy i wiśniowy kolorowy przepych:
wonna zorza i poranny śpiew.

Zbłękitniała piosnka. Usta drżące
Ręce wolą błękit oczy we krwi.
W oczach niesiem kulę zwycięskiego słońca,
w uszach rozkochana moja piosnka brzmi.

Błędny śpiew słodczy, który ciało
rwie i pali, roznamiętna w szał.
Rozśpiewaną białość czy widziałaś? –
Czy słyszałaś sad wiśniowy łkał.

Błędny śpiew słodczy dzwonią liście.
Śpiew gałęzi i tętniący wschód.
Potem znowu z ust moich wykwitnie
śpiew słodczy, który ciebie zwiódł.

Ogród Poezji, część – Serce i wino, 1938, s. 14.

Z Lipcowego poematu:

1. Odżegnana burza

Zeszpecił się horyzont drzewami i pustką
Chmurami zaszło niebo i bezradnie wisi.
Do deszczu już niedługo. Szklany wiatr twarz musnął
I ciężką kroplą wody okno rozkaprysił.

Skrzyżują się niebiosa ogniem religijnie
Zapali ksiądz gromnicę w odwiecznym kościele.
W zielonej pasji brzoza do kolan się zwinie
Po kościach przejdzie zimno a półmrok po ciebie.

Gościniec buchnął kurzem a płaczem ugory.
Parowóz świat sycząco rozcina na części.
Trwożliwie twoje oczy zamkną okiem sztory.
I w drzwiach twój duch miedziano kluczem zacgrzęści.

Odżegnam burzę w ciszę miłością magicznie.
I zdziwisz się sadami i rzeką się spaczysz.
Teraz czuję, że prędko miłości przylipniesz
do domu mej miłości i srebrnie zapłaczesz.

Ogród Poezji, część – Serce i wino, 1938, s. 15.

2. Bajka z łąk i ty

Przywędrowałaś z lasu i stanęłaś w oczach,
pachnąca ścieżynami – czerwoną poziomką –
na głowie z wiankiem lilij z jesiennych omroczy
a w ustach roześmianą młodostrawą łąką.

A potem całusami oblepiłaś twarz mą:
kaczeńcem żółtym – złoto: przyłaszczka – różowo
i długo mi się śniłaś liliowo i jasno
pod akord wiewu wiatru kłoniąc swoją głowę.

Zmierzchami nasycona, śmiechem urodzajna
karmiłaś mnie na umór miodami wonnymi
i w każdy wieczór letni siedzieliśmy niemi
włosami naszych spojrzeń spowici nawzajem.

I krowy były bajką, wozy chrzęstem nocy
płynęliśmy słowami jak łodzią wieczorną
rozróżowiłaś wreszcie a teraz migoczesz
i drgasz nieziemską gwiazdą na niebie upiornym.

Już prędko poczną snopy ustawiać wieżyście
i ziarno będzie pryskać spod cepów jak w kuźni
będziemy jedli chleby pieczone na liściu
a teraz idźmy mięśnie w hamaku rozłożyć.

Ogród Poezji, część – Serce i wino, 1938, s. 16.

Wyjdź

Ciebie kochać – muzyczną topolę –
– senną miłości i miłosny sen –
Wyjdź na brzeg kochania. Przy stodole
Wyjdź co ogniem w wieczór lipca tchniesz.

Ciebie kochać – pocałunków świętość –
grzeszną wargą tulić błękit ocz.
Spójrz: – wieczór spłynął w pola prędkie
i pozostał gorzki osad zórz.

Świat na lewo: opar kadzidlany
Żabi wieczór i alfabet chór.
Płacz maciejki. Jędrny szum spotkania.
I szumiący zagwieżdżony bór.

Tylko ciebie tęsknić – sen miłosny –
Twoje imię całowaniem pić –
Wyjdź na brzeg kochania – ponad wioską.
Roztęskniona wyjdź.

Ogród Poezji, część – Serce i wino, 1938, s. 17.

Biała kołysanka

Śpij dziecino zachwytu, śpij szczenię ogrodów,
a gdy wstaniesz raniutko dam ci łąkę poranną –
a gdy duży urośniesz jak tata i mama
będziesz śpiewał swym dzieciom jak ja śpiewam tobie.

Zrozumiesz co to wszystko wokół ciebie znaczy
odczujesz w swoim sercu wielki świat kosmiczny
i zniknie wiatr twych włosów i pogodność twarzy
a w sercu się rozszoła zamyślenie ciszy.

A gdy, kocię, urośniesz pojdziesz liczne słowa
słowa co jeszcze dzisiaj krwawią oczy taty –
kupisz sobie samolot, samolot stalowy
może będziesz – zły synku – sławny i bogaty.

Może będziesz mój senny – słynnym wynalazcą
albo dużo jest w słowniku przedziwnych określeń –
teraz tobie przez głowę leci koń zuchwały,
mrużysz oczka malutkie, uśmiechnięte we śnie.

Śnij dziecino zachwytu, śpij szczenię ogrodów
a gdy wstaniesz raniutko dam ci łąkę poranną –
a gdy wielki urośniesz jak tata i mama
będziesz śpiewał po cichu to co śpiewam tobie.

Ogród Poezji, cześć – Serce i wino, 1938, s. 18.

Usta i praca

Wodą mnie muskasz
słońcem rozłaczasz
czerwone usta
i ciężka praca

Jedne i druga
lot i poezja
życiowa struga
kwadryga gwiezdna

Be was nie mogę
żyć i umierać
wychodzę w drogę
oczu uzbierać.

Ogród Poezji, część – Serce i wino, 1938, s. 20.

Lipcowy poemacik

Cynkowo harmonijka trele w bezmiar wije.
Ogrodem płynie rosa perłowo i wonnie
czereśni gronna gałąź twój rumieniec pije
i komar ostrą igłę w zimne ciało stromi.

Już krowy dawno mlekiem tryskające,
gdy noc płynęła miodem w gałęziach lipowych.
Jak pledem się okryły zadumą jesiony.
Przydrożne drzewa kąpią się w ciemni stawowej.

Po twojej twarzy przeszła bojaźń lodowato.
Błysnęły poza domem błyskawic neony.
W powodzi wiśni jutro się słodko zanurzym.
Twe palce będą sine zaś wargi czerwone

Zakwitły barwne dziewczki makowo i tłumnie.
tam prężą się jabłkami ramienne jabłonie.
My z tobą przytuleni jak para drzew czule –
miodowo się kołyszem i w półmroku toniem.

Raniutko krystalicznie w liściach nasturcji
osuszysz się jak motyl i poranek przebrniesz,
włosami ocierając ostatni snu uśmiech
zaigrasz razem z tęczą – słonecznie i srebrnie

Zabydłą się ulice – pastuch w wierzbę zadmie.
Powietrze zlipowieje i zwiśnie kremowe.
Kudłatym psem się wioska tobie zakradnie
i liźnie cię językiem po twarzy i głowie.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 23.

Wieczór

Motto:

Znietoperzył się wieczór.....

Genadiusz Wiszniewski

Znietoperzył się wieczór. Kwiaty rozmodlone
Stoję w oknie i słucham jak tam
wiatr na liściach wieczornych wygrywa kanony
i jak siostra sonatę kreutzerowską gra.

Spadła gruszka miodowa i półmrok rozdarła.
Myśli biegną jak konie w puszczykowy sad.
Cienie duchów się modlą – księżyc pluska w trawie –
Ktoś gładzi usta stawu. I podmuchy kradł.

Różowe światło w oknach. Ćmy nad lampą wieją.
Przywędrował północą aż pod wioskę las.
Klomb rozplawia się miodem – prześwitu nadzieją –
Wyczuwam szepty cieni i milczenie astr.

Powietrze niby płomień do komnaty bucha.
Ktoś zbiera spadłe gwiazdy i ciszę i kwiat –
Stoję w oknie północnym i słucham i słucham:
Myśli biegną, jak konie w puszczykowy sad.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 25.

Dzieciństwo

Sady i ogrody
złota, śpiew zieleni wody
w ustach huczy świat

stary senny zamek
płoty zielska czas
rozhukany anioł
dzieciństwa start

pełny miejski księżyc
strzelba – Cow Boy Mix –
indianin zwycięża
i zwycięża krzyk

czarodziejski wieczór
sen złotawo lśni
ktoś cichaczem przeciął
pajęczynną nić

przeszumiało winem
jędrny zwinny blask
ranek jak dziewczyna
jak młodzieniec świat

jeszcze czasem śni się
złota, śpiewna mgła
huczy start dzieciństwa
na zielono świat

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 26.

Łabędzie

Łabędzie płyną stawem
puszyste i dumne
jeden łabędź za drugim
jak mleczne kolumny.

Błękit w oczach łabędzich
pomrukuje – mruga
błękit nieba i stawu
zlał się w jedną strugę.

Osoki wyszły
syczące do wody
i kołyszą zielono
ciszę i ogrody.

Dumny gąsior – długoszyj
zakaskadził dłonie
i koncerty łabędzie
ktoś płoszy i goni.

Staw ma oko zielone
jak u kota
gąsior płynie wciąż pierwszy
i brzydzi się błota.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 28.

Powrót

Matce

Te same sprzęty. Stół dębowy.
Pomięty kaktus. Krzesel rząd
I znany zapach drzew lipowy
I biel matczynych dawnych rąk.

Otwarte okno jak dawniej
Fasoli strączki. Stary chlew.
W oczach zielony posmak szczawiu
i rozkołysy łzawych wierzb.

Wybija stary budzik takty.
Gdzieś urodzajny kwitnie śmiech.
W zieloność łaje pies kudłaty
Zadumą wieją głowy strzech.

Młodości zapach. Ktoś poplątał
imiona ludzi – rzeczy ład.
Wiem jedno:
śpiwna makiem łąka
I zagmatwany w ścieżki sad.

Kleisty napój – młode siano.
Dzieciństwa ogród. Dotyk rąk.
Te same sprzęty. Dom kochany
Pamiętasz kaktus. Krzesel rząd.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 29.

Nocturn

Złotobrody księżyc. Gwiazdy srebrookie.
Wyścieliły oczy. Wybieliły staw.
I wleciały z szumem do otwartych okien
Wraz z rechotem bujnym zakochanych żab.

Wieczór siadł na miedzy. Pachnie lipcem lipa
Lunatyczna brzoza wieje poprzez wieś
Malowane trawy. Ktoś się o coś pyta.
Sen strzeszany płynie. Szczeka w księżyc pies.

Nietoperze nocy. Grusza miodu pełna.
Rozkochany w woni śni Rozalii kwiat.
Słuchasz czarnej ciszy i wioskowych śpiewów
które lecą w okna z rechotem żab.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 30.

Pięciopsiaczki Cerbera

Tam za stodołą w preriach zielska
gdzie siedział lipiec z cizbą kur
ze suką prawną Cerber mieszkał
mityczny szczekał w gęsi dwór.

Suka powiła pięciopsiaczków,
on skomlać bił po piasku
ochotę miał zaszczekać świat.

Lazły w ogród, więc je w zęby
Co chwila zbierał – w budzie kładł.
I jak mityczny groźny Cerber
kładał się przy budzie w żółty piach.

Dwa razy więcej zjadał kości
Wył. Biegał. Szczekał poprzez płot
I aż zwariował z tej radości
szczęśliwy Cerber – żółty smok.

I za stodołą w preriach zielska
gdzie śpiewał lipiec z cizbą kur,
tam Cerber z suką prawnie mieszkał –
mityczny szczekał w gęsi dwór.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 31.

Koło młyna

Koło młyna kwitnie słońce
dzwoni – dzwoni śmiech –
biały młynarz zakochany
miele w żarnach śpiew.

Wiatrak leci nad jeziorem
wiatrak w pola mknie –
drugi wiatrak głową na dół
na piaszczystym dnie.

Koło młyna – koło stawu
rozskrzydlony wiatr
a za wiatrem uśmiech w polach
ust melodię łka.

Srebrne lilie – dym szuwarów
horyzontu gwar
koło młyna są dwa nieba
i powietrza staw.

Młyńskie koło ciszą zuje
tryby kół i zgrzyt
płynie napój w gardziel głodną
płynie napój żył
a wieczorem odlot w ciszą
w pachy sennych drzew
wiatr jak młynarz zakochany
zmiele nocy śpiew.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 32.

Bieg

Wodospad kroków
pęd na przestrzał
dysk piersi
w oczach wiatru cwał

za gęste śpiewa tu powietrze
za szybka lotność ciał

spod nóg
ucieka świat i słońce
za ciężki oddech tłumi kres

horyzont
meta w horyzoncie
i wyśpiewany ciałem bieg

i zda się
jeszcze pędzą drzewa
i jeszcze
w oczach
wiatru cwał –
i zadyszany pęd powietrza
w melodii ciał

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 34.

Skok o tycze

Załopotał w biegu
jak śmigłem samolot –

wzniósł się w górę łukiem –
wielkim gniazd półkolem

stanął na chwilę w niebie
zamarł w sercu –

i – z przymglonym wzrokiem
nie oddychał więcej

z szumem zleciał na piach
poranny jak słońce
skrzydlejący
szary ptak –

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 35.

Rzepakowe sny

Zażłoczony sierpniem rzepak
Smuga woni. Żółty dym
Bławat pieśni. Śpiewna strzecha.
Ojciec w polu – w polu syn.

Ule kwiatów. Pszczoły miodów.
Czyjeś głosy. Czyjeś łyzy.
Ty i pole. Ty i młodość.
Rzepakowe wonne sny.

Rozśpiewane śpiewne kosy.
Księżycowy letni sierp.
Tęsknot szmery. I odgłosy.
Polnej gruszy polny śpiew.

Popłyniemy łódką szczęścia –
Tam gdzie słońca żółty dym.
Bławat oczu. Śpiewna strzecha.
Wrócił ojciec – wrócił syn.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 36.

Walc z jaśminem

Za jaśminem sad tańczący
w sadzie wicher łka
a za sadem wieczór śpiący
za wieczorem mgła

we mgle pędzi polna droga
zadyszana w pot
a za drogą pól rozłogi
i niebieski strop

popod niebem chmur gałęzie
na gałęzi siadł
senny polny kłósów księżyc
lunatyczny świat

za jaśminem z drugiej strony
oczy mokre krów
za oczyma roztańczony
kłósów polny nów

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 37.

Dwadzieścia wiosen

Dwadzieścia wiosen uśpionych w sercu
wiosen dwadzieścia zakutych w sen
dotychczas było wino i wiersze
łagodny uścisk i ramion lęk.

W paznokciach chabry – w ustach pszenica
słońca kwadryga – w uprząży świat
w żyłach rozkwita pijane życie
czerwcowy księżyc – akwarium gwiazd.

A teraz nagle ni stąd ni zowąd
zaduma zmierzchów i chandra brzóz
i niepoczęte rodzi się słowo
i pędzi świtem polarny wóz.

Mądrość ugorów i pługów wytrwałość
w mózgu zaświta klonowa myśl
dwadzieścia wiosen zakutych w białość
za trudno ręką glob życia nieść.

Ogród Poezji, część – Tu i tam, 1938, s. 38.

Polsko

Polsko kłosów, żytnich urodzajów –
Polsko potu spracowanych rąk – –
o siermiężny drogi chłopski kraju
kraju wiosną w woń dymiących łąk.

Polsko chleba czarnego i ciszy
Inów błękitnych, śpiewających drzew –
zda się jeszcze śpiew potężny słyszę –
poszum skrzydeł nadbałtyckich mew.

Kraju mogił bratnich i kurhanów
gór Karpackich rozmodlonych w pieśń
Tatr śnieżystych jak czyste kochanie
wianków, w które oczy można wpleść.

Twa historio, Polsko, – tętęt koni
szum proporców, zapach drogiej krwi –
miecz zwycięski w chrobrej polskiej dłoni,
wielkie serce, w których męstwo tkwi.

Polsko kłosów, pszennych urodzajów
Polsko potu spracowanych rąk – –
mój siermiężny rozśpiewany kraju
kraju wiosną w woń dymiących łąk.

Ogród Poezji, część – Wiersze o Polsce, 1938, s. 41.

Piłsudski

Młot żelazny w ręku

Ogromniasty

Maciejówka szara.

Zwykły płaszcz

Serce mieć stalowe.

Brwi sumiaste

W ustach legionowy marsz.

Wykuć naród wielki.

Z duszą młodą

Z Wisły nurtem we krwi.

Z burzą śnień

Chłopskie serce co biją dla swobody

Naród w cudu zapatrzony dzień.

Duszą być Ojczyzny. Wykuć dla niej.

Najpiękniejszy pomnik –

własną myśl

Matce jest najśodsze synowskie kochanie.

Matko syn twój wciąż o tobie śnił.

Wreszcie spocząć. Raz na zawsze. Wiosną

Dar najświętszy ziemio święta przyjm.

Wawel–szumem wieków; wonią Rossa –

o wielkości można dalej śnić

Młot żelazny w ręku –

Ogromniasty

Maciejówka szara –

Zwykły płaszcz

Serce wciąż stalowe –

Brwi sumiaste

W ustach

legionowy święty marsz.

Ogród Poezji, część – Wiersze o Polsce, 1938, s. 42.

Oleandry

Generałowi Tadeuszowi Kasprzyckiemu
ministrowi spraw wojskowych ku czci
wymarszu Pierwszej Kadrowej w sierpniu 1914 roku.

Rok czternasty. Wiosenny. Serce gra dyszkantem.
Świt niesiemy na rękach. W oczach sierpień dymi
Tam rozkwitłe nadzieją wstają Oleandry:
Alarm kroków żołnierskich i śpiew karabinów.

Wstała młoda. Ruszyła ogniem i młodością
pierwsza szara kadrowa w wysiłku nadludzkim
z hymnem w piersiach stalowym i w duszy z Piłsudskim
poszła pierwsza kadrowa – jutrzienka wolności.

Oleandry kochane. Strzelcy z głodem w oczach.
Garść szaleńców zwycięskich, z których wielkość pryska
Pierwsza kompania. Poszum. Bacność. Spocznij!
Serce z stali granitu – Tadeusz Kasprzycki.

Generale i Wodzu prowadź strzelców w bitwę.
Idziemy – bór szumiący i orły w obłokach –
garstka nasza nieliczna, lecz groźne są kroki
niesiemy w mózgu Polskę i zwycięstwo szczytne.

Kwitną Kielce zdobyte. Bagnet najeżony.
Mozole rąk są święte i wielka jest miłość
Myśmy pierwsi zaborów linie przekroczyli
W ustach kwitnie nam piosnka i ręce nam płoną.

Rok czternasty. Wiosenny. Grają amaranty.
Świt niesiemy na rękach. W sercu Polski imię.
Alarm kroków żołnierskich i śpiew karabinów,
Hen w oddali wolności wstają Oleandry...
Polska nie zginie!!!

Ogród Poezji, część – Wiersze o Polsce, 1938, s. 43.

Żniwa

w grudzie ziemi, w czarnej grudzie ziemi
szloch Chrystusa, chłopski pot i łzy
grudę ziemi orał wieków lemiesz
rzucał naród żytnich ziaren sny

i zakwitły łany chabrów pieśni:
– rozśpiewany Chopin w kłosów grę –
i pytało zachwycone dziecię
co to serce i młodości sen

w szumie kroków i z troską na czole
rozmodleni w gwiazd prastarych chór
w hymnie kroków szli żeńcy pokoleń
Piaśt siermiężny i Jagiełło król

żęli kłosy pracy rąk stwardniałych
budowali stodół rozłożysty dach,
później zwieźli ten urodzaj cały,
i ukryli deszczom w spichrzu gwiazd

w grudzie ziemi, w czarnej grudzie ziemi
szloch Chrystusa, chłopski pot i łzy
grudę ziemi orał wieków lemiesz
rzucał naród żytnich ziaren sny

Ogród Poezji, część – Wiersze o Polsce, 1938, s. 44.

Do poety

Zaczniesz pisać poeto węglem na papierze
i wyśpiewasz mozole na mych świętych rękach –
nie poezji nam trzeba, nie wina poezji
my chcemy słyszeć zgrzyty stalowych obcęgów.

Złote słówka i srebrne sprzedaj – drogo płacą –
nazywaj wszystko prosto – jak w życiu nazywasz,
niech usłyszę w twych wierszach rozhukanie pracy
i po żyłach porównań zakrąży krew żywa.

Ożywią się tve wiersze turkotem fabrycznym,
strzelającym motorem, który krwią wybucha,
można będzie się w browar jak w piosnkę zasłuchać
i wchłonać w strofy fabryk nieziemski mistycyzm.

Zaczniesz pisać, poeto, krwią na serce ludu
deklamując maszyn i ciała ich piękne –
urzekniesz swą poezją skołysanych trudem,
zdążających przez życie po czynów zwycięstwo.

Ogród Poezji, część – Przy pracy, 1938, s. 47.

Siejba

Stwardniałą chłopską ręką rzucam złote ziarno.
Ugorem w pas się kłaniam. Czarnoziemom czarnym.
I do ziemi się modlę powietrza i nieba.
By łan mój złotym kiedyś rozśpiewnił się chlebem.

Cisza moja kamienna – ugorowa cisza
Skowroneczna pogoda w żarkim chłopskim sercu
I zda się przyszył pólzszept żytnich kłosów słyszę
I więcej jestem młody, silny jestem więcej.

Radość serce me kraje. Sierpy jak księżyce
Wzejdą nad moją ziemią pieśniami i zlotem
Wyrosną bujne snopy. A tam w dole niżej
Legnie owies wąsaty miedzianym pokotem.

Niechno praca się skończy ze słońcem pospołu
I żółwi cichy spokój hen spłynie na drogi
Ziemia bratać się pocznie ziarnem w rozmowie –
I stworzy owoc święty chleb wonnością błogi.

Ogród Poezji, część – Przy pracy, 1938, s. 48.

Chleb

Z ziarnem biała poezja wymielonej mąki.
Zakasane po łokcie owłosionych rąk.
Piec wschodzący o świcie zarzewiem i ogniem.
Razowe kwaśne chleby jak księżycy lśnią

Potem czar wypiekania. Wyczekiwać kroki.
Wonny ranek w piekarni i słońce jak chleb.

Z ziaren biała poezja pyłowanej mąki
Lipcowy dzień jak klient podąża pod sklep.

Ogród Poezji, część – Przy pracy, 1938, s. 49.

Jan na browarze

Chodził Jan co dzień i stawał się terkotem
zapalał się w piecach i przez kominy biegł
i na niebieskim stropie układał się pokotem
powracał – pasami ciekł

i kłębił się w rezerwuarach
jak w głębiach szumiącej smoły
rozdrabniał się na części
burzył parę
alkoholał

uciekał czasami przez okno
odurzał
czekający w bramach świat
i wszystkie długo trząśł piętra
i nagle bladł

był ciepły cztery śpiewne pory roku
od 30° do 100°C włącznie
a potem siadał ciepłem na okna
przez sufit w górę pnął się

Aż wreszcie strugą złotą lał się
w butle z szkła grubego
korkowiał
etykieciował
i w równiuteńkie stawał trzy szeregi

a gdy powracał zmierzchem spracowany
zaklinał w cisze wszystko jak czarodziej
z hymnem na ustach
browarowym Janem
z głodem powietrza
najdotkiwszym głodem

Ogród Poezji, część – Przy pracy, 1938, s. 50.

Hymn murarzy

Zbudujemy miasto z cegieł – miasto trzypiętrowe
nad dachami zawiesimy ogród z gwiazd
otoczmy murem rąk stalowych
zbudujemy nowe miasto miast

Wymurujemy ściany – mocne jak cierpliwość
dookoła domów zasadzimy śpiew
w domach zawiesimy słońca wielką miłość
i nauczymy ludzi trzymać pracy sierp

Muruj chłopie ściany – mocne muruj ściany
tak jak to potrafisz trzymać w garści pług
wszak buduję miasto nowe i nieznanne
miasto z żółtych cegieł i żelazny bruk

Zbudujemy z cegieł – lotne trzypiętrowe
Nad dachami zawiesimy ogród z gwiazd
Otoczymy murem rąk stalowych
Zbudujemy nowe miasto miast

Ogród Poezji, część – Przy pracy, 1938, s. 52.

Hymn leśny

Uczcijmy kulę światła w gałęziach porannych
uczcijmy miód wonności i bezdenność ocz
wtulony w syk parowozu przeszedł świat dawny
i pozostał na dłoni miasteczkowy kurz

Buntem kroków podążamy w sanktuarium ciszy
w trawy nektar smolisty, fiołkowy gmach
wyciąjmy pnie jodeł i omszały piach

Szczury piwnic ulicznych chłońmy słońca opar
świergot dębów i wino poziomkowych haszcz
niech pochwalona nieziemska tęsknota
do leśnych ścieżek i żmijowych paszcz

Sławmy serca przecucia, czarny chleb wioskowy
leśne źródło co bije spod serca jak krew
ukochajmy drzew zamęt, pośpiech wiewiórkowy
i rozczochaniem lepki południowy śpiew

Boso idźmy przez nawóz zeszłorocznych liści
cóż że serce w alarmie i w oczach drży śmiech
niech będzie tak jak było: nie tam lilij ciszy
skradajmy się wstrzymując rozhukany dech

Wyłoni się nad wieczór zapomniany dawny
zdmuchnięty niegdyś miasteczkowy kurz
Uczcijmy kulę światła w gałęziach porannych
Uczcijmy miód wonności i bezdenność ocz.

Ogród Poezji, część – Brzemie i śpiew, 1938, s. 55.

Rokosz

Komu była potrzebna wielkość Twa i siła
kto wywołał Twe imię w sprawach zaprzątnięte
do Twej łaski jak złodziej skradam się co chwila
i co chwila bezczeszczę imię Tve święte

niechbyś istniał beze mnie – burzy blask stalowy
nieskończony dla siebie zawisłości schemat
nie rozpałałbyś ogniem zapytań mej głowy
i nie snułbyś się w sercu w trwożliwy poemat

po co wykrył, że jesteś mądrość i milczenie
tyle ciebie jest wokół, że dławię się tobą,
litością swą zatruwasz i łaską spopielasz
niechbyś umarł, nie wiedząc co to jest Twa dobroć

przed obliczem Twym staję mądrym i brodatym
pełen mgieł niebotycznych i z wiedzy trucizną
na mnie patrzysz z ikony, jak z głuchych zaświatów
wieczorny, niewzruszony, milczący i gwiezdny

czyż była ci potrzebna ma gorzka modlitwa
moje głuche szczekanie i lament wśród ciszy
jak ulicznik o łaskę staczam z Tobą bitwę
i wylewam w Tve oczy swój kielich gorczy

jak cień za tobą sunę – ja – judasza miłość –
powtarzam twoje imię pijany obłudem
komu była potrzebna wielkość Twa i siła
kto wywołał Tve imię w sprawach zaprzątnięte

Ogród Poezji, część – Brzemie i śpiew, 1938, s. 56.

Spotkanie

Od socjologii, dyplomacji
polityk, zebrań zrzeszeń, mas
od krzyków, targów, kontemplacji
przebiegłeś sapiąc witać nas.

Pamiętasz: chłopcy, szkoła, książka.
Benzyny zapach. Marzeń dym.
Trwożliwe ręce. Wiosen wiązka.
I roześmiany w oczach Krym.

Dziecinne słowa. Płonne wiersze.
Kamienność ulic startych w kurz.
Miłosne gody. Usta pierwsze.
I całowane głowy róż.

To wszystko przeszło. Dawne kwiaty.
I starych książek cichy płacz.
My teraz znamy nowe światy
I nowe bruzdy piszą twarz.

Posmak młodości w czas wtulony
Benzyny zgiełk i duszny trzask
Od krzyków targów i arbonów
przebiegłeś
sapiąc witać nas.

Ogród Poezji, część – Brzemie i śpiew, 1938, s. 58.

Jarzębina

Jarzębina rdzą na murze
W dole tętent bruków i szuranie nóg.
Umęczony pośpiech w kurzu
przestępuje jak robotnik próg.

Gwiazd nade mną ciżba a pode mną
rozszczekane miasto i kamienic sznur
dymi w górze półsnem niebo
idę – płynę ulic rojnych szcur.

Zamyślona i sprzedajną płynę
z ułudnością ciała, kłamem warg
ordynarna, kłamliwa dziewczyna
w noc z oczyma idąca na targ.

Śpiewna w miłość – wszystkim oddana
krwią kaszłąca na dymiący bruk
rozszczebiotana
modlitwą nóg.

Szukam – chwytam czegoś w gwiezdnej górze
tchnę pożarem złudnych warg
niosę swoje oczy w miejskim kurzu
na codzienny targ.

Ogród Poezji, część – Brzemie i śpiew, 1938, s. 59.

Sen spraw

W mury mnie zakuto
Zepchnięty pogrzebem
odśpiewany, odeszły w co dzień ziemskich spraw
oszczekano mnie śmiechem i łańcusznym śpiewem
i przytoczono głazem
dopływ gwiazd.

Wiję się lunatyk
Z ust wykwita księżyc
Pełen dusznych przywidzeń i cielesnych snów
oplątany sprawami, muzyką i pieśnią
zagubiony w zaułkach płynę
blady nów.

Bóg szuka mnie wszędzie
ściga mnie zmarłego
odeszłego od nieziemskich trwóg
w usta wpycha wieczność – ulicznika w biegu
chcę pochwycić
dobry gwiezdny Bóg.

Wola pustki ciszą. Psalmami i śpiewem
chce mnie zwabić dla nieziemskich spraw
chce oplątać aniołowy szczebiot
mnie co gryzie
rozgorzały piach.

Wsiąknę w mury ulic.
Umknę – zniknę Bogu
odśpiewany odeszły w codzien ziemskich spraw
w oszczekaniu mi dobrze i ciała wygodnie
w przytłoczeniu
bez dopływu gwiazd.

Ogród Poezji, część – Brzemie i śpiew, 1938, s. 60.

Portrety

poemat

milczcie o milczcie zbędne są tu słowa
i niepotrzebne są wasze lamenty
ja oto – Prometeusz święty
wykradłem dla was ogień księżycowy

wy –
w cylindrach i lśniących smokingach
zakuci w kołnier, pośpiech i czeki
pocący się na dancingach
przeżuwający w żarnach ust
wieki

ja –
dawny a nowy
nadsferyczny
wysokocyfrowy
do was mówię

ja –
co opatrzam dzieła swe w inicjał
którego nie zna byle policjant
mądrość soczysta
wielkość przejrzysta
którego nie zna wieków cyfra
po dziś dzień

o –
co słuchacie uszami anten
krzyczycie megafonami
telefonami
tysięczne zbirów bandy

wyszczekajcie hymn poecie
wy –
co toniecie
w złotych, dolarach
intrygach, gwarach

wy –
wielki mityczny las
i rotekcyj, żelaznych kas
rozważań, starań i łask

wy –
wielkość, przestrzeń i podstęp
coście wszczepili ręce kościste
we mnie po łokcie

milczcie o milczcie –
tu zbyteczne słowa
i niepotrzebne są wasze lamentsy
ja oto –
Prometeusz święty
– niosę dla was
ogień księżycowy

Ogród Poezji, część – Brzemię i śpiew, 1938, s. 62.

Dwudziesty

Szara maszyn poezjo wijąca się w trybunach
poezjo ciężkich zgrzytów i żmij rozognionych
silne serce warsztatów i stalowy marsz
zakuty w pośpiech huczy elektrycznych koni

Dwudziesty z duszą radia tlen – ultrafiolet
liczba i astronomia – roentgen – rad – ateizm
wszak nowe są to słowa – tajemnicze słowa
które rosną i trują – fosgen i iperyt

Mózg żelazny twych myśli – krwawy arytometr
dym benzyny upija ciebie jak alkohol
w paragraf świat zakuty, w potoki neonów
o przylepiony do chmur maleńki samolot

Ty co dzieci uczysz mowy śpiewnych armat
I do snu kołysanki nucisz lokomotyw
wpajasz miłość ołowiu i wstręt do zabawek
i bajko opowiadasz wieczorem o prochu

Rasizm – mocarny narów i supermodernizm
o który prochem bezdymnym i silnym robotem
z sercem pary co tłoczy – zakochanym sercem
w dym benzyny zakuty rozbawiony motor

W pośpiech, parę energię to co wichrem gonisz
silne serce warsztatów i stalowy wymarsz
poezjo ciężkich zgrzytów i żmij rozognionych
szara maszyn poezjo wijąca się w trybach

Ogród Poezji, część – Brzemię i śpiew, 1938, s. 64.

Troskliwy impresario

Ktoś rzekł, że jestem muz wybrańcem,
romantyk supermodernista,
że nocą z wierszem w zębach tańczę,
no i że niby „pejzażysta”.

Ktoś błagał „naszą ekscentryczność”,
byśmy pisali z treścią, z sercem,
byśmy w twórczości dbali o więcej
o myśl a zwłaszcza o logiczność.

Ktoś przyznał się, iż jest życzliwy
i całkiem w mój nie wątpi talent,
niestety brak mu pewnych zalet,
i żem na ogół jest szczęśliwy.

Więc w tym wierszyku satyrycznym
chęć wytłumaczyć jedno swemu
przewodnikowi troskliwemu
czemu poucza dawny zwyczaj.

Że kto chce racji mieć swej siłę
i o talenty się zatroszczyć,
niech ma odwagę spojrzeć w oczy
uczciwie
i „po logicznemu”.

Ogród Poezji, część – Brzemie i śpiew, 1938, s. 66.

Do nowego poety

Zaczniesz pisać, poeto węglem na papierze,
nie tęczami uroków różowić się poczniesz,
nie rymami grać – śpiewać, ni rytmem swym mierzyć
pulsu, co już inaczej w skroni twej zatłoczy.

Nie będziesz potrzebował słów srebrnych, ni złotych,
nazwiesz to tem co z ziemi kolorem się zgrywa,
i wmiesza się w twe wiersze jędrny zapach potu,
i po żyłach porównań zakrąży krew żywa.

Ożywią się twe strofy turkotem fabrycznym,
Strzelającym motorem, który krwią wybucha,
I browarem zapachną twe kraje mistyczne,
Ty się w syk telegrafu z pewnością zasłuchasz.

„Echa”, 1936, marzec, s. 8.

Staw nocą

Rozrehotał się ciemny staw i rozszuwarzył
I głębia, zaszła nocą, lilijami i łodzią.
Jak czółno pluska księżyc uroczo i marzy.
I światłość kadzidlana rozcieńcza się w wodzie.

Tam cmentarz. W głębi wioska strzeszono rozkwita.
Po mojej twarzy przeszła bojaźń lodowata.
Wilgotnym wąsem kłosów pokąpało żyto.
Opuscim prędko staw ten, jak spóźnione lato.

Chcesz bym coś mówił? – mówię już za dużo
I ty już tyle rzekłaś, choć ust nie rozwarłaś.
W powodzi wiśni jutro się słodko zanurzym.
Twe palce będą sine, czerwone zaś wargi.

Już lipiec prędko mnie wiśniami wspomnienia.
Sierpniowo się rozzębia sierpy i miłośnie.
I skwarne dni popłyną, jak wosk od niechcenia.
I żyto się pochyli w złotawej śpiewności.

I wiem, że mi się przyśnisz liliją w staw wzrośniętą.
Rozkrążysz wodę – sierpem; zadymisz woniami.
Przepłynę ponad stawem i łodzią się schylę –
I będziem tu we dwoje – ja i lilija – sami...

„Echa”, 1936, marzec, s. 8.

Prośba

Opowiedz mi coś!
Jestem taki znudzony
Zamknięty w kręgu codziennych spraw.
Chciałbym posłyszeć coś o tem,
Co się dzieje w krainie niedosiężnych gwiazd.
Gdzie nie ma szarych zarysów
Monotonnych dróg.

Gdzie nie trzeba nazywać słów,
By przekonać w prawdzie:
Co tkwi w duszy każdego
Rozrzucona w nieładzie
Skłębionych myśli,
Gdzie bez trudu wytryśnie
Z roztęsknionej do czynu duszy
Wszystko co jest w nas boskiego:
Odrobina geniuszu!

„Echa”, 1936, kwiecień, s. 6.

Myśli na czasie

Dzisiejsza kobieta, dążąc do wpływu na całokształt rzeczy świata, zapomina o swej kobiecości.

Nic nie jest tak piękne, aby mogło uchodzić za najpiękniejsze.

Miłość bliźniego ograniczyła się w dzisiejszych czasach do miłości samego siebie.

Dzisiejszego człowieka charakteryzuje skłonność do miłości i handlu.

Ten tylko twórca zdobędzie nieśmiertelność, który naprawdę poczuje się śmiertelnym.

Skromnym może być tylko ten, kto przeszedł przez pychę. Pycha – to wstęp do skromności.

Kredyt jest darem wyższym – jednym się udziela, drugim natomiast nie.

„Echa”, 1936, marzec, s. 7.

ZOFIA WIERZBICKA (1918–2007)



Urodziła się w Łopatynie, zmarła w Iłowej. W Łopatynie ukończyła polską szkołę podstawową. Naukę kontynuowała w polskich szkołach w Kijowie i Leningradzie, gdzie skończyła polskie liceum pedagogiczne.

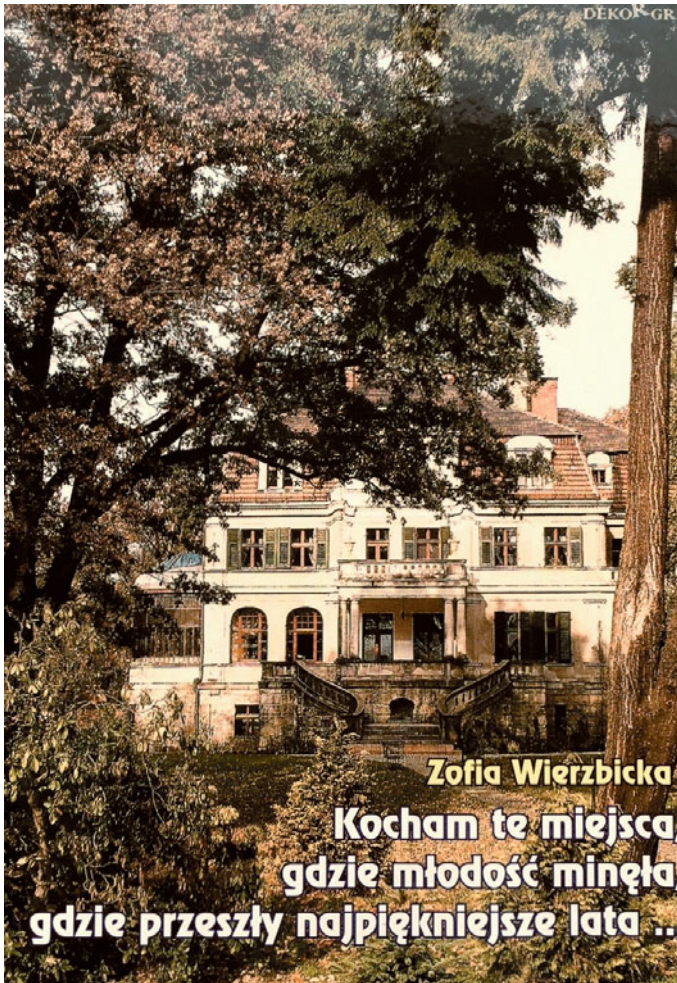
Całe jej życie było związane ze szkolnictwem. Pracowała jako nauczycielka, początkowo w polskich szkołach w województwie winnickim, a w latach wojny w Równem na Wołyniu.

W 1946 roku zamieszkała z rodziną w miejscowości Iłowa w powiecie żagańskim. Od roku szkolnego 1946/1947 pracowała w szkole podstawowej w Iłowej, uczestnicząc między innymi w likwidacji analfabetyzmu szkolnych dzieci. Po kilku latach pracy została kierownikiem tej szkoły. W roku 1950 powstała w Iłowej Szkoła Średnia – Państwowe Technikum Ogrodnicze, gdzie początkowo pracowała jako nauczycielka. W roku szkolnym 1953/54 przekazała kierowanie szkołą podstawową i przeszła na stałe do pracy z młodzieżą szkoły średniej w Technikum Ogrodniczym. W tej szkole średniej powstawały szkoły rodzime, jak Żeńska Szkoła Gospodarstwa Domowego, w której pełniła funkcję kierownika.

Praca pedagogiczna z młodzieżą była dla niej powołaniem. Po przepracowaniu ponad 40 lat w szkolnictwie w Iłowej przeszła na emeryturę. W swoim dorobku posiada wiele odznaczeń państwowych.

Zofia Wierzbicka ze swoimi wierszami obecna jest w IV, V i VI kolumnie poetyckiej Grupy Literackiej „Wołyń” (opublikowane w „Życiu Katolickim” w 1936 i 1937 roku). Po II wojnie światowej jej wiersze ukazały się w czasopiśmie „Nad Odrą” oraz w lokalnych wydawnictwach. W 1992 roku opublikowała w Iłowej tomik *Fala utwory wybrane*, zawierający wiersze: *Las Jesieni*, *Fala*, *Przemijanie*, *Wspomnienia*, *Czas*, *Powitanie Matki Bożej Jasnogórskiej*. W 2004 roku jej poezje ukazały się w zbiorze zatytułowanym *Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata....*

Ponadto wiersze Zofii Wierzbickiej znalazły się w Antologii Środowisk Twórczych Ziemi Żagańskiej *Dlaczego Maj*, opublikowanej w 2017 roku (Szajdak 2021).



Okładka tomiku wierszy Zofii Wierzbickiej *Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata ...* (Fot. Lech W. Szajdak)

* * *

Chciałam pisać wiersz –
tak jakoś potężnie:
gdzieby były wichry i granitowe turnie
i wielkie ideały –
walka tytanów – na śmierć – aż świat runie.
I chcę pisać wiersz
prosto, codziennie,
gdzie słowa będą płynąc ukraińsko, przeciągle,
przejdą się ciszą
wzdłuż i wszerek polami, wolniej,
i odejdą szarym, szumiącym Horyniem.
Chcę się wsią dziś upoić i słońcem zachłysnąć.
A gdy wrócę do miejskich czworoboków ulic,
to słońce na rogach szarych kamieniem zawiśnie
i zblednie
Lecz w sercu pozostanie czar dawnych południ,
a w oczach lazur nieba i upalne lato.
I przyśnią mi się czasem w drżące zimnem grudnie
starością
pochylone nad drogami chaty.

*„Życie Katolickie”, 1936, 27 września, nr 39, s. 612,
IV kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Fragment

Staw. Wieczór układa na wodzie złote promienie,
trzciny usypia wiatr.

Cisza – płachta strudzona opada na ziemię.

Brzęczą u brzegu komary.

Wodą gwiazdy srebrne wędrowały wpław,
niebo odbite bez dna.

A księżyc – cichy współnik białego krzyku mew
zagubił się gdzieś w tataraku.

*„Życie Katolickie”, 1936, 13 grudnia, nr 50, s. 791,
V kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Ikony

Malowane świętych twarze
Patrzą na mnie z wysokości ikon.
Żółte i czerwone kwiaty
(takie oczy mają dziwne, papierowe...)
Rozmodliły się barwy
bogate – –
Przyjdą ludzie zmęczeni pracą
i zasiądą przy misce z jadem,
lecz nim wezmą do rąk bochen czarny,
to po trzykroć znak krzyża naznaczą.

*„Życie Katolickie”, 1936, 13 grudnia, nr 50, s. 792,
V kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Szumem liście opadły

Szumem liście opadły, wrzesień nadszedł znów.
Taki sam jak był wtedy, jednak jakiś nowy.
Wspomnienia rosną we mnie w wrześniowe wieczory,
te dawne – nie pamiętam – z przed roku, czy dwóch...
Słońce wtedy zawisło na gałęziach drzew
i huśtało swe chłodne odbicie na piasku,
wolno po naszych dłoniach ślizgało się blaskiem,
zakradł się spod krzewów chytrze rudy zmierzch.
Tyle przeszło wieczorów, tyle było zmierzchów;
trzeptały za oknem dnie jak blade ptaki...
Tej jeden zmierz pamiętam: zakwitł dla nas makiem,
a po nim nastąpiły ranki coraz bledsze.
Szumem liście opadły, wrzesień nadszedł znów;
przypomniały się dawno gdzieś czytane wiersze – –
Chciałam ciebie zapytać: czy jeszcze pamiętasz
te wieczory wrześniowe z przed roku, czy dwóch?...

*„Życie Katolickie”, 1937, 11 października, nr 37, s. 576,
VI kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”*

Wspomnienie

Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła,
Gdzie przeszły najpiękniejsze lata....,
To wszystko tak szybko jak ptak wyfrunęło
Jedynie pamięć wspomnienia przeplata.

Człowiek był młody, zeń życie tryskało
Miał tyle chęci i zapału do pracy.
A dzisiaj tak mało zdrowia pozostało
Tyle serce na te wspomnienia głośniej zakołacze.

Tak korci nieraz przemierzyć te drogi,
Gdzie tyle lat się chodziło.
Usiąść w gabinecie na te wspomnienia bez trwogi –
Ileż młodzieży tutaj się uczyło...

Ten , kto jest młody, tego nie rozumie
Dopóki sam nie przeżyje.
Nikt jednak przed tym nie umknie,
Życie przed nim te karty odkryje.

A, że tak będzie to prawie jasne.
Fortuna kołem się toczy.
Jednym łza wyschnie i życie zgaśnie,
Innym dopiero otworzą się oczy.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
2004, s. 7.*

Łowa

Punkcikiem na mapie jest małe miasteczko
Po odzyskaniu Łową nazwane.
Była tu gmina, szkoła, probostwo
I dwie restauracje „udane”.

Ludzie szczęśliwe mieli tu twarze,
Gdyż każdy przeżył tak wiele.
Przyjaźń z miłością chodziła w parze
I widać to było w kościele.

Ksiądz Jan, nasz proboszcz,
Bardzo lubiany wiernie parafii służył
On nie odróżniał „większych” od „małych”
I dzień się mu nie dłużył.

Księdza to lubił i stary, i młody,
Ksiądz Jan znalazł dobrze parafię.
Jeśli kłopoty kogoś spotkały,
Pomóc każdemu potrafił.

Może, dlatego był taki dobry,
Bo sam miał też mało – niewiele.
Jedynie w pracę był bardzo zasobny,
Gdyż był sam jeden w kościele.

Miał damski rower – majątek nie lada,
Który też dostał z przydziału
Gdyby nie rower, ksiądz nasz powiadał
Kłopotów miałby niemało.

Parafia wówczas była dość duża
Łowa, Konin, Borowe, Ruszów.
Jazda rowerem dość uciążliwa,
Lecz ksiądz na czas tam być musiał.

Najbardziej proboszcz nie lubił dewotek,
Które za święte się miały.
A ich świętością stwarzanie plotek,
Niektórzy nawet chętnie słuchali.

Nasz ksiądz miał jednak inne zasady,
Sam są o ludziach wydawał
Nie lubił plotek ani żadnej zwady
I atmosferę przyjaźni wśród wiernych stwarzał.

To było dawno, lata minęły,
Zostały w pamięci wspomnienia.
A z imieniem księdza łączy się przyjaźń
Taka prosta, ludzka, bez żadnego cienia.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Ojczyzna, 2004, s. 10-11.*

Praca

Pracę podjęłam w siedmioklasowej szkole powszechnej
Pod kierownictwem osoby, która przybyła tu wcześniej.
Miała za sobą już dziesięć lat pracy nauczycielskiej.
Weszłam w wir życia i nowych stosunków.

Pomogły mi w tym dobre koleżanki:
Roma, Wanda, Kazia, a także dwie Janki.
Wśród grona kolegów też nie brakowało życzliwych:
Kazik, Zenek, Heniek, a także ksiądz Jan Uwić.

Na ogół rzecz biorąc było bardzo fajnie
Może, dlatego że grono było zgrane.
Umieliśmy się cieszyć po prostu ze wszystkiego
I z tego, że żyjemy, i z miłości do bliźniego.

Nikt się nie liczył ani z czasem, ani z wysiłkiem.
Nieraz pracowaliśmy dzień cały, nie godzin kilka.
Gdyby nas spytano, za ile płacono, a ile społecznie?
Odpowiedź na to była trudna bezsprzecznie.

Nie było rozgraniczenia pracy i godzin.
I każdy z nauczycieli na to się godził.
Kraj potrzebował naszej pomocy,
Więc robiliśmy wszystko, co było w naszej mocy.

I analfabetyzm należało zlikwidować,
I pomoce naukowe, potrzebne do lekcji, przygotować.
Należało również w wyborach aktywnie uczestniczyć,
Dyżury pełnić, agitację prowadzić, głosy pomóc liczyć.

To wszystko leżało w zakresie pracy nauczyciela,
A płacono nam wówczas bardzo niewiele.
Każdy pracował, ile mógł, nie narzekał.
Miał wizję przyszłości, na lepsze czasy czekał.

Hasłem przewodnim OJCZYŻNA W POTRZEBIE
Taka była odezwa nauczycielu do Ciebie.
Patriotyczne to było wezwanie,
Temat do lekcji i do wychowania:

„Ucz, wychowuj, odgruzowuj,
sadz las, zbieraj ziemniaki i siano.
W przyszłości będzie co to policzono i uznano!
Twoja ofiarność nie pójdzie w zapomnienie
I w Twoim życiu wszystko się zmieni!”

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Ojczyzna, 2004, s. 11-12.*

Do Ojczyzny

Jechaliśmy długo zziębnięci, chorzy, sterani gehenną wojny
Jednak cieszyliśmy się bardzo, że kraj nasz jest wolny.
Chociaż wagony były, nieogrzone, towarowe
To jednak innymi sprawami zaprzątnięte były nasze głowy.

Jaki ten zachód? Gdzie się zatrzymamy?
Dokąd nas wiozą? Jaką nadzieję na tę przyszłość mamy?
Nie wymagaliśmy w tym czasie zbyt wiele od życia,
Być może na to wpłynęły ciężkie nasze przeżycia.

Jedni wracali z ruin i zgliszcz, którym grabieżca nie zostawił nic
Inni zakosztowali „dobrodziejstw” Sybiru
I jedni i drudzy ledwo z życiem uszli z tego wiru.
Podróż ta była bardzo męcząca i długa.

Jednych prowadziła do miasta, do urzędu, innych na wieś, do pługa
Dla wszystkich jednak był strach i zagadka,
Ponieważ o ziemiach tych krążyła różna gadka:
Że Niemcy wnet wrócą, że bandy grasują,

Że repatrianci wnet to wszystko odczują.
Te właśnie opinie i inne pogłoski
Nie mogły pozbawić nas nowej troski.
I oto już stacja, zatrzymał się transport.

Nas spotkał wójt miasta i inny urzędnik,
Kazano nam wysiąść i czuć się jak w domu.
Ta propozycja jednak nie uśmiechała się nikomu.
Było tu jakoś dziko, lasy dookoła.

A atmosfera taka obca, niezdrowa.
Chcieliśmy jechać dalej do większego miasta,
Lecz nie chciano nas słuchać, kazano wysiadać i basta!
Siedzieliśmy w tym wagonie jeszcze przez kilka dni,

Lecz urzędnicy byli już na nas źli.
Brak prowiantu zmuszał do tego,
By wysiąść z wagonu i poszukać kąta ciepłego.
Człowiek w tych czasach był słaby i zastraszoney,

Gdyż ledwo się wyzwolił spod pręgierza,
Cieszył się, że kula nie gwizdże nad głową,
Cieszył się, że żyje, że już koniec wojny.
Pragnął tylko spokoju i kawałka chleba.

By biednym dzieciom zapewnić, co do życia im trzeba.
A więc udaliśmy się do PURU do Żagania,
Gdzie prowiant dla repatriantów był do odebrania.
Dostaliśmy chleb, tłuszcz, trochę mąki i kaszy.

No i odzież, a także buty dla dzieci naszych.
Tak się zaczęło nasze osiedlenie,
Miejscowości do wyboru tu nie było wiele.
Wybraliśmy Halbau, gdyż tu była szkoła,
A dla nauczycieli wiadomość to dość wesoła!

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Ojczyzna, 2004, s. 12-13.*

* * *

Łąka zielono, ziemio ojczysta
Jakaś ty piękna, pachnąca i czysta.
Są takie łąki i w innym kraju
Nasze najbardziej pachną nam w maju.

Życ należy nie tylko chlebem
Bliskości serca dostrzegać trzeba.

Kim jest ta Ziemia? Mą Ojczyzną.
Czym zdobyta? Krwią i blizną...

Co roku obchodzimy dzień pamięci poległych
To jest święto i w naszym mieście
Zadbajmy w przeddzień o groby żołnierzy
Na naszym cmentarzu też sporo ich leży...

Szedł z bronią w rękę, walczył i czekał
Lech stało się jak w wierszu –
Jaś nie doczekał....

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Wiosna Lato Jesień, 2004, s. 16.*

Wiosna

Minęły już mrozy, miną też i chłody
Wnet wiosna zapuka do naszej zagrody
W tej naszej zagrodzie jest pracy niemało
Robimy porządki wraz tatą i mamą.

Lubimy słońeczko i nim się cieszymy,
Dlatego podwórko uprzątać spieszymy.
By wiosna zastała porządek i ład.
Mama się ucieszy i tata będzie rad.

Rodzicom pomagać – to nasze zadanie
Tak mówi mamusia, tak też mówi Pani.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Wiosna Lato Jesień, 2004, s. 16.*

Jarzębina

Patrzę na ciebie piękna jarzębino
I serce mi drży z radości.
Jesteś w czerwieni i taka inna,
Mimo że burza i deszcz ciebie chłoszcze.

Stoisz przy samym dachu stodoły
I jakby wszystkim nieszczęściom na złość
Rośniesz i krzepniesz, jakbyś
Nie miała wszystkiego już dość.

Taka pogodna, spokojna szczęśliwa
Jedynie krople rosy zakłócają twój spokój.
Każdy przechodzień zatrzymuje się, aby cię podziwiać.
A może po to, aby uciszyć swej duszy niepokój.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Wiosna Lato Jesień, 2004, s. 17.*

Jesień

Jesień jest piękna i zarazem smutna
Chociaż bogata, bywa też okrutna
Zwłaszcza dla ludzi w podeszłym wieku
Zdaje się mówić – strzeż się mnie człowieku.

I życie ludzkie podobne bywa do jesieni
Jeszcze piękne, ale barwami już się mieni.
Za mało w nim piękna i słonecznych dni
O tym, co było, człowiek tylko śni.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Wiosna Lato Jesień, 2004, s. 17.*

Nasza Jesień

Kochanie. Usiądź przy mnie
Popatrz sobie w oczy
Widzę to jak we śnie,
Ten nasz pierwszy dzień
I Twój wzrok uroczy.
Już nadszedł czas naszej jesieni
Włosy nam już pobielają
I tego już nic nie zmieni.
Cieszymy się, że związek nasz jest trwały.

Jesień też ma swoje uroki,
Jako pora bywa bogata.
My w dojściu do niej ciężkie,
Stawialiśmy kroki
Wojna, głód oraz zdrowia utrata.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Wiosna Lato Jesień, 2004, s. 18.*

* * *

Chcesz wiedzieć jak pachnie lato?
Czym nas czaruje jego piękno?
Obudź się przed świtem i idź
Tam gdzie łąkę ziębi rosa,
Tam gdzie światło niebios bezdennych
Spijają niwy i sady
Skąd ja przenoszę na swej dłoni
Kropelkę żywej wody.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Wiosna Lato Jesień, 2004, s. 18.*

* * *

Widziałem gołębia
Idącego po lodzie
On padł nie myśląc o locie
Złocił się o bezsilnie zziębiał
A to było takie łatwe
On po prostu zapomniał,
Że ma powietrze, niebo
I skrzydła

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Wiosna Lato Jesień, 2004, s. 18.*

Las jesienny

Jak klasa bez kasjera
Dla wszystkich otwarty las.
Słońce zza drzew spoziera
Na opadanie liści nadszedł czas.

Las to letnie piękne chwile,
Z ten okres niebiański, wesoły
Płaci czystą walutą
I służy wiernie człowiekowi.

On nie radząc się nikogo
Sypie liśćmi obficie.
Nie wiedząc wcale o tym,
Że wiosna znów tchnie w niego życie.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Wiosna Lato Jesień, 2004, s. 19.*

Dlaczego?

Dlaczego ptaszek już tak nie śpiewa?
Dlaczego zdrowia wciąż mniej się miewa?
Dlaczego przyjaciół wciąż mniej wśród ludzi?
Dlaczego człowiek z trwogą się budzi?
Dlaczego może, że jest mniej sprawny
I tylko w myślach wciąż niepoprawny,
Że ludzie tylko wówczas miłują
Gdy do swych celów go potrzebują....

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 22.*

Mojej drogiej przyjaciółce, Irenie...

Serce krwią oblane
Dusza rozdarta na pół.
Ogarnięci żałobą od samego rana
Szykować musimy dla Ciebie dół.

Ciężko mi przyjdzie żyć bez Ciebie
Trudno się pogodzić z tym losem złym.
Jak w tym nieszczęściu odnaleźć siebie,
W tak trudnym życiu tym.

Właściwie mało w życiu mieliśmy radości
To życie nasze było, jak u wielu, dość cierniste.
Najpierw dzieci trzeba było wychować, zapewnić im byt.
Musieliśmy ciężko pracować, nie mając z tego prawie nic.

A kiedy zostaliśmy już tylko we dwoje
Kłopoty i obowiązki już zmały
Na zawsze odszedłeś ode mnie
I w samotności mnie zostawiłeś.

A życie wciąż dalej już tylko we dwoje
W nim jest nie mało radości i uśmiechu też
Życie jest piękne, piękne i urocze
Jednak nie brak w nim smutku i łez.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 22.*

* * *

Przyjaźń – to witamina serca
A odpowiednie jej dawkowanie
Pozwoli ci znaleźć człowieka
I ujawni skuteczne i pełne radości działanie

Być wśród ludzi i z nimi obcować
To czasami prawdziwe święto
Bóg nauczał jak postępować
Z tego płynie radość niepojęta.

W życiu każdego są potyczki i uchybienia
Nikt nie jest doskonały
To zawsze można zmienić
Jak się jest człowiekiem prawym.

Bóg dał człowiekowi możliwości
Uszczęśliwianie innych.
Czasami potrzeba jednego radosnego oblicza,
By rozjaśniło się nasze życie.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 23.*

Białe plamy

Białe plamy przez lata ukryte leżały
Ktoś nawet pomyślał – zapomniane.
Chwała Wam, historycy –
– poszukiwacze białych plam!
Ja też te plamy dobrze znam...

Wieczorem rodzina w całości do snu się udała.
A rano, cóż rano?
Płaczą dzieci, płacze też i mama
A tam, gdzie ojciec spał
Została biała plama.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 23.*

Serce

Bądź moim nauczycielem
Naucz kochać bliźniego,
Abym nie szukał go daleko.
On jest tuż obok, a ja tak często tego nie dostrzegam.

Mój bliźni czeka na tę miłość.
Przy odrobinie dobrej woli
Mogę ją dać każdego dnia
I dopomóc odzyskać utraconą nadzieję.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 24.*

Oda do palacza

Oj palaczu ukochany!
Kto zablizni Twoje rany?
W płucach dziury pozatyka,
Żeby było lżej oddychać?

Telewizją? – Też nie działa,
A więc może prośba mała.
Może matka, może brat?
– Dzielny z Ciebie zuch i chwyt.

A może tak szeptu „kostusi”
Już odważysz się posłuchać/\.
Ona szepnie tylko raz.
– Marnie zginie zuch i chwast!

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 24.*

* * *

I co taki człowiek ma z życia?
Tak wiele osób powiada.
Co ma? Ma ponad siły zajęcia
I satysfakcji nie lada.

Tam gdzie się Pan doktor ukaże
Miła atmosfera panuje
Otacza chorego przyjaźnie
I chory już lepiej się czuje...

Pan doktor jest dobrym człowiekiem.
On wie, czego chorzy potrzebują
Oprócz zastrzyku przeciwbólowego
Coś jeszcze prócz kroplówek i leków
Pragną w momencie bólu słowa przychylnego.

Być może jest taki miły, dlatego
Że sam w życiu przeszedł też wiele...
Potrafi zrozumieć człowieka chorego
Gdyż uzdrowienie, niesienie pomocy
Jest Jego najważniejszym celem.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 24-25.*

* * *

Witajcie mili i kochani
Ci, którzy polskiej kulturze jesteście oddani
W swych wierszach nie używacie wielkich słów i frazesów,
Ponieważ nie macie w tym żadnego interesu.

Piszecie dla siebie, z potrzeby ducha
Czasem też dla kogoś, kto zechce was słuchać.
Po raz drugi się spotykamy
I w ten sposób przyjaźń utrwalamy.

Dzisiaj to zasługa Pani Ireny
I Pana Henryka
Dziękujemy im z całej duszy,
Że biesiadę zorganizowali
Chociaż brak funduszy.

Spotkajmy się jeszcze raz
Choć życie niesie różne niespodzianki
I nie jest pewna chwila ani czas
W poezji z życiem stańmy w szranki

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 25.*

* * *

O czymże to myśli stary człowiek
Siedząc w pustce mrocznego parku.
Już nikt nie pamięta, co mu winien
– Chleba, który jadł z jego spracowanych rąk

Nie pamięta już, kto on, kim był,
Nie przypominają sobie krwi,
Jaką oddał za nich,
Gdy trzeba było krwi.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 26.*

Człowiek

O człowieku trzeba mówić
Lub o nim wspominać –
Ale nie wolno milczeć.
– Pamięć o człowieku nie może zagać!
Jeśli on domy buduje,
Stal wytapia lub pisze wiersze...
– Daj mu kwiaty
Uściśnij dłoń
I nic więcej.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 28.*

Razem, a osobno

Idę ulicą
Widzę Ciebie po drugiej stronie
Tak idziemy nieodmiennie
Już od dawna, jak cienie
I tak przez życie
Chyba nam sążone
Razem, a osobno –
Jednocześnie

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 28.*

Poezja

Powiesz –
Koniec z poezją
Już nie rozkwita,
Do ucha nie wpada, za serce nie chwyta.

Powiesz –
Już martwa,
Więcej się nie odrodzi.

Nieprawda
Tak mówić się nie godzi.
Poezja jak oddech
Wiruje w przestrzeni,
By znów powrócić
I znów się odrodzić.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 28.*

Fala

Hej chłopcze, czy słyszysz mój głos,
Idąc z małym tranzystorem.
Łap! Jestem żywą falą
Łap! Mój głos smutny i wesoły,
Jestem wichrem w srebrzystej antenie
Posłuchaj głosu kobiety
Mówi niewidoczna, bez tremy.
I ja kiedyś żyłam
Obecnie jestem zwykłą falą
Niestety.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 29.*

* * *

Czy ja potrafię kiedykolwiek odejść
Od jabłoni kwitnącej w ogrodzie,
Od wiosny, na którą tak bardzo czekam
Od dzieci, od przyjaciół, których tak kocham.

Od wierszy, od tęczy, od kwiatów zapachu
Od Ciebie, od muzyki, od ptaków...
Od moich nie wysłuchanych łez,
Od moich nie wypłakanych łez...
Czy ja naprawdę będę mogła odejść?

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Człowiek, 2004, s. 29.*

* * *

Patrząc na niebo w noc księżycową
Spijając gwiazdnych czar – promienie
W tych naszych głowach szafirowych
Wyrasta srebrna nić wspomnienia.

I drepczemy szlakiem lat przeżytych
I już jest dobrze jak marzyłeś.
Tylko się czasem zaszklilo oko,
Lecz już powieką je nakryłeś.

Raz jeszcze dużo zdrowia życzymy
Wam, drodzy Państwo i Rodzinie
Mamy jeszcze jedno swe życzenie
Niechaj przyjaźń ludzka nie zaginie.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Czas, 2004, s. 32.*

* * *

Był czas, którego nie dało się zatrzymać.
Tak szybko umknął i nie chciał mnie się imać.
Była przyjaźń szczerą i gorącą
Smutne życie rozjaśniało jak promienie słońca.

Wszystko to takie krótkie i nietrwale
I pozostawia po sobie jedynie bole i żale.
Gdyby tak człowiek mógł rozporządzać swoim losem
To o szczęściu by śpiewał całym swoim głosem.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Czas, 2004, s. 32.*

Czas szybko mija...

Czas szybko mija – trudno uwierzyć
Człowiek nie może z czasem się zmierzyć.
Nagle ON staje przed faktem starzenia
I w jego życiu wszystko się zmienia.

Są w życiu przyjemne chwile,
Do których często się powraca,
Lecz dzielą od nich długie mile –
Co przeszło, nigdy nie powraca.

Są też piosenki ulubione,
Które się czasem nuci bez słów –
To te ludowe – folklorem zwane
W nich obraz życia, praca i znój.

Wśród tych są inne wspomnienia,
Że strach ogarnia, by spojrzeć wstecz,
Człowiek się boi nawet ich cienia
I wciąż powtarza – Idźcie sobie precz!

A życie dalej i dalej się toczy
W nim wiele radości i uśmiechów też.
Życie jest piękne, piękne i uroczne,
Jednak nie brak w nim smutku i łez.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Czas, 2004, s. 32-33.*

Czas

Niechaj czas przed Tobą otworzy
Wszystko to, czego Ty od dzieciństwa oczekujesz,
Lecz nie myśl o sobie jak o bohaterze.
W ten sposób siebie oszukujesz.
Ty możesz być, kim chcesz być,
Lecz powinienesz uczciwie życie przeżyć.
Bądź przyjacielem tych, kto sercem świeci.
A wrogiem nieuczciwych.
Abyś na pytanie: Kim być?
Mógł odpowiedzieć:
– „Do końca być człowiekiem”.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Czas, 2004, s. 38.*

Do życia

Do życia należy podchodzić realnie
Bezradny nauczyciel może zginąć marnie
Zwyczajem tylko ten wychodzi,
Kumu nie serce, lecz rozum przewodzi.
Chłód, oziębłość i wyrachowanie
Więcej dają szczęścia – mniej rozczarowania.

*Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata,
część – Czas, 2004, s. 39.*

Przemijanie

Tego smutku już nic nie rozsypie
Dźwięcznym uśmiechem odległych lat.
Już przekwita moja piękna lipa,
Już przedźwięczał słowiczy świat.
Wszystko wówczas było dla nas nowe...
Serca nasze wypełniały uczucia
Teraz nawet delikatne słowa
Gorzkim płodem rwą się bez czucia.
Być może nam już wkrótce odejść trzeba
do krainy, gdzie spokój i cisza
Jakie to smutne! O wielkie Nieba!
Tych myśli już nic nie uciszy.
Dlatego też smutku już nic nie rozsypie
Nie rozwieje śmiechem młodzieńczych lat
Już nie przekwita moja piękna lipa,
Już przedźwięczał słowiczy świat.

Fala, 1992.

* * *

Chcesz wiedzieć jak pachnie lato,
Czym nas czaruje jego piękno,
Obudź się przed świtem i idź
Tam gdzie łąkę ziębi rosa,
Tam gdzie światło niebios bezdennych
Spijają niwy i sady
Skąd je przenoszą do swej dłoni
Kropelkę żywej wody

Fala, 1992.

STEFAN BARDCZAK



Dostępne dane bibliograficzne Stefana Bardczaka są bardzo ubogie, w tym nieznane są miejsca oraz daty urodzenia i śmierci. Poeta jest absolwentem Państwowego Seminarium Nauczycielskiego im. Komisji Edukacji Narodowej w Ostrogu nad Horyniem. Rok ukończenia nie jest znany. Seminarium kształciło nauczycieli i wychowanków w okresie II Rzeczypospolitej. Opublikowało Jednodniówkę Młodzieży z okazji dorocznego święta (16 maja 1929 roku).

Z ustaleń Marii Kalas wynika, że Bardczak zaginął po 1939 roku („Całkowite milczenie po wojnie każe przypuszczać, że ów nauczyciel i poeta podzielił los Polaków: wywiezionych, zesłanych, pomordowanych. Nie ma go jednak na katyńskiej liście i wstępne poszukiwania IPN nie dały rezultatu”). Nie wiemy nawet, kiedy się urodził. W 1912 lub w 1915 roku. Zob. *Stefan Bardczak: „Wołyń bogaty. Wiersze”*. Wstęp Maria Kalas. Biblioteka „Wołania z Wołynia”, Biały Dunajec-Ostróg 2019, s. 71. Tomik dostępny w Śląskiej Bibliotece Cyfrowej.

Obecnie budynek Seminarium Nauczycielskiego nadal pełni działalność oświatową. Ma w nim siedzibę Uniwersytet Narodowy – Akademia Ostrogska.



Gmach Państwowego Seminarium Nauczycielskiego im. Komisji Edukacji Narodowej w Ostrogu nad Horyniem w okresie międzywojennym (pismo „Wołanie z Wołynia”)

W 1933 roku czasopismo „Kuźnia Młodych”, wspierające twórczość młodzieży szkolnej zamieściło informację, iż Stefan Bardczak otrzymał I nagrodę za zabawne opowiadanie z życia gimnazjalisty *Zostałem na drugi rok* oraz wyróżnienie za tekst *Z życia Buraska*.

Józef Czechowicz stwierdza, że „poeta umieszcza swe utwory sporadycznie w czasopismach, między innymi w „*Życiu Katolickim*” i przygotowuje dopiero zbiorek wierszy. Mają one tematykę historyczną oraz regionalną, a bliższe ich omówienie należy odłożyć do czasu, aż ukążą się na półkach księgarskich” (*Poezja Wołynia*, „Kurier Literacko-Naukowy”, 1938, nr 50, s. 8-9).

Stefan Bardczak publikował wiersze w tygodniku „Wołyń”, „Kurierze Literacko-Naukowym”, „Życiu Katolickim”, „Na Szerokim Świecie”, „Kamienie”, „Głosie Nauczycielstwa Wołyńskiego” oraz w „Zniczu” (Szajdak, 2018, 2019; Kalas, 2019b).

Ostróg

Jeszcze się przeszłość po ulicach włóczy,
szczyrzy zęby zza zwalonych baszt,
zamek się nocą w firmamencie płucze,
strzelając w górę, jak strzaskany maszt.

Z starych murów sypkim miałem płynie czas,
na rumowisku pędy nowe puszcza brzoza;
tamto jest przeszłość, a to terażniejszość –
któryś tam maj, słowik garłoli w nadwilejskich łożach.

Księżyc – historyk nocą historię pisze,
pergaminami starych dat szeleści,
o zapomniane pyta romantycznej ciszy,
a wiatrów – plotkarzy o najnowsze wieści.

Kozak o czarnobrewej już dumki nie zagra,
gibka Halszka nie wyjdzie na spotkanie,
choćby miał struny z tęsknoty stargać,
choćby noce się stały miłosnym czekaniem.

Tylko się można w zieleń sadów owinąć,
na palcach liczyć mijające noce,
z czasem iść naprzód, ale go nie mijać,
– Jestem dzisiaj! – krzyknąć z całej mocy.

„Na Szerokim Świecie”, 1935, nr 18, 5 maja;
„Życie Katolickie”, 1936, nr 45, 8 listopada.

Horyń

Wspomnieć trzeba Horyń, serpentynę Wili,
byłem tam niedawno – jutro miesiąc minie,
że się nad wspomnieniem, jak nad księgą schylić,
Ostróg, jak stary przyjaciel, dziś do mnie przyplynie.

Dziś do mnie przyplynie z sadami Horyniem
poprzez Monastyrek, most linii Zdołbunów – Sowiety,
jak w porcie zawinie [w] Janowej Dolinie
w zapachu żywic uśnie, sadów zakwitnie bukietem.

„Na Szerokim Świecie”, 1935, nr 29, 21 lipca.

Kidry nad Ostrogiem

Tu się zieleń rozlała szerokim potopem
że jej nikt nijak nie ogarniesz wzrokiem,
chyba być słońcem zawisł ponad niebios stropem
lub lekko zwiewnym popłynął obłokiem.

Domy – nie domy, a rozkwitłe kwiaty,
ule – nie ule – gęźba skrzypiec,
tu na omszonych płotach rozwiesiwszy szaty,
bosko goły plążują się lipiec.

A ulice na wzgórzach zielone zupełnie,
żółte ścieżki wiodą do studni,
dziwisz się nad dmuchawcach nierozwianej wełnie
próżno czekasz – most nigdy nie dudni.

A wieczorem poświata sący się przez liście,
senny lipiec spokojnie oddycha,
ty, brodząc w poświacie, czekasz na jej przyjście,
przystajesz, słuchasz – kroki czyjeś słyhać.

„Na Szerokim Świecie”, 1935, nr 29, 21 lipca.

Kostopol

U fury, co się przez ulice wlecze,
u dyszla i uprzęży
wiesza się nuda i siada koniowi na grzbiecie
wraz z kurzem, perspektywę ulic o połowę zwęził.

Ulice, jak krowy, nabrzmiące piaskiem, jak mlekiem, z miasta
wychodzą późnym wieczorem
na polach, po lesie, w Zamczysku się szastać.
I prosić wiatry o deszczową porę.

Palcami ścieżek biegną przez żyta, jęczmienie, pszenice,
owsów i pros okiście –
proszą ścieżki proszą ulice:
– Przyjdźcie zielenie do miasta! O, jutro przyjdźcie!

Miasteczko samotne w czarnej krepie nocy klęczy
krzykiem syren tartaków, ślepiami elektrycznych lamp
prosi o jedno, nie o zielen, i o nic więcej:
by kamień zwałił się na nie, jak na robotnika padający tram.

*„Na Szerokim Świecie”, 1935, nr 29, 21 lipca;
„Życie Katolickie”, 1936, nr 40, 4 października.*

Październik

Stoję jak kinoman przed nową fotosów wystawą
i szukam ulubionych ziemi artystów – drzew:
wierzby na turnée zimowe odpływają stawem
i wargi jarzębina-kochanka barwi pąsowo jak krew.

Brzoza tragiczka artystycznie załamuje dłonie,
grab amant w objęciach wiotką osiczyne trzyma.
Uwaga! Rychło nastąpi krach teatralny i koniec!
Kurtynę białą opuści konkurent najzaciętszy – zima.

„Na Szerokim Świecie”, 1935, nr 46, 17 września.

Listopad

Odpoczywające kwadraty pełne czarnoziemiu
i liście roztrząsane przez wiatr
to ból gryzący nerwy nie wiadomo czemu
i goniący za mną, jak chart.

Myśl tępa, jak cykanie ściennego zegara,
jak gazeta sprzed tygodnia – stara i pomięta...
pamiętam
drzenie liści – ten śmierci beznadziejny strach.

„Na Szerokim Świeci”, 1935, nr 46, 17 września.

Z cyklu „Krajobrazy Wołynia” Sarny – strona poleska

Więc to z ulicy Sosnowej płacz sosen,
że je dla miasta borom wydarto,
(tu nie spotkają leśnouroczystych wiosen
i dzięcioł nie będzie pukał daleko przed czwartą):
– Wydrzeć z objęć geometrycznych domów,
co przytłaczają i duszą,
wrócić do ostępów leśnych jak do domów,
i szumieć z potokami, gdy na wiosnę ruszą.
Zapachem się siana nasycić do syta,
piosnce wtórować poleskiej dziewczyny,
jesień niebem ołowianą, pstrą liśćmi powitać
i wiewiórkę nakarmić szyszkami, jak orzechami leszczyny.
Matko, puszcz sosnowa, bądź żywicznie zdrowa,
nie tęsknij za nami liliowym wrzosem
i tu chałupa zamiejska jak czysto sosnowa,
i tu się z wichrami targamy, jak z przeklętym losem.
Matko puszcz sosnowa...

*„Na Szerokim Świecie”, 1935, nr 49, 8 października;
„Życie Katolickie”, 1936, nr 41, 11 października.*

Międzyrzecz Ostrogski

Był tu Konstanty, Wielki Hetman Litewski,
i Sanguszko, pan włości –
był dzień białoamarantowy w dole , a w górze niebieski.

Srebrne strażę na murach – tak dawniej –
w środku klasztor franciszkański,
wieniec wałów przy Wili, przy stawie –
był splendor arcypański.

Kolorowym polom mieczem ktoś szczęście utkał,
Kolorowym polom za Wilią:
Wolność i swoboda, bo oto Słobódka
We zbożach, jak w lesie się skryła.

Szare strażę na murach – tak dzisiaj –
biel i amarant na granicznych słupach,
nad Słobódką, jak krew czerwona, chorągiew zawisła –
pustka w białych chałupach.

Stary most na rzece – dzieje dawne pamięta:
jak dłoń wyciągnięta na zgodę –
to były, to ci huczne, kolorowe święta,
gdy sam hetman przyjechał do Ostroga.

„Na Szerokim Świecie”, 1936, nr 2, 12 stycznia;
„Życie Katolickie”, 1936, nr 42, 18 października.

Do Wołynia

O tobie piszę, Wołynia ziemio pszennołanowa,
o tobie, czarna na przekor słońcu
co złoci się – jak w wiersza prostych słowach –
miłująco.

Ciebie sławię, basztami zamków obronna,
piersi Rzeczypospolitej, wieczna arterio Jej życia,
wieżycami kościołów, kopułami cerkwi, przedzwonna,
stworzona z krwi i miłości naszej – oblubienico.

Znam cię i w każdy najdroższy zakątek
zabiegłem po twych leśnych, polowych i łąkowych drogach –
O, ziemio, skarbnico naszych relikwii, pamiątek,
ziemio Łucka, Krzemieńca, Dubna i Ostroga.

W rozszalałej twej płodności chciałbym utonąć,
wynurzyć się, jak rusałka, na falach żyta,
zachłysnąć się twym śpiewem syrenim, zapomnieć,
że gdzieś za mną, przede mną wiruje dziwny kołowrót życia.

Ucieczką w łąki, jak drzwiami, zatrzasnąć co dzień:
może znajdę nowe gniazdo czajek
i będę się cieszył twym szczęściem narodzin,
jak zwykły pastuch bydła – twój wierny i najszczerzy grajek.

*„Na Szerokim Świecie”, 1936, nr 27, 5 lipca;
„Życie Katolickie”, 1936, nr 40, 4 października.*

Kazimierka

Przez cały rok jest spokój, jak zwykle na wsi,
aż sierpnia piętnasty sprowadzi pielgrzymki,
będą Gospodarze, Gospodarze najłaskawsi,
boskie sprawować dożynki.

Maria z Dzieciątkiem wyjdzie od ołtarzy,
witać z stron dalekich gości,
będzie pospołu gwarzyć i darzyć
ludzi sercem najprostszymi.

A gdy na nieszpory dzwon się rozkołysze,
szczęście ludziom rozdawszy, Boska Gospodyni
wróci wśród sztandarów w procesji kasztanową ciszę
świątyni.

„Życie Katolickie”, 1936, nr 29, 19 lipca.

Lew na dziedzińcu zamkowym w Ostrogu

Lew się kamienny rozłożył przed zamkową bramą,
historyczny pełni obowiązek:
ciągle patrzy w stronę jedną i tę samą,
gdzie Wilia błyszczy jak srebrny pieniążek.

Na krągłym klombie,
zamknięty krzykiem kolorów
czasu przewalająca się stągiew,
podśluchał prawdę dziejowych wieczorów
i dźwizgi świtów czerwoną chorągiew.

Były świty, a tylko jeden dojrzały owocnym południem,
były wiosny, a jedna skończyła się wielką 1918 jesienią –
to
przepełnione studnie
i silny wytrysk źródeł tętniących pod ziemią.

Lew się polski rozłożył przed Zachodu bramą,
historyczny pełni obowiązek
ciągle patrzy stronę jedną i tę samą,
gdzie Wilia błyszczy jak
srebrny pieniążek.

*„Życie Katolickie”, 1936, nr 29, 19 lipca;
„Kurier Literacko-Naukowy”, 1938, nr 50.*

Do Horynia

Wisło Wołynia, bądź pozdrowiona,
dumą kresową mi się rozśpiewaj,
łódź swoją nieś na ramionach
o, świergotliwa, jak w drzewach.

Miasteczko z Tobą (Horyniem w słońce),
drogo przez Wołyń otwarta na oścież –
księżyc na niebie gońcem,
jak na łukiem rozpiętym pomoście.

Pluskotem wiosła w gęste szuwary,
skrętem – zakrętem w trzciny,
cienkim dyszkantem górują komary,
wiatr basem wtórzy wśród rokitnicy.

Gwary-pogwary w przytulonym lesie,
dzwonki liliowe – derkacze na łące –
O, niech nas woda twoja poniesie,
gdzieś nad wodami słońce,
w Polesie.

„Życie Katolickie”, 1936, nr 31, 2 sierpnia.

Z cyklu „Krajobrazy Wołyń” Prolog I

Lnianymi obrusami zaścielajcie stoły,
na ucztę bogatą zjeżdża młody Wołyń.
Otwórzcie, jak drzwi świątyń, serca swe najszczerze,
My Wam zapłacimy azaliowym wierszem.

Wierszem azaliowym na wołyńskie czary:
złowione w sidła myśli wołyńskie wieczory,
historie krwawe zapomnianych grodów
i legendy nowe – Styru i Stochodu.

Pójdziemy do chałup niczym po kolędzie,
radosną nowinę rozgłosimy wszędzie:
rodzi się Wołyń, Wołyń wielki, nowy,
wykuty ręką pracy – Wołyń bazaltowy.

Otwórzcie, jak drzwi świątyń, serca swe najszczerze,
my Wam zapłacimy azaliowym wierszem.

*„Życie Katolickie”, 1936, nr 31, 2 sierpnia;
„Kurier Literacko-Naukowy”, 1937, nr 51.*

Prolog II

Wołyńskim lnem zaścielcie stoły
i powitajcie młody Wołyń
i dajcie serca mu najszczerze –
zapłaci wam tym azaliowym wierszem.

Niech zgłoski mu wołyńskie plotą wzory,
niechaj poleskie będą w nich wieczory,
miech dzwoni echo zapomnianych grodów
i szumi wiatr od Styru i Stochodu.

Z sarnęskich hał do Bony stóp i Czerczy,
tak będzie szedł – wsłuchany w dźwięczne wiersze,
aż zacznie młot w bazalty bić rozgłośnie,
by na jesieni mówić wam o wiośnie.
Więc powitajcie młody Wołyń
Wołyńskim lnem zaścielcie stoły.

„Znicz”, 1936, nr 10, październik.

Zamczysko

Nurkując w trawy, polem, borem, bardzo nisko
bagnisto
wije się żurawi klangorem – Zamczysko.
Z Siedliszcz zakręca lekkim półkolem
i Kostopolem
świetli się w tęczach, jak po wielkim stole.
W znanych piosenkach – wołyńsko –
młyńsko
zgruchotane stęka: – Ach, jak ciężko!
Na stawie wikła się w osokach, iwie, oczerecie
i wiecie
dławi się w sidłach jazu – w tokach cietrzew.
Mija Peremenkę, bory, jar, Korczowie
i w śpiewie
wpija się w Horyń – żmija w nagłym gniewie.

„Życie Katolickie”, 1936, nr 31, 2 sierpnia.

Azalie

Po azalie chodziliśmy zwykle we czwórkę:
Janka, Zuł, (ja) i Bolek,
po drodze śpiewaliśmy dość kiepskim chórem,
rwąc w dworskim zbożu chabry i kąkole.

Maj nad polami zielone skrzydła rozpostarł
i skowronka śpiew sypał, jak perły, po niebie,
za lasem, jak futra po moście, grzmot dudnił na postrach,
wtedy do pospiechu namawialiśmy siebie.

Wśród pól i borek – setka drobnych sosen,
złociły się już z dala, jak gwiazdy, azalie,
niżej biel Mlecznej Drogi: bagno, nierozkwitłe wrzosa,
wyżej kosy gwizdały ponadleśne arie.

Wtenczas szybki bieg i rwaliśmy całe pęki,
Polne kwiaty, no chyba, rzucone do rowu,
Jedno, jak sierpa, wyciągniecie ręki,
I jeszcze, i więcej, i znowu.

Potem radosny powrót
przez pola po koniczynie na przełaj –
pożegnanie u wrót,
jak zamknięcie poetyckie dzieła.

„Życie Katolickie”, 1936, nr 40, 4 października.

Pożegnanie Ostroga

Z dyplomami, zasługą pięciu lat
ze słodkim wytchnieniem po groźnej maturze
wyruszyliśmy zielonym, jak my, autobusem w świat
z nadzieją, że dni słać nam się będą, jak szlachetne róże.

Nikt nas nie żegnał, tylko szumiał kasztan,
ciepłem lipca do syta upojny
i żał nas omotał przy wiekowych basztach
że toczyliśmy z sentymentem bohaterskie wojny.

Szpaler starych domów, starczo pochylony rynek,
długa, jak rok szkolny, ulica Tatarska
i już – jak ojcowskie pożegnanie z synem.
Autobus pod górę zżymał się i parskął.

Jeszcze Rozwał, Chórów – przemiłe wspomnienia
– stacja w Ożeninie na gościńcu końca,
pociąg od Mohylan, ostatnie skinienia
i odjazd w przyszłość z d o b y c ó w k u s ł o ń c u.

„Życie Katolickie”, 1936, nr 42, 18 października.

Droga Międzyrzecz – Bór

Czeškowi Ł.

Trakt z Międzyrzecza mknący prosto
wśród chwiejby dojrzałych zbóż –
tylko chłopska furmanka na moście
i klasztor warowny, kresowy anioł stróż.

Bądźmy radośni, bo ave
śródpolnej kolumnie
ku czci Najświętszej Paniienki,
na miłość, na sławę,
skowronki w błękit
sygnują dumnie.

O, cicho podlesie!

Niedzielne popołudnie!

Naprawdę wtedy było cudnie,
kiedy z Czesiem,
nie bez szlachetnej finezji,
zbieraliśmy w Borze dojrzałe jak jesień,
soczyste grona wołyńskiej poezji.

„Życie Katolickie”, 1936, nr 41, 11 listopada.

Peremenka

Żebyście wiedzieli,
że w Peremence
słońce gospodyniom białe płótna bieli,
gospodarzom żyto i pszenicę złoci
że się proście cepów zwielokroci
w podzięce
– O, ręce, błogosławione słoneczne ręce!

Więc dzieci są słoneczne,
suknie, jak gęsi białolniane,
a gęsi jak chaty nadrzeczne –
dzieci z zieleni jak motyle,
chaty jak motyle,
i leśniczówka świerkami, jak dzbanem,
czerpiąca leśne powietrze żywicą wezbrane.

A dziewczyny w zapaskach białych do rzeki
noszą srebrne śmiechy
i w nurt daleki
rzucają je, jak wianki, w noc świętego Jana;
potem długo czekają, by któregoś rana
ktoś je przyniósł, nieznany, pod słoneczne strzechy,
ktoś, kto nigdy nie przyjdzie, a wołany śmiechem.

„Życie Katolickie”, 1936, nr 41, 11 listopada.

Z jesieni wołyńskiej

Albo to liście wyszumiały lato,
jak dzień rudopiórą sowę
albo to Horyń dni ciepłych zatrata,
bo słońce w głębi wód chłodziło głowę.

Czyż wielka sensacja w świecie,
jak mord ministra czy króla:
Wołyń podobny malarskiej palecie,
A zwyczaj pszczół zatrzaśnięty w ulach.

Stało się – jak dzień po każdej nocy:
kartofliska – dymią trybularze.
Czy za tym, co mija wołać pomocy?
Nie – śmiercią w gips zakłętę twarze.

„Kurier Literacko Naukowy”, 1936, nr 41;
„Życie Katolickie”, 1936, nr 41, 11 listopada.

Z cyklu *Wycinanki*

Astronomowie

Krągły widnokrąg dal nam zakrył – wielką tajemnicę,
ciężarem swoim gniotą nas gwiaździste noce
i myśl się w nas, jako w sidłach ptak, trzepoce:
wyrąbać w wszechświat drogę, jak główne w mieście ulice.

„Kurier Literacko-Naukowy”, 1937, nr 11, 8 marca.

Gnijące liście

Przelewało się w nas piękno, jak mleko w dojnych wymionach,
szemrały w nas , śpiewały, wschody i zachody,
dziś pod butem przemian ciągłych w błocie trzeba skonać
i ziemię wygnoić pod pięknem ciężarny las młody

„Kurier Literacko-Naukowy”, 1937, nr 11, 8 marca.

Kwiaty w doniczkach

Ciekawe patrzą kwiaty w doniczkach na krajobraz
wiecznie ten sam, jak gdyby wykuty w mundurze,
i marzą, marzą kwiaty w doniczkach: gdyby choć raz
w twarz słońcu spojrzeć i wznieść ramiona ku górze.

„Kurier Literacko-Naukowy”, 1937, nr 11, 8 marca.

Słońce w studni

Trud twardy – jak kamień – lipcowych południ
przegląda się z słońcem w cembrowanej studni;
przyszła dziewczyna, wiadrem słońce chwytać,
rozprysło się. Gdzie jest? Wody trzeba spytać.

„Kurier Literacko-Naukowy”, 1937, nr 11, 8 marca.

W walce

Pod egidą wiatrów wszystkich szedłem snom naprzeciw
wołającym ku sobie jak fatamorgana,
spragnionymi wargami wzywałem tęsknot dalekich
i czekałem, by dłoń ktoś mi podała i przyjął jak otwarta brama.

Skrzypiały zawiasy, zgrzytały zasuwane rygle,
tylko niebo ręce łamało nade mną jak namiot –
a ja spragniony chłepałem zdarzenia banałem nawilgłe
i nad pospolitość wznieść się chciałem całą mocą ramion.

Lecz burze losów jak wątły krzew chciały mnie złamać,
A karku bezsilne nie zdolne ugiąć mi były nawet.
Zostałem i jestem nieskończony dramat:
Dwoje ramion wzniesionych jak sztandary krwawe.

„Na Szerokim Świecie”, 1937, nr 45, 7 listopada.

Matce poległego

Tu leżą piszczele, a tam rumowisko czaszek,
przez oczodoły sypie się słoneczny piach
a dalej schrony betonowe bielą się pod lasem –
O, matko, nam nienawistna, syna widząca w snach.

Dziś może jeszcze szepczą usta słodkie – synu!
jak wtedy, gdy patrzyłeś w nienawiść jego pruskich oczu,
na pikielhaubie widziałeś zieloność wawrzynu –
to wiem, że ból niepewności serce ci już toczył.

A jemu marzyła się Wisła czerwona od krwi
i orły czarne szybujące przez niebo polskiego błękit.
To nasze bagnety zawarły za nim na zawsze drzwi
i pięści żyłaste, jak różg liktorskich pęki.

Rozumiem te noce nieprzespane i jad
wieści straszliwych z dalekiego frontu,
na duszy jak całun śmiertelny niepokój się kładł
i myśli klęły wojnę błyskawicą matczynego buntu.

Rozkaz – słowo co zabija
i krzyże walecznych przypina do żołnierskiej piersi,
niech żalem wybuchnie Poczdam,
czoło pochyli Kwirynał,
bo marsza żałobnego grają kule pierwszym.

Nikt tutaj nie wie, że to syn twój poległ,
wiedzą wszyscy – najzwyczajniejszy człowiek.
Ostatnią jego ślę ci dzisiaj wolę;
– otrzyj łzy z powiek.

„Życie Katolickie”, 1937, nr 46, 14 listopada.

Usta w sadzie

Nad wsią jasne rozpostarte niebo,
słońce w gałęziach – rajski ptak,
w ogródku pachnie mięta i rezedą:
ja wśród traw leżę na wznak.
Furtka skrzypnęła – to znak,
że śpieszysz słoneczna dziewczyno,
i nagle czuję: pocałunków twych grad
bólom rozkoszy jak strzała przeze mnie przeplął.

A potem usta i czereśnie,
Czereśnie i usta na przemian.
Jak we śnie
szczęścia przelewający się dzban.

„Na Szerokim Świecie”, 1938, nr 29, 17 lipca.

Wołyń

Karta historii pisana
złocistymi głoski:
sława Lubarta, Witolda
i książąt Ostrogskich.

Tu miejsce każde znane
z krwawej historii:
Beresteczka szumne kurhany
i zamku w Ostrogu nimb glorii

Szemrze o tym Horyń,
Słucz i Styru wody,
szumią, szumią bory,
jak wędrowały narody.

Niejedna klęska Tatarów,
sztandar Mahometa wzięty,
brawurowy atak huzarów
z Imieniem Maryi świętym.

A jeszcze niedawno szare
mundury nad zdračnym Stochodem,
potem polskie sztandary
w Kijowie po wielkim pochodzie.

A teraz wielkie szczęście :
kopista na polskiej granicy,
zamki – strażnice jak pięści –
z Polską trzeba się liczyć!

Szable tu, a tam pługi,
kielnie i młoty,
jak Wołyń szeroki i długi,
tętni w rytmie roboty.

Rosną nowe miasta,
Janowa Dolina wykwita,
Wołyń nowy wzrasta
w maszyn skowycie i zgrzytach.

Wózki z bazaltem płyną
w górę i na dół z powrotem,
dzienną i nocną godziną
dzwonią o bazalt młoty.

I w świat pójdą daleko
wołyńskie bazaltowe ulice,
za siódmą górę i rzekę
wołyńską powieziem pszenicę.

*„Życie Katolickie”, 1938, nr 9, 27 lutego;
„Na Szerokim Świecie”, 1938, nr 22, 29 maja.*

Lato w małym miasteczku

Skwar po dachach pełza samotny i smutny,
story okien ręce niewiast zsunęły.
Domom oddychać coraz trudniej i trudniej
stanęły.

Kamienie ulic słońcu bluźnią,
Prosto w rozgorzały pysk,
Aż wiatr się w śmiechu tarza między domem i kuźnią,
kapelusze podrzuca w górę – słoneczny dysk.

Wiśnie, jak usta przyniosła muzyczka
na targ, od skwaru wiśniowa,
kosze u rzemion kołysze, jak w stryczkasz.
Brodaty handlarz nadszedł i wiśni kosztował.

W strudze dzieci o wklęśniętych brzuskach
(dożywianie tu latem organizuje słońce!)
dłońmi drobnymi rozgarniają wodę –
i świerszcze w żwiru, woń siana na łące.

*„Życie Katolickie”, 1938, 7 sierpnia, nr 32, s. 500,
IX kolumna poetycka Grupy Poetyckiej „Wołyń”.*

Bibliografia

1. Adamczyc R., *Wołyń i Polesie w liryce Wołyniaków*, „Głos Nauczycielstwa Wołyńskiego”, 1936a. 2., s. 22-25.
2. Adamczyc R., *Wołyń i Polesie w liryce Wołyniaków*, „Głos Nauczycielstwa Wołyńskiego”, 1936b. 3., s. 39-43.
3. Adamczyc R., *Wołyń i Polesie w liryce Wołyniaków*, „Głos Nauczycielstwa Wołyńskiego”, 1936c. 4., s. 53-56.
4. Andres Z., *Stanisław Czernik. Autentystyczny rodowód twórczości*, Wyższa Szkoła Pedagogiczna, Rzeszów 1990.
5. Andres Z., *Świadek codzienności – Jerzy Pietrkiewicz*, „Zeszyty Naukowe Uniwersytetu Rzeszowskiego. Seria Filologiczna”, Zeszyt 70/2011, s. 1-12.
6. Brodzka A., Żołątkowski S. *Literatura Polska 1918–1975*, tom II, 1933–1944, Wiedza Powszechna, 1993, s. 1091.
7. Brodzka A., Puchalska M., Semczuk M., Sobolewska A., Szary Matywiecka E., *Słownik literatury polskiej XX wieku*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław, 1995. s. 1427.
8. Cieński A., Jaworski S., Kaniewska B., Popiel J., Sienkiewicz B., Starnawski J., Węgrzyniak, Czabanowska-Wróbel A., Czerni K., Wojnarska A.S., Skoczek T., Skoczek A. (red), *Historia Literatury Polskiej w Dziesięciu Tomach, Tom VIII. Dwudziestolecie Międzywojenne*, Wydawnictwo SMS, Bochnia-Kraków-Warszawa, 2006, s. 380.
9. Chudziński E, *Od regionalizmu do autentyzmu. O rodowodzie „Okolicy Poetów” Stanisława Czernika*, Zakład Narodowy im. Ossolińskich, Wrocław 1984.
10. Czechowicz J., *Poezja Wołynia*, „Kurier Literacko – Naukowy”, 1938, nr 50 (12 grudnia), s. 8-9.
11. Czernik S., *Kolumna debiutantów. Stefan Szajdak*, „Okolica Poetów”, 1935, nr 2, s. 16.
12. Czernik S., *Wołyń w poezji*, „Kurier Literacko – Naukowy”, 1938, nr 38, s. 2.
13. Czernik S., *Dom pod wierzębami. Opowieść autobiograficzna*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1960.
14. Czernik S., *Okolica Poetów. Wspomnienia i materiały*, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1961, s. 303.
15. Czernik S., *Okolica Poetów. Antologia poezji autentystów*, Wydawnictwo Łódzkie, Łódź 1978.

16. Dubyk H., *Pogłosy „Szkoły Ukraińskiej” w literaturze polskiej dwudziestolecia międzywojennego*. Praca doktorska napisana pod kierunkiem prof. UKSW dr hab. Piotra Mitznera, Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego Wydział Nauk Humanistycznych, Warszawa 2011, s. 229, [https://naukairozwoj.uksw.edu.pl/sites/default/files/Rozprawa_Dubyk.pdf].
17. Gazda G., *Słownik europejskich kierunków i grup literackich XX wieku*, PWN, Warszawa 2000, s. 766.
18. Ginczanka Z., *O Centaurach*, Wydawnictwo Przeworskiego, Warszawa 1936. s. 35.
19. Ginczanka Z., *Wiersze*. Tłumaczenie z języka polskiego J. Poliszczuk, O. Koval NGO „Forum Wydawców”, Lwów 2017, s. 187.
20. Gmitruk J., *Zygmunt Rumel. Żołnierz nieznan*y, Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, 2009, s. 168.
21. Gorska B., *Krzemieńczanin*, Wydawnictwo Muzeum Niepodległości, 2008, s. 208.
22. Hutnikiewicz A., (red. praca zbiorowa). *Literatura Polska XX Wieku. Przewodnik Encyklopedyczny. Tom A-O*, PWN., Warszawa 2000, s. 247.
23. Iwaniuk W., *Pełnia czerwca*, nakładem Grupy Poetyckiej „Wołyń”, Chełm 1936, s. 34.
24. Iwaniuk W., *Ciemny Las. Poezje*, Instytut Literacki Paryż 1968, s. 75.
25. Iwaniuk W., *Czas Don Kichota. Poezje*, Londyn, Wydawnictwo Światowego Związku Polaków z Zagranicy, 1946, s. 31.
26. Iwaniuk W., *Lustro*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1971, s. 59.
27. Iwaniuk W., *Milczenia. Wiersze 1949–1959*, Instytut Literacki Paryż 1959, s. 43.
28. Iwaniuk W., *Moje obłąkanie*, Stowarzyszenie Literackie Kresy, Lublin 1991, s. 48.
29. Iwaniuk W., *Nemesis Idzie Pustymi Drogami*, Oficyna Stanisława Glina, Londyn 1978, s. 93.
30. Iwaniuk W., *Ostatni Romantyk*, Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń 1998, s. 74.
31. Iwaniuk W., *Wybór Wierszy*, Instytut Literacki Paryż 1965, s. 106.
32. Janczarski Cz., *Błękitna chustka*, nakładem Księgarni Stanisława Zielińskiego, Równe 1936, s. 26.
33. Janczarski Cz., *Portret z gałązek i ziół*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1970, s. 72.
34. Janczarski Cz. *Wiersze wybrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1974, s. 180.

35. Janczarski Cz. *Wiersze z natury*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1966, s. 51.
36. Jakitowicz M., *Dopełnienie obrazu. Szkice o autentyzmie*, Wydawnictwo Uniwersytetu Mikołaja Kopernika, Toruń 1994.
37. Kallas M., *Ruch poetycki na Wołyniu*, „Wołanie z Wołynia”, 2019a. 4(149) – B rok 25, s. 54-56.
38. Kallas M., *Stefan Bardczak. Wołyń Bogaty. Wiersze*, Biblioteka z Wołynia, „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec-Ostróg, 2019b. 143, s. 72.
39. Kiec I., *Ginczanka. Nie upilnuje mnie nikt*, Marginesy, Warszawa 2020, s. 423.
40. Kiec I., *Ginczanka. Życie i twórczość*, Obserwator, Poznań 1994, s. 375.
41. Kiec I., *Zuzanna Ginczanka. Poezje zebrane (1931–1944)*, Marginesy, Warszawa 2019, s. 462.
42. Kwiatkowski J., *Dwudziestolecie międzywojenne* PWN, Warszawa 2008, s. 597.
43. Łobodowski J., *Czerwona Wiosna*, nakładem Polska Fundacja Kulturalna, Londyn 1965, s. 119.
44. Łobodowski J., *Dwie Książki*, Instytut Literacki Paryż 1964, s. 109.
45. Łobodowski J., *Jarżmo Kaudyńskie*, Księgarnia Polska Orbis, 66, Kenway Road. Londyn. S.W.5, 1969, s. 91.
46. Łobodowski J., *Kasydy i gazele*, Oficyna Poetów i Malarzy, Londyn 1961, s. 110.
47. Łobodowski J., *Komysze*, nakładem Gryf Publications Ltd., Londyn 1955, s. 333.
48. Łobodowski J., *Modlitwa na wojnę*, Wydawnictwo Światowego Związku Polaków z Zagranicy, Londyn 1947, s. 108.
49. Łobodowski J., *Pieśni o Ukrainie*, Instytut Literacki Paryż 1959, s. 33.
50. Łobodowski J., *Poezja*, wybór i słowo wstępne Józef Zięba, Wydawnictwo Lubelskie, Lublin 1990, s. 363.
51. Łobodowski J., *Rachunek sumienia. Wybór wierszy 1940–1980*, Editions Spotkania, Av. Jean Moulin, 75014 Paris, 1987, 64, s. 257.
52. Łobodowski J., *Rozmowa z Ojczyzną*, Biblioteka Poetycka „Dźwigarów”, Lublin-Warszawa 1935, s. 61.
53. Łobodowski J., *Uczta zadżumionych*, nakładem subskrybentów i autora, Paryż 1954, s. 178.
54. Łobodowski J., *W stancy*, nakładem Gryf Publications Ltd., Londyn 1958, s. 379.
55. Łobodowski J., *Z dymem pożarów*, U Tyszkiewiczza, Anno Domini MD CCCCXLI w Nicejskiej Filii jego Oficyny, 1941, s. 112.

56. Milczarek W., *Boje Franka Kuriaty*, Spółdzielnia Wydawniczo-Handlowa, Książka i Wiedza, Warszawa 1958, s. 2014.
57. Milczarek W., *Krasnegóry*, PAX, Warszawa 1980, s. 136.
58. Milczarek W., *Królowa Matka*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1977, s. 244.
59. Milczarek W., *Liryzm Wołynia*, Związek Pracowników Skarbowych R. P. Koło w Zdołbunowie, Równe 1938, s. 26.
60. Milczarek W., *Wieża Babel*, Bratnia Pomoc. Samorząd Uczniów Szkoły Handlowej P. M. S., Równe 1934, s. 30.
61. Milczarek W., *Z kraju czarnego chleba*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1957, s. 234.
62. Miłosz Cz., *Historia literatury polskiej do 1939*, Znak, Kraków 2010, s. 645.
63. Nasiłowska A., *Trzydziestolecie 1944–1944. Mała Historia Literatury Polskiej*, Wydawnictwo Naukowe PWN, Warszawa 2008, s. 216.
64. Nicieja S.S., *Kresowa Atlantyda. Historia i Mitologia Miast Kresowych. Tom XVIII*, Wydawnictwo MS, Opole 2022, s. 231.
65. Nicieja S.S., *Kresowa Atlantyda. Historia i Mitologia Miast Kresowych. Tom VIII*, Wydawnictwo MS, Opole 2016, s. 167-169.
66. Olbromski M. (red.), *Grupa Poetycka „Wołyń”*, katalog wystawy „Portret z Wierszy i Pamięci. Grupa Poetycka «Wołyń»” w Domku Miedziorytnika, Strefa Kultury, Wrocław 2017, s. 45.
67. Olbromski M., *Grupa Poetycka „Wołyń”*, „Rocznik Lwowski”, 2018, s. 157-172.
68. Padurra T., *Pisma*, nakładem knyharni K. Wyldi, Lwów 1874, s. 2019.
69. Podmajstrowicz B., *Ogród Poezji*, Warszawa – Wilno – Równe, wydawca – G. Wiszniewski, Drukarnia R. Olejnika, Równe 1938, s. 80.
70. Rumel Z.J., *Wiersze zebrane*, opracowanie Urszula Kuźnińska, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2018, s. 120.
71. Rumel Z.J., *Wiersze*, wstęp, wybór i opracowanie Anna Kamieńska, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1975, s. 76.
72. Sawicka J., *Wołyń w przestrzeni kresowej*, Dig, Warszawa 1999, s. 204.
73. Skoczek T., *Autentyzm Jana Bolesława Ożoga*, Krakowskie Wydawnictwo Akademickie, Kraków 1984.
74. Stolârčuk B. J., *Поетичне сцуп'я (Poetične suczir'â): Džo Uolles, Vasil' Zujonok, Mikola Šakura, Stefan Szajdak*, Rivne, Vidavec' O. Zen' (Ukraina), 2019, s. 100.
75. Szadkowska M., Szajdak L.W. (red.), *Stefan Szajdak. Poeta autentyzmu*, Środa Wielkopolska, Prodruk, 2012, s. 132.

76. Szajdak L., *Stefan Szajdak, żołnierz Generała Władysława Andersa*, Centrum Kultury Polskiej „Dom Polski” w Tomsku, 2007b. 6(61), s. 3-5.
77. Szajdak L.W. (red.), *Stefan Szajdak. Autentysta. Współzałożyciel. Grupy Poetyckiej „Wołyń”. Utwory*, ProDruk, 2016, s. 219.
78. Szajdak L.W., *Стефан Шайдак, солдат Генерала Владислава Андерса*, Centrum Kultury Polskiej „Dom Polski” w Tomsku, 2007a. 6(61), s. 12-13.
79. Szajdak L.W., *Antologia Poezji Grupy Poetyckiej „Wołyń”. Część druga. Антологія Поезії Поетичної Групи „Волинь” Частина друга*, ProDruk, Poznań 2019a., s. 249.
80. Szajdak L.W., *Antologia Poezji Grupy Poetyckiej „Wołyń”. Część pierwsza*, ProDruk, Poznań 2018, s. 172.
81. Szajdak L.W., *Dwie wielkie postacie ruchu ludowego Maksymilian Jackowski i Zygmunt Jan Rumel* [w:] *Maksymilian Jackowski – organicznik, działacz ruchu ludowego, edukator i wydawca pism dla rolników*, Szajdak L.W. (red.), Instytut Środowiska Rolniczego i Leśnego, 2020, s. 135-147.
82. Szajdak L.W., *Dwujęzyczny polsko-rumuński katalog wystawy: Portret z Wierszy i Pamięci. O Grupie Poetyckiej „Wołyń”; Portret Din Versuri Și Aminitiri. Gruparea Poetică „Volinia”* w Cluj-Napoca, Rumunia 2022, s. 129.
83. Szajdak L.W., *Portret z wierszy i pamięci. Grupa Poetycka „Wołyń”*, katalog wystawy „Portret z Wierszy i Pamięci. Grupa Poetycka «Wołyń»” w Środzie Wlkp., ProDruk, Środa Wlkp. 2022a., s. 47.
84. Szajdak L.W., *Portret z wierszy i pamięci. Grupa Poetycka „Wołyń”. Портрет із віршів і пам’яті. Поетична група «Волинь»*, katalog wystawy „Portret z Wierszy i Pamięci. Grupa Poetycka «Wołyń»”; Каталог виставки „Портрет із віршів і пам’яті. Поетична група «Волинь»”, ProDruk, Poznań 2019b., s. 56.
85. Szajdak L.W., *Poznańska wystawa „Portret z wierszy i pamięci.”*, Grupa Poetycka «Wołyń», „Wołanie z Wołynia”, 2019c, nr 1(146) B Rok 25, s. 22-25.
86. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak – nauczyciel, poeta autentysta, współzałożyciel Grupy Poetyckiej „Wołyń”, żołnierz generała Władysława Andersa*, [w:] *Bukowina. Wspólne dziedzictwo językowe i kulturowe*, Krasowska H., Pokrzyńska M., Wróblewska-Trochimiuk E. (red.), Instytut Slavistyki Polskiej Akademii Nauk, Fundacja Slavistyczna, Muzeum Etnograficzne w Zielonej Górze - Ochli, Regionalne Centrum kultury - Fabryka Emocji w Pile, Warszawa 2020, s. 211-229.
87. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak – Poeta Autentysta, Współtwórca Grupy Poetyckiej Wołyń*, Dialog Dwóch Kultur. Діалог Двох Культур, 2016b, s. 331-337.

88. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak – wołyńnianin z wyboru*. Стефан Шайдак – волинянин за покликанням, „Monitor Wołyński”, 2014.b 17, s. 12-13.
89. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak współtwórca Grupy Poetyckiej „Wołyń”*, „Kresowe Stanice”, 2014a. 3(66), s. 25-37.
90. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak. A jednak i to minęło. Poeta Autentysta. Współzałożyciel Grupy Poetyckiej „Wołyń”*, ProDruk, Poznań 2021, s. 259.
91. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak. Autentysta. Współzałożyciel Grupy Poetyckiej „Wołyń”. Utwory*, ProDruk, Poznań 2016a, s. 219.
92. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak. Blisko i bliżej*. Стефан Шайдак. Близько і ближче, ProDruk, 2018, s. 141.
93. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak. Wiersze wybrane z tomu “Blisko i Bliżej”*, „Dialog Dwóch Kultur. Діалог Двох Культур”, Efekt sp. j., Warszawa, 1.11.2017, s. 377-393.
94. Szajdak L.W., *Stefan Szajdak. Wiersze wybrane*, Instytut Badań Kościelnych w Łucku, „Wołanie z Wołynia”, Biały Dunajec – Ostróg 2015, s. 79, [Szajdak L.W., *Stefan Szajdak „Wołanie z Wołynia”*, 2014b. 4 (119) z lipca-sierpnia, s. 13-14, <https://pl-pl.facebook.com/Wolanie>]
95. Szajdak L.W., *Zygmunt Jan Rumel*, „Zielony Szandar”, 15-28 lutego 2022 (nr 4), s. 48-53.
96. Szajdak L.W., Olbromski M., *Wystawa Grupy Poetyckiej „Wołyń” w Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku*, Nowik G. (red.) „Dialog Dwóch Kultur. Діалог Двох Культур”, Efekt sp. j., Warszawa 1.12.2018, s. 439-442.
97. Szajdak L.W., Stadnyk O., *Bazyli Podmajstrowicz. Członek Grupy Poetyckiej „Wołyń”*, „Znad Willi”, 2020, 3(83), s. 38-43.
98. Szajdak L.W., Stadnyk O., *Bazyli Podmajstrowicz (1917–1973) – członek Grupy Poetyckiej „Wołyń”*, „Znad Wilii”, 2021, 1(85), s. 65-69.
99. Szajdak S., *Blask Myśli*, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy, Środa Wielkopolska 1994, s. 45.
100. Szajdak S., *Dedykacje Słońcu*, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy, Środa Wielkopolska 1992, s. 49.
101. Szajdak S., *Gorące Źródła*, Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy, Środa Wielkopolska 1998, s. 37.
102. Śpiewak J., *Anna*, Czytelnik, 1967, s. 119.
103. Śpiewak J., *Antologia wierszy o Polsce*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1959, s. 464.
104. Śpiewak J., *Poezje wybrane*, Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza, Warszawa 1969, s. 159.
105. Śpiewak J., *Poezje*, Czytelnik, Warszawa 1955, s. 200.

106. Śpiewak J., *Poezje*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1972, s. 224.
107. Śpiewak J., *Ugory*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1969, s. 86.
108. Śpiewak J., *Wiersze stepowe*, nakładem Księgarni F. Hoesicka. Druk. Wiek Nowy, Warszawa 1938, s. 38.
109. Śpiewak J., *Wiersze zebrane Zuzanny Ginczanki*, Czytelnik, Warszawa 1953, s. 109.
110. Śpiewak J., *Wybór wierszy*, Wydawnictwo Literackie, Warszawa 1978, s. 261.
111. Wierzbicka Z., *Kocham te miejsca, gdzie młodość minęła, gdzie przeszły najpiękniejsze lata*, Dekorgraf, Żagań 2004, s. 48.
112. Wilkoń T., *Katastrofizm w poezji polskiej w latach 1930-1939* – szkice literackie, Katowice Wydawnictwo Uniwersytetu Śląskiego, 2016, s. 55.
113. Wołyński W., *Na Wołyniu po polsku*, „Akcent”, 2014. 3., s. 180-184.

Koordinacja pracy redakcyjnej
Krzysztof Bąkała, Janina Tomczyk

DTP
Zecer – Wojciech Jelonek

Członkowie Grupy Poetyckiej „Wołyń”
Okładka wg koncepcji autora

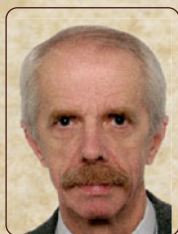
Promocja
Dorota Panówek, Justyna Wszyńska

Projekty edukacyjne wystawy
Krzysztof Bąkała, Lech Marchlewski

ISBN: 978-83-67398-07-7

Wydawnictwo Muzeum Niepodległości
(identyfikator wydawnictwa naukowego 42 700)
wydawnictwo@muzn.pl

Druk na zlecenie wydawcy
Attyka
31-353 Kraków, ul. W. Żeleńskiego 29
www.attyka.net.pl



Prof. dr hab. Lech Wojciech Szajdak, syn Stefana Szajdaka współzałożyciela Grupy Poetyckiej „Wołyń”. Doktor farmacji, profesor agronomii. Doktor Honoris Causa Estonian University of Life Sciences, Tartu, Estonia. Członek Zagraniczny, Honorowy Romanian Academy of Agricultural and Forestry Sciences. Autor ponad 600 publikacji w tym 29 książek wydanych w Polsce, Niemczech, Szwajcarii i USA. Laureat nagród przyznanych przez Polską Akademię Nauk i Polską Akademię Umiejętności za autorstwo książek naukowych. Uzyskał godność „Lidera Pracy Organicznej” oraz „Statuetkę Honorowego Hipolita”, medal „Labor Omnia Vincit” (praca wszystko zwycięży) i „Zasłużony Kulturze – Gloria Artis” oraz innymi.

Specjalista z zakresu chemii i biochemii gleb. W okresie 1991–1993 stypendysta naukowy w Department of Chemistry of the Swedish Agriculture University, Uppsala, Szwecja, a w 1997 roku Institute of Ecology and Department of Crop and Soil Science of the University of Georgia, Athens, USA.

Uczestnik ponad 70 międzynarodowych konferencji oraz seminariów. Członek rad wydawniczych oraz gościnny redaktor międzynarodowych czasopism naukowych. W okresie 2006–2014 kierował pracami Międzynarodowej Komisji „Agricultural use of peatlands and peat” of International Peat Society (IPS), a w latach 2010–2014 był członkiem Executive Board of IPS. W okresie 2011–2022 Przewodniczący Polskiego Komitetu Narodowego IPS.

Autor wystawy prezentowanej w Polsce, w Ukrainie i w Rumunii pt. Portret z wierszy i pamięci. Grupa Poetycka „Wołyń” dedykowanej Grupie Poetyckiej „Wołyń”.

Od 2018 roku współorganizator corocznych konferencji poświęconych wielkim Wielkopolanom-organicznikom, mającym ugruntowane i niekwestionowane miejsce w panteonie niezwykle zasłużonych osób dla Wielkopolski z kręgu rolnictwa, nauki i kultury oraz aktywności społecznej (Dezyderemu Chłapowskiemu, Augustowi Cieszkowskiemu, Maksymilianowi Jackowskiemu, Józefowi Wybickiemu i Ludziom Kościoła w pracy organicznej).

ISBN: 978-83-67398-07-7

Patroni medialni:



WIELKOPOLSKA
ZIELONY SZTANDAR

STOLICA

Partnerzy:

